

# Rudzielec

Coulter Catherine

Książka VI z Panna młoda



calibre 0.9.43

**CATHERINE COULTER**

**RUDZIELEC**

# ROZDZIAŁ 1

## *Zamek Northcliff*

*15 sierpnia 1815*

Tysen Sherbrooke spojrzął przez szeroko otwarte okno na północną część parku Northcliffe. W zamyśleniu zmarszczył brwi.

- W rzeczy samej - przyznał - wiedziałem, iż należę do spadkobierców tytułu, Douglasie, ale lista prawowitych dziedziców była tak długa... Nigdy nie wyobrażałem sobie nawet, że kiedykolwiek mógłbym uzyskać tytuł. Właściwie nie myślałem o tym od dobrych dziesięciu lat. Jego ostatni wnuk, Ian, naprawdę nie żyje?

- Tak, zginął sześć miesięcy przed śmiercią staruszka. Zdaje się, że spadł z klifu do Morza Północnego. Jego prawnik sądzi chyba, że to właśnie śmierć młodego Iana wpędziła starego Tyronne'a do grobu.

Oczywiście, miał już osiemdziesiąt siedem lat i nie potrzebował w tej kwestii specjalnej motywacji.

Wszystko więc wskazuje na to, że ty, Tysenie, jesteś teraz baronem Barthwick. To stary tytuł, jeszcze z początku piętnastego wieku, kiedy baronami zostawali ludzie dysponujący wielką władzą i majątkiem. Hrabia to tytuł znacznie późniejszy. Przez długi czas hrabiowie byli parweniuszami.

- Pamiętam zamek Kildrummy - przyznał Tysen - na wybrzeżu, poniżej Stonehaven, z widokiem na Morze Północne. Piękne miejsce, Douglasie. Zamek nie jest szczególnie wielki i nie ma wysokich okien, jak to bywało w średniowiecznych szkockich budowlach. Pochodzi raczej z późniejszego okresu. O ile dobrze sobie przypominam, to siedemnastowieczna budowla.

Pamiętam, mówiono mi nawet, że stary zamek został zniszczony w jednej z klanowych waśni. Nowy ma przyczółki nad oknami i drzwiami i dodatkowe ogrzewanie w przewodach kominowych... jakiś tuzin kominów, a poza tym jeszcze cztery okrągłe, narożne wieże obłężnicze. Pierwszy poziom budynku wychodzi na wewnętrzne podwórze zamknięte wysokim murem. - Tysen przerwał na chwilę i próbował sobie wyobrazić zamek tak, jak widział go w dzieciństwie. Oczy mu błyszczały, kiedy dodał: - Ale okolica jest dzika i nieokiełznana, jakby Bóg spojrzął na nią z niebios i postanowił, iż nie będzie na niej nowoczesnych budynków ani dróg, po czym pozostawił ją nietkniętą.

Jest tam więcej stromych stoków, niż możesz sobie wyobrazić, wiele wąskich dróg gruntowych i jedna, jedyna droga, która wiedzie do zamku. Strome skaliste wzgórze schodzi aż na plażę. I te polne kwiaty. Wszędzie polne kwiaty.

Dla jego poważnego, rozsądnego i konkretnego brata opis był zbyt poetycki, ale Douglas cieszył się, że Tysen nie tylko pamięta Barthwick, ale najwyraźniej również uwielbia to miejsce.

- Pamiętam, jak pojechałeś tam z ojcem. Miałeś wtedy... ile? Jakieś dziesięć lat?

- Tak. To był najpiękniejszy czas w moim życiu.

Douglas nie był tym zaskoczony. Nieczęsto bowiem zdarzało się, że któryś z nich miał ojca na dłuższy czas tylko dla siebie. Kiedy Douglasowi to się udawało, uznawał to za dar niebios. Wciąż

tęsknił za hrabią, człowiekiem honoru, który kochał swoje dzieci i cierpliwie znosił trudny charakter swojej żony, kwitując jej zachowanie krzywym uśmiechem i wzruszeniem ramion. Douglas westchnął. Tyle się zmieniło.

- Skoro jesteś teraz baronem i właścicielem wielkiego majątku, powinienem chyba pozwolić ci wreszcie siadać na honorowym miejscu przy stole.

Tysen nie roześmiał się, choć może uśmiechnął się pod nosem. Nie śmiał się prawie wcale od czasu, kiedy postanowił poświęcić się Bogu. Miał wtedy siedemnaście lat. Douglas pamiętał, jak jego brat Ryder mówił Tysenowi, że ze wszystkich ludzi, których Bóg umieścił na tym nieszczęsnym padole, to właśnie pastor powinien mieć największe poczucie humoru, ponieważ najwyraźniej posiada je również Najwyższy. Wystarczy tylko spojrzeć na wszystkie absurdy wokół nas. Pytał, czy Tysen obserwował może gody pawia albo czy widział tego bufonowatego księcia regenta, który jest tak gruby, że muszą go wpychać, a potem końmi wyciągać z balii, kiedy chce się umyć. Czyż to nie zabawne?

Ale Tysen był poważny. Jego kazania brzmiały zawsze górnolotnie i udowadniały, że Bóg jest surowy i niełatwo wybacza człowiekowi jego grzechy. Tysen miał teraz trzydzieści jeden lat i wyglądał jak każdy z rodu Sherbrooke, wysoki, dobrze zbudowany, miał brązowe włosy z odrobiną jasnych refleksów, i oczy jak wszyscy Sherbrooke'owie, niebieskie jak letnie niebo. Douglas wyróżniał się w rodzinie czarnymi jak u kruka włosami i ciemnymi oczami.

Tysen za to, jako jedyny w rodzie, nie posiadał tej radości życia, tej wrodzonej, niezmałconej szczęśliwości i wiary, że świat jest cudownym miejscem.

1. Tak mówisz? - uśmiechnął się Tysen. - Chyba muszę pojechać najpierw do Szkocji i sprawdzić, co w trawie piszczy. - Westchnął. - Tyle mam tu zawsze różnych zajęć, ale wuj Tyronne zasługuje na dziedzica, który przynajmniej dopilnuje, by majątek był właściwie zarządzany. Tyle że ja nie mam w tej kwestii żadnego doświadczenia.

2. Wiesz, że ci pomogę, Tysenie. Wystarczy, że poprosisz. Chciałbyś, żebym ci towarzyszył do Bathwick?

- Tysen potrząsnął głową.
- - Nie, Douglasie, ale dziękuję za dobre chęci. Muszę to zrobić sam. Mam tu na miejscu zastępcę, który na jakiś czas przejmie moje obowiązki. Pamiętasz Samuela Pritcherta?
- Och tak, nie można było nie pamiętać tego nudziarza.

1. Pojadę więc sam. Wszyscy z tej Unii nie żyją, Douglasie. Pamiętam tych wszystkich kuzynów. Tyłu chłopców. A teraz wszyscy nie żyją!

2. Tak, to przykre. Choroby, wypadki albo pojedynki, jeden z nich za dużo hulał. Jak już mówiłem, ostatni w rodu, łan Barthwick, spad! z klifu do morza. Niewiadomo dokładnie, jak to się stało.

- - Z tej Unii było sześciu chłopców w kolejności do tytułu. Wszyscy przede mną. Chyba zresztą tylko dlatego wuj Tyronne umieścił mnie na liście spadkobierców, Anglika uczynił legalnym kandydatem do tytułu szkockiego barona. Oczywiście nie spodziewał się, że kiedykolwiek mogłoby do tego dojść.
- - A teraz tytuł jest twój, Tysenie. Żart wuja obrócił się przeciwko niemu. Zamek, urodzajna

piękna ziemia, więcej owiec, niż zdołasz policzyć nawet gdy nie możesz zasnąć... Masz tam również wielu rybaków i rzemieślników, więc nawet w ciężkich czasach w majątku nikt nie głoduje. Może nie jest to najbardziej bogate dziedzictwo, ale na pewno sobie poradzisz. Wuj nigdy nie rugował ludzi z ziemi. Zdaje się, że nikt nie opuścił Barthwick od bardzo dawna.

- - I bardzo dobrze - rzekł Tysen. - To niemądry zwyczaj, wyrzucanie z ziemi ludzi, którzy uprawiali ją od setek lat. Zdaje się więc, że teraz mój syn, Max, jest kolejnym dziedzicem tytułu Barthwick. Ciekawe, co on na to powie.
- Pewnie zacytuje jakieś łacińskie przysłowie, pomyślał Douglas. Najstarszy syn jego brata był inteligentny, cichy, i chyba jeszcze bardziej poważny niż jego ojciec w tym wieku. Imię odziedziczył po dziadku, jedynym wykształconym człowieku w rodzie Sherbrooke'ów, tak się przynajmniej zdawało Douglasowi.
- - Kiedy będziesz wyjeżdżał, Tysenie, przywieź dzieci do nas. Alex i ja zaopiekujemy się nimi. Twoja Meggie może wreszcie wbije trochę rozsądku do głowy nie tylko swoim braciom, ale również kuzynom. Na Boga, wszystkim by się to przydało.
- Tysen uśmiechnął się łagodnie.

1. Jest niezwykła, prawda, Douglasie?
2. Zupełnie jak Sinjun w jej wieku. Meggie zacznie rządzić twoim domem, Tysenie, jeśli nie będziesz ostrożny.

- Brat rzucił mu urażone spojrzenie.
- - Nie, nie przypomina Sinjun. Może z wyglądu, ale nie jest takim łobuziakiem jak ona. Pamiętam, że Sinjun mogła człowieka doprowadzić do szału swoimi wybrykami. Nie, Meggie jest znacznie bardziej powściągliwa, niż lady Sinjun była kiedykolwiek.

1. Pamiętasz - przypomniał Douglas - jak ojciec załamywał ręce, kiedy kopnęła Tommy'ego Maitlanda w zadek, tak że zleciał z klifu? Dobrze, że biedak nie złamał karku.
2. A kiedy zaszyła ci wszystkie nogawki spodni? - wspominał Tysen. - Jeszcze słyszę twój ryk. Nie, Meggie taka nie jest. Jest bardzo posłuszna. Nigdy nie musiałem się o nią martwić. - Nagle na jego czole pojawiła się zmarszczka. - Cóż, dwójka naszych służących słucha jej jak pani domu. Nawet chłopcy wykonują jej polecenia szybko i bez grymasów. Kucharka też właściwie gotuje tylko to, co lubi Meggie. Ale to cierpliwość, słodycz i uprzejmość zyskują jej miłość i posłuszeństwo wszystkich domowników, nawet braci.

- Douglas z trudem się powstrzymywał przed wybuchem. Czy jego brat był zupełnie ślepy? Najwyraźniej tak. Meggie przy ojcu zachowywała się ostrożnie. Ta dziewczucha była bardzo sprytna.
- - Pamiętam, że Sinjun wiele razy dostawała ode mnie w ucho. Straciłem już rachubę - powiedział Douglas.
- - Ja dałem jej po uszach tylko raz. O ile pamiętam, to było wtedy, kiedy przywiązała mój ulubiony latawiec do szyi Korkociąga. Pamiętasz Korkociąga? Cóż to był za pies! Najwspanialszy! W każdym razie Sinjun rzuciła patyk, a Korkociąg pobiegł za nim i nim latawiec zdążył unieść się w górę, zaplątał się w róże mamy i doszczętnie je zniszczył. Zdzieliłem ją, zanim się schowała. - Po chwili Tysen uśmiechnął się szeroko. - Nie zdawałem

sobie sprawy, że tak dawno już nie widziałem Sinjun i Collina. Za długo. - Wstał i przeciągnął się. - Cóż, ale teraz wreszcie się to uda. Samuel Pritchert zajmie się parafianami. Dziękuję, że zechciałeś zaopiekować się dziećmi, Douglasie. Chyba wyjadę w środę. Napiszę po drodze kilka długich kazań. To daleka droga. Meggie szybko umknęła na drugi koniec korytarza, gdy tylko usłyszała, że ojciec zbliża się do drzwi gabinetu wuja Douglasa. Pobieгла prosto do ciotki Alex.

- - Mój Boże, Meggie, nic ci nie jest? – przestraszyła się ciotka. Chwyciła bratanicę w ramiona i obejrzała ją uważnie. - Podśluchiwałaś, prawda? Ja też to robiłam w twoim wieku. Twoja ciotka Sinjun wciąż to robi. Co się dzieje, Meggie?
- - Ojciec wyjeżdża do Szkocji w środę. Zostawia tu chłopców.
- Alex uniosła brwi.

1. Och, tak, nowy tytuł. Oczywiście, że powinien pojechać. A co z tobą?
2. Och - westchnęła Meggie, uśmiechając się podstępnie. - Jadę z nim. Będzie mnie potrzebował. Rozumiesz, ciociu.
3. Sądzisz, że cię zabierze?
4. O tak - odparła Meggie. - Mogę ci w czymś pomóc, ciociu Alex?

- Alex Sherbrooke popatrzyła na bratanicę i dotknęła palcami koniuszków jej wspaniałych włosów. Tysen nie ma szansy, pomyślała. Wysłała Meggie do pokoju, żeby zjadła obiad z braćmi i kuzynami. Chłopcy strzelali z procy, jak powiedział jej ich nauczyciel, pan Murphy, ocierając pot z czoła. Alex wiedziała, że Meggie na pewno zaprowadzi tam porządek. Uśmiechała się jeszcze, kiedy z gabinetu wyszli Tysen i Douglas.
- - Tak, panie - powiedział Hollis, uśmiechając się do Tysena. - Nowy tytuł i honory do pana pasują.

1. Dziękuję, Hollis.
2. Czy nowy, szanowny baron Bathwick życzy sobie dostać pyszną szynkę, przygotowaną przez naszą kucharkę? - zapytała Alex.
3. To brzmi dziwnie - Tysen się zamyślił i dodał bardzo poważnym tonem: - Proszę posadzić mnie na najbardziej honorowym miejscu przy stole, ponieważ teraz jestem ważną osobą.

- Zaśmiała się, Douglas też, ale Tysen nie. Uśmiechnął się jedynie i skinął głową, jakby potwierdzał, że powiedział coś umiarkowanie zabawnego. Potem zapytał o zdrowie bratanków.
- - Zdrowia im nie brakuje - odparł Douglas. – Ale to, że są tacy przystojni doprowadza mnie do białej gorączki. Kiedyś będą łamali serca kobiet. Na Boga, mają dopiero po dziesięć lat, tyle co Meggie, a już pod drzwiami sterczą dziewczęta z całej okolicy. Stoją tak wiele godzin, obdarowują moją Alex pięknymi bukietami udekorowanymi różowymi wstążeczkami, dają jej własnoręcznie wykonane kaptcie albo ciasto i zaklinają się, że same je upiekły. Zrobią wszystko, żeby bliźniacy raczyli na nie zwrócić uwagę. Przeważnie nie potrafią odróżnić jednego od drugiego, więc wyobrażasz sobie, ile sztuczek te małe szelmy wyczyniają. - Douglas potrząsnął głową i dodał: ~ Na szczęście chłopcy na razie nie wykazują większego zainteresowania dziewczynami, ale to wszystko jest naprawdę niepokojące i nie wróży dobrze na przyszłość.
- - Podejrzewam - powiedział Tysen, siadając przy niewielkim stole w jadalni - że

przypominają bardzo twoją siostrę Alex - zwrócił się do szwagierki. - To najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. Czy to nie dziwne, że bliźniaki są tak bardzo podobne do niej, a nie do ciebie lub Douglasa?

- - Tony, niech go diabli, zawsze się śmieje, kiedy ktoś o tym wspomina - powiedział Douglas i podał bratu tacę z plastrami gotowanej szynki posypanej przez kucharkę specjalnym zestawem ziół, w którym zawsze znajdowały się mocno rozdrobnione kawałki bazylii. Przynajmniej dzieci Tony'ego i Melisandy wyglądają tak, że mogłyby być naszymi dziećmi, więc to już coś. A teraz, Tysenie, pozwól, że przeczytam ci pozostałą część listu, który napisał prawnik wuja Tyrone'a.



## ROZDZIAŁ 2

- *Eden Hill, parafia Glenclose - on - Rowan 16 sierpnia 1815*
- - Nie, Meggie, nie i koniec.
- Ale, oczywiście, to nie był jeszcze koniec rozmowy. Tysen zrozumiał nagle, o co chodziło Douglasowi, ponieważ nareszcie mógł ją zobaczyć jego oczami. To druga Sinjun. Kiedy był młody, Sinjun doprowadzała go do szalu. Potem próbował ignorować siostrę, bo, choć życie stało się dla niego ciężkie, a sprawy przybrały poważny obrót, Sinjun zawsze wszystko wykpiwała. Często się śmiała. Kiedy miała trzynaście lat, nazywała go gburą, i to pewnie była prawda. Westchnął i spojrzał na córkę, która czekała, ale nie długo.
- - Proszę, papciu, to strasznie ważne.
- Ach, ta poważna, śliczna buźka, ten nieznoszący sprzeciwu głos. Czuli, jak słabnie i wyprostował się szybko.
- - Potrzebujesz mnie. Wiesz przecież dobrze, jak bardzo potrafię być przydatna. Nie będę przeszkadzała nawet odrobinę. Będę ci tylko pomagać, kiedy trzeba, a potem stanę się niewidzialna.
- Pastor Tysen Sherbrooke, oddany sługa Boga, człowiek kochający swoje dzieci, który prawie nigdy nie podnosił głosu, choćby nie wiem jak bardzo któryś z członków jego kongregacji zszedł ze ścieżki światła, zaczął tracić cierpliwość.
- - Proszę, nie mów już nic więcej, Meggie. Powtarzam po raz ostatni. Nie pojedziesz ze mną. Zostaniesz w Northcliffe z braćmi. Zrozumiałaś? Ja wyjeżdżam do Szkocji. Nie wiem, czego mam się tam spodziewać. Byłem tam ostatnio wiele lat temu i pamiętam tylko polne drogi, owce i puste pola ciągnące się w nieskończoność. Na pewno jest to wciąż barbarzyńska kraina, gdzie rozbójnicy grasują na drogach, jeśli w ogóle istnieją jakieś drogi, bo żadnych porządnych nie pamiętam. Chcę, żebyś została tutaj, bezpieczna pod opieką ciotki i wuja.
- Meggie, równie spokojna i rozsądna jak siostra Mary McRae, jedyna katoliczka w tej okolicy, powiedziała do ojca:
- - W Szkocji mieszka ciotka Sinjun. To nie może być dziki kraj, tatku. Nawet jeśli nie było kiedyś dróg, to na pewno już są. Ciotka Sinjun z pewnością dopilnowała, żeby je zbudowano. Zresztą nie potrzebujemy dróg. Pojedziemy konno. To będzie wspaniała przygoda. Naprawdę mnie potrzebujesz.
- Tysen patrzył na to dziecko, wspaniałą istotę, która po raz pierwszy wydała mu się tak bardzo podobna do Sinjun. Przypomniawszy sobie, jak wiele razy miał ochotę udusić siostrę, zwłaszcza kiedy przywiązała jego ulubiony latawiec do psiej szyi. Zrozumiał teraz, że kiedy opowiadał Douglasowi o spokojnej naturze Meggie, znacznie przesadził. Czyżbym naprawdę mówił, że jest posłuszna i łagodna? Jeśli kiedykolwiek w to wierzyłem, byłem ślepy, pomyślał. Byłem starym głupcem, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje pod moim nosem. Zrozumiał nagle, że Meggie potrafiła być łagodna jak baranek, ale za chwilę równie nieobliczalna i szalona jak Sinjun. Nie chciał, żeby córka przypominała matkę, Melinę



Beatrice. Zamknął oczy, wstydząc się tak zdradliwej myśli. Nie, Melinda Beatrice była świętą kobietą, może trochę nawet zbyt świętą. Tyle że jej zachowanie nie doprowadzało go do rozpacz, a zaledwie do głośnego wzdychania, kiedy któryś z wiernych zamierał, słysząc jedną z jej dobrych rad. Potrząsnął głową i spojrzał w oczy, które przypominały jego własne, ale także oczy Sinjun. Delikatnie dotknął rękoma jasnych, miękkich włosów Meggie.

- - Dlaczego wydaje ci się, że cię potrzebuję? Spojrzała mu prosto w oczy.
- - Jesteś zbyt dobrym człowiekiem, tatusiu. Jesteś zbyt miły dla ludzi. Nie widzisz w nich zła. Czasem zupełnie ich nie rozumiesz. Twoje myśli są chyba zbyt górnolotne, wzniosłe, a nawet święte. Potrzebujesz mnie. Ja będę cię chroniła przed złymi ludźmi. Będę cię też broniła przed kobietami, które spróbują sprawić, żebyś je pokochał i ożenił się z nimi. Będę...
- Położył jej palec na ustach. Nie widział w ludziach zła? Miał zbyt święte myśli? Chyba spodziewał się, że pytając ją, dlaczego chce jechać, miał nadzieję, że dziewczynka się wycofa, że spróbuje znaleźć inny pretekst. Pokręcił głową zaskoczony. Nie widział zła? Był zbyt miły? Na litość boską, był bezwolną zdobyczą dla kobiet, które chciały go złapać w małżeńskie sidła?

1. Doceniam twoją wiarę w mój kryształowy charakter - rzekł z nutką ironii - choć nie wiem, co uczyniłem, byś uwierzyła, że jestem takim słabeuszem. Co się zaś tyczy dam, obiecuję, że będę bardzo ostrożny.
2. Ale panna Strapthorpe o mało cię nie usidliła. Słyszałam, jak rozmawiała o tym z przyjaciółką. Powiedziała, że była tak blisko... Mówiła, że wystarczyłby jeden pocałunek, żebyś już musiał się z nią ożenić. Mówiła, że któregoś dnia osaczyła cię w zakrystii.
3. Ale nie pocałowałem panny Strapthorpe i udało mi się uciec z zakrystii z koloratką na swoim miejscu.
4. Tatusiu, to był żart?
5. Oczywiście, że nie, Meggie.
6. Tak sądziłam. W końcu ty nie marnujesz czasu na frywolne pogaduszki. Tatusiu, wiem, że nie pocałowałeś panny Strapthorpe, gdybyś to zrobił, pewnie byłaby już moją macochą, a to nawet Maxa przyprawiloby o mdłości. Co się zaś tyczy Leo, to on na pewno uciekłby z domu.
7. Dość już na temat panny Strapthorpe. Jestem dorosłym mężczyzną, Meggie. Nie potrzebuję opieki. Obiecuję nie przywieźć do domu macochy dla ciebie i chłopców.

- - Ale... Znów dotknął palcem jej ust.
- - Kotku, mówię po raz ostatni, nie będziesz mi towarzyszyć. Zostaniesz tu. Przysięgam, że będę ostrożny wobec złych kobiet, które spróbują mnie usidlić. Nie, już nic nie mów. Nie nadużywaj mojej cierpliwości. Nie wypada służyć bożemu wrzeszczeniu na dziecko. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, moi wierni byliby oburzeni.
- Meggie złapała go za rękę.
- - Tatusiu, weź mnie ze sobą, proszę. Zli ludzie nie śpią, sam nie będziesz w stanie uchronić się przed wszystkimi, którzy będą chcieli uczynić ci podstępem krzywdę. Najbardziej zaś podstępne są kobiety...
- Podziwiał jej determinację, jej nieskończony potok nowych argumentów. Małą dłonią szarpała go za rękaw. Jaka to piękna dłoń, pomyślał bez związku, długie palce, bardzo zgrabna. Ma ręce Sinjun, a nie swojej matki.

- - Nie widziałam ciotki Sinjun i wuja Colina już trzy lata. Ostatnio, kiedy przyjechali do Londynu, pojechaliśmy tam, żeby ich odwiedzić. Chciałabym zobaczyć Phillipa i Dahling, Jocelyn i Flethera nie muszę oglądać, to jeszcze maluchy.
- Tysen tylko znów potrząsnął głową, zacisnął usta, żeby nie powiedzieć czegoś, co sprawiłoby jej przykrość, i ruszył w stronę drzwi.
- - Pani Priddie pomoże tobie i twoim braciom się spakować - rzucił przez ramię. - Wyjedziecie za dwa dni. Ja jadę jutro rano, bardzo wcześnie.
- Usłyszał jakieś mamrotanie, kiedy zamykał drzwi, ale nie zrozumiał ani słowa. Meggie miała dziesięć lat, ale odnosił czasem wrażenie, że psychicznie dobiegała trzydziestki. On sam miał trzydzieści jeden. Zrozumiał teraz, co jego brat, Douglas, miał na myśli. Meggie była taka sama jak Sinjun w jej wieku - skupiona, a po chwili rozbawiona, zawsze uśmiechnięta, chętnie wydawała braciom rozkazy, zawsze starała się kimś opiekować. I była uparta. Kiedy coś sobie ubzduriała, po prostu brnęła do przodu. Potrafiła być nierozsądna i kłótliwa. Dał jej w skórę tylko raz, w zeszłym roku. Chyba nigdy tego nie zapomni, ale pani Priddie powiedziała że za to co Meggie zrobiła, powinna siedzieć zamknięta w piwnicy o chlebie i wodzie przez rok. Bał się zapytać, o co chodziło, ale pani Priddie nie była w stanie utrzymać języka za zębami. - Przywiązała sznur od kościelnego dzwonu do kozy imieniem Molly. Potem ustawiła wokół tej biedaczki pół tuzina starych butów. Koza oczywiście musiała podejść do każdego z nich. Dzwon dzwonił i dzwonił, nim koza nie przeżuła wszystkich trzewików. Co dziwne, wyszła jej z tego melodia. Kościelny Peters o mało nie dostał apopleksji. - Tę część opowieści pani Priddie postanowiła mówić szeptem. - Słyszałam, jak kościelny kłął jak szewc. Musi pan z nim porozmawiać. Takich słów kościelny wcale nie powinien używać. Tysen rozumiał, że brzydkie słowa wymknęły się z ust kościelnego bez jego woli. Tak więc wielebny dał lanie córce, która nie uroniła nawet jednej łzy. Jednak, gdy na niego spojrzała zamglonymi z bólu oczyma, poczucie winy sprawiło, że miał ochotę błagać ją o wybaczenie. Udało mu się wyjść z pokoju, nim się przed nią ukorzył, choć niewiele brakowało. Poszedł teraz do swego pokoju i zaczął pakować ubrania do walizki. Jego służący, Throckmorton, umarł zeszłej zimy z powodu podeszłego wieku. Umarł z uśmiechem na bezzębnych ustach, ponieważ młoda i ładna służąca o imieniu Marigold siedziała przy nim i głaskała go po sękatą dłoń. Tysen jakoś nie mógł się zebrać, by zatrudnić innego człowieka. Był pastorem i nie wydawało mu się naturalne, by pastor miał służącego. Pani Priddie radziła sobie doskonale z jego ubraniami. Był bogaty, ale nie zwracał na to większej uwagi. Douglas zajmował się większością jego spraw, wiedząc, że Tysen się nimi nie interesuje. Teraz był nie tylko zamożnym pastorem, ale również szkockim baronem. To wystarczyło, by zaczął się zastanawiać, jaki zamysł ma w tym Bóg. Zjadł kolację w malej jadalni. Potem porozmawiał z kościelnym, Petersem, tym, co przeklinał. Siedział dłużej niż chciał w towarzystwie Samuela Pritcherta, swego zastępcy, człowieka o długim, szpiczastym nosie i ponurym sposobie bycia, który sprawiał, że ludzie po trzech minutach rozmowy chcieli uciekać. To zadziwiające, jak chętnie ludzie opowiadali Samuelowi, co im leżało na sercu. Był kompetentny, jego kazania dotyczyły zawsze grzechu i kary, i na pewno był tą osobą, która utrzyma stadko Tysena w nienaruszonym stanie aż do jego powrotu. Potem poszedł do sypialni synów. Zanim wszedł, zauważył przez szparę pod drzwiami światło. Zapukał i wsunął się do środka. Max, prawie dziewięcioletni, czytał, co nie było dziwne. Długie nogi wyciągnął przed siebie, a w ramionach tulił wielką książkę. Świeca paliła się ponad jego lewym ramieniem.

Tysen spoglądał z dumą na starszego syna. Max mówił po łacinie, czytał po łacinie, nawet przeklinał po łacinie, kiedy młodszy brat go drażnił, co zresztą zdarzało się dość często. Młodszy Leo nazwany tak został na cześć Leopolda Foxwortha Sherbrooka, trzeciego hrabiego Northcliffe, dzentelmena, który honor cenił nade wszystko. Leo stał właśnie na głowie, a nogi opierał o ścianę. Wyprostowany, swobodny, z zamkniętymi oczyma, myślał teraz pewnie o koniach swego wuja, Douglasa, na których czasem mógł jeździć w Northcliffe. Tysen potrząsnął głową i odchrząknął. - Chłopcy, przyszedłem się z wami pożegnać. Jutro rano wyjeżdżam. Max natychmiast podniósł głowę i bardzo ostrożnie odłożył wielkie tomisko na dywan. Leo zaś po prostu opuścił nogi i jednym zgrabnym ruchem znalazł się w pozycji stojącej. Z uśmiechem powiedział:

- - Tatku, chcę pojechać na Garthu. To straszny dzikus.
- Tysen wiedział, że Douglas nie pozwoli mu nawet usiąść na grzbiecie nieokiełznanego rumaka.

1. Wiemy, że mamy zamieszkać u wuja Douglasa - powiedział Max. - Zastanawiałem się tylko, tato, czy ja i Leo będziemy mieli teraz tytuł, skoro ty go masz. No wiesz, James jest teraz lordem Hammersmithem, a do Jasona zwracają się „sir”. Może jako starszy syn ja też będę teraz sir Jakiś - tam.

2. Przykro mi, Max, ale pozostajecie tym, kim byliście. Możecie tylko mówić, że jesteście wielce szanownymi synami lorda Barthwicka.

3. Wielce szanowni, z honorami... - zastanawiał się Max. - Wujek Ryder mówi, że honor i szacunek zawsze trzeba mieć na uwadze - powiedział i zaraz dodał - chyba, że ma się akurat na uwadze jakąś ładną dziewczkę. To znaczy... hm... wujek Ryder tak mówi.

4. No cóż, nie dziwię się.

5. Poza tym - powiedział Max, wzruszając ramionami - kto chciałby się nazywać Hammersmith? To głupie nazwisko i właściwie nic nie znaczy. Ale Jamesowi się podoba.

1. Mów za siebie - powiedział Leo, poprawiając skarpetki. - Jestem ośmioletnim małym idiotą o szczurzej twarzy.

2. Panie w niebiosach - powiedział Tysen z przestachem. - Gdzie ty to usłyszałeś, Leo? O szczurzej twarzy? To obraźliwe. Natychmiast o tym zapomnij. O małym idiocie zresztą też.

3. To będzie dość trudne, tatku, bo Meggie tak go nazwała, kiedy była na niego zła. Wczoraj.

- Tysen zamknął oczy.

1. Twoja siostra cię nazwała małym idiotą o szczurzej twarzy?

2. Tak - rzekł Leo i spuścił głowę na piersi. - Może na to zasłużyłem, tatku. Meggie miała wtedy bardzo czerwoną twarz i bardzo długo nie mogła nic powiedzieć, a potem jej się to wymknęło. Potem wygrażała mi pięścią, ale przynajmniej nie strzeliła mnie w ucho i nie wrzuciła w krzaki, jak zwykle. Po prostu wyszła i trzasnęła drzwiami, Mogę zapytać, co powiedziałaś siostrze, że zasłużyłaś na taki epitet?

3. Leo wyciął spory kawałek jej sukienki i halki. Kiedy szła, było jej widać pantaloney. Marigold zauważyła, że wszyscy na nią patrzą i pobiegła z krzykiem. Na szczęście dogoniła ją, nim Meggie wyszła za bramę.

- Jesteś naprawdę małym idiotą, Leo, pomyślał Tysen.

1. Jestem bardzo rozczarowany twoim zachowaniem, synu - powiedział spokojnie. - Jedyne dobry Bóg wie, co powiedziałyby na to twoja matka.
2. Mama by krzyczała, waliła pięściami w ścianę, a potem dostała histerii przynajmniej na dwie godziny - stwierdził rzeczowo Max. - Leo woli kary Meggie. Jakies dwa dni temu złapała go za szyję i tak nim trzęsła, że o mało go nie udusiła. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Pani Priddie mówiła, że ta histeria mamy właściwie nikogo nie obchodziła, aleja nie pamiętam, jak to było.

- Tysen nie pamiętał walenia pięściami w ścianę, ale pamiętał napady histerii.
- - Nie będzie mnie, by dopilnować twojej kary, Leo, ale zapamiętaj, że nie wolno ci stawać na głowie przez sześć dni. Nie wolno ci też fikać koziołków w Northcliffe i nie wolno nic ciąc nożyczkami. I masz traktować siostrę, jak by była księżniczką. Rozumiesz?
- Leo pochylił głowę.
- - Tak, tatusiu, rozumiem.
- Max był przez chwilę zmieszany, ale tak szybko się opanował, że Tysen nawet nie zauważył jego miny.
- - Obaj macie słuchać ciotki i wuja. Możecie się bawić, kiedy wam pozwolą. Nie wolno wam przyjmować żadnych prezentów od młodych dam, które przychodzą do Northcliffe, żeby przypodobać się waszym kuzynom, ciotce i wujowi.
- Uścisnął ich obu i poklepał Leo po głowie. Kiedy zamykał drzwi ich sypialni, usłyszał:

1. Tato nic nie powiedział, że nie wolno mi stać na głowie w nocy - mówił Leo. - Powiedział sześć dni...
2. Leo - pogroził mu Max - ty na pewno pójdziesz do piekła.
3. Nie. Tato by na to nie pozwolił - odparł Leo. - Dlaczego nie odziedziczył tytułu, który by z nas zrobił lordów? Musi być tam jakiś nieużywany, nikomu niepotrzebny tytuł. Może księcia? A może wujek Douglas ma jakiś tytuł w zapasie, albo dwa, i mógłby nam go oddać? Przecież go nie używa.
4. Wujek Douglas - zaczął Max tonem belfra, który Leo i Meggie doprowadzał do szału - ma tylko jeden tytuł, którego nie używa. Teraz ma go James. Sam wiesz, jest wicehrabią, lordem Hammersmithem, ponieważ wujek nie potrzebował już tego tytułu. No nie, właściwie to jest jeszcze jakimś baronem. Nie pamiętam jakim.

- - Biedny Jason - zasmucił się Leo. - On też jest niczym, tak jak my. Nie ma żadnego tytułu.
- Tysen uśmiechnął się. Nic nie mógł na to poradzić, choć wiedział, że powinno go to zmartwić. Nie spał zbyt dobrze tej nocy. Zajrzał do sypialni Meggie, ale córka zgasła wszystkie światła i najwyraźniej spała. Nie chciał jej robić przykrości, ale nie było podczas tej podróży miejsca dla dziewczynki. Bóg tylko raczył wiedzieć, co go czekało w Szkocji. Za to z radością myślał o tym, że zobaczy Sinjun i Colina. Następnego ranka wyruszył o świcie, z woźnicą Rufusem na koźle i stajennym z tyłu za powozem. Stajenny miał płacić wszystkie opłaty rogatkowe. Obaj mężczyźni pochodzili z majątku jego brata i dzielnie siedzieli na swoich miejscach. Jego własny gniadosz o imieniu Błękitny szedł przywiązany do powozu pod baczynym

okiem tajnego. Rufus powiedział, że tajny ma na imię Pride. Tysen nie wiedział, że tajny nie jest wcale jednym z ludzi wysłanych przez brata. Kim był naprawdę dowiedział się dopiero w Edynburgu, pięć i pół dnia drogi od domu.

## ROZDZIAŁ 3

- ***Taurum per cornua prehende*** Weź byka za rogi **22 sierpnia 1815** To była długa podróż. Tysen jechał na Błękitnym. Przez pięć i pół dnia ułożył sobie w głowie kilka pięknych kazań, ale w chwilach, gdy czuł, że stać go na większy obiektywizm, musiał przyznać, iż żadne z nich nie nadawało się do wygłoszenia. Przypominały mu wielki zamek wyrastający wprost ze środka niewielkiego miasteczka. Nie, nie to chciał powiedzieć. Przede wszystkim były po prostu nudne. Tych dziewięć kazań mówiło o niczym, poruszało wiele tematów, żadnego nie zgłębiając, i nie kończyło się żadnym przesłaniem. Jedno z nich szczególnie silnie podkreślało potrzebę posłuszeństwa u kobiet. Pomyślał o Meggie i potrząsnął głową. Potem wspomniał Melinę Beatrice i poczuł wyrzuty sumienia.
- Byli oboje jeszcze bardzo młodzi i bardzo w sobie zakochani. Widzieli przed sobą obraz życia ograniczonego pewnymi barierami, ale pełnego nadziei, dobroci i nieskończonej potrzeby służenia Bogu w każdej chwili. Przynajmniej on sam tego chciał. Westchnął. Usłyszał gwizdanie i skinął do przechodzącego chłopca. Pamiętał wizytę w Edynburgu, ale dziś widział to miasto oczyma dorosłego mężczyzny, a nie chłopca. Zamek. Spodobałby się Meggie. Nie, postąpił słusznie, nie zabierając jej ze sobą. Przez cztery dni bez przerwy padało. Dzisiaj przynajmniej nie spadła od rana ani kropla. Niebo było tak czyste, że dziś z murów zamku widziałby zarys ciemnych szczytów gór. Prowadził Błękitnego wśród tłumów ludzi, którzy z niewiadomych powodów wydawali mu się grubiańscy. Skinął na woźnicę, by jechał za nim w kierunku Nowego Miasta, na północ od zamku. Nowe miasto było cudownym miejscem, pełnym przepięknych ogrodów i placów otoczonych budynkami o harmonijnej architekturze. Nie wiedział, czy Sinjun będzie dziś w swoim domu w mieście. Był natomiast przekonany, że stary Angus pozwoli mu spędzić noc w domu siostry. Jeszcze jedna uliczka w lewo i znaleźli się na uliczce Abbotsford Crescent. Rezydencja Kinross stała na samym jej środku, naprzeciw niewielkiego parku. Wysoki, wąski budynek, starszy niż sąsiednie, prezentował się doskonale. Niedawno go pomalowano. Wszędzie wokół rosły kwiaty. Dach też był nowy. Prostokątny trawnik ktoś równo przycinał i zgrabiał z niego każdy listek. Przypomniało mu się, jak Meggie powiedziała, że ciotka kazałaby zbudować drogi, gdyby tylko ich potrzebowała. Cóż, z Kinross z pewnością uczyniła dzieło sztuki. Tysen miał nadzieję, że stary Angus rozpozna go, nim strzeli do niego ze swojego gadacza, bardzo cennej rusznicy. Tak kiedyś mówiła o tej broni Sinjun, śmiejąc się do rozpuku. Nagle usłyszał krzyk. To Sinjun wychylała się z okna na piętrze i wrzeszczała do niego:
  - - Tysen, to naprawdę ty? Do licha, dopiero wczoraj przyjechaliśmy. Dahling chciała się przejść po ulicy Royal Mile, ja zresztą też. Colin jest teraz w zamku, rozmawia z lordem Stallingssem. Dahling i Phillip są z nim. Na pewno biegają jak opętani po tych wielkich korytarzach i zadają biednym strażnikom setki pytań. Jak miło znów cię widzieć. Wchodź, wchodź do środka!
  - Z domu wyszedł stary Angus. Wydawał się starszy niż edynburski zamek. Miał siwe włosy

rozwiązane na wszystkie strony, a spodnie wypchnięte na kolanach. Na poranej zmarszczkami twarzy widać było uśmiech.

1. Och, toż to pan Tysen, brat naszej pani, toć to musi być on.
2. Tak - powiedział Tysen, zsiadając z Błękitnego.
3. Zaraz se z twoim woźnicą, panie, poradzim z końmi. Ale co to za przebieraniec stoi za tobą, panie?

- - To stajenny, Pride. - Tak?
- Po chwili na dole była także Sinjun. Rzuciła się bratu na szyję, wyściskała go i wycalowała. Tysen objął ją delikatnie, przyjrzał się jej i powiedział:

1. Wyglądasz całkiem zdrowo, Sinjun. No i, dzięki Bogu, przestało padać.
2. A ty, Tysenie, jesteś przystojny jak zawsze. Och, Boże. Nie wiedziałam, że przyjeżdżasz. No i właśnie... Co to wszystko znaczy? To na pewno najbardziej niespodziewana rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś. Ale dlaczego jedzie za twoim powozem? Wygląda, jakby za chwilę miała spaść. Coś ty narobił? Och, rozumiem, uparła się, a ty jej uległeś. Rozpuszczasz ją, Tysenie.

- Dobłą chwilę zajęło Tysenowi zrozumienie słów siostry. Wreszcie go olśniło. Odwrócił się powoli w stronę stajennego o imieniu Pride.
- - No, Meggie - powiedziała Sinjun - chodź tu i uściśnij mnie. Musisz mi koniecznie wytłumaczyć, jak to się stało, że zostałam chłopcem stajennym swojego ojca. To jakiś żart? Nie, oczywiście, że to nie żart. Twój ojciec nigdy nie żartuje. Jemu chyba się zdaje, że żart jest grzechem. Zresztą cokolwiek mu się zdaje, to chyba, jak wszyscy Sherbrooke'owie, nie ma szczęścia w życiu i obawia się stracić córkę.
- Tysen spojrział na Meggie, która zdjęła z głowy wełniany, stary kapelusz. Jej piękne jasne włosy były teraz matowe i tłuste. Zamknął oczy, próbował się uspokoić, prosząc Boga o pomoc, a potem, nic nie mówiąc, odwrócił się i wszedł do domu. Na szczęście drzwi frontowe były otwarte na oścież. Stojąca w środku Agnes, żona starego Angusa, miała na sobie obszerny biały fartuch, przewiązany wokół szerokich bioder.

1. A któż to do nas zawitał? - zapytała i splotła pulchne ręce na potężnych piersiach.
2. Ja - odparł Tysen - sługa boży, który ze wszech miar chciałby się opanować i kontrolować swój gniew.
3. Toż to prawda. To nasz pastor - powiedziała Agnes i uśmiechnęła się szeroko, a w jej ustach błysnęły tylko trzy zęby.

- Obeszło się bez krzyków, bez przeklinania, bez kary fizycznej. Tysen spoglądał przez czas jakiś na swoją brudną córkę, stojącą w salonie ciotki, i w końcu, cicho, spokojnie, tonem chłodnym i opanowanym, powiedział:

1. Jestem bardzo rozczarowany twoim zachowaniem, Meggie. - Nic więcej nie dodał i zwrócił się do siostry. - Odziedziczyłem ziemię i tytuł barona. To spadek po wuju Tyronnie. Mam teraz



tytuł barona Barthwick, jestem właścicielem zamku Kildrummy, który mieści się jakieś siedem mil od Stonehaven. Przyjechałem do Szkocji, żeby zobaczyć swoją posiadłość i, cokolwiek by się działo, spędzić choć trochę czasu z tobą i Colinem. Poza tym, zdaje się, że prawnik barona Barthwicka bawi w Edynburgu. Muszę z nim jak najszybciej porozmawiać.

2. Tak, Donald McCray jest tu. To bardzo znana postać, a zwłaszcza wśród dam. - Sinjun pokręciła głową z dezaprobatą i przyklękła przed swoją bratanicą. - Słonko jedyne, wyglądasz okropnie. Chodź ze mną na górę, to cię wykąpiemy i włożysz coś przyzwoitego. Przywiozłaś ubrania? Nie? To żaden kłopot. Dahling to już prawdziwa dama. Ma czternaście lat, ale na pewno w jej szafie są jeszcze jakieś sukienki, z których wyrosła.

- Meggie spojrzała przez ramię na ojca, który nawet się nie poruszył, tylko patrzył na nią poważnym, surowym wzrokiem, nie zdradzającym żadnych emocji. Zgarbiła się i westchnęła ledwie słyszalnie:

1. Przepraszam, tatku, naprawdę. Musiałam z tobą tu przyjechać, żeby cię bronić, żeby się tobą opiekować.

2. Idź z ciotką, Meggie - powiedział Tysen i podszedł do pięknego, łukowato sklepionego okna.

- Jego córka i Sinjun wyszły z pokoju. Zamknął oczy, oburzony tym, co zrobiła jego córka. Przez pięć i pół dnia jechała konno za powozem. Gdzie spała w nocy? Oczywiście w stajniach, obok gospód. Zatrząśł się cały na myśl, co mogłoby jej się stać. Modlił się, dziękując Bogu, że zatroszczył się o jej bezpieczeństwo. I ten potworny deszcz. A co by było, gdyby się rozchorowała? Co by się stało, gdyby umarła po dojechaniu do Szkocji tylko dlatego, że Tysen nigdy nawet nie spojrzał na chłopca stajennego przydzielonego mu przez brata? Sinjun natychmiast domyśliła się, że to ona. A on, jej własny ojciec, był zupełnie ślepy. To straszne. Tysen wciąż stał błądliwy jak ściana, kiedy do salonu wróciła Sinjun. Już miała zamiar upomnieć go za brak serca, chociaż wybryk Meggie ją również przyprawił o dreszcze. Już chciała mu powiedzieć, jakim nieczułym jest ojcem, kiedy spojrzała na niego, wystraszonego i pobladłego i jedyne, na co miała teraz ochotę, to go przytulić.

- - Już dobrze, Tysenie - powtarzała mu szeptem do ucha, tuląc mocno do siebie. - Już dobrze. Meggie nic nie jest. Jest z nią Mary. Pomaga jej się wykąpać. Nic się nie stało. Nie jest chora, nic się jej nie przydarzyło. Nie martw się.

- Odetchnął głęboko, a potem powoli odsunął się od niej.

- - Nie rozpoznałem jej, Sinjun, choć była tuż pod moim bokiem. A ty od razu wiedziałaś, że to ona. Stary Angus też ją poznał. Wszyscy, tylko nie jej ojciec. Do jasnej cholery!

- Powiedział „do jasnej cholery”, jak każdy porządny Sherbrooke, pomyślała Sinjun, nie wierząc własnym uszom. Uśmiechnęła się do brata.

1. Rodzice widzą tylko to, czego się spodziewają po swoich dzieciach. Nie czuj się winny. To do ciebie niepodobne. No, już lepiej. W końcu wróciły ci rumieńce. Co teraz zrobisz?

2. Chciałbym stłuc moją córkę na kwaśne jabłko za jej karygodne zachowanie, ale chyba się do tego nie zmuszę. Kiedy dostała klapsa w zeszłym roku, przez tydzień nie mogłem się pozbierać z powodu poczucia winy. Co proponujesz, Sinjun?

3. To trudna sprawa - powiedziała po dłuższej chwili zastanowienia. - Zapytajmy Colina, dobrze? Niedługo wróci z Phillipem i Dahling. Mają być w domu na obiad.

- Tysen skinął głową.

1. Sinjun, możemy zostać u was kilka dni? Pójdziemy do zamku Kildrummy i dowiemy się, co się w świecie dzieje.

2. To wspaniały pomysł. Mogłabym kazać staremu Angusowi pojechać do Kinross po Fletchera i Jocelyn. Chciałbyś ich zobaczyć?

3. Meggie powiedziała, że to maluchy i nie jest nimi zainteresowana - przyznał Tysen, kiedy Sinjun wspomniała o dwójce młodszych dzieci - ale ja bardzo chętnie je zobaczę.

4. Jocelyn to naprawdę mały szkrab. Niedawno skończyła rok. Za to Fletcher ma już trzy lata i buzia mu się nie zamyka. Wiesz, że on rozmawia z końmi? Słucha ich uważnie i przysięgam, że jakoś się porozumiewają. Dwóm nawet zmienił imiona, bo mówił, że nie są z nimi szczęśliwe.

1. Jakie to były imiona?

2. Olmari Grindel. Fletcher porozmawiał z końmi, wysłuchał ich narzekania i zmienił imiona na Thor i Kometa. Przysięgam ci, że od tej pory oba konie zachowują się inaczej, nogi podnoszą wyżej, głowę dumnie zadzierają, a na dźwięk swoich imion stukają kopytami z zadowolenia. Zachowują się jak żrebaki. To niesamowite.

- Tysen uśmiechnął się nieznacznie.
- - Powinienem mu przedstawić swojego konia. Ciekaw jestem, czy Błękitny jest zadowolony ze swojego imienia.
- Sinjun zaśmiała się wesoło i wzięła go za rękę.

1. Usiądź, opowiesz mi wszystko o tym swoim spadku. Pamiętam, że byłeś wymieniony w testamencie, ale, na litość boską, przed tobą było prawie dwunastu innych chłopców.

2. Nie mylisz się - odparł Tysen. - To smutne. Wszyscy nie żyją. Ostatni z nich, Ian, wnuk starego Tyronne'a, spadł z klifu do morza jakieś sześć miesięcy temu. Po tym, jak sądzę, jego dziadek poddał się losowi. Chociaż, jak zauważył Douglas, staruszek miał już osiemdziesiąt siedem lat. Jako jedyny spadkobierca został mu tylko Anglik, a dokładnie ja. Na pewno nikt nie był z tego powodu szczęśliwy.

- - Ale kogo właściwie miałoby to martwić? Tysen potrząsnął głową.
- - Tak naprawdę, to nawet nie wiem, kto teraz mieszka w Kildrumm, ilu Tyronne miał krewnych. Rankiem zobaczę się z Donaldem McCrayem. Mam nadzieję, że on udzieli mi wszystkich potrzebnych informacji. Teraz, Sinjun, nim spotkam się twarzą w twarz z moją córką, chciałbym się pokrzepić filiżanką herbaty.

## ROZDZIAŁ 4

- Trzyletni Fletcher Kinross powiedział wujowi, że Błękitny nie jest zadowolony ze swego imienia. Tysen przyglądał się niezwykle maluchowi spoczywającemu w ramionach ojca i zapytał:
- - Więc jakie imię wolałby mieć mój koń?
- Fletcher włożył kciuk do buzi, pochylił się w stronę Błękitnego, a koń naprawdę wpatrywał się w malca. Tysen był pewien, że istnieje między nimi jakieś porozumienie.
- - Tatku, musisz mnie puścić - powiedział Fletcher.
- Chłopiec stanął na ziemi i podszedł do wielkiego gniadosza. Ku zaskoczeniu Tysena koń pochylił się, dotknął wargami dłoni chłopca, prychnął na jego rączkę i kilka razy stuknął lewym kopytem.
- - Nie martw się - uspokajała go Sinjun. - Jeszcze nigdy żadne zwierzę nie zrobiło mu krzywdy. Czy to nie jest niezwykle? Och, tak, chyba Błękitny przemówił.
- Fletcher poklepał konia po szyi i odwrócił się do wuja Tysena, po czym rzekł bardzo wyraźnie:
- - Powiedział mi, że nie jest błękitny i w ogóle nie zna się na kolorach. Powiedział, że chce się nazywać Wielki.
- Kciuk znów trafił do buzi, a potem mała rączka wyciągnęła się w stronę ojca w geście oznaczającym, że malec chce wrócić na ręce. Colin Kinross natychmiast go podniósł.
- - No cóż, Tysenie, co o tym sądzisz? Zdecydujesz się nazwać konia Wielki?
- Meggie zaczęła się śmiać.
- - Och, ciociu Sinjun, to wspaniałe. Wielki... podoba mi się.
- - Jeśli takie imię bardziej mu odpowiada... - powiedział zupełnie zdezorientowany Tysen.
- Przystojny, szesnastoletni Phillip Kinross, chłopak przypominający bardzo swojego ojca, ale z zawiadackim uśmiechem matki, potrząsnął głową i powiedział:
- - Nie jest tak źle, wuju Tysenie. Fletcher był na mnie zły, kiedy zmieniał imię mego konia. Niech sobie wuj wyobrazi, jak się bałem, co on wymyśli, ale nazwał go Edwin, co naprawdę do niego pasuje, a i mnie odpowiada.
- - Jak się wcześniej nazywał?
- Fletcher uśmiechnął się do niezmiernie poważnego wuja, który był dla niego bardzo miły.
- - Nazywał się Miecz - rzekł Phillip. - Fletcher stwierdził, że to koń kochający pokój i takie imię bardzo go denerwuje.
- Tak więc następnego ranka z Tysenem na grzbiecie Wielki jechał obok powozu, gdzie siedział jeden samotny pasażer - dziesięcioletnia córka pastora, która miała dość rozumu, by nie spierać się z ojcem na temat dalszego sposobu podróżowania. Dzień był piękny. Kłębiaste, białe chmurki przepięknie układały się na niebie w różnorodne kształty. Delikatny wiaterek z nad morza owiewał spocone czoło Tysena i napełniał jego nos zapachem polnych kwiatów. Jadąc, widział kępy wrzośców we wszystkich odcieniach fioletu i bieli. Wyrastały w najbardziej

niezwykłych miejscach, w zagłębieniach pod skałami, pod płotami i wokół ścieżek. Półtora dnia pięknej, słonecznej pogody złagodziło trudy podróży do zamku Kildrummy. Kiedy dojeżdżali, Tysen zauważył około dziesięciu kominów sterczących w niebo i okrągłe wieżyczki na każdym rogu wielkiej, kwadratowej budowli. Nie przypominało to wcale starych zamków z tej części kraju, z surowego kamienia, z wąskimi oknami szczelinowymi, umiejscowionymi wysoko nad ziemią, i ostrym dachem mierzącym wprost w szkockie niebo. Nie, Kildrummy był nowym zamkiem o łagodniejszym spadku dachu i jasnoszarych, kamiennych ścianach.

1. Co o tym sądzisz, Meggie? - zapytał, podjeżdżając bliżej do powozu, skąd wychylała się córka, by coś zobaczyć.
  2. Jest posadowiony na płaskim, nagim kawałku wzgórza i ma widok na morze. Wygląda jak wielki, drapieżny ptak - powiedziała Meggie. - Po lewej stronie jest wielki las, ale nie przy samym zamku. Mój Boże, tam jest zupełnie pusto, a wszędzie dookoła są jakieś wielkie rozpadliny. Powinniśmy je zasypać ziemią. Powinniśmy zasadzić drzewa. To miejsce wygląda na opustoszałe. - Oblizwała usta i zmarszczyła brwi. - Nawet trochę straszne - dodała. - Takie samotne. - Ale ten las nieopodal jest piękny.
- Tysen pamiętał Kildrummy z czasów, kiedy był dziesięcioletkiem. Z punktu widzenia chłopca musiał się zgodzić z opinią Meggie. Wielki obszar ziemi między lasem a zamkiem był brzydki, pusty, wręcz nieprzyjemny. Z ziemi wystawały tylko gdzieniegdzie różnych rozmiarów kamienie. A te jamy, czy cokolwiek to było, naprawdę groziło niebezpieczeństwem. Jazda konna i spacer po takim terenie wymagały wielkiej ostrożności. Uważał jednocześnie, że to piękne miejsce i wolałby go nie zmieniać. Wolałby raczej ostrożnie jeździć między skałami i dziurami w ziemi, podziwiając surowy krajobraz. Ale jeśli Meggie chce mieć tam drzewa, będzie je miała. Jeśli będzie chciała wypełnić rozpadliny ziemią, tak się stanie. - Trzeba będzie sprowadzić odpowiednie drzewa, które przetrwają w tych warunkach i przyjrzeć się też tym rozpadlinom. I nawieźć ziemi do ich zasypania. Ty, moja droga, możesz się zająć kwiatami, które zechcesz posadzić wokół zamku. Uśmiechnęła się radośnie, a on zmarszczył brwi. Zauważyła, że wciąż się na nią gniewa, i powiedziała cichutko:
    - - Ciekawe, czy w którejś z wież jest sypialnia. Chciałbym tam spać.
    - - Zobaczymy - odparł Tysen, przypomniawszy sobie, że nie powinien od razu zgadzać się na wszystko, co córce przyjdzie do głowy. Przecież wciąż się na nią gniewał. Budził się jeszcze w nocy z bólem brzucha na myśl, że jego dziesięcioletnia córeczka jechała uczepona powozu, ochlapana błotem, spała w stajniach przy gospodach. Odetchnął głęboko. Gdyby Douglas albo Ryder był jej ojcem, bez wątpienia nieźle by jej się oberwało. Sinjun nie wymyśliła jeszcze odpowiedniej kary, kiedy przygotowywali się do wyjazdu, pokuta Meggie została więc zawieszona.
    - Teraz mieli przed sobą zamek Kildrummy. Należał do niego. Do lorda Barthwicka.
    - 
    - Późno w nocy, kiedy słońce w końcu schowało się za wzgórzami na zachodzie, a wokół została jedynie odrobina poświaty, Meggie usiadła na wąskim łóżku w południowej wieży z widokiem na nagi pas ziemi ciągnący się aż do lasu. Na soczystozielonej łące rosło kilka sosen i pasły się owce. W myślach zaczęła już planować prace, które należałoby wykonać na

zamkniętym podwórzu widocznym z okna. Za każdym razem jednak, kiedy pomyślała o wielobarwnych kwiatach, które zasadzi, przypominał jej się gniew ojca. Nie zachowywał się tak, jakby był na nią zły. Był po prostu rozczarowany. To było znacznie gorsze niż wybuch złości. Meggie westchnęła i schowała się głębiej pod grubą kołdrę. Przy kolacji ojciec był uprzejmy, tak jak w Edynburgu. Nic więcej. Ani razu nie okazał złości. Zresztą tylko raz w życiu podniósł na nią głos i dał jej klapsa. To było wtedy, gdy przywiązała dzwon kościelny do kozy. Nawet ciekawa z tego powstała melodia, ale chyba nikt jej dokładnie nie słuchał. Wolałaby, żeby znów na nią wrzeszczał, może nawet ją zbił. Dzięki temu przynajmniej szybciej by jej wybaczył. Pamiętała doskonale, jak wujek Douglas krzyczał kiedyś na jednego ze swoich bliźniaków. Trzy razy uderzył go w tyłek i powiedział mu, że jest idiotą, a potem chwycił go wpół i zaniósł do stajni. Pewnie później pozwolił mu jeździć z tyłu powozu, jak stajenni. Nie usłuchała ojca, który był bliżej Boga niż ktokolwiek inny, kogo знаła. Mimo to chyba miała rację, przyjeżdżając. Czuła przez skórę, że ojciec będzie jej wkrótce naprawdę potrzebował. Pani MacFardle, według pośpiesznej oceny Meggie, wcale nie była zadowolona z nowego lorda, Anglika, i jego przyjazdu do Kildrummy. Spoglądała na niego i na Meggie spode łba. W końcu, aczkolwiek niechętnie, oprowadziła ich po zamku i podała kolację. Meggie wolałaby, żeby pani MacFardle bardziej przypominała tę starą kobietę z tawerny w Clackmanshire, gdzie zatrzymali się na obiad. Pogłaskała dziewczynkę po głowie, a jej śpiewny głos, wypowiadający cicho szkockie wyrazy: *a wee gowan*, co, jak jej później przekazano, znaczy „mała stokrotka”, działał na małą kojąco. Na ojca powiedziała *braw*, co oznaczało podobno „przystojny jegomość”. Dla pani MacFardle tata nie był chyba wcale *braw*, nawet kiedy zmówił bardzo pięknie modlitwę przed jedzeniem. Tyle że według Meggie kolacja, którą im podano, nie zasługiwała na żadną podziękę. Pani MacFardle kpiącym tonem obwieściła im, że kopiaste coś na ich talerzach nazywa się haggis. Twierdziła również, że każdy Szkot je haggis codziennie i dziękuje Najwyższemu, iż raczył go obdarzyć tak wyśmienitym posiłkiem. Meggie spojrzała na ów owczy żołądek z kleistą, brązową zawartością wypływającą ze środka i utkwiała oczy w granatowym dywanie, pokrywającym podłogę w jadalni. Zjadła cztery kromki żytniego chleba, posmarowanego żółtym masłem. Jej ojciec spróbował potrawy i szybko zaczął opowiadać pani MacFardle o sytym obiedzie, który zjedli po drodze w tawernie „Pod Dziką Gęsią”. Potem włożył jeszcze jeden, niewielki kęs do ust, ponieważ jego obowiązkiem, jako osoby dorosłej i duchownej, było uprzejme zachowanie. Nie było bardziej uprzejmej osoby niż jej ojciec. Był grzeczny, nawet kiedy otaczali go grzesznicy. Nawet kiedy musiał uciekać z własnej zakrystii, ścigany przez kobietę, która bezwstydnie usiłowała go uwieść, też był uprzejmy. Potrzebował Meggie, i to bardzo, a zwłaszcza tutaj, w tym obcym kraju. Dziewczynka wiedziała, że tata wkrótce to zrozumie. Przykryła się po szyję. Od morza zbliżała się burza. Wiatr poderwał się znad wody i zaczął uderzać w okiennice. Potem lunął deszcz. Uderzył z wielką siłą, obmywając szyby okien. Wolałaby nie być teraz sama. Wolałaby, żeby gdzieś w środku, gdzie nie mogła jej ogrzać stara kołdra, nie czuła takiego zimna. Obudziła się o trzeciej w nocy, a wiedziała, która jest godzina, ponieważ nagły błysk tak rozświetlił pokój, że wyraźnie widziała wskazówki zegara stojącego na kominku. Dłużej nie mogła już tego wytrzymać. Było jej zimno i bardzo się bała. Miała wrażenie, że za chwilę serce wyrwie jej się z piersi. Złapała kołdrę, owinęła się nią i wyszła z sypialni. Zaczęła szukać dużej sypialni, której okna wychodziły na rozwścieczone morze. Nie zapukała do zamkniętych drzwi, tylko wślizgnęła się do środka. Przy następnej

błyskawicy zobaczyła zarys postaci ojca na wielkim łożu. Położyła się obok niego i szczerze okryła kołdrą. Teraz nareszcie poczuła się bezpieczna. Przytuliła się do pleców taty. Teraz nic nie mogło jej skrzywdzić. Westchnęła i natychmiast zasnęła. Wcześniej rano Tysen obudził się i natychmiast zdał sobie sprawę, że jest w Szkocji. Spał przecież w wielkiej sypialni pana zamku. Obok siebie zauważył dziecko i uśmiechnął się. Kiedy dzieci zaczęły od czasu do czasu wślizgiwać się do jego sypialni, nauczył się spać w koszuli nocnej. Pamiętał z jaką ulgą Melinda Beatrice na jego polecenie szła tuzin nocnych koszul. Nigdy ani słowa nie powiedziała na temat jego zwyczaju spania nago, bo wiedziała, że tak był wychowany, ale Tysen miał wrażenie, że czuła się zażenowana, kiedy czasem widziała go bez ubrania. Oboje leżeli okryci od stóp do głów białym batysem. Wiedział, że nie lubiła swoich małżeńskich obowiązków. Usłyszał kiedyś, jak zwierzała się matce. Nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że kiedy już będą małżeństwem, ona nie będzie chciała, by jej dotykał, bo sam bardzo pragnął pieścioty, i chciał z nią być. Wcześniej wydawało mu się, że jej powściągliwość i nieśmiałość są zachowaniem właściwym pannie, ale miną, gdy Kościół i Bóg zatwierdzą ich pożycie w alkowie. Ale nie, ona zaledwie znosiła go cierpliwie. Tak odbierał jej zachowanie za każdym razem, kiedy czuł potrzebę zbliżenia z żoną. Jakoś to znosiła. Była damą. Doszedł więc do wniosku, że tak powinno wyglądać małżeństwo. Kiedy jednak widział, jak bracia i ich żony dotykają się i śmieją, i całują, kiedy nikt nie widzi... Nie, musiał odrzucić te myśli. Oni byli bezwstydni. Pewnie zachowywali się nieprzyzwoicie, ale nie chciał już tego dociekać. Życie jest tylko życiem, a on i tak zaznał wiele szczęścia. Zauważył promienie słońca wpadające przez kilka wąskich okien wychodzących na morze. Woda była niebieska i spokojna. Usłyszał mewy pokrzykujące na plaży. Nurkowały w poszukiwaniu śniadania. Po wielkiej burzy nawet powietrze w jego komnacie wydawało się świeższe i bardziej czyste. Wzruszało go piękno tego niezwykłego poranka. Jakby po burzliwym sztormie Bóg podarował wszystkim ukojenie. Delikatnie odsunął się od Meggie. Zauważył, że zwinęła się w kłębek, nie budząc się ze snu. Przykrył ją kołdrą i delikatnie pocałował w policzek. Burza na pewno ją przestraszyła. W obcym miejscu wydawała się zapewne bardziej niebezpieczna. W wieży błyskawice musiały przedstawiać niesamowity widok. Ostrożnie dotknął jej policzka. Była taka delikatna. Jego córka. Kochał ją, mimo że była nieposłuszna. Kochał ją i jej braci. Przepelniała go nieskończona, głęboka miłość do własnych dzieci. Zamek Kildrummy... Należał teraz do niego. Był jego panem. Kilka razy powtórzył w myśli tę nazwę, a potem wypowiedział ją na głos, jakby uczył się ją wymawiać. Był teraz za tę posiadłość odpowiedzialny. Nikt inny, tylko on. Do tej chwili nie odczuwał ciężaru odpowiedzialności, ale teraz spadł zniecka na jego barki, kiedy spoglądał na morze. To będzie jego dom aż do dnia jego śmierci. Potem dostanie go Max. Był ciekaw, czy surowe piękno tego miejsca poruszy duszę chłopca, czy może jego uczone syn wróci do Eurypidesa, nie zastanowiwszy się nawet nad tym. Może tylko zacytuje coś po łacinie. Tysen umył się i przebrał za parawanem, w razie gdyby Meggie się obudziła. Potem zszedł na dół. Szerokie drzwi frontowe były otwarte na oścież, ukazując podwórze zamkowe. Do środka wpadało poranne słońce, rozświetlając szeroki hol. Tysen spoglądał na tańczące w słońcu drobinki kurzu. , Stary Poudier, jakby wyrzeźbiony w drewnie, siedział na wysokim krześle przed drzwiami. Staruszek mrugnął, podrapał się, a Tysen zastanowił się, czy on kiedykolwiek wstawał z tego krzesła, choćby po to, by się przespać. Przywitał się, Poudier się uśmiechnął, ukazując bezzębne dziąsła, i powiedział wesoło:

- - Och, milordzie, obudził się pan. Cieszymy się, że pan przyjechał. Nie ma pan służącego. Zawsze chciałem być osobistym służącym dżentelmena, ale lord Barthwick powiedział, że jestem za stary.
  - Tysen był innego zdania - uważał, że staruszek jest jeszcze całkiem żwawy.
1. Jeśli chcesz się zająć moimi ubraniami, są w sypialni. Będę wdzięczny, jeśli je ułożysz w szafie.
  2. Mogę poskładać krawaty, milordzie?
  3. Tak, je też trzeba uporządkować, Poudier. Dziękuję.
  4. Och, nareszcie będę młodszym służącym - powiedział Poudier i westchnął, po czym głowa opadła mu na piersi, a siwe włosy zwiesiły się bezładnie. Zasnął.
  5. Tak, młodszy służący - głośno powtórzył rozbawiony Tysen. Wyszedł cicho na zewnątrz.
- Zauważył młodego MacNee, przystojnego chłopaka, który pracował w stajni. Stał z nim Rufus. Tysenowi zdawało się, że mężczyzna, wyglądał na głodnego, ale MacNee koniecznie chciał sobie pogawędzić.
1. Wielki jest bardzo szczęśliwy - powiedział. - Zadomowił się, zjadł owies, wypił wodę. Tak. Dobrze się panu spało w sypialni barona, milordzie?
  2. Tak - odparł Tysen.
- Wszyscy zwracali się do niego teraz per „milordzie”. Czuł się z tym dziwnie.
  - - Tamto łóżko jest takie wygodne, że można w nim dobrze odpocząć. Och, ale mam pusto w głowie, milordzie. Pani MacFardle kazała mi wziąć jajka do Barthwick, wioski niedaleko stąd, i sprzedać je chłopom. Mamy teraz za dużo jaj. Bo widzi pan, milordzie, jak kury się boją i gdczą przed sztormem, to potem znoszą jajko za jajkiem. Musi pan już iść do zamku na śniadanie.
  - Tysen uśmiechnął się i wrócił do holu, pilnowanego przez Poudera, który nadal spał spokojnie na swoim krześle. MacNee i Rufus poszli do kuchni, a Tysen do niewielkiej jadalni wyłożonej ciemnym drewnem, pełnej starych obrazów, przedstawiających głównie martwe natury z martwymi zwierzętami w roli głównej. Postanowił usunąć te paskudztwa ze ścian i kazać pomalować je na białe. Stary, ciemny dywan też powinien zniknąć, a przepiękna drewniana podłoga winna być doprowadzona do porządku. Uśmiechnął się. Po raz pierwszy pomyślał o czymś takim. Dotąd zawsze przyjmował to, co go otaczało, bez zastrzeżeń. Poza tym zawsze wszystkiego w domu doglądała Melinda Beatrice. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek go pytała, czy podoba mu się dywan albo jakiś mebel. Ale teraz Kildrummy było wyłącznie jego. Każe tak wypolerować podłogi, by mógł w nich zobaczyć własne odbicie. Chciał poza tym poznać wszystkich w obejściu i najać więcej osób do sprzątania domu. Chciał objechać swoje ziemie, policzyć owce, dowiedzieć się, jakie ryby łowi się w okolicy. Zatarł dłonie. Anglia była bardzo daleko stąd. Czuł się szczęśliwy. Zjadł wyśmienitą owsiankę, którą niechętnie podała mu pani MacFardle, i postanowił, że najpierw odwiedzi wieś Barthwick. *Jesteś największym hultajem, jaki stąpał po tej ziemi.* \* Szekspir *Henryk IV* Mary Rosę stała w cieniu starej sosny i obserwowała, jak nowy baron Barthwick wyjeżdża za bramę zamku Kildrummy. Miał na sobie szerokie bryczesy i ciemnobrązową kurtkę. Wyglądał elegancko, jak



dobrze urodzony Anglik. Nie była jednak zupełnie pewna, czy tak właściwie powinien wyglądać angielski dżentelmen, bo w ciągu swojego dwudziestoczteroletniego życia nie widziała ich wielu. Był młody, ale to jej nie zdziwiło. Usłyszała, jak wuj Lyon opowiadał o upadku rodu Barthwick. Według niego Anglik był za młody, by zdawać sobie sprawę, jak wspaniały majątek odziedziczył. Przeklinał Tyronne'a Barthwicka za to, że nie zapewnił sobie szkockiego potomka. Mówił, że pół tuzina chłopców to nie dość i że stary piernik śmiał umrzeć, mając tylko osiemdziesiąt siedem lat. Kuzynka Mary Rosę, Donnatella, śmiała się z ojca i przekonywała, że nie powinien się martwić i że ona się wszystkim zajmie. Wiedziała, co to znaczy. Jeśli angielski baron choć trochę jej się spodoba, natychmiast wyjdzie za niego za mąż. To zresztą całkiem możliwe, pomyślała Mary Rosę. Prawnik z Edynburga, Donald MacCray, powiedział im, że nowy baron jest wdowcem. Jakie to smutne, pomyślała wtedy Mary Rosę. W tak młodym wieku stracić żonę. Baron z daleka wydał jej się wysoki i szczupły. Miał jasne, gęste włosy. Prowadził wielkiego gniadosza, a potem wsiadł zwinnie na jego grzbiet, wyprostował się w siodle i rozejrzał dookoła. Po chwili uniósł głowę, wciągnął w płuca powietrze i powiedział coś do konia, nazywając go Wielkim, co Mary Rosę wydało się raczej dziwnym imieniem. Żałowała, że nie może przyrzuć mu się z bliska, ale oczywiście nie wypadało podejść. Zresztą on na pewno też nie chciałby się z nią widzieć. W końcu była czarną owcą tej okolicy. Patrzyła, jak jechał w kierunku wioski Barthwick, na południe od zamku. Kiedy skręcił przy Bleaker's Bluff, jakieś dwadzieścia metrów wyżej, zniknął jej z oczu. Odwróciła się i zaczęła brnąć wśród sosen w kierunku posiadłości Vallance. Minęła już drzewa, kiedy usłyszała zbliżające się odgłosy końskich kopyt. Schowała się za grubym pniem sosny, ale nie dość szybko. Koń zatrzymał się tuż przy niej. Usłyszała głos mężczyzny:

- - Spokojnie, Barker.
  - Nie była przecież tchórzem. Nie miała zamiaru uciekać i chować się w lesie. Poprawiła suknię i wyszła zza drzewa. Słońce mocno świeciło tuż nad jej głową, trawa kusiła soczystą zielenią, a dzikie kwiaty wspaniale pachniały. Wczorajsza burza oczyściła wszystko i sprawiła, że świat wypiękniał.
  - - Ach - powiedział mężczyzna, podchodząc ku niej. - Wydawało mi się właśnie, że cię widziałem gdzieś między drzewami, Mary Rosę. Zawsze lubiłaś wszystko obserwować z głębi lasu, tak by cię nikt nie widział.
1. Witaj, Ericksonie - odpowiedziała, starając się ukryć strach i obrzydzenie pod maską chłodu. - Właśnie widziałam, jak nowy baron Bathwick wyjeżdża z zamku.
  2. On ciebie, oczywiście, nie widział.
  3. Nie wiem, po co miałby mnie oglądać - powiedziała i zeszła z drogi koniowi.
- Mężczyzna zmarszczył brwi, uderzył szpicrutą w cholewę wysokiego buta i poklepał Barkera po szyi.
  - - Nie próbuj przede mną uciekać, Mary Rosę. Nie bój się. Chcę z tobą tylko porozmawiać.
  - - Jak się miewa twoja matka? - zapytała dziewczyna. Znów zmarszczył brwi i uderzył szpicrutą w cholewę.
  - - Czuje się tak, jak zwykle. Nie chcę rozmawiać o mojej matce, Mary Rosę.
  - - Jak sądzisz, czy nowy baron urządzi przyjęcie?

- - Nie obchodzi mnie cholerny nowy baron. Chcę z tobą porozmawiać.
- Ale zamiast cokolwiek powiedzieć, patrzył tylko na nią, a potem chwycił ją w pól i przycisnął mocno. Zaczął ją całować w ucho, policzek, a potem silnym ruchem chwycił jej włosy. Broniła się, ale on nic sobie z tego nie robił. Był znacznie większy od niej i trzymał ją zbyt mocno. W końcu z całej siły nadepnęła mu na stopę. Podskoczył z bólu, ale i tak przycisnął usta do jej ust.
- - Nie - powiedziała, ale jego język już pchał się między jej wargi. Ugryzła go mocno.
- Znów podskoczył i zaklął. Potrząsnął nią.
- - Dlaczego to zrobiłaś, co? Dlaczego?
- Puścił ją, a ona nie zastanawiała się ani chwili dłużej. Podniosła suknię wysoko nad kolana i zaczęła biec tak szybko, jak potrafiła. Usłyszała, jak wsiadał na konia i wiedziała, że za chwilę ją dogoni. Wbiegła do lasu. Biegła coraz głębiej i głębiej, skręcając co chwilę to w lewo, to w prawo w jak największe zarośla, gdzie koń musiałby się przebijać z dużym trudem. Usłyszała przekleństwa Ericksona i wiedziała, jak bardzo jest na nią wściekły. Zatrzymała się, dysząc ciężko. Była bezpieczna. Przynajmniej do następnego razu. Ukryła twarz w dłoniach. Nie płakała. Nie miała powodu. Od łez tylko czerwieniały jej oczy i nos. Czekala i czekała, aż w końcu ruszyła na wschód, wiedząc, że Erickson MacPhail też tam będzie. Zobaczy go gdzieś między lasem, a zamkiem Kildrummy. Ale tam był płaski obszar wybrzeża, ciągnący się kilkaset metrów, dziki, jałowy, usiany wielkimi kamieniami, ostrymi skałami. Nieco dalej ziemia wyglądała tak, jakby jakaś wielka pradawna bestia porała ją pazurami, robiąc w niej rozległe i głębokie szczeliny. Dla jeźdźca tamte tereny nie były zbyt bezpieczne. Dotarła na skraj lasu i spojrzała w stronę zamku Kildrummy. Nie dostrzegła Ericksona MacPhaila. Odetchnęła i znów podnosząc wysoko spódnicę, pobiegła ile sił w nogach. Kiedy usłyszała za sobą odgłos końskich kopyt, odwróciła się, by zobaczyć, czy jej prześladowca jest blisko. Wtedy potknęła się o wystający z ziemi kamień i upadła wprost na jedną z rozpadlin w ziemi.

## ROZDZIAŁ 5

- Tysen zeskoczył z grzbietu Wielkiego i podbiegł do dziewczyny. Zauważył, że mimo niebezpiecznego upadku nie straciła przytomności. Leżała na brzuchu i ciężko dyszała. Nie poruszała się. Jednak w końcu podniosła głowę i spojrzała na niego.
  - - To pan jest nowym baronem - rzekła z ulgą. Westchnęła głęboko. - Widziałam, jak pan odjeżdżał. Dlaczego pan wrócił? Zresztą to nie ma znaczenia. Cieszę się bardzo, że pan to zrobił.
  - Tysen ukląkł obok niej na ziemi.
1. Wróciłem, bo zdałem sobie sprawę, że chciałbym pojechać do wsi razem z córką. Zostawiłem ją w zamku, ponieważ chciałem, by zrozumiała, jak bardzo się na nią gniewam. Jednak doszedłem po drodze do wniosku, że nie mogę jej dłużej karać. Jestem jej ojcem i bardzo ją kocham. Chcę więc, żeby pojechała ze mną do wsi, poznała jej mieszkańców, którzy kupują od nas jajka, obejrzała ryby i porozmawiała z rybakami. - Sam się zdziwił, że tak się rozgadał. Potrząsnął tylko głową i uśmiechnął się. - Pomogę pani. Coś panią boli?
  2. Jeszcze nie wiem. Chciałabym tak poleżeć chwilę. Co pańska córka zrobiła, że tak pana zdenerwowała?
1. Przebrała się za chłopca stajennego i jechała uczepiona powozu całą drogę z Anglii do Edynburga.
  2. Och, co za wspaniała przygoda! Nigdy nie wystarczyłoby mi odwagi, żeby uczynić coś podobnego. Ile ona ma lat?
  3. Dopiero dziesięć.
  4. To bardzo dzielna dziewczynka.
  5. Jest za młoda i zbyt niemądra. Zupełnie nie myśli o skutkach swojego działania.
- Tysen nagle zdał sobie sprawę, że rozmawia o swoich rodzinnych sprawach z zupełnie obcą osobą, która na dodatek utknęła do połowy w rozpadlinie w ziemi. Był na siebie zły.
1. Chyba powinienem panią wyciągnąć z tej dziury. Czuje pani ból?
  2. Może, ale wciąż nie jestem pewna.
  3. Postaram się panią wyciągać powoli - rzekł i sięgnął, by ją objąć. Ku jego zaskoczeniu przestraszona dziewczyna próbowała do tego nie dopuścić. Jęknęła i chwyciła się za kostkę.
- Tysen zamarł. Nie próbował już nawet przesunąć się w jej stronę, a tym bardziej jej dotknąć.
1. Chce pani sprawić sobie jeszcze większy ból? Co się z panią dzieje? Nie rozumiem... pani się mnie boi?

2. Nie wiem - odparła Mary Rosę, spoglądając na niego nieufnie.
3. Nie wie pani? Więc boi się mnie pani, czy nie?
4. Tak, to znaczy... nie wiem. Jest pan pewnie zbyt przystojny, żeby się właściwie zachowywać. Pewnie trudno jest być przyzwoitym, kiedy się tak wygląda. No i jest pan teraz baronem. Może to daje panu wolną rękę, by móc robić, co się chce.
5. Mój brat jest hrabią - rzucił sztywno i oficjalnie Tysen - a nie zachowuje się zbyt swobodnie. To znaczy, owszem, ale nie w tym sensie.
6. Chce pan powiedzieć, że pański brat ratowałby damę w opałach i nie wykorzystał jej?
7. Tak - odparł. - Właśnie to próbuję pani powiedzieć. Mój brat ma na imię Douglas i jest dobrym człowiekiem.
8. Z Anglikami nigdy nic nie wiadomo - szepnęła z powątpiewaniem Mary Rosę. - Chwali się pan bratem, a sam jakim jest pan człowiekiem, milordzie? - Zaczęła pocierać obolałą kostkę. - Och, spuchła. To chyba niedobrze.

- - Nie jestem zbyt przystojny, żeby zachowywać się nieprzyzwoicie - powiedział Tysen. - Jestem po prostu sobą. Moi bracia, owszem, są przystojni.
- Co za idiotyczna rozmowa, pomyślał.
- - Jeśli pańscy bracia są przystojniejsi niż pan, obawiam się o los kobiet na całym świecie. Chyba trochę mniej mnie boli noga - dodała.
- Nic nie odparł, tylko zmarszczył brwi. Był sługą bożym i powinien tę kobietę traktować jak jedną ze swoich owieczek.
- - Może jednak postara się pani mi zaufać. Chciałbym pomóc pani wyjść z tej jamy.

1. To nie jama, tylko szczelina - odparła. - Jest ich tu ponad tuzin. Ludzie nazywają je zabójcami owiec. Sam pan rozumie, owce są głupie, wpadają w nie i zdychają.

2. Pani chyba też nie najmądrzej zrobiła, wpadając do środka.

- Uśmiechnęła się.
- - Ma pan rację.
- Mrugnął w jej stronę, włożył dłonie pod jej barki i delikatnie ją pociągnął. Pobladła. Najwyraźniej coś bardzo ją bolało. W końcu znalazła się na powierzchni.
- - Jeśli mi pani pozwoli, zdejmę pani but, zanim noga tak spuchnie, że trzeba go będzie rozciąć.
- Pomógł jej usiąść na kamieniu i kucnął tuż obok. Szło dość ciężko, ale w końcu się udało. Patrzył na nią, by sprawdzić, czy nie zemdleje. Płakała, ale nie narzekała. Zaciśniętą w pięść dłońią otarła pośpiesznie twarz. - Przepraszam - powiedział. - Już po wszystkim. - Delikatnie dotknął palcami jej kostki. Teraz sytuacja była zupełnie naturalna. - Jest gorąca i spuchnięta. Obawiam się, że nie będzie pani przez jakiś czas chodziła. Wstał i sięgnął do kieszeni po chustkę. Nie podał jej jednak, tylko sam otarł dziewczynie policzki. Potem wyprostował się, zmarszczył czoło i powiedział:
  - - To dość dziwne. Raczej nigdy tak się nie zachowuję, nie ocieram dziewczynom łez z policzków, nie rozmawiam z nikim tak długo, a już na pewno nie opowiadam o moich braciach i sprawach osobistych. Czy kostka wciąż panią boli?
  - Skinęła tylko głową i rozejrzała się.

1. Nie wiem, co robić. Szłam piechotą z Vallance. To ponad kilometr od zamku Kildrummy.
2. Niech się pani niczym nie martwi. Zabiorę panią do zamku, a pani MacFardle na pewno znajdzie jakieś stare ludowe specyfiki, które natychmiast postawią panią na nogi. Dokąd pani biegła? Coś w lesie panią przestraszyło?
3. Pewien mężczyzna. Niebezpieczny mężczyzna.
4. Usłyszała pani odgłos kopyt Wielkiego i sądziła, że to ten człowiek panią goni?

- Przytaknęła. W kostce coś pulsowało i kłuło. Miała ochotę płakać z bólu, ale co tu mogły pomóc łyzy?

1. Chodźmy - rzekł Tysen. Nie zastanawiał się, po prostu podniósł ją i zaniósł na Wielkiego, który spokojnie skubał roślinę wyrastającą spomiędzy dwóch niewielkich kamieni.
2. Nie, nie jedz tego - powiedziała Mary Rosę i machnęła na konia. - Od tego brzuch ci spuchnie jak moja kostka. To raczej rzadki chwast w tych stronach - wyjaśniła Tysenowi - ale trujący. W zeszłym roku zdechła od tego jedna koza.

- Tysen wycofał Wielkiego i zagroził mu dostęp do kamienia.
- - Teraz, Wielki - powiedział do konia - zachowasz się jak dżentelmen. Nie wolno ci się ruszyć.
- Stał spokojnie, prychając delikatnie, kiedy Tysen włożył nogę w strzemień. Koń jeszcze nigdy nie miał na grzbiecie kobiety. Nawet Melinda Beatrice na nim nie jeździła. Tym bardziej nie wyobrażał sobie, że jego pan mógłby wsiąść na niego z kobietą.

1. Udało się - powiedział Tysen, sadzając ją bokiem. - Dobrze się pani czuje?
2. Tak - odparła Mary Rosę.
3. Proszę się mnie trzymać.

- Objęła go rękoma i przytuliła twarz do jego ramienia.
- - To trochę dziwne, ale ja wciąż nie wiem, jak się pani nazywa - powiedział Tysen, spinając Wielkiego.
- - Mary Rosę Fordyce.

1. To brzmi bardzo melodyjnie. Kim jest mężczyzna, który panią ścigał?
2. Erickson MacPhail. Kiedyś był moim przyjacielem - westchnęła. - Mojemu wujowi nie spodobałoby się, gdyby usłyszał, że nie przepadam za Ericksonem, a tym bardziej, że powiedziałam komuś, iż jest nieprzyzwoity. - Znów westchnęła. - Siedzę teraz niemal na kolanach mężczyzny i obejmuję go. Nigdy wcześniej mi się coś takiego nie przydarzyło.
3. Ja też nie jechałem jeszcze konno w objęciach kobiety - powiedział Tysen, patrząc na uszy Wielkiego i ignorując przyjemny dotyk jej włosów na twarzy. - Będziemy musieli zapomnieć o tej krótkiej, niestety niezbędnej, niewygodzie. Kim jest Erickson MacPhail?

- To nasz sąsiad. Kiedy tylko wychodzę z domu, natychmiast się zjawia. Tym razem przypadkiem się na mnie natknął, ale bywało już tak wcześniej, że celowo się na mnie zaczajał. Zresztą może teraz też widział, jak wychodziłam z domu, i czekał pod lasem. Wolałabym, żeby

mnie zostawił w spokoju.

1. Dlaczego pani ojciec lub wuj nie wyjaśnili mi, iż nie życzy sobie pani jego towarzystwa?
2. Nie mam ojca. Mieszkam z matką u rodziny wuja. Zdaje się, że mój wuj traktuje Ericksona jak syna. Uwielbia go. W mniemaniu wuja Erickson jest dzielny i *braw*, to znaczy przystojny, no wie pan, taki czarujący. Wuj nie rozumie, że nie chcę, by Erickson mi się narzucał.
3. Przykro mi z powodu pani ojca, sam swojego straciłem mając osiemnaście lat. Wciąż mi go brak. Byłem tu w Kildrummy tylko raz. To właśnie ojciec mnie tu przywiózł. Wspaniale się czułem, kiedy miałem go tylko dla siebie.

- Znów to robił. Mówił otwarcie, bez zahamowań. Jego usta po prostu wyrzucały słowa. Nic nie odpowiedziała, przytuliła się tylko mocniej do jego ramienia.
- - Już dobrze. Jesteśmy prawie na miejscu. Niech pani siedzi spokojnie. O, już Oglivie otwiera bramę.
- - Milordzie, co się stało? - zawołał Oglivie.
- Kiedy nagle usłyszał tytuł lordowski, zeszywniał; wiedział, że musi się do niego przyzwyczaić. Był przecież teraz baronem.
- - Ta młoda dama upadła.
- Tysenowi wydawało się, że Oglivie coś powiedział, ale nie zrozumiał jego słów.
- - Jeszcze tylko chwilka i położy się pani wygodnie.
- Włosy miała miękkie, pachniały morzem i sosnowym igliwem i jeszcze czymś, czego nie potrafił odgadnąć. Może różami? Wielki przejechał przez szeroką drewnianą bramę na podwórze.
- - Nie ma pani braci?
- Potrząsnęła głową.
- - Tylko wuja.
- Pomyślał, że to niesprawiedliwe. Kiedy zdał sobie sprawę, że jakiś mężczyzna za pięć lat mógłby się narzucać Meggie, rosła w nim wielka złość. Serce mu biło za szybko. Nieczęsto w życiu czuł złość. Było to coś ciemnego, pulsującego, co żyło własnym życiem. Było czarne i wstrętne. Czuł jak to okropne pulsowanie sprawia, że w środku robi mu się zimno. Spojrzał w stronę drzwi i zobaczył gosposię na schodach zamku.
- - Pani MacFardle - rzekł - jak to dobrze, że pani tu jest. Mam tu młodą damę, która wymaga pani pomocy. Zwichnęła sobie kostkę.
- Rzucił lejce Wielkiego MacNee'owi i ostrożnie zsiadł z konia, próbując nie dotykać bolącej nogi dziewczyny.

1. Może powinniśmy posłać po doktora - powiedział.
2. Mary Rosę, och, to ty? Co się stało, dziewczyno?
3. Wpadłam do szczeliny na łące.

- - Och, tam trzeba naprawdę uważać. Przeklęte rozpadliny. Wejdz do środka. Milordzie, niech ją pan postawi, ja się nią zajmę. Nie trzeba wzywać lekarza.
- Tysen zignorował gadanie gosposi i wniósł Mary Rosę do salonu. Mimo swoich pokaźnych rozmiarów, pokój wydawał się przyjemny, ciepły i bezpieczny. Na ścianach wisiało mnóstwo

obrazów, przedstawiających członków rodu Barthwicków, i wiele pięknych portretów królowej Marii Steward, która jako dziecko wyszła za księcia Francji, a jako dojrzała kobieta została święta. Położył Mary Rosę na długiej, wyściełanej złotym brokatem sofie i wyprostował się, robiąc krok do tyłu. Pani MacFardle przystąpiła do dzieła.

- - No - powiedziała - przynajmniej zdjęłaś but.
- Pochyliła się, wzięta kostkę Mary Rosę w obie dłonie i pociągnęła z całych sił. Dziewczyna krzyknęła. Tysena oburzyło postępowanie gosposi. Odsunął ją i powiedział:

1. Ja też nieźle sobie radzę ze skręceniami. Proszę mi przynieść trochę lodu i ręczniki. Przyłożymy lód do nogi.
2. Chodź ze mną do kuchni, dziewczyno, a ja okręcę ci nogę ręcznikiem z lodem i zaraz będziesz wracać do Vallance - warknęła gospodyni.
3. Tatku, co się stało? - spytała Meggie, wchodząc do salonu. - Kim jest ta pani bez buta? Och, jest ranna. Dobrze wiem, co robić. Niech się pani nie boi, nie będzie bolało. Leo zawsze sobie coś skręci albo zwichnie. Pani MacFardle, niech pani przyniesie lód, natychmiast.

- Pani MacFardle prychnęła oburzona, ale poszła, spoglądając na Mary Rosę spode łba. Tysen stał i patrzył, jak jego córka siada obok Mary Rosę. Ujmując jak najdelikatniej jej nogę, położyła ją sobie na kolanie.

1. Ale piękna opuchlizna - powiedziała Meggie. - Leo byłby zazdrosny. Leo to mój brat. Pani ma na imię Mary Rosę, prawda? To piękne imię. Ja jestem Meggie Margaret, ale to brzmi jak imię dla świętej, a tata mówi, że raczej mi się to nie przydarzy, jeśli nie zacznę gromadzić dobrych uczynków już teraz, co raczej jest mało prawdopodobne.

2. Meggie, w Kościele anglikańskim nie ma świętych, więc to raczej mało ważne.

1. Tak, tatku, wiem. To tylko metafora. Mary Rosę przyglądała się uważnie Meggie.

2. Skąd znasz to słowo? - zapytała.

- - Tata często w swoich kazaniach umieszcza metafory. Czasem, po mszy, ludzie przychodzą i pytają mnie, co one znaczą. Już lepiej? Strasznie spuchnięta ta kostka i zaczyna sinieć. Na razie jest jasnioletowa. Kazania? Mary Rosę nic z tego nie rozumiała. Może z powodu bólu w kostce źle dosłyszała słowa dziewczynki? Tysen nie wiedział, kiedy i jak Meggie to zrobiła, ale oto Mary Rosę siedziała już z kilkoma poduszkami pod nogą, a pończochę miała odpiętą i zrolowaną. Mężczyzna spojrzał na białą stopę i chrząknął:

1. Chyba nie powinienem tu stać. Później się zobaczymy.

2. Tatku, poczekaj chwilkę. Panna Mary Rosę powinna chyba dostać odrobinę brandy, zanim zacznę jej opatrywać nogę. To będzie naprawdę bolało.

- Tysen podszedł do wielkiego, mahoniowego kredensu i nalał trochę trunku do kieliszka, który wcześniej wytarł rękawem. Mary Rosę zawahała się.

1. Ostatnio wypiliśmy trochę whisky, kiedy ja i moja kuzynka chciałyśmy być niegrzeczne. Ja



miałam czternaście lat, a ona dziesięć. To ona postanowiła, że musimy się napić. Było mi tak niedobrze, że miałam ochotę umrzeć.

2. Tylko kilka łyków - powiedział Tysen. - Ja próbowałem brandy, kiedy byłem małym chłopcem. Moi bracia, Ryder i Douglas, namówili mnie, żebym wypił. Potem tarzali się ze śmiechu, kiedy zwymiotowałem wprost na krzak róży, który matka tak uwielbiała.

- - Tatku, naprawdę to zrobiłeś? Wujek Douglas i wujek Ryder byli tacy niegrzeczni?
- - Byliśmy wtedy jeszcze chłopcami. To nie jest zabawne. Sama nie musisz próbować. Jeśli Max i Leo będą chcieli cię namówić do czegoś podobnego, nie słuchaj.
- - Może to ja ich do tego namówię - odparła Meggie.
- Mary Rosę obserwowała przez chwilę córkę i ojca, a potem wypła brandy. Połknęła dość, by poczuć w brzuchu przyjemne ciepło i rozluźnić się tak, że kiedy Meggie przykładała jej łód i owijała nogę, pobladła tylko, ale nie krzyknęła.
- - Masz niezwykle ręce - powiedziała do Meggie. - Już czuję się trochę lepiej.
- Meggie spojrzała w górę i zobaczyła panią MacFardle, stojącą w drzwiach z rękoma splecionymi na piersiach.

1. Mary Rosę, mam poprosić Oglivie'a, żeby cię odwiózł do Vallance?

2. Bardzo dziękuję, pani MacFardle - odparła Mary Rosę. - Sama nie doszłabym tam w tydzień.

3. Najpierw zostanie pani na obiedzie - zarządził Tysen, obchodząc panią MacFardle dookoła. - A potem zobaczymy.

1. Tatku? - Tak, Meggie?

2. Będziesz musiał zanieść Mary Rosę do jadalni. - Tak, oczywiście. Masz rację.

- - Och, nie. Mogę przejść - powiedziała pospiesznie Mary Rosę, widząc, jak się zawahał. Najwyraźniej nie chciał się do niej zbliżyć. Próbowwała więc wstać.
- Tysen potrząsnął głową i zmarszczył brwi. Usłyszał, jak pani MacFardle prychnęła za jego plecami.

1. Boli? - spytał dziewczyny.

2. Nie, wcale - odparła.

- Meggie poszła za ojcem do jadalni, a pani MacFardle nakryła do stołu. Stała za krzesłem pana domu w swojej ulubionej postawie, z rękoma splecionymi na piersiach. Minę miała wyraźnie niezadowoloną, ale dla Meggie nie było to nic nowego. Może tym razem pani MacFardle niepokoiła się o los Mary Rosę. Meggie chciała dać jej do zrozumienia, że ojciec to święty człowiek, że nawet nie pomyślałby o zrobieniu czegoś nieprzyzwoitego, zwłaszcza z damą, która jest ranna. Tysen posadził Mary Rosę delikatnie na krześle, a potem wolniutko przysunął je do stołu. Po chwili sam usiadł i zmówił modlitwę.
- - Tato jest pastorem - Meggie zwróciła się do Mary Rosę rzeczowym tonem. - W domu nazywają go pastorem Sherbrooke. Jest wielkim oratorem i twórcą pięknych kazań. Jest również wielce uczony, chociaż mój brat Max twierdzi, że po łacinie czyta lepiej niż tata.

- Pastor? Mary Rosę spojrzała na pięknego mężczyznę, który siedział na najważniejszym miejscu przy stole. Znała tylko dwóch pastorów. Obaj byli starzy i dziwnie pachnieli, jeden cedrem, a drugi gałką muszkatołową. A ten człowiek pachniał świeżością i ciepłem.
- - Moja córka przesadza - powiedział spokojnie Tysen i uśmiechnął się. - Och, Meggie - dodał. - Zapomniałaś wspomnieć o moich bogatych metaforach. Tak bogatych, że wielu ludzi z mojej kongregacji nie wie, o czym mówię w kazaniach. Będę musiał to przemyśleć.
- Meggie zachichotała.
- - Tylko kilka osób ma odwagę się przyznać, że nie rozumie twoich kazań, tatusiu.
- Tysen podał Mary Rosę miskę i zapytał:

1. Chciałaby pani może trochę zupy? Nie mam pojęcia, co to jest, ale pachnie całkiem ładnie.
2. To rosół z porami - rzekła Mary Rosę, wpatrując się w niego. Odetchnęła głęboko i zapytała: - Naprawdę jest pan pastorem?

- Skinął nieznacznie głową i patrzył, jak pani MacFardle nalewa jej zupę do miski.
- - To rosół z kurczaka z porami i dużą ilością pieprzu. Można po tym kichnąć, ale smakuje wyśmienicie.
- Oskarżyła go o nieczne zamiary, porównała do Ericksona MacPhaila...

1. Tak mi przykro - powiedziała, kiedy pani Mac - Fardle nalewała mu zupę.
2. Dlaczego? - zapytała Meggie.

- ~ Byłam trochę niegrzeczna dla twojego ojca. Myślałam, że jest nieprzyzwoity, jak większość mężczyzn.

1. Tatko? - Meggie spojrzała na ojca i uśmiechnęła się. - Jak ktoś mógłby myśleć, że tata jest złym człowiekiem? Mój Boże. Problem w tym, że tatko jest za dobry, zbyt sprawiedliwy i porządny...
2. Meggie - przerwał jej Tysen, kierując w jej stronę łyżkę - już dość. Spróbuj dania, które podaje ci pani MacFardle.

- Mary Rosę uśmiechnęła się.
- - To angielska potrawa, ziemniaki ugotowane do miękkości i suto polane masłem.
- - Tak - powiedziała pani MacFardle - dużo masła. Podobno Anglicy lubią proste jedzenie, a my chcemy, żeby pan dużo jadł i był zdrowy, milordzie. Zbyt wielu spadkobierców Barthwick zmarło. Nie chcemy, żeby pan też odszedł. Jak pan się przekreśli, to co będzie z nami, biedakami?
- - Dziękuję, pani MacFardle. Raczej prędko do nich nie dołączę. Obiad był wyśmienity.
- Pani MacFardle odwróciła się w stronę Mary Rosę. Kiedy spoglądała spode łba na Tysena i Meggie, w jej oczach widać było pewien bunt, ale patrząc na Mary Rosę, jawnie okazywała niechęć.
- - Już dość zjadłaś, dziewczyno. Oglivie odwiezie cię do Vallance - rzekła wyniośle.
- Tysena oburzyło niegrzeczne zachowanie gosposi. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Mary Rosę go ubiegła: - Jestem już gotowa, pani MacFardle.



## ROZDZIAŁ 6

- Tysen siedział w fotelu za dębowym biurkiem w ciemnym, dusznym gabinecie pełnym książek. Kiedy po raz pierwszy otworzył drzwi tego pokoju, zamarł na widok aż tylu woluminów. Potem się okazało, że wiele z nich nie ma nawet przeciętych kartek. Barthwickowie nie lubili dużo czytać. Ale teraz to były jego książki. Zatarł ręce i wziął „Iliadę” Homera, księgę tak starą, że skóra okładki popękała w wielu miejscach. Pomyślał, że musi zlecić przejrzanie wszystkich tytułów i posmarowanie oliwą każdej okładki z osobna. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy minę Maksa, gdy zobaczy na własne oczy te zbiory. Tysen wyobraził sobie, jak syn ostrożnie przecina kartki nieczytanych jeszcze książek i wygładza je dłonią. Do pokoju zajrzała Meggie. Tysen wstał.

1. Co chciałaś, córeczko? - zapytał, uśmiechając się do niej.
2. Uśmiechasz się, tatku, to bardzo dobrze. Nie chciałam ci przeszkadzać, ale zastanawiałam się, dlaczego pani MacFardle była taka nieuprzejma dla Mary Rosę.
3. Doskonałe pytanie, ale niestety nie znam na nie odpowiedzi. Przynajmniej upewniliśmy się, że Mary Rosę odjechała do domu powozem. Oglivie powiedział, że podwiózł ją pod same drzwi Vallance.
4. Ma takie rude, kręcone włosy, zupełnie jak ciotka Alex.
5. Tak, to prawda.

- Jej włosy pachniały różami, pomyślał i nieświadomie westchnął, ale tym razem do jego nozdrzy wdarł się duszny zapach biblioteki, zbyt długo zamkniętej na klucz. Potrząsnął głową.
- - Te przekłete rachunki. Potrzebuję pomocy. Wiem, że pan MacCray mówił mi, kto jest zarządcą majątku, ale nie pamiętam jego nazwiska.

1. Nazywa się MacNeily. Zmarła mu matka i musiał jechać do Inverness, żeby wszystkiego dopilnować. Wróci za trzy, cztery dni.
2. Meggie, skąd to wszystko wiesz?
3. Byłam w stajni, sprawdzałam, czy dobrze tu dbają o Wielkiego i słyszałam, jak rozmawiają o tym MacNee i Ardle. Wesz przecież, że służba zawsze wie o wszystkim. Kiedy dałam im trochę migdałów w cukrze, które miałam od ciotki Sinjun, powiedzieli mi, jak stary baron chciał spalić zamek Kildrummy po śmierci lana, ale służba mu na to nie pozwoliła. Mówili, że Poudier rzucił się na pana i przygniótł go do podłogi, póki nie nadbiegła reszta służby.
4. Poudier? Raczej trudno mi to sobie wyobrazić. Poudier nie zdołałby chyba nawet zabić ospałej muchy. Oczywiście, stary Tyronne miał osiemdziesiąt siedem lat, ale Poudier nie jest wiele młodszy.
5. Zapytam o to Poudiera - powiedziała z uśmiechem Meggie. - To dopiero musiał być widok.
6. Rozpacz starego Tyronne'a jest całkowicie zrozumiała - rzekł Tysen. - Szkoda tylko, że umarł w rozpacz po stracie wnuka.

7. Och, nie, nie o to mu chodziło. Przynajmniej tak mówili MacNee i Ardle. Podobno był wściekły na pannę Donnatellę, bo nie chciała za niego wyjść.

- Wrzeszczał, że jeszcze mógł jej spłodzić chłopaka i że jest samolubna. Nie zauważył chyba różnicy wieku. Twierdził, że zrobił, co mógł, żeby zapewnić Kildrummy następcę, ale Bóg o nim zapomniał, więc postanowił podpalić zamek, żeby pójść do piekła.

1. Donnatella to chyba kuzynka Mary Rosę.

2. I jest chyba niebrzydka, bo wydawało mi, że MacNee sam chętnie by się do niej umizgiwał. Trzeba przyznać, że to przystojny mężczyzna.

3. Meggie, bądź tak dobra i nie poruszaj takich kwestii, dobrze?

4. Ja tylko słuchałam, co mówią, tatku.

5. Pamiętam, że stary Tyronne nie był porywczym człowiekiem - powiedział Tysen, zmieniając temat. - Tylko że wtedy miał więcej dziedziców w kolejce niż jakikolwiek inny właściciel ziemski.

- Chciał się dowiedzieć jeszcze czegoś więcej, ale był pastorem i nie wypadało mu słuchać plotek. Mimo to jego urocza córka mówiła dalej:

- - Mary Rosę i jej matka mieszkają z Donnatella. Matka Mary Rosę jest szalona. Była taka od zawsze. Najwyraźniej Donnatella jest bardzo ładna i miła. Jest rozpieszczona, ale ze względu na jej urodę nikt nie ma nic przeciwko temu, że czasem miewa jakiś kaprys.

- Tysen patrzył na nią jak zaczarowany. Jej źródła informacji zawsze go zadziwiały. Dowiedziała się tego wszystkiego rozdalając służbie słodycze.

1. Donnatella jest młodsza od Mary Rosę - powiedział w końcu. - Tyronne miał dobrze po osiemdziesiątce i naprawdę spodziewał się, że taka dziewczyna wyjdzie za niego za męża?

- Właśnie - powiedziała Meggie i rozejrzała się po pokoju, wciągając głośno nosem powietrze. - Ardle powiedział, że lord Barthwick stwierdził, iż Donnatella ma najpiękniejsze biodra w całej Szkocji i na pewno będzie mogła urodzić mu jeszcze kilku potomków. Powiedział też, że lord Barthwick miał więcej pewności siebie niż rozumu. Tatku, chyba powinieneś otworzyć okno. Straszny tu zaduch.

1. Masz rację - przyznał Tysen, zastanawiając się, czy nie powinien powiedzieć teraz czegoś Meggie na temat kobiecych bioder i rodzenia dzieci, ale nie mógł się do tego zmusić. Podeszedł więc do ciężkich, aksamitnych zasłon i odsunął je szybkim ruchem. W powietrze wzbily się kłęby kurzu i Tysen zaczął kichać. Dobrą chwilę zajęło mu otwarcie wielkich drzwi na taras. W końcu rozchyliły się z piskiem i jękiem, i ojciec z córką spoglądali teraz na niewielki ogródek, mniejszy niż pokój, w którym się znajdowali. Ogród był całkowicie zarośnięty dzikimi różami, bluszczem, cisami, narcyzami i krzewami różanecznika. Wszystko splatało się razem i niszczyło nawzajem, walcząc o dostęp do słońca.

2. Myślałem, że ten zamek zbudowano na planie kwadratu z wewnętrznym podwórzem - powiedział Tysen i wyszedł na obrosnięte mchem kamienie ułożone na kształt tarasu. Odwrócił się i spojrzał w stronę murów. - Ach, już rozumiem. Biblioteki nie rozbudowano po to, by

wygospodarować tutaj ten ogród. Wychodzi na morze. Oczywiście. Tu właśnie powinien być ogród. Szkoda, że tak zdziczał. Ciekawe, ile lat nikt nie otwierał tych drzwi. Pewnie nikt nie był tu od tak dawna, jak ty żyjesz na tej ziemi - powiedział z uśmiechem.

- Dla Meggie oznaczało to, że ojciec już się na nią nie gniewa. Poczowała wielką ulgę. Pomyślała, że odkąd tu przyjechał, uśmiechał się o wiele częściej, niż mu się to zdarzyło przez miesiąc w Anglii. - Sporo tu ukrytych w głębi kwiatów - powiedziała, spoglądając na splątane gałęzie i zarośla. - Może uda mi sięje stąd wykopać, uporządkować i posadzić wokół zamku. Co o tym sądzisz, tatku?
  - - Przypominasz mi twoją ciotkę Al ex. Kiedy chodzi po ogrodzie w Northcliffe, wszystko wokół, krzaki, drzewa, kwiaty, wszystko ją zajmuje. Douglas mówi, że jej kwiaty są bardziej posłuszne, niż kiedykolwiek byli jego ludzie.
  - Meggie już zacierała ręce.
1. Zaczę dziś po południu. Napiszę do ciotki Alex i poproszę ją o radę. Och, tak, tatku, MacNee powiedział mi o kuzynce lorda Barthwicka, pani Griffin. To straszna osoba. Ona i jej mąż mieszkają w Edynburgu, ale podobno przed śmiercią starego lorda spędzali tu większość czasu. MacNee mówił, że to stara zrzędliva jędza i zachowuje się jak dragon. Co to właściwie znaczy?
  2. To znaczy, że nie jest miłą osobą - wyjaśnił Tysen.
    - Proszę, Panie w Niebiosach, niech ta kobieta tu nie przyjeżdża, pomyślał.
    - - Więc MacNee powiedział, że wszyscy się modlą, żeby tu nie przyjeżdżała przez następnych dziesięć lat.
    - Tysen z całego serca przyłączył się do tej modlitwy.
    - - Donald MacCray nic mi o niej nie mówił - powiedział. - Ciekawe dlaczego?
    - Meggie tylko wzruszyła ramionami.
    - - Och, pani MacFardle prosiła, żebym ci przekazała, że jest wiadomość od sir Lyona Vallance'a. On i jego rodzina chcą nas odwiedzić jutro o trzeciej.
    - Tysen był zadowolony. Miał zamiar porozmawiać z tym człowiekiem o tym, że powinien chronić swoją siostrzenicę przed ludźmi takimi jak Erickson MacPhail.
    - 
    - Tysen skinął głową na powitanie sir Lyona Vallance'a, wysokiego mężczyzny o poczerwieniałych policzkach. Kiedyś musiał być przystojny, teraz zaczynał tyć. Był już w średnim wieku, ale wydawał się wesoły i rubaszny. Ścisnął mocno dłoń Tysena w swojej wielkiej łapie. Był łysy, z wyjątkiem wianuszka szarych włosów nad uszami i karkiem. Rozejrzał się po salonie z przyjemnością i westchnął zadowolony. Tysen uśmiechnął się pobłaźliwie. Nie winił sir Lyona za to, że mu się tu podobało. Sam lubił ten przytulny pokój, mimo że nie zmienił jeszcze tapet, mebli i zasłon. Postanowił jednak wkrótce o to zadbać. Jeśli zaś chodziło o żonę Lyona, lady Margaret, była przystojną kobietą o szerokich biodrach, pięknie odzianą i prawie równie wysoką, jak jej małżonek. Jej ciemne oczy zdradzały inteligencję. Co dziwne, lady Margaret przyglądała się ścianom salonu z obrzydzeniem. Za to ich jedyna córka, Donnatella, obserwowała Tysena w sposób nazbyt śmiały. Najwyraźniej oczekiwała, że Tysen westchnie ciężko, zbyt długo przytrzyma jej delikatną dłoń, spojrzy na nią namiętnie, czy też w

inny sposób okaże, że całkowicie poddał się już jej urokowi. Zachowywała się jak Mellisanda, siostra Alex, która, prawdę rzekłszy, była kobietą znacznie piękniejszą niż Donnatella Vallance. Ale po tym, co Meggie powiedziała mu o kuzynce Mary Rosę, Tysen wątpił, by kiedykolwiek spojrzął na nią więcej niż grzecznie.

1. Cieszę się, że mogę poznać moich sąsiadów - powiedział, kiedy wszyscy siedzieli przy herbacie. - Mam nadzieję, że Mary Rosę już mniej cierpi z powodu nogi.

2. Z powodu czego? - zapytała zdziwiona lady Margaret.

1. Nogi, milady, a właściwie kostki - powiedział Tysen i upił łyk herbaty.

2. Ach, tak - odezwała się Donnatella.

- Usiadła przodem do niego i pochylając się, udostępniła mu widok swojego dekoltu, który zresztą był bardzo ładny. Prawie tak ładny, pomyślał Tysen, jak dekolt pani Drakemore. Ta wdowa z kongregacji Tysena również starała się, by pastor często widział jej dekolt. Jeśli miał być szczery, musiał przyznać, że na - oglądał się wielu damskich dekoltów od kiedy zmarła Melinda Beatrice, czyli przez sześć lat. Donnatella zaczęła obdarzać go uśmiechem, najdelikatniej mówiąc, zachęcającym.

- - Nie pamiętasz, mamó? - zwróciła się do lady Margaret. - Mary Rosę mówiła, że wpadła w szczelinę na łące. Zwichnęła kostkę.

- Lady Margaret najwyraźniej nie pamiętała o wypadku.

1. Powinna była bardziej uważać - stwierdziła tylko i obdarzyła Tysena badawczym spojrzeniem. - Na pewno z chęcią przyjedzie pan do posiadłości Vallance na kolację. Może w piątek wieczorem? Tylko pan i rodzina, milordzie. Lepiej się poznamy.

2. Z miłą chęcią - odparł Tysen.

3. Chętnie oprowadzę pana po okolicy jutro rano, milordzie - zaproponowała Donnatella. - Przyjadę o dziewiątej.

4. Jeździłem już na południe i na zachód - rzekł Tysen. - Teraz chętnie pojedę na północ, może do Southheaven. Byłem w tym mieście jako dziesięciolatek. Odwiedzałem wtedy z ojcem mego wuja.

- Podał tacę z ciasteczkami roboty pani MacFardle.

- - W Barthwick od dawna nie było pani domu - zauważyła lady Margaret tak głośno, że nawet głuchy by ją usłyszał. - Zbyt długo.

- - Z tego, co wiem, nie było tu pani i gospodyni dłużej niż ja żyję na tym świecie.

- Sir Lyon zadławił się herbatą.

1. Odrobina dobrego humoru. To czarujące, nie sądzisz, moja droga?

2. Dobry humor jest potrzebny tylko wtedy, gdy pomaga, a nie przeszkadza w doprowadzeniu rozmowy do celu - odparła lady Margaret. - Te meble... są stare i niemodne. Pora, by kobieta zajęła się takimi sprawami, zwłaszcza taka, która może polegać na opinii innej, znacznie bardziej doświadczonej kobiety. Mam na myśli matkę.

- Tego właśnie obawia! się Tysen. Lady Margaret, po dziesięciu minutach zdawkowej rozmowy, postanowiła ofiarować mu swoją córkę na żonę bez żadnych zastrzeżeń. Ale dlaczego? Barthwick to ładny majątek, a Donnatella na pewno mogłaby sobie znaleźć znacznie bardziej zamożnego dżentelmena gdzieś w okolicy. On nie miał zamiaru wiązać się z żadną młodą damą. Nie potrzebował i nie chciał mieć żony. Jego dzieci nie potrzebowały i nie chciały macochy. Jego wierni chyba odetchnęli z ulgą, kiedy Melinda Beatrice odeszła z tego świata. Nie, może nie odetchnęli. W końcu Melinda Beatrice zawsze się o nich troszczyła. W rzeczy samej, podpowiadała mu, czyją duszą należy się natychmiast zająć i jak to uczynić. Problem był tylko z tym, że kiedy ich interesy nie były zgodne z jej założeniami, Melinda Beatrice potrafiła zrobić wszystko, by wystraszyć tych ludzi na dobre. Potrząsnął głową. To nielojalne, niegodne myśli pastora. Sięgnął do tacy z ciasteczkami. Wybrał jedno i poczuł w nozdrzach rozkoszny zapach. Nie minęło dziesięć minut od wyjazdu Vallance'ów, a Meggie już znalazła się obok niego.

1. Pani MacFardle mówi, że Donnatella jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką wydała ta ziemia.
2. To brzmi trochę tak, jakby mówiła o dyni. Ale owszem, jest ładna. To prawda - uśmiechnął się Tysen.

- Wzruszył ramionami. Może kiedy pojedzie na kolację do Vallance, będzie wreszcie miał okazję porozmawiać z sir Lyonem na temat Ericksona MacPhaila. Miał nadzieję, że noga Mary Rosę zagoi się do tej pory. Tego wieczoru Tysen i Meggie stali razem na Łysej Skale i patrzyli na morze. Morświny nurkowały i wypływały. Wszędzie rozlegał się odgłos ich nawoływania. Ostrygojady czerwone uwijały się w wodzie, poszukując ławic śledzi, które polujące morświny zmuszały do wypłynięcia tuż pod powierzchnię tafli. Plaża pod nimi pokryta była dużymi, okrągłymi kamieniami. Tysen nie wyobrażał sobie nawet, ile czasu i przyływów potrzeba było do wygładzenia tych wszystkich kamieni. Niebezpiecznie było chodzić po tak kamienistej plaży. Wodorosty leżały splątane wokół kamieni lub wysychały na ich wierzchołkach.

- - Chciałabyś dziś znów spać w mojej sypialni, Meggie?
- Potrząsnęła głową, wpatrując się w maleńkiego morświna, który nurkował jak szalony obok matki.
- - Nic mi nie będzie, tatku. Niechętnie się do tego przyznaję, ale to ta burza mnie tak wystraszyła. Dzisiaj jest spokojnie. Nie będę się bała.
- Tysen nabrał w płuca ciepłego, świeżego, wieczornego powietrza. Wszystko tu było niezwykle. Ani razu nawet nie pomyślał o napisaniu jakiegoś kazania, co jak na niego było dość dziwne. Nagle Tysen zobaczył mężczyznę jadącego konno w ich stronę. Znów sąsiad? Kiedy mężczyzna podjechał, Tysen wyprostował się. To był Erickson MacPhail. Nie było najmniejszych wątpliwości. Arogancja i pewność siebie, które wprost emanowały z tego człowieka, wyraźnie wskazywały, że brał, co chciał i nie zastanawiał się nad konsekwencjami czy pragnieniami tych, którzy weszli mu w drogę. Tysen wziął Meggie za rękę i stał, czekając aż mężczyzna zsiądzie z konia i podejdzie bliżej.

1. Podobno zamek ma nowego właściciela, z Anglii - zawołał, idąc w ich stronę i od czasu do czasu stukając szpicrutą w cholewę wysokiego buta do konnej jazdy. Zauważył Meggie. - Nie słyszałem jednak - powiedział wolno, z rozmysłem i butnie - że Anglik ma córkę.



2. Jestem lord Barthwick - rzekł Tysen, zaskoczony oficjalnym tonem własnego głosu i nutką arogancji, jaką w nim usłyszał. - To moja córka, Meggie.
3. Jestem Erickson MacPhail, lord MacPhail z majątku Hyson. Miło mi pana poznać, milordzie, i ciebie, mała panienko. - Ukłonił się obojgu, wyprostował i spojrzał na wodę. - To moje ulubione miejsce na spacer i oglądanie morza wieczorem - powiedział. - Jest tu tyle morświnów. Kiedy byłem chłopcem, pływałem tu razem z nimi.
4. Naprawdę? - Meggie podeszła do nieznanego. - Naprawdę pan z nimi pływał? I co? Nie zatrzymały pana pod wodą?

- Erickson MacPhail uśmiechnął się do niej czarująco, przyjaźnie i szczerze.
- - Och, nie. Morświny to najbardziej przyjazne istoty pod słońcem. Chętnie pływają z ludźmi, lubią się bawić i chlapać.
- - Och, tatusiu - powiedziała Meggie, odwracając się do ojca z lśnącymi oczyma - tak bym chciała popływać. Możemy? Na przykład jutro, jeśli będzie ciepło i słonecznie?
- - Tu woda jest zawsze zimna - powiedział Erickson, uśmiechając się do Tysena. - Nie można w niej przebywać za długo, bo człowiek się robi siny.

1. Dziesięć minut, tatusiu? Nauczyłeś mnie pływać. Nie może tu być zimniej niż w kanale, prawda?
2. Możliwe, że tak - odparł Tysen i poczuł, jak rozkwita w nim spontaniczne uczucie szczęścia. - Pływanie z morświnami - rzekł. - To mogłoby mi się spodobać.
3. Zobaczyłem tu pana, stojącego na plaży i pomyślałem, że musi pan być nowym baronem.
4. Tak - odparł swobodnie Tysen, oglądając uważnie człowieka, który próbował złapać i dość bezceremonialnie potraktować Mary Rosę. Co za człowiek, potrafi jednocześnie pływać z morświnami i zniewolić młodą damę?

- Był dobrze zbudowany, przystojny. Jak mógł być jednocześnie człowiekiem pozbawionym honoru?
- - Meggie, zjeżdż na dół po skarpie i sprawdź, jaka jest woda.
- Meggie podekscytowana zbiegła w dół.
- - Uwważaj! - krzyknął za nią Erickson MacPhail. - Można sobie łatwo coś zrobić na tej stromiźnie.
- Meggie pomachała mu, ale nie zwolniła.
- - Jest pan Anglikiem? Wszyscy już o panu słyszeli. Chciałem pana zobaczyć na własne oczy - powiedział MacPhail, nie spuszczać dziewczynki z oczu.
- Tysen także obserwował Meggie. Dziewczyna zaczepiła o coś suknią, więc podciągnęła ją wyżej i szła dalej, śmiejąc się wdzięcznie na cały głos.
- - Jestem zwykłym człowiekiem - odparł i popatrzył na MacPhaila.
- Tak, Erickson MacPhail był przystojny i bardzo elegancki, ale w jego twarzy dało się zauważyć pewien rodzaj niezadowolenia, skrzywienie ust, sugerujące frustrację lub znudzenie. Ale dlaczego?

1. Pochodzę z południowej Anglii, z okolic Eastbourne, z małej miejscowości o nazwie Glenclose - on - Rowan - dodał Tysen.

2. Podróżowałem po całej Anglii. Brighton jest uroczym miejscem, Eastbourne zresztą też. Pochodzi pan z rodu Sherbrooke? Pański najstarszy brat jest hrabią Northcliffe?
  3. Tak, to prawda.
  4. Pamiętam, jak szedłem po polu bitwy pod Hastings. To było wzruszające doświadczenie, miejsce szczególnie uduchowione, ale to nie Szkocja. Nie ma miejsca na świecie piękniejszego i bogatszego we wspaniałe legendy.
  5. Tak, tu jest naprawdę cudownie - przyznał Tysen. - Wczoraj poznałem Mary Rosę Fordyce.
  6. Tak? Ja też ją wczoraj widziałem. Wyjeżdżałem właśnie z lasu. Chyba pana obserwowała. Tak mi mówiła. Ona lubi podglądać ludzi, to dziwaczka. Na podstawie tego, co widzi, wymyśla sobie o każdym jakieś niestworzone historie.
  7. Zraniła się w nogę.
- Mężczyzna zeszywniał, a w jego ciemnych oczach pojawiła się obawa. Tysena zaciekawiała jego reakcja.

1. Coś się stało? Jest poważnie ranna?
2. Tylko zwichnęła kostkę. Właściwie wzięła mnie za pana i myślała, że ją gonię. Biegła ile sił w nogach, ale potknęła się i wpadła w jedną z tych rozpadlin w ziemi, zabójcę owiec.
3. Mary Rosę nie ma powodu, by się mnie obawiać - rzekł Erickson MacPhail, a w jego głosie słychać było złość i frustrację. - Zostawiłem ją. Nie ma między nami złości. Chyba ją pan źle zrozumiał, milordzie.

- Nie sędzę - odparł Tysen. - Powiedziała, że źle ją pan potraktował, że czasem pan na nią czeka pod lasem, żeby zaatakować zniecka. Podobno robił pan to już wiele razy. Zapytałem, dlaczego nie broni jej przed panem ojciec, ale wyjaśniła, że ojciec nie żyje. Poznałem jej wuja, sir Lyona Vallance'a.

1. To znany człowiek w tych stronach. Był kiedyś, jako młodzieniec, pełen energii, ale teraz, kiedy ma się do czegoś zabrać, zdecydowanie za długo się ociąga. Kiedy coś trzeba zrobić, zwykle zwała to na innych. Nie miałem zamiaru zrobić Mary Rosę krzywdy. To nonsens.
2. Ona uważa, że pan próbował.
3. Więc poprosiła pana, obcego, na dodatek Anglika, żeby jej bronił? - zapytał z wyraźnie słyszalnym politowaniem w głosie.
4. Nie, sam postanowiłem z panem o tym porozmawiać. To młoda dama. Nie powinna się niepokoić, że jakiś mężczyzna zrobi jej krzywdę - powiedział Tysen chłodno i stanowczo, choć nie był przyzwyczajony do tego typu rozmów. - Czy miał pan zamiar ją zniewolić?
5. To mocne słowa, milordzie, naprawdę mocne. Jest pan tu obcy. Nie jest pan Szkotem. Nic pan o nas nie wie. Jednak nie mam zamiaru się na pana obrażać. Nie dam panu przy córce w twarz. Pańskie obraźliwe słowa są wynikiem nieporozumienia. - Uśmiechnął się. - Uważa pan Mary Rosę za damę?

- Erickson MacPhail odchylił do tyłu głowę i zaśmiał się głośno, zagłuszając krzyżące im nad głowami mewy. Potem pomachał Meggie, zawrócił konia, dosiadł go jednym zwinnym ruchem i zawołał:

- - Niedługo się spotkamy, milordzie! I pogalopował przed siebie.
- Słońce już zaszło i zrobiło się chłodno. Zaczęło wiać od strony morza. Tysen zawołał Meggie i patrzył, jak córka macha do niego, a potem wspina się z powrotem po kamieniach. Przez dwie ostatnie noce padał ulewny deszcz. Meggie z przekonaniem powiedziała, że dziś będzie ładna pogoda; a może po prostu znów rozdała trochę migdałów w cukrze i dowiedziała się od służby, że zapowiada się spokojna noc. Nie zdziwiłby się, gdyby jego córka tak właśnie postąpiła. Westchnął. Nie rozumiał, co zaszło między Mary Rosę i Ericksonem MacPhailem. Wiedział, że nie powinien mieszać się w sprawy sąsiadów, ale był przy niej i widział jej strach. Nie miał wyjścia, musiał jej bronić. Dlaczego w ogóle MacPhail tędy przejeżdżał?

## ROZDZIAŁ 7

- Donnatella Vallance przybyła do zamku dokładnie w tej samej chwili, kiedy przez bramę na wewnętrzne podwórze zajechał stary powóz. Tysen usłyszał głos Oglivie'ego i jeszcze głośniejszy, rozkazujący głos kobiety.
1. A niech to. Pan i pani Griffin przyjechali z Edynburga. Miałam nadzieję, że nie nawiedzą pana tak szybko. Pani Griffin wcale nie była zadowolona, kiedy ogłoszono, iż został pan baronem. Ojej. Idzie ta wiedźma. Powodzenia.
  2. A pan Griffin? - zapytał Tysen.
  3. Pan Griffin, o ile mi wiadomo, nigdy nie wyraził żadnej opinii.
  4. Cóż to powiedziałaś o panu Grimnie, ty impertynencka plotkarko? Milordzie, jestem pani Griffin i proszę, żeby pan mówił ze mną.
- Tysen wpatrywał się w damę, która kroczyła w jego stronę jak major królewskiej armii, odziana w surową czerń, machając czarną laską ze złotym gryfem na gałce. Głos miała niski i szorstki, jak mężczyzna.
  - - Jestem Tysen Sherbrooke, lord Barthwick. Jest pani kuzynką zmarłego lorda Barthwicka? Dobrze mnie poinformowano? Możliwe więc, że jesteśmy spokrewnieni.
  - Miała cienki, czarny wąsik nad górną wargą i gęste czarne włosy skręcone w kok na czubku głowy. Przypominała mityczną Meduzę.
1. Spokrewniona z panem? Dobry Boże, nie! Nie ma w moich żyłach ani odrobiny angielskiej krwi. No, może kropelka, ale nie więcej. Na więcej nie mogłabym sobie pozwolić. Nie, proszę pana, jestem Szkotką do szpiku kości. Ale pan nie jest Szkotem. To wielka szkoda, a właściwie więcej, to wielka katastrofa. Niestety Bóg pokarał nas za jakiś nieznany nam grzech i posłał wszystkich potomków barona do grobu. Co tutaj robisz, Donnatello?
  2. Mam oprowadzić jego lordowską mość po okolicy. Przyjechałam tu przed panią - rzekła Donnatella, odwracając się do Tysena i obdarzając go ciepłym uśmiechem. - Tak więc dzień dobry, milordzie. Niezwykle miło jest pana znów widzieć. Jest pan gotów na przejażdżkę?
- Tysen zaczął się zastanawiać, czy pani Griffin miała jakieś imię, ale nie zapytał, bo dama roześmiała się i powiedziała:
  - - Ha! Założę się o ostatni szeląg, że to nie wycieczka po okolicy jest twoim celem, Donnatello. Przyjechałaś tu, żeby flirtować z tym biedakiem. Chociaż on właściwie nie jest biedakiem, bo przecież odziedziczył zamek Kildrummy, a Bóg jeden wie, że na niego nie zasłużył.
  - To prawda, pomyślał Tysen. Pani Griffin odwróciła się do Tysena i spojrzała na niego, jakby chciała dać mu wyraźnie do zrozumienia, jak wiele mu brakuje do doskonałości.
  - - Nie ma pan zapewne najmniejszej szansy, milordzie. Donnatella jest młoda, ale sprytna jak

na kobietę. Hmm... Jest Szkotką i to chyba jedyna dobra rzecz, jaka wyniknie z tej kabały. Sama wyszłabym za Tyronne'a, ale byłam za stara, by urodzić mu dziedzica, a poza tym jest jeszcze pan Griffin. Szkoda, ale zobaczymy, co z tego wszystkiego wyniknie.

- Tysen spojrział za panią Griffin, na bardzo wysokiego, bardzo szczupłego, siwego dżentelmena, elegancko odzianego. Opierał się o drzwi powozu, nic nie mówiąc.
- - Witam pana - skinął do niego Tysen.
- Pan Griffin odpowiedział mu ukłonem, podszedł do nich i stanął tuż za plecami żony.

1. Milordzie, jesteście. Powróciliśmy tu tak, jak sobie kiedyś przyrzekliśmy. Poznał już pan moją czarującą żonę?

2. Owszem, poznał - pani Griffin wpadła mu w słowo - a ja wciąż stoję przed drzwiami i wcale nie chciałam tu przyjeżdżać. No, gdzie jest pani MacFardle?

- Tysen nie mógł wykrztusić ani słowa. Nic nie przychodziło mu do głowy. Stał tylko i gapił się na wysoką kobietę, która mogłaby być jego matką. Modlił się, by ani pan, ani pani Griffin nie pozostali tu długo. Przyglądał się stanowczej damie, póki nie weszła przez frontowe drzwi do zaniku. Teraz pani MacFardle była już u jej boku. Pan Griffin dreptał tuż za żoną. - Ona ma obsesję na punkcie Kildrummy- powiedziała spokojnie Donnatella, poprawiając maleńki, czarujący kapelusik ozdobiony granatowym strusim piórem, które okalało jej policzek. - Niech pan się nie denerwuje, milordzie, bo ani pani, ani pan Griffin nie mieszkają tu na stałe, dzięki Bogu. Najwyraźniej ona postanowiła poznać osobiście nowego pana na zaniku. Pewnie nie zostanie tu zbyt długo. Nie znosi morskiego powietrza. Twierdzi, że od tego puchnie jej nos. Ja uważam, że nos jej puchnie, bo za dużo pije tej swojej szmuglowanej, francuskiej brandy. Pan Griffin za to wcale nie pije. On tylko stoi, splata ręce na piersiach i gapi się na wszystkich. Bardzo panu współczuję z powodu ich wizyty. Donnatella delikatnie dotknęła jego ramienia.
- - Chciałby pan już jechać?
- Tysen spoglądał za parą wchodzącą do zaniku. Zastanawiał się, jakie ma obowiązki wobec tej części rodziny. Donnatella zaśmiała się.

1. Niech się pan nie martwi, milordzie. Naprawdę, ona będzie przez jakiś czas czuła się tu zbyt swobodnie nawet w pana obecności, ale tak naprawdę jest zupełnie niegroźna.

2. Z co ze szczegółami?

3. No cóż, nie spodoba się panu to, co powiem. Będzie wszystkimi pomiatała. Ona i pani MacFardle to prawdziwe papużki nierozłączki. Są jak siostry, tak zresztą mówi o nich moja matka. Poza tym pani Griffin jest bogata. Jej mąż ma pod Edynburgiem hutę żelaza.

- Tak więc Tysen postanowił nie martwić się swoimi gośćmi, przynajmniej do powrotu do zaniku. Teraz miał przed sobą przyjemną wycieczkę. Donnatella oprowadziła go po wsi, byli w Stoneheaven, które nie zmieniło się od czasów, kiedy zwiedzał je jako chłopiec. Wszystkie domy wciąż były ciemne, trochę straszne, upchnięte między wysoki, samotny klif i morze. - Tysen miał wrażenie, że objechał każde wzgórze, widział każde drzewo, rozmawiał z każdym rzemieślnikiem. Na koniec zatrzymali się na klifie, który jakby oberwany przez morze wbijał się w nie. Znajdował się jakieś dwie mile na północny zachód od posiadłości Vallance. Donnatella zsiadła z konia, podeszła do brzegu urwiska i spojrzała w dół. Potem obejrzała się za siebie i

zawołała: - Niech pan przyjdzie, milordzie. To tutaj Ian spadł i się zabił. Złamał kark, kiedy uderzył o skały na dole. Widzi pan? Ledwie widać wierzchołki skał, bo teraz jest przypyływ. Nie ma tu żadnej ścieżki, więc niełatwo było zabrać Iana ze skał, żeby go pochować. Stary Tyrone dopilnował wszystkiego. Tysen podszedł do niej powoli. Przypomniawszy sobie Iana. Był taki młody i silny. Jako chłopiec często się śmiał i bardzo lubił psocić. A teraz zginął nim dożył trzydziestego roku życia. Ostatni z rodu. Był ostatnią nadzieją starego Tyrone'a, ostatnim wnukiem. Był również ostatnią nadzieją pana i pani Griffin, jak podejrzewał Tysen. Na szczęście Donnatella Vallance przez cały czas w ogóle z nim nie flirtowała, a przynajmniej tak mu się wydawało. Po prostu pokazywała mu okolicę. Wielki prychnął już i rzucał głową w górę i w dół. Był zmęczony. Tysen spoglądał na ostre krawędzie skał, ledwie wystające z nad obmywającej je spienionej wody.

- - Donald MacCray, prawnik z Edynburga, napisał mi, że Ian był pijany, dlatego spadł.
- - Tak nam powiedziano - rzekła Donnatella i wzruszyła ramionami. - Pamięta go pan z czasów, kiedy był pan tu z wizytą u wuja? Był jakieś dwa lata młodszy od pana.
- - Tak, ja miałem dziesięć lat, a Ian chyba osiem. Polubiłem go. Wielka szkoda, że tak skończył.
- Donnatella uniosła wysoko twarz i wciągnęła w płuca słone morskie powietrze.

1. Zmienił się. Przez jakiś czas był moim bohaterem... miał wtedy dwadzieścia lat, ale to było dawno. Zrobiłabym wtedy dla niego wszystko. Ale potem się zmienił, zrobił się ponury, niechętny. Słyszałam, że włóczył się po jakichś podejrzanych miejscach w Edynburgu. Potem, w zeszłym roku, kiedy postanowiłam wyjść za niego za mąż, przez jakiś czas był nawet szczęśliwy, ale jednej nocy za dużo wypił i spadł z tego klifu. Chyba nigdy mu tego nie wybaczę.

2. Przykro mi, panno Vallance. Nie wiedziałam, że była pani jego narzeczoną.

- Odwróciła twarz w jego stronę, uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.
- - Moi rodzice chcieli, żebym była lady Kildrummy. Ja go nie kochałam, ale w końcu zgodziłam się go poślubić.
- Umilkła, a potem uśmiechnęła się i spojrzała tak, że każdy mężczyzna poczułby, jak miękła mu kolana. Ten uśmiech był tak czarujący, że nawet uwodzicielskie spojrzenia pani Delaney, wdowy po miejscowym tkaczu, nie mogły się z nim równać. Pani Delaney była niezwykle pewną siebie damą, której jedynym celem w zeszłym roku było zaciągnięcie go do łóżka. Tysen nie zapomniawszy, jak pewnego wieczoru po spotkaniu rady miasta, na którym omawiano budowę nowego mostu na rzece Rowen, wdówka szepnęła mu do ucha: „Pastorze, chcę cię kochać, a nie poślubić. Wiesz, ile mogę dać ci radości?”. Musiał przyznać, że nie wiedział. Starł się nie zachować impertynencko, ale na szczęście udało mu się uciec przed umizgami pani Delaney.

1. Panno Vallance...

2. Milordzie - przerwała mu. - Skoro jesteśmy sąsiadami, może powinien pan zwracać się do mnie Donnatello.

1. Dobrze więc, Donnatello. Wciąż czuję żal z powodu śmierci Iana. Gdyby nie ten nieszczęsny wypadek, byłby teraz lordem Barthwick, a pani byłaby jego żoną. To straszna tragedia i wielka strata.

2. Ale ja wciąż żyję i jestem tutaj, milordzie.

3. Tak, ale teraz wszystko jest inaczej. Ja jestem baronem Barthwick. Jeśli mam być szczerzy, zupełnie zapomniałem o Kildrummy. Jestem wdowcem. Może słyszała pani, że jestem pastorem. Jestem wielebny Sherbrooke z Glenclose - on - Rowan.

- Wpatrywała się w niego z otwartą buzią. To było niezwykle urocze, bo choć wyglądała niemądrze, wręcz gapowato, nareszcie wydała mu się bardziej ludzka.
- - Jest pan pastorem? - zapytała, jakby w życiu nie słyszała nic równie niedorzecznego.
- Uśmiechnął się.
- - Tak, panno Vallance, jestem pastorem.
- Przyglądała mu się, studiując rysy jego twarzy, wciąż niepewna, wciąż zagubiona.

1. Ale jak to możliwe? Mój Boże, widziałam portrety Johna Knoksa i powiem panu, że wyglądał dokładnie tak, jak się tego spodziewałam. Ale pan nie. Pan pastorem? Nie, to niemożliwe. Żartuje sobie pan ze mnie, bo nie chce się pan wdawać w niewinny flirt ze mną i dlatego stara się mnie pan odstraszyć.

2. Ale dlaczego, według pani, nie mogę być pastorem?

- Patrzyła na niego, jakby stracił resztki rozumu. Potrząsnęła głową.
- - Jest pan bardzo przystojny i na dodatek bogaty.
- Te geny Sherbrooke'ów, pomyślał. Cóż, nie mógł nic na to poradzić, jak wygląda, ani ile pieniędzy zostawiła mu rodzina. Teraz, kiedy panna Vallance wspomniała Johna Knoksa, sam przypomniał sobie, że jego portrety zawsze przyprawiały go o dreszcz strachu. Fanatyk w prezbiteriańskim odzieniu.

1. Jeśli chce pani zobaczyć przystojnych dżentelmenów, powinna pani poznać moich braci.

2. Cóż - rzekła powoli i przyjrzała mu się bardziej uważnie, jakby szukała jakiegoś znaku na jego twarzy, świadczącego, że nadaje się na sługę bożego, przynajmniej w jej przekonaniu. - Dzięki Bogu, nie jest pan księdzem katolickim. Jest pan wdowcem. Proszę przyjąć moje kondolencje. Obiad w Vallance będzie dziś dość późno. Tata prosił, by pan przyjechał z nami zjeść.

- Przechyliła głowę, a strusie pióro przytuliło się do jej policzka.
- - Może zmówi pan modlitwę dziękczynną przed obiadem? Rzadko robimy to w domu. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć minę taty.
- Posiadłość Vallance była nowym nadaniem. Tak powiedziała Tysenowi, kiedy zsiadała z konia tuż przed szarym domem z granitu, który wyglądał bardziej na angielską niż szkocką budowlę. Otoczenie było uporządkowane, wszędzie rosły sosny i buki, a wśród nich wiły się żwirowe alejki. Dom położony był daleko od morza, jakąś milę lub więcej, ale Tysen nawet tutaj czuł słońca morską bryzę, którą tak lubił. Donnatella rzuciła wodze swojej klaczy młodemu chłopcu. Młodzieniec spoglądał na nią z nieukrywanym uwielbieniem. Zignorowała go i czekała, aż jej towarzysz zsiądzie z konia i również poda chłopakowi wodze Wielkiego. Tysen zdał sobie sprawę, że niedługo zobaczy się z Mary Rosę. To dziwne, ale nie myślał o niej jako o pannie Fordyce. Nie. Ona była dla niego Mary Rosę, od chwili, gdy usłyszał jej imię. Teraz już

nie potrafiłby nawet nazywać jej inaczej.

- - Mam nadzieję, że kostka Mary Rosę już się zagoiła - powiedział.
- Donnatella wzruszyła ramionami.

1. Nie wiem.
2. Wkrótce sam sprawdzę.
3. To bardzo ładnie z pana strony, że się tak pan o nią martwi.

- - Niebezpiecznie upadła. Myślałem nawet, że skończy się to trwałym kalectwem.
- - Nic takiego się nie stało. Nic jej nie jest.
- Chciał powiedzieć, że przecież dopiero co przyznała, iż nie wie, jak się czuje Mary Rosę i nie powinna mówić, że nic jej nie jest. Wyglądało na to, że nikt nie zajął się dziewczyną i nie wezwano nawet lekarza. Sir Lyon i lady Margaret wyszli mu naprzeciw. Chwilę bawili go rozmową w salonie, w bardzo nowoczesnym pomieszczeniu pełnym mebli odzwierciedlającym modne upodobanie do sztuki egipskiej. Sofy miały tu obłe oparcia i nogi w kształcie lwich łap.

1. Jak się miewa Mary Rosę? - zapytał w końcu, po krótkiej rozmowie o niczym. Zdziwił się i czuł trochę urażony, że nie wyszła się z nim przywitać. W końcu ją uratował, a ona nie była nawet uprzejma mu podziękować, czy chociażby przywitać go w domu.
2. Mary Rosę czuje się dobrze - powiedziała lady Margaret. - Oczywiście, nie będzie z nami jadła obiadu.
3. Nie rozumiem - zdziwił się Tysen. - Skoro czuje się dobrze?

- Sir Lyon i jego żona wymienili między sobą spojrzenia.
- - Och, oczywiście, że dziewczyna zje z nami - powiedział po chwili sir Lyon. - Moja żona sądziła, że Mary Rosę jest dziś zajęta gdzie indziej, ale mnie się zdaje, że tak nie jest. Donnatello, poproś proszę do nas swoją kuzynkę. Jak przyjdziecie, usiądziemy do stołu.
- Donnatella uśmiechnęła się do Tysena.

1. Na pewno odetchnie pan z ulgą, kiedy zobaczy, że nic jej nie jest - rzekła i wyszła z pokoju, zdejmując swój maleńki, uroczy kapelusik.
2. *Cóż*, więc - zaczął podniosłym, pełnym dumy tonem sir Lyon - czy moja piękność oprowadziła pana po okolicy?
3. Tak - rzeki Tysen i pomyślał o tuzinie strumieni, które przebył, kamiennych kręgach i ruinach starego szkockiego zamku. - Chyba widziałem już wszystko. A jaka jest historia Vallance?
4. Mówi się, że Maria, królowa Szkocji kiedyś tu nocowała - rzekła lady Margaret. - Wtedy budynek był zupełnie nowy. To było chyba w roku 1570.

- Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Mary Rosę. Nie kuląca, na szczęście. Przez chwilę kuzynki stały obok siebie. Mary Rosę była wysoka, bardzo szczupła, a ciemnorude włosy miała ciasno związane w kok na karku. Jej sukienka była nieokreślonego, spranego koloru i liczyła sobie chyba już parę ładnych lat. Ale oczy dziewczyny były wyjątkowe. Miały kolor soczystego mchu, mchu dopiero co zmoczonego deszczem, mchu ukrytego przed zabójczymi promieniami słońca, ukrytego w cieniu wraz z jakąś głęboką tajemnicą. Kiedy ją widział po raz pierwszy,



były zamglone bólem i łzami. Ale teraz... To idiotyczne, oczy koloru mchu, skrywającego się przed słońcem. Chyba przeżywał chwilę zauroczenia zupełnie nieodpowiednią dla jego pozycji i sytuacji. Jeszcze nigdy w życiu mu się to nie przydarzyło. Może miał dla niej tyle czułości, bo ją uratował? Tak, to pewnie z tego powodu nie mógł od niej oderwać oczu. Teraz celowo popatrzył na Donnatellę, która była niższa od kuzynki i uroczo zaokrąglona. Włosy miała gęste i czarne. Skóra dziewczyny przypominała świeży śnieg, który okrył zimą ziemię. Nie były ani trochę do siebie podobne. Mary Rosę była... jaka właściwie była? Zmarszczył brwi. Była kobietą, a nie dziewczyną jak Donnatella. Miała bardzo dziwną minę. Jej tajemnicze oczy zmrużyły się i wyglądały na wystraszone. Nie patrzyła na niego, tylko na lady Margaret. Wstał i szybko do niej podszedł.

1. Witaj, Mary Rosę - rzekł i ujął jej dłoń. Przez moment przyglądał się wyrazowi jej twarzy. - Kostkę ma pani już zdrową?
2. Tak, milordzie, już wszystko dobrze.
  - Puścił jej dłoń, a ona dopiero teraz spojrzała na niego. Wiedziała, że przy kuzynce wyglądała jak wieśniaczka, jak strach na wróble, na którym siadają wszystkie ptaki z okolicy. Miała na sobie starą, wełnianą sukienkę, która należała za młodu do jej matki. Była za krótka i miała za krótkie rękawy. To zresztą nie miało żadnego znaczenia. I tak czuła się nikim. Cóż, nie chciała być kimś, ani dla tego Anglika, ani dla nikogo innego.
  - - Doskonale - rzekł Tysen i cofnął się o krok.
  - Zaległa martwa cisza. W końcu sir Lyon poderwał się ze swojego krzesła.
1. No, już pora. Obiad. Wiem, że jest późno, ale moja ślicznotka chciała, by pan najpierw zobaczył całą okolicę.
1. Tak - przyznał Tysen. - Pora na posiłek.
  - Bez zastanowienia podał ramię Mary Rosę. Donnatella roześmiała się głośno. Przy *for/ar bridies* - kielbaskach panierowanych z cebulą - Donnatella opowiadała o wycieczce:
  - - Pokazałam jego lordowskiej mości, gdzie spadł biedny łan.
  - Mary Rosę upuściła widelec, który głośno uderzył o stół, ale nic nie powiedziała.
  - - To straszna tragedia. Pamiętam łana z czasów, kiedy tu byłem, bardzo dawno temu. Wiem, że miał zamiar się ożenić z panną Vallance. Bardzo państwu wszystkim współczuję.
  - Wszyscy grzecznie podziękowali, a Mary Rosę podniosła widelec, pochyliła głowę i zaczęła jeść coś, co lady Margaret nazwała *flnnan haddies*. Donnatella ze śmiechem wytłumaczyła mu, że są to po prostu pieczone w ogniu ryby, ale taka nazwa brzmi bardziej szlachetnie. To było bardzo popularne szkockie danie.
1. Chciałby pan może odrobinę powideł śliwkowych? Znakomicie smakują z bułeczkami naszej kucharki.
2. Dziękuję, lady Margaret - odparł Tysen i zwrócił się do Mary Rosę - Wczoraj staliśmy sobie z Meggie na Łysej Skale, kiedy ktoś nas odwiedził. To był Erickson MacPhail.

- Na jej twarzy pojawił się strach. Najwyraźniej przestraszyła się, pomyślawszy, że on ma zamiar opowiedzieć wszystkim o niecnym postępku Ericksona. Zanim spojrzała znów w talerz, w jej zielonych oczach zauważył wielką zmianę. Nie było już w nich tajemniczości. Wyrażały tylko bezradność. Gdyby nie miał pełnych ust, ugryzłby się w język. Mary Rosę spokojnie kroїła gotowaną marchewkę. Teraz już nie dała się zaskoczyć i nie upuściła widelca. W pełni się kontrolowała. Ale dlaczego Erickson chciał się z nim widzieć? Co powiedział Tysenowi? I dlaczego Tysen postanowił wspomnieć o nim podczas obiadu? Sir Lyon najwyraźniej nie zorientował się w porozumiewawczej wymianie spojrzeń przy stole.

1. Erickson MacPhail to wspaniały młody człowiek. Jego ojciec był moim wielkim przyjacielem. Wielu z nas czuło wielki żal, kiedy wpadł w jedną z tych przeklętych pułapek na owce i złamał sobie kark. Teraz Erickson jest lordem MacPhail. - Z dumą spojrzał na swoją córkę. - To jeden z wielu młodzieńców, którzy wystają pod naszymi drzwiami, by choć raz spojrzeć na moją ukochaną Donnatellę. Na Boga, kiedy skończyła siedemnaście lat, myślałem, że będę musiał cały czas czatować pod jej drzwiami z pistoletem, bo nie mogłem się opędzić od tych wszystkich młodych chłystków.
2. Odmówiłam już Ericksonowi, tатko - powiedziała chłodno Donnatella i włożyła do ust kawałek ziemniaka. - Już ci to mówiłam.
3. Ale teraz, kiedy łan nie żyje, Donnatello - powiedziała lady Margaret - chyba powinnaś jeszcze raz rozważyć jego oświadczyiny. Posiadłość w Hyson to piękne miejsce. Wszystko, z wyjątkiem matki Ericka, dość nieprzyjemnej kobiety, jest tam doskonałe. To byłby dla ciebie dobry dom. A może gdybyś poślubiła Ericka, jego matka miałaby dość taktu, żeby wkrótce umrzeć?
4. To by było z korzyścią dla wszystkich - odparła Donnatella i spojrzała na Tysena. - Zobaczymy, poczekamy, prawda?

- Tysen poczuł się jak lis między nagonką i myśliwymi. Zastanawiał się, gdzie sir Lyon trzymał swoje pistolety.

1. MacPhail mówił mi, że jako mały chłopiec pływał w morzu razem z morświnami.
  - To wspaniały młody człowiek - rzekł sir Lyon i jednym haustem wypił zawartość kieliszka. - Naprawdę wspaniały. - Otarł usta wierzchem dłoni i skinął na lokaja, by nalał mu jeszcze kieliszek wina. - Dziękuję, Gillis. Nie rozumiem tylko, jak ktoś może lubić pływać w morzu z cholernymi rybami. Ale każdy ma swoje rozrywki. Donnatella śmiała się, zakrywając usta chusteczką.
  - - Mary Rosę - zwrócił się do niej Tysen - ty dobrze znasz Ericksona MacPhaila.
  - Kiedy tylko te słowa wyszły z jego ust, pomyślał, że powinien się zastrzelić. Sam nie rozumiał, dlaczego ją wystawił na baczne spojrzenia wszystkich zebranych. Umilkł, czekając, co dziewczyna odpowie. A właściwie wiedział, dlaczego to zrobił. Nie potrafił czekać, kiedy jakaś sprawa wymagała załatwienia. Chciał stawić czoło kłopotom i poinformować sir Lyona o sytuacji, by ten mógł bronić swojej bratanicy. Tyle że nawiązanie do tematu było dość nieporadne.

1. Kiedy byłam małą, pływałam z Ericksonem i morświnami - rzekła po chwili. - To są ssaki, jak my, wuju Lyonie. Morświny to nie ryby. To Erickson nauczył mnie pływać. Od niego dowiedziałam się, że morświny nie zrobią mi krzywdy, że uwielbiają się bawić i nurkować.
  2. Ależ, mylisz się - zaprzeczył sir Lyon. - Żyją w wodzie. Tylko ryby żyją w wodzie.
  3. Ale widywałeś się ostatnio z Ericksonem, Mary Rose? - zapytała Donnatella głosem chłodnym i przepelnionym groźbą, której Tysen nie mógł zrozumieć. - Oczywiście, mnie to nie przeszkadza. W końcu nie przyjęłam jego oświadczyn.
  4. Widuje go często - przyznała Mary Rose. - Nawet zbyt często.
- Dość tego, pomyślał Tysen. Pora porozmawiać na osobności z sir Lyonem. W końcu jest wujem Mary Rose. Był za nią odpowiedzialny. Nieważne, czy sir Lyon widział w nim przyszłego zięcia. Nawet w takim przypadku trzeba opowiedzieć o wszystkim, by Donnatella nie dostała się w ręce tego rozpustnika i brutala. Jedno było pewne, Tysen nie chciał, żeby Erickson MacPhail ożenił się z bratanicą sir Lyona. Kiedy sir Lyon dowie się, że Erickson nagabywał jego bratanicę, zmieni zdanie o tym „wspaniałym młodym człowieku”. Lady Margaret wstała wdzięcznie z krzesła.
  - - Donnatello, Mary Rose, chodźcie ze mną - rzekła i nim mężczyźni zdążyli odłożyć widelce, już ich nie było.
  - Kiedy zostali sami, sir Lyon spojrzał na mężczyznę siedzącego po prawicy i zapytał:
  - - Ma pan jakieś kłopoty, milordzie? Potrzebuje pan mojej pomocy w sprawach swojej posiadłości?

## ROZDZIAŁ 8

- - Nie, panie. Nie mam żadnych kłopotów w moim majątku. To znacznie poważniejsza sprawa. Chodzi o to, że Mary Rosę skrzyła kostkę, uciekając przed MacPhailem. Biegła co sił w nogach i potknęła się, po czym wpadła w jedną z tych pułapek na owce. Zdaje mi się, że MacPhail próbuje ją złapać i być z nią sam na sam. Jeśli nikt go nie powstrzyma, to w końcu ją zniewoli. Jest pan jej wujem. Pomyślałem, iż powinien pan o wszystkim wiedzieć. Wolałbym, żeby Mary Rosę panu o wszystkim powiedziała sama, ale skoro tego nie zrobiła, ja musiałem o to zadbać.
  - Sir Lyon przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, bez żadnej wyraźnej reakcji. Potarł dłońmi policzki, wypił jeszcze trochę wina i w końcu powiedział:
  - - Ale właściwie dlaczego mi pan o tym mówi, milordzie?
  - Tysen popatrzył na niego oniemiały.
1. Przecież jest pan jej wujem.
  2. Posłuchaj mnie, młodzieńcze - rzekł sir Lyon, pochylając się do przodu i podpierając brodę dłonią. - Nie rozumie pan pewnych spraw. Wiem, że jest pan sługą Bożym. To powołanie na pewno sprawia, że jest pan bardziej wrażliwy, że podaje w wątpliwość środki, które służą dobremu celowi. Tak, Donnatella szepnęła swojej matce, że jest pan pastorem, a moja Margaret wspomniała mi o tym przed obiadem. Przykro mi, że zapomniałem poprosić pana o zmówienie modlitwy dziękczynnej przed jedzeniem. Ryba była trochę sucha. Może gdyby pastor się za nią pomodlił, byłaby smaczniejsza. Wracając do tematu, milordzie. Pan sądzi, że Erickson jest nieuczciwym człowiekiem. Kwestionuje pan jego honor, potępia jego postępowanie, traktuje go jak grzesznika. To normalne dla pastora.
1. Tak, jako sługa Boży potępiam jego uczynki i traktuję jak grzesznika. To oburzające. Jego zachowanie wykracza poza strefę grzeczności i moralności. Jako mężczyzna, podaję w wątpliwość, czy MacPhail ma honor i chciałbym go rozdeptać jak robaka, nim znów to zrobi. Nie jestem jednak jej krewnym. Pan za to, jako jej wuj, jako jedyny jej męski krewny, ma obowiązek go powstrzymać. Ona bardzo się go boi.
  2. Wiem, że on jej pragnie, już mi to mówił. Nie wiem dlaczego, ale naprawdę jej chce. W końcu, w porównaniu ze swoją kuzynką, Mary Rosę jest niczym. Co więcej, ona ma pewną skazę, której nigdy się nie pozbędzie. Tak, Erickson weźmie ją siłą, jeśli będzie musiał. Zapewnił mnie, że robi to dopiero w ostateczności. Pragnie jej. Dałem mu już pozwolenie.
- Może ją mieć. Ona i tak nie będzie miała lepszego kandydata na męża. Tysen miał wrażenie, że rozmawia w zupełnie nieznanym, nigdy dotąd niesłyszczanym języku. Po prostu nic nie rozumiał. Ani słowa. Wstał powoli i oparł dłonie o blat stołu.
1. Nie pozwolę, by ten człowiek zniewolił niewinną, młodą damę.

2. Powiedziałem już przecież, że zniewoli ją tylko wtedy, jeśli będzie musiał. Wiem to na pewno. Nie podoba mi się to, ale Mary Rosę jest bardzo uparta. Nie rozumie swojej pozycji. To znaczy, tak, w pewnym sensie rozumie kim jest, ale jest w niej wiele uporczywości i dumy, zupełnie nieuzasadnionej. Dodaje sobie szlachetności. Uważa się za kogoś lepszego niż Erickson. To zupełna bzdura. Nie chce go słuchać. Nie chce za niego wyjść. Uparła się, że nie będzie jego. Trzeba ją przekonać, że ślub z Ericksonem MacPhailem to dla niej wielki zaszczyt. Nawet jej matka, kiedy jest przytomna, co nieczęsto się ostatnio zdarza, nie ma nic przeciwko kandydaturze Ericksona. Może mógłby nam pan pomóc, milordzie. Mary Rosę musi zrozumieć, że jeśli poślubi tego człowieka, ludzie wreszcie przestaną gadać. Nie będą już jej mieli za złe tego, kim jest. Erickson, jako jej mąż, zatroszczy się o to, by to gadanie się skończyło. Jeśli chłopak będzie musiał ją wziąć siłą, to niech tak się stanie. Wtedy będzie zmuszona za niego wyjść. Taki koniec tej historii sprawi, że trochę drastyczne środki nie będą miały już po fakcie znaczenia.

- Tysen nadal nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. - Na pewno wam w tym nie pomogę - niemal krzyknął. - Ona nie chce za niego wyjść. Niech ją pan zrozumie. Ona nie jest po prostu nieśmiała. Ona jest przerażona. Naprawdę pan chce, żeby została wzięta siłą? Chce ją pan zmusić do związku, którego ona sama nie chce zawrzeć?
- - To trochę melodramatyczne, milordzie. Przecież to dla niej wspaniała okazja. - Sir Lyon pochylił głowę i dłuższą chwilę siedział zamyślony. - Mój Boże - rzekł w końcu. - Chyba pan rozumie sytuację?
- Tysen był równie zaskoczony, co oburzony. Jego głos przybrał chłodną barwę, podobną do głosu jego brata, kiedy ten łajał swoich poddanych.
- - Jaką sytuację? Każdy cywilizowany człowiek powinien oburzyć się, słysząc o tak niecznych planach.
- Sir Lyon odchylił do tyłu głowę i roześmiał się. Upił nieco wina, zachłystując się niegroźnie, i śmiał się dalej. W końcu udało mu się wykrztusić:

1. Przepraszam, zapomniałem, że pan jest tu nowy i ma prawo nie rozumieć wielu naszych spraw. Och, to śmieszne. Oczywiście, że Mary Rosę jest moją siostrzenicą, ale poza tym bardzo się pan co do niej myli, milordzie. Ona nie jest damą i nigdy nią nie była. Mary Rosę, szanowny panie, to bękart. Jest dla nas wstydem. Nie ma wartości jako człowiek. Nie ma pozycji. Nie jest damą i nigdy nią nie będzie. Z powodów niezrozumiałych ani dla mnie, ani dla jej ciotki, Erickson MacPhail chce ją poślubić. Ale skoro ona mu odmawia, nalegałem, by zmusił ją do pójścia do ołtarza. Jeśli ona go nie poślubi, nigdy nic nie będzie miała, pozostanie nikim. Nigdy nie będzie szanowana. Nigdy miejscowi nie będą jej się nawet kłaniali. Rozumie pan teraz? Jest i zawsze pozostanie bękartem.

2. Przecież ma matkę i dobre imię.

3. Nigdy nie miała dobrego imienia.

- Ależ to nedorzeczne. Tylko dlatego, że jej rodzice nie byli mężem i żoną, wszyscy ją potępili? Przecież to nie jej wina. Nie mogą o tym zapomnieć? Niech sobie robi, co chce. Nie należy jej się szacunek za to, jaką jest osobą? Może skoro jej sytuacja jest tutaj tak nieznośna, ona i jej matka powinny się przeprowadzić? Tam, gdzie ludzie nie będą znali jej przeszłości. Sir Lyon spojrzał na Tysena z pobłażaniem.

- - Jest pan wielkim optymistą. Wierzy pan w ideały. Wierzy pan, że ludzie są dobrzy. Ja na przykład nie jestem zbyt dobrym człowiekiem. Z mojego doświadczenia wynika, że nie ma na świecie wielu takich ludzi, którzy byliby coś warki czy skorzy do pomocy innym. Znane mi osoby są raczej chciwe i szczególnie bezwzględne dla tych, którzy wydają im się słabsi. Damy wcale nie są lepsze od mężczyzn. Są złośliwe i chętnie zszargają reputację każdej kobiety, która nie chce grać wedle ich reguł. Nieważne, gdzie zdecydują się mieszkać Gweneth i Mary Rosę. Gdziekolwiek by pojechały, ludzie i tak wkrótce się dowiedzą. Niech pan zostawi tę sprawę nam, milordzie. Niech Erickson ją bierze. Wszystko się dobrze skończy. Nie stanie się jej krzywda. On ją będzie dobrze traktował. Dlaczego miałby ją krzywdzić? Będzie również współczującym zięciem, najmie opiekunkę do jej matki. Na pewno się pan ze mną zgodzi, że to miło z jego strony. Gweneth Fordyce jest zupełnie szalona. To trwa już od wielu lat. To młodsza siostra mojej żony. Mieszkała z nami jeszcze przed urodzeniem się Mary Rosę. Niech pan to zostawi. Wszystko się samo wyjaśni. To naprawdę nie pańska sprawa. Niech się pan od tego trzyma z daleka.

- Tysen spojrzał mu prosto w oczy i zapytał:

1. Dlaczego Donnatella powiedziała, że MacPhail chciał się z nią żenić? To nie ma sensu.
2. Och, moja mała ślicznotka - odparł już spokojniej sir Lyon. - Oznajmiła mi, że odrzuciła zaloty Ericksona, a on wtedy zwrócił się do Mary Rosę.

- Chciała, by wszyscy wiedzieli, że Mary Rosę jest druga, po niej. Może to dlatego dziewczyna tak uparcie go odrzuca. Może buntuje się przeciwko myśli, że nie spodobała mu się tak bardzo jak Donnatella. Do tej pory zawsze tak było. Donnatella była magnesem dla okolicznych chłopców już jako mała dziewczynka. Co do Ericksona, na pewno trochę lubi Donnatellę, ale nie sądzę, żeby tak szybko zmienił obiekt swoich westchnień. Moja mała ślicznotka wspomniała mi nawet, że Erickson pewnie chce się żenić z Mary Rosę, by być choć trochę bliżej niej, Donnatelli. Cóż, niech sobie wierzy w co chce, ale Erickson naprawdę bardzo lubi Mary Rosę. Niech się pan o nią nie martwi. Nie ma potrzeby. To historia ze szczęśliwym zakończeniem. Wszystko wyjaśni się samo - rzekł sir Lyon i uśmiechnął się zadowolony z siebie. Tysen wstał.

- - Nie pozwolę na to, sir Lyonie. Jeśli ona nie chce za niego wyjść, to nie wyjdzie. Jeśli pan z nim nie porozmawia, ja to uczynię. Nie pozwolę, by Erickson MacPhail ją zniewolił.

\*

- Meggie leżała w łóżku z kołdrą podciągniętą pod samą brodę, bo jedno z wąskich, wysokich okien jej pokoju było otwarte i do środka dostawało się chłodne powietrze.

- - Jesteś czymś zdenerwowany, tatusiu, ale wiem, że nie chodzi o moje postępowanie - zauważyła.

- Tysen oderwał się od nieprzyjemnych myśli.

- - To sprawy dorosłych, Meggie. Chodzi o Mary Rosę i mężczyznę, którego poznałaś wczoraj wieczorem, Ericksona MacPhaila. Muszę sobie poradzić ze sprawą, która dotyczy tych dwojga.

1. Pani MacFardle powiedziała, że Mary Rosę jest bękartem. Podśluchałam, jak mówiła o Mary Rosę do pana i pani Griffin podczas obiadu. Zapytałam panią MacFardle później, co znaczy to słowo, a ona mi powiedziała, że mama Mary Rosę nie była żoną jej taty i że nikt nie

wie, kim był jej tata. Ale o co tyle hałas? To co, że Mary Rosę nie ma ojca?

2. To część problemu. Co sądzisz o panu i pani Griffin? Przykro mi, że nie czuli się na tyle dobrze, by zjeść dziś z nami kolację.
3. Pan Griffin niewiele mówi. Stoi tylko i patrzy na wszystkich z dezaprobatą i zaciśniętymi ustami. Pani Griffin wezwała mnie do gabinetu i kazała stać na baczność, jak żołnierz, a potem mnie wypytywała. Krzyczała, kiedy mówiłam za cicho albo za szybko. Odpowiedziałam na wiele pytań, tatku. Ona ma wąsy, jak pan Clint z wioski.
4. Jakie ci zadawała pytania?

- Był poirytowany tą sytuacją. Wyjechał na wycieczkę z Donnatellą i zostawił biedną Meggie na pastwę tych ludzi. Postanowił następnym razem zabrać ją ze sobą.

1. Wypytywała mnie o naszą rodzinę. Bardzo interesował ją wuj Douglas. Powiedziała, że mniej oburzające byłoby, gdyby to on odziedziczył tytuł barona Barthwick, bo sam już ma tytuł i wiedziałby, co zrobić z majątkiem. Co się zaś tyczy ciebie, czyli tak zwanego sługi Bożego, to ty nigdy tak naprawdę tu nie osiadziesz.
2. Może i ma rację - odparł Tysen, zastanawiając się, czy kiedykolwiek mógłby tu osiąść. Pochylił się i pocałował Meggie w nosek.

- - Pan Griffin nie zadawał ci żadnych pytań? Meggie potrząsnęła głową.
- - Nie. Ach, jeszcze coś. Pani Griffin chciała wiedzieć wszystko o mamie.
- Tysen zeszywniał. Tego już za wiele, pomyślał. Tego już naprawdę za wiele.
- - Powiedziałam jej, że mama umarła wiele lat temu. Powiedziałam też, że nie chcesz mieć żony, więc Donnatellą nie zdoła cię uwieść.
- Podskoczył, jakby go uderzono.
- - Meggie, jestem twoim ojcem. Jestem pastorem. A ty masz dziesięć lat. Nie używaj więcej takich słów.
- Spojrzał na nią. Była mądrym i niezmiernie ciekawskim dzieckiem.

1. No dobrze - rzekł - gdzie to usłyszałaś?
  2. Podśluchałam, jak ciotka Alex mówiła do ciotki Sophie. Mówiły o jakimś Spenserze Heatheringtonie i o tym, że Helen uwiodła go bez mrugnięcia okiem. Śmiały się przy tym głośno.
- Tysen zamyślił się, patrząc na szalejące głośno morze. Huk fal był dziś wyjątkowo głośny. Spienione bałwany uderzały o czarne, szpiczaste skały u podnóża klifu pod zamkiem. Odetchnął głęboko. Hellen Maberry i Spenser Heatherington, lord Beecham. Z tego, co słyszał, to w tej sprawie ciotki Meggie mogły mieć rację. Tak właśnie mogło się stać. Helen była niezwykłą kobietą, a przynajmniej tak mówił Douglas, śmiejąc się jak stary satyr. Tysen widział wyraźnie, że Douglasowi bardzo się podobała. Spenser i Helen byli szczęśliwym małżeństwem już od czterech lat. Mieli dwoje dzieci. Tysen odchrząknął.

1. Czy pani Griffin mówiła, jak długo tu pozostaną?
2. Powiedziała - zaczęła rzeczowym tonem Meggie - że zostaną dopóty, dopóki pan Griffin nie przekona się, że nie przepuścisz całego majątku. Ale powiedziała jeszcze, że ona sama nie ma

wielkiej nadziei, by cała ta kabała dobrze się skończyła, nawet jeśli pan MacNeily wróci. Tatu, co to jest kabała?

1. Stara wiedźma - rzucił poirytowany Tysen, czując ssanie w brzuchu. Wstał i zaczął chodzić po pokoju, żeby się uspokoić. W pomieszczeniu było już chłodno, więc zamknął okno, sprawdzając, czy klamka dobrze się zacisnęła. Przyjechał do Szkocji, by być baronem Barthwick i żeby go nazywano milordem, a teraz, na litość boską, ta kobieta uważała go za zwykłego mąciwodę. Pora chyba wejść do jaskini lwicy, nie lwa, bo lew byt bezzębny, zupełnie niegroźny.
2. Chyba sam pójde porozmawiać z naszymi gośćmi - rzeki do córki. - To dziwne, że oboje nagłe nie mogli zejść na kolację.
  - Meggie szybko narzuciła szlafrok i włożyła parę skarpetek Maksa, które sięgały jej do kolan, po czym wymknęła się za ojcem. Niestety, w dolnym holu, przy samych schodach natknęła się na panią Mac - Fardle.
1. Chciałam się napić mleka - skłamała bez wahania. Kłamać potrafiła sto razy lepiej niż jej bracia. Wiele razy próbowała ich nauczyć tej sztuczki. Trzeba patrzeć ludziom prosto w oczy, kiedy się kłamie.
2. Hmm - mruknęła pani MacFardle i poprowadziła ją do kuchni. Meggie obejrzała się za siebie w stronę zamkniętych drzwi salonu. Najwyraźniej ojciec znalazł państwa Griffinów.
  - Drzwi były częściowo otwarte. Dziewczynka usłyszała niski głos ojca:
1. Mam nadzieję, że już pani wydobrzała po chorobie, która nie pozwoliła pani zasiąść ze mną do stołu.
2. Jeśli w ten zawołowany sposób pyta pan, czy już się dobrze czuję, odpowiedź brzmi: tak. Pozwoliłam panu tu wejść, prawda? Nawet z panem rozmawiam, choć to niełatwe...
3. A pan Griffin, jeszcze nie odzyskał sił? - przerwał jej Tysen, a jego irytacja puchła jak balon.
  - - Pan Griffin, jak mniemam, stara się obliczyć, jak długo zajmie panu doszczętne zmarnowanie i przepuszczenie Kildrummy. Oczywiście, to ja go o to poprosiłam.
  - Zignorował tę uwagę i uniósł wysoko głowę.
  - - Wolałbym, pani, żeby następnym razem mnie zadawała pani pytania na temat mojej rodziny, a nie mojej córce. Jeśli chce pani coś o mnie wiedzieć, proszę mnie pytać, a ja zdecyduję, co powinna pani wiedzieć, a czego nie.
1. Dlaczego? To sprytna dziewczuszka - odpowiedziała pani Griffin, odziana w napastliwą czerń. Trzymała w dłoni czarną laskę. - Powiedziała mi wszystko, co chciałam wiedzieć, a pan na pewno niechętnie by odpowiadał albo kłamał. Poza tym pojechał pan sobie z Donnatellą i nie mógł mi pan wszystkiego wyjaśnić. A teraz, jeśli mam być szczerą... bardzo się obawiam o stan Kildrummy.
2. A ja nie - rzeki Tysen. - Jednak pani powinna czuć niepokój. To pani służy.



3. Nie wiem, o czym pan mówi, zresztą to na pewno nieważnego. A Donnatellą, czyż to nie urocza mała intrygantka? Dużo czasu pan z nią spędził. Sam na sam.
- Rzuciła mu porozumiewawcze, przeciągłe spojrzenie, a Tysen miał ochotę w nią rzucić taboretami.
  - - Tak - ciągnęła, podkreślając słowa przeciągłym spojrzeniem, po czym obejrzała go sobie od stóp do głowy - gdyby pan nie był pastorem, pomyślałabym, że dobrze się pan bawił. Z drugiej strony - dodała, a jej czarny wąsik na górnej wardze poruszał się nerwowo - możliwe, że jako pastor anglikański nie rozumie pan tak jak my, co to jest prawdziwy grzech.
  - Spokojny, zrównoważony Tysen Sherbrooke, człowiek rozsądny i cierpliwy, stracił w końcu panowanie nad sobą.
  - - Jest pani złośliwą kobietą - powiedział mrozącym krew w żyłach tonem. - Nie chcę pani tu dłużej gościć. Pani i pan Griffin wyjedźcie z samego rana. Czy to jasne?
  - Czarny wąsik zadrżał z oburzenia. Pani Griffin podskoczyła na równe nogi, podniosła rąbek sukni i ruszyła w stronę Tysena, wymachując laską. Machnęła nią, jakby chciała go uderzyć.
1. Jest pan pastorem. Obraził mnie pan i obraził pan mojego drogiego Griffina pod jego nieobecność. Będzie pan nas błagał o wybaczenie.
2. Życzę pani dobrej nocy i miłej podróży powrotnej do Edynburga - powiedział niewzruszony Tysen.
3. Zobaczmy, co na to powie Donald MacCray - wrzasnęła. - Jest prawnikiem rodu Barthwick od bardzo dawna, człowiekiem o odpowiedniej pozycji i znaczeniu. On panu da po tych pańskich angielskich uszach za to karygodne zachowanie w stosunku do mnie! Pastor... też coś! Niech pana piekło pochłonie!

- Już miał coś powiedzieć, ale odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i wyszedł z salonu, o mało nie przewróciwszy swojej córki, która stała z uchem przyklejonym do drzwi. Zauważył szklankę mleka na podłodze obok niej.
- - Odesłałbym również i ciebie, Meggie, gdybym mógł - powiedział i wbiegł po schodach po dwa stopnie naraz, nie oglądając się za siebie.
- Dwie godziny później wielbny Sherbrooke modlił się do Boga, by mu wybaczył jego nielogiczne i dziwne zachowanie, niezwykły i gwałtowny wybuch złego humoru i niewybaczalny brak grzeczności spowodowany oburzającym zachowaniem innej osoby, co wszystko razem doprowadziło go do szału. Postąpił niegodnie, poddał się słabości, zhańbił siebie i swoje powołanie, splamił swe dobre imię, ale to, co wyszło z ust tej potwornej kobiety, wystarczyło, by nawet świętego wyprowadzić z równowagi. Po chwili zrozumiał, że usprawiedliwia się przed Bogiem za swoje zachowanie. Poczł wstyd, zrozumiał, że upadł tak nisko i tak łatwo zbłądził. Bóg był nieodłącznym towarzyszem jego życia. Jego obecność dawała Tysenowi siłę i przepełniała go radością. Wiele doznał w życiu błogosławieństw i wiele razy dziękował za to Najwyższemu, ale teraz Bóg rzucił go gdzieś na prowincję i wtedy zaczęły się kłopoty. - Boże - zaczął w końcu modlić się na głos - popełniłem wielki grzech. Straciłem panowanie nad sobą i nie ma na to żadnego usprawiedliwienia. Zachowałem się jak... jak baran. Wrzeszczałem głośno na kobietę. Będę się starał z całych sił, by to się już nigdy nie powtórzyło. Nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Nie był już zły na panią Griffin i nie chciał już stłuc Meggie. Już nie.

Musiał nauczyć się lepiej nad sobą panować. Zrozumiał, że z dala od domu, bez ludzi mu bliskich, wiele mil od miejsca, gdzie dotąd żył i pracował, mógł czuć się gorzej i mniej pewnie. Tutaj wszystko wydawało się zupełnie inne, obce. Czuł się jak ślepiec nad przepaścią. W końcu otworzył oczy w ciemności. Słońce już dawno zaszło. Poczł spokój. Nie miał oczywiście zamiaru prosić państwa Griffinów o pozostanie. Nie był przecież tchórzem. Mary Rosę Fordyce to zupełnie inna sprawa. Jest bękartem, ale przecież to nieważne. Czuł ból w brzuchu i skurcze złości, kiedy przypominał sobie, jak sir Lyon mówił ojej ślubie z Ericksonem jak o wielkim zaszczyście. Widocznie dla wszystkich innych to było jedyne słuszne wyjście. Ale on i tak nie pozwoli Ericksonowi MacPhailowi narzucać się tej biedaczce. Już postanowił i nie miał zamiaru od tego odstąpić. Zanim zasnął zdał sobie jeszcze sprawę, że cieszyła go myśl, iż stara wiedźma i jej milczący, wiecznie niezadowolony mąż już jutro się stąd wyniosą. Ciekaw był, co ona powie, kiedy on, pastor, wyjdzie i skinie im głową na pożegnanie. Może nawet im pomacha na do widzenia. Uśmiechnął się pod nosem. Już zasypiał, kiedy z pólśnu wyrwał go nagle przeraźliwy wrzask.

## ROZDZIAŁ 9

- *Tutene? Alque cuius exercitus?* Ty? I czyja armia? Tysen nie pomyślał nawet o szlafroku. Wybiegł ze swojej wielkiej sypialni i popędził długim korytarzem. Koszula nocna plątała mu się wokół kolan. Już prawie świtało. Niewyraźne, szare promienie dnia oświetlały zamek. Znów usłyszał krzyk. Nie dochodził z komnaty Meggie, ale z sypialni dla gości w odległym końcu korytarza. To była pani Griffin. Krzyczała na całe gardło. Może pan Griffin w końcu nie wytrzymał i próbował udusić starą wiedźmę. To nieodpowiednia myśl, stwierdził Tysen i pobiegł dalej, choć podłoga była tak zimna, że aż kłuła w stopy. Otworzył na oścież drzwi i wpadł do ciemnego pomieszczenia, gdzie zasłony były zaciągnięte na noc. Uderzył się w palec u nogi. Zatrzymał się i zagryzł wargi, by nie krzyknąć z bólu. Nagle, w ciemności, zauważył światło świecy. W jedynym oświetlonym miejscu w całej komnacie zobaczył twarz pani Griffin, bladą jak pośmiertna maska i wąsik czarny jak smoła zdobiący jej górną wargę. Przerazający widok.

1. Co się stało, pani Griffin? Słyszałem, jak pani krzyczy. Co się dzieje? Gdzie jest pan Griffin?

- Och, to pan, pastorze - powiedziała, ledwie chwytając oddech. - Widziałam ją. Po raz pierwszy, od kiedy bywam w tym przeklętym zamku widziałam ją naprawdę. W zeszłym roku chciałam ją zobaczyć. Mówiłam nawet do pustego pokoju, prosząc, by się pokazała, ale nie uczyniła tego. Nie odezwała się do mnie. Poczekala sobie, aż będę wściekła, roztrzęsiona, aż będę myślała tylko o tym, jak pana spostponować za to, że kazał mi się pan stąd wynosić. Nie chciałam jej dziś zobaczyć. Nie byłam na to przygotowana. Tak, poczekala, aż będę słaba i wtedy wykorzystala okazję, by wzbudzić we mnie śmiertelny strach.

1. Pani Griffin, kto tu był?

- No przecież, że ten przeklęty duch zamku Kildrummy - wrzasnęła na niego szorstkim głosem, tak intensywnie wypuszczając powietrze z ust, że o mało nie zgasiła świecy. - Jest tam, w rogu pokoju. Siedzi na przeklętej komodzie. - Zaświeciła w tę stronę, ale Tysen niczego nie zauważył. - Tylko mi nie mówcie, że jestem szalona, bo nic nie wiecie. Ona naprawdę tam była. Siedziała sobie na brzegu komody i machała nogami, patrząc na mnie i nic sobie ze mnie nie robiąc. Chyba nawet gwizdała. Tak, usłyszałam gwizd. Wydał mi się dziwnym dźwiękiem, zwłaszcza w środku nocy, więc zapaliłam świecę. Ona tam była. Gwizdała dalej, a teraz sobie poszła.
- - Żono moja, co tu się właściwie dzieje? Dlaczego pastor stoi w naszej sypialni w samej koszuli? - pan Griffin usiadł na łóżku. - Na wszystko, co święte, człowieku, nie pozwolę ci uwieść pani Griffin! Pan się mieni pastorem? Ma pan tupet! Zabiję pana gołymi rękoma!
- Pani Griffin nawet się nie odwróciła, by spojrzeć na męża. Podniosła tylko dłoń i zdzieliła

go w twarz.

1. Uspokój się, głupcze! Ten człowiek nie próbował starać się o moje względy.
2. Sama mi mówiłaś, że to podejrzany typ - stwierdził pan Griffin potulnie. - Jesteś pewna, że nie próbował cię uwieść?
3. Tak, panie Griffin. Przecież widzisz, że zachował odpowiednią odległość. Postąpił tylko o krok za próg naszej sypialni.

- Tysen potrząsnął głową. Nic z tego nie rozumiał. Uwieść panią Griffin? O mało się nie przewrócił, usłyszawszy te słowa. Teraz odchrząknął, ale nie próbował nawet podchodzić bliżej. Twarz pana Griffina pojawiła się teraz w świetle tuż obok pani Griffin.
- - Więc sądzi pani, że widziała ducha zamku Kildrummy? Kim jest ten duch?
- Ale pani Griffin wpatrywała się tylko w komodę, na której stała wielka miska i porcelanowy, malowany w kwiaty dzban na wodę. Tysen także spojrział w tę stronę, ale wciąż niczego tam nie było.
- - Poszła sobie - powiedziała pani Griffin i już się nie bała. Odkryła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Miała na sobie ciemną, wełnianą koszulę nocną, która okrywała ją od brody po stopy. Nagle przypomniała sobie, że Tysen nadal jest w pokoju. - Odejdź, człowieku, odejdź! To nieprzyzwoicie, przyglądać się damie w negliżu. Wystarczy, żeby obudzić bestię w każdym, nawet w wielebnym.
- Zamachała dłonią.
- - Słyszał pan, co powiedziała moja żona?! - krzyknął pan Griffin. - Niech pan stąd wyjdzie, bo inaczej zatłukę pana! Gapi się pan na moją żonę, nie jest pan dżentelmenem!
- - Ale... Pani Griffin znów patrzyła na komodę.
- - Już jej nie ma. Ale wciąż czuję jej obecność. Czuje pan ten zapach? Panie Griffin, nie czuje pan zapachu pleśni, ziemi i dziwnego chłodu? Słyszysz pan tego ducha? Na pewno przyszła dlatego, że Anglik przejął zamek. Nie spodobało jej się to. Pewnie weszła nie do tej sypialni, co chciała. Słyszysz, duchu? Jeśli chcesz, żeby on opuścił Kildrummy, musisz się zakraść do jego sypialni. Och, ale przecież tu jest zimno jak w grobie. Panie Griffin, natychmiast opuszczamy to przeklęte miejsce. Nie pozostanę w tym pokoju ani w tym domu, dopóki nieżyjąca lady Barthwick patrzy na mnie z komody.
- Tysenowi ten pomysł wydał się absolutnie doskonały. Tak więc jakąś godzinę później Tysen, porządnie ubrany i ogolony, stał na stopniach zamku Kildrummy, by popatrzeć, jak powóz państwa Griffin wyjeżdża przez bramę. Swobodnie się uśmiechał i nawet pomachał im na pożegnanie. Słyszał, jak woźnica przeklina pod nosem, chowając szyję głębiej w kołnierzu. Zobaczył też bladą twarz pana Griffina w oknie powozu. Ranek był chłodny, a mgła kładła się na okolicznych łąkach. Wrócił do zamku, potrząsając głową. Od chwili przyjazdu do Kildrummy jego życie zdecydowanie nie było nudne.

1. Pojechali, tatusiu?
2. Oczywiście, że tak, Meggie. Nie rozumiem. Nie wierzę w duchy. Nigdy nie wierzyłem. Nie przekonywało mnie nawet to, co mówili o pannie młodej z Northcliffe. Nigdy jej nie widziałem.
3. Wujek Douglas widział ją kilka razy, ale nie chce się przyznać. Myśli, że jak powie, że ją widział, wszyscy pomyślą, że ma pustą głowę. Mówi, że tylko kobiety ją widują, bo jedynie

one wierzą w rzeczy nadprzyrodzone. Co oznacza, iż mają pusto w głowie.

4. Cokolwiek by to było - powiedział Tysen ostrożnie - ja nigdy nie wierzyłem w tę pannę młodą, która niby straszy w Northcliffe. Pani Griffin była przekonana, że zobaczyła w naszym pokoju gościnnym ducha i to ją niezmiernie przeraziło. Poinformowała natychmiast pana Griffina, że wracają do Edynburga.

- Teraz, kiedy wspominał wczorajsze wydarzenia, zachciało mu się śmiać i potrząsnął głową. Miałby uwodzić panią Griffin? I nagle, jakby natchniony przez Ducha Świętego, zrozumiał, co się stało. Odwrócił się i spojrzał na córkę. Uśmiechała się pod nosem, a oczy wprost błyszczały jej z radości. Zauważył to, nim zmusiła się do powagi.

- - Meggie - powiedział spokojnie - wychowałeś się na legendach o duchu panny młodej z Northcliffe i Pearlin Jane z Vere Castle, która podobno opiekuje się twoją ciotką, Sinjun. - Poglądził brodę. - Zapytam cię tylko raz, Meggie. Czy to ty byłeś tym duchem, który objawił się w komnacie Griffinów? Siedziałaś sobie na komodzie, gwizdząc i machając nogami?

- - Tatku, czas na śniadanie. Masz ochotę na owsiankę?

- - Meggie?

- Meggie nabrała wody w usta i stała, patrząc na swoje stopy. W końcu westchnęła i powiedziała cichutkim głosem:

- - Tak, tatku. Przepraszam, ale musiałam to zrobić. Ona jest taka straszna, a on tylko kiwa głową. Wygląda, jakby go wcale nie było. Ostatniej nocy podsłuchałem, jak pani MacFardle mówiła Agnes, że pani Griffin robiła zawsze to, co chciała i pan Griffin nigdy nie śmiał jej się przeciwstawić. Nie mogła pozwolić, by angielski pastor, który przypadkiem został baronem Kildrummy, dyktował jej warunki. Mówiła, że to jest tak samo jej dom, jak ten drugi, gdzie mieszka, kiedy nas nie odwiedza. Pani MacFardle mówiła i mówiła o filozofii życia pani Griffin. Podobno ona uważa, że zasłużyła sobie na to, by rządzić ludźmi. Obawiałam się, że ona jutro weźmie się z tobą za łby. Nie chciałam, żebyś znów musiał wychodzić z siebie. Chciałam cię chronić, tatku.

- Meggie przerwała na chwilę, nie mogąc złapać oddechu.

1. Och - mruknął Tysen. - Więc uznałaś, że pani Griffin jest jedną z tych złych osób, a ja że jestem za głupi, by sobie z nią poradzić, i zbyt naiwny, by w ogóle zauważyć, co się święci?

2. Nie jesteś głupi, tatku, ani naiwny, tylko po prostu za dobry.

3. Meggie, sam kazałem im się wynosić. Zrozumiałem, jaka jest pani Griffin. Dziś rano i tak mieli wyjeżdżać, oboje. Twoje przedstawienie przyspieszyło ich wyjazd jedynie o godzinę lub dwie.

- Meggie nie rzekła ani słowa.

- - Uważasz, że jestem aż tak słaby? Sądziłaś, że oni zostaliby tutaj, nawet mimo mojego rozkazu?

- - Jesteś taki dobry, tatku - powtórzyła prawie szeptem.

- Nie wierzyła w niego. Odczuł to jak bolesny cios. Widziała w nim człowieka zbyt dobrego i zbyt łatwowiernego? Może sądziła, że jako duchowny nie ma dość życiowego doświadczenia?

- - Ciotka Sinjun mówiła mi - zaczęła Meggie - że kobieta czasem musi zacząć działać. Bywa, że mężczyźni nie mają odwagi na coś się zdobyć. Mówiła, jak raz się zdarzyło, że chciała zabić

jednego z wrogów wuja Colina. Nie zabiła go w końcu i dobrze się stało, bo okazało się, że biedak był Bogu ducha winien, ale była gotowa działać. Ciotka powiedziała, że dama nie ma czasu się zastanawiać.

- Tysen o mało nie udusił się z powodu pomieszanych uczuć - irytacji, zdziwienia i rozpaczy. Chrząknął, czując dławienie w gardle.

1. Wracam do łóżka - powiedział ponuro, ruszając w stronę schodów, a potem obejrzał się za siebie, na Meggie, która wciąż tkwiła w tym samym miejscu. - Naprawdę siedziałaś i machałaś sobie nogami?

2. Tak, tatku.

3. Dobry Boże - rzekł. - Na pewno gwizdałaś bardzo głośno, skoro ją obudziłaś. Co gwizdałaś?

- - Piosenkę, której nauczyła mnie ciotka Alex o tym, jak kiedyś kobiety będą rządziły światem, a mężczyźni będą tylko sługami.

- Tysen tylko potrząsnął głową. Nagle chciało mu się śmiać. Mary Rosę czesała gęste, ciemnorude włosy mamy, wciąż nietknięte przez siwiznę. Były długie i gładkie, idealnie proste, w przeciwieństwie do włosów Mary Rosę, kręcących się, wijących i tańczących wokół głowy w takt niesłyszalnej wesołej melodii.

1. To będzie piękny dzień, mamó. Ani chmurki na niebie.

2. Powiedz mi o nowym lordzie.

- Mary Rosę drgnęła na dźwięk głosu matki. Gweneth Fordyce nigdy nie mówiła wiele, ale kiedy już otworzyła usta, płynęła z nich niemal muzyka, tak ciepły miała tembr głosu.

- - To bardzo miły człowiek. Jest Anglikiem, pastorem. Jest również bardzo przystojny, mamó. Powiedziałabym, że jest nawet zbyt przystojny, jak na pastora, ale i tak jest bardzo miły. To uczciwy, godny podziwu mężczyzna.

- Matka już nic więcej nie powiedziała. Skinęła tylko głową i utkwiała wzrok w liściach buku widocznego z okna jej pokoju.

1. Nazywa się Tysen Sherbrooke. Jego rodzina jest zamożna i wpływowa. Jego brat to hrabia Northcliffe. Tysen jest wdowcem. Ma córkę, Meggie. Przyjechała tu z nim. To niezwykła dziewczynka, mamó. Pomogła mi, kiedy zwichnęłam kostkę.

2. Donnatella będzie go chciała dla siebie - rzekła jej matka głosem delikatnym i cichym jak powiew wiatru wśród drzew.

3. Możliwe, ale on chyba nie jest nią zainteresowany. No cóż, nie wiem, co on zrobi później. W końcu ona jest taka piękna.

- - Donnatella jest zupełnie jak jej matka, wredna suka w pięknym opakowaniu.
- Mary Rosę zamrugnęła, zdziwiona.

1. Mamó, naprawdę nie lubisz Donnatelli? Przecież tak rzadko ją widzisz.

- Pamiętam, że pierwszym słowem, które wymówiła było: „moje”. To chyba o czymś świadczy. Wiesz, że tu wszyscy mówią o wszystkich. Ja wszystko słyszę. Słyszę nawet, kiedy mówisz sama do siebie po łacinie, kiedy jesteś rozzalona. Czasem słyszę, jak czytasz jedną z tych starożytnych ksiązek. Owidiusz to chyba twój ulubiony autor. Rosę zdziwiła się. Rzeczywiście, lubiła czytać Owidiusza.

1. Wielebny Morley nauczył mnie łaciny. Kocham książki.
2. Wiem. Ale, Mary Rosę, musisz uważać. Donnatella jest wciąż na ciebie wściekła z powodu łana.

- Mary Rosę zdało się, że jej matka nagle, bez ostrzeżenia, całkowicie doszła do siebie. Może taki umysł jak jej podobny jest do koła, które utknie gdzieś w błocie na dłuższy czas, a potem jedno silniejsze pchnięcie może je z powrotem naprowadzić na dobrą ścieżkę. Prawie co dzień modliła się, by to kiedyś nastąpiło.

1. Donnatella nie ma powodu być na mnie zła - powiedziała Mary Rosę do matki, jakby ta była już zupełnie zdrowa. - Biedny łan nie żyje. To był dobry człowiek. Lubiłam go bardzo.
2. Był hazardystą. Może jeszcze nie stoczył się całkiem, ale z czasem, z biegiem lat to by na pewno nastąpiło.
3. To już chyba raczej nieważne. On nie żyje, a jego wady i zalety zmarły razem z nim.
4. Jest jeszcze Erickson. Tak jak łan, zwrócił się od Donnatelli do ciebie. Staraj się do niego nie zbliżać, bo nie można mu ufać. Dlaczego on już nie chce się żenić z Donnatella? Poza tym twój wuj go uwielbia. Widziałam, jak się namawiają w cztery oczy. Zawsze, kiedy twój wuj rozmawia z kimś cicho i bez świadków, mogę być pewna, że knuje coś złego. Uważaj na siebie.
5. Będę uważała.

- Nagle matka jęknęła cicho i Mary Rosę zdała sobie sprawę, że za mocno pociągnęła ją za włosy.
- - Przepraszam, mamó. Zabolało?
- - To nic. Zapleć mi włosy w warkocz i upnij na czubku głowy. Chciałabym dziś zejść na dół, może do ogrodu.
- - To by było wspaniale - rzekła Mary Rosę i zacisnęła kciuki. Proszę, Boże, modliła się w duchu, niech ona do mnie wróci. Niech jej umysł znów się nie oddali. - Chciałabym popracować przy różach. Mogłabyś mi coś doradzić.
- Matka milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

1. Anglicy nie są ludźmi godnymi zaufania, może nie tak źli jak twój wuj, ale i tak nie powinnaś żadnemu z nich ufać, nawet jeśli jest pastorem. Możesz się wielce rozczarować.
2. Jeśli myślisz o nowym lordzie, mamó, to prawda, że jest Anglikiem i jest pastorem, ale można mu ufać. Postawiłabym na to mojego ostatniego szeląga. - Przerwała na chwilę i uśmiechnęła się na widok pięknego warkocza, który właśnie zaplotła. - Właściwie to nic nie mogę postawić, bo nie mam szeląga, ani w ogóle żadnych pieniędzy, więc moje słowo w tej kwestii będzie musiało wystarczyć.

1. Czy Donnatella wciąż twierdzi, że Ian miał się z nią ożenić, że był jej narzeczonym?
2. Tak, ale jakie to ma teraz znaczenie, skoro on nie żyje. To już nieważne, mamó. Niech sobie mówi, co chce. Zresztą bardzo go lubiła.
3. Nieprawda. Pragnęła go dla siebie tylko dlatego, że był lordem na Kildrummy i ponieważ skłaniał się ku tobie. Ona jest niebezpieczna.

- Mary Rosę nie potrafiła odpowiedzieć. Pomogła matce wdziac śliczną, bladożółtą, muślinową sukienkę, którą miała od lat i która dawno wyszła z mody. Tyle że to nie miało żadnego znaczenia, bo matka była piękną kobietą i w każdej sukience wyglądała zachwycająco. Znalazła żółtą wstążkę i wplotła ją w warkocz.

1. Chciałabym, żeby Miles już wrócił - powiedziała matka.
2. Ja też. To taki miły człowiek. Dla mnie jest zawsze uprzejmy. Podoba mi się, że zawsze przychodzi nas odwiedzić.
3. Och, tak - odparła matka.

- Mary Rosę ubrała się szybko i ostrożnie szła za matką na dół. U podstawy schodów zauważyła Tysena, który stał i przyglądał się im uważnie. Sir Lyon stał obok i również patrzył w ich stronę. Jej matka uniosła dłoń w geście powitania i przyglądała się przez chwilę gościowi, a potem rzekła do córki:

1. Nie ufaj temu Anglikowi. Jest stanowczo zbyt przystojny. Na pewno grzech leży w jego naturze.
2. Nie, mamó. To nieprawda ~ rzekła Mary Rosę cicho, mając nadzieję, że Tysen jej nie słyszy.
3. A mnie mówiono - powiedział Tysen głosem donośnym, dosięgającym każdego kąta w domu - że nie powinienem ufać Szkotom.

- Sir Lyon zaśmiał się głośno, odchylając głowę do tyłu. Z jadalni wyszła Donnatella, spojrzała w stronę Gweneth i Mary Rosę, i powiedziała:
  - - Niech pan na nią nie zwraca uwagi. To tylko matka Mary Rosę. Jest szalona.
  - Gweneth Fordyce chwyciła ramię córki i odparła dumnie:
    - - Jestem szalona, kiedy mi to odpowiada, Donnatello. Ty jednak jesteś wredną suka, czy tego chcesz, czy nie.
  - Może to prawda, pomyślała nagle Mary Rosę w przypiływie olśnienia. Może matka celowo wybrała życie w innym, własnym świecie. Gweneth puściła ramię córki i z gracją zeszała po schodach, trzymając wysoko głowę. Wyglądała jak królowa.
    - - Pragnę zjeść teraz śniadanie, moje dziecko. Przyrowadź do stołu nowego lorda.
    - - Tak, mamó.
    - Tysen skłonił się pospiesznie.
    - - Z przyjemnością, pani.
  - To była dziwna rozmowa, pomyślał Tysen, jadąc konno kilka godzin później obok Mary Rosę. Miał wielkie doświadczenie w rozmowie z różnymi ludźmi, o różnych manierach i wykształceniu, charakterze i sposobie bycia. Zawsze nieźle sobie z tym radził, ale Gweneth



Fordyce zupełnie go zaskoczyła. Postąpiła jednak nieładnie, zawstydzając córkę w jego obecności. Było mu z tego powodu przykro. Ciągłe mówiła coś o ślepej wierze Mary Rosę w uczciwość ludzi, zwłaszcza mężczyzn i o tym, że mężczyźni zostali stworzeni przez diabła po to, by niszczyć kobiety. Tysen zaśmiał się wtedy i powiedział:

1. Czasem sam dzielam tę opinię, pani Fordyce.
2. Jestem panną Fordyce, starą panną.
3. Tak, pani, wiem o tym.
4. Tak więc moja córka jest bękartem.

- - Być może tak jest faktycznie, ale jej charakter zdecydowanie temu zaprzecza - zażartował.
- Mary Rosę popatrzyła na niego zdziwiona i za - krztusiła się herbatą. Teraz Mary Rosę zatrzymała starą klacz o imieniu Prymulka tuż obok rwącego strumienia, i powiedziała:
  - - To jedno z moich ulubionych miejsc. Chciałby pan chwilę odpocząć?
  - Zostawili konie. Wielki nie interesował się w ogóle Prymulką, pewnie dlatego, że była chudą, kościstą szkapą, na dodatek bardzo złośliwą. Dzięki temu konie mogły sobie chodzić wolno. Tysen usiadł na brzegu strumienia obok Mary Rosę. Woda huczała głośno, przewalając się z dużą szybkością po skałach.

1. Pani matka wcale nie wydała mi się szalona - powiedział głośniejszym głosem, by przekrzyczeć rwący potok.
2. Wydaje mi się teraz, że wybrała szaleństwo, bo nie umie sobie radzić z normalnym światem - odparła dziewczyna. Potrząsnęła głową, a w jej głosie zabrzmiała gorycz i żal. - Rozumiem też, że jej szaleństwo to doskonały pretekst, by mogła mówić, co jej się żywnie podoba.
3. Przykro mi, ale zdaje się, że tak właśnie jest.

- Co to za matka, która ucieka w szaleństwo i zostawia swoje dziecko na pastwę losu? - pomyślał jednocześnie. Gweneth Fordyce była piękną kobietą i wydawała się zupełnie niegroźna, ale to chyba nie była cała prawda. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Wydała mu się samolubna.

1. Dlaczego ona tak bardzo nie lubi Donnatelli?
2. Ponieważ Donnatella jest córką właścicieli, a ja jestem wstydliwym tematem w tym domu. Mama również z całego serca nie cierpi swojej siostry, lady Margaret. Teraz pewnie zastanawia się pan, dlaczego mieszkamy w posiadłości Vallance, skoro tak to wygląda.

- - Tak, ale nie chciałem się okazać zbyt wścibski. Mary Rosę tylko wzruszyła ramionami.
- - Prawda jest taka, że po prostu nie mamy gdzie się podziać. Nie mamy pieniędzy. Matka nigdy nikomu nie powiedziała, kto jest moim ojcem. Jestem podobna tylko do niej, więc tak naprawdę nikt nawet się nie domyśla, kim on jest.

1. Pani ojciec był pewnie żonaty. To nie jest nic wyjątkowego. Szkoda tylko, że nie zadbał o wasz byt. Nie ma pani żadnej wskazówki co do jego tożsamości?
2. Niestety, nie. Mama nie chce mi pomóc w tej kwestii. Kiedy tylko ją o to pytam, zawsze ma

minę, jakby nic do niej nie docierało. Jeśli mój ojciec żyje, to pewnie jego żona również jeszcze żyje, bo inaczej ożeniłby się z moją matką, prawda?

3. Mam taką nadzieję.

4. Ale kto to wie. To było dwadzieścia pięć lat temu. - Przerwała na chwilę i zapatrzyła się w płynącą wartko wodę. - Czy to nie dziwne, że choćby życie było nie wiem jak ciężkie, wciąż musimy, po prostu musimy sobie jakoś radzić?

- - Tak - odparł. Miękkie brzmienie jej głosu sprawiało mu przyjemność i rozgrzewało ciało.
- - Twój wuj też nie wie, kim jest twój ojciec?
- Potrząsnęła głową, a rude loki zatańczyły wokół jej twarzy.

1. Nie, gdyby on to wiedział, wiedziałyby też cała Szkocja. To nie jest najbardziej dyskretny człowiek. Przykro mi, że matka cię obraziła.

2. Nieźle mi dołożyła - rzekł Tysen i wyłowił z wody śliską, zieloną roślinkę. Pachniała dziwnie słodko. - Trudno nie podziwiać twojej matki. Nie zraniła mnie jednak. *Dinnafacheyerself.*

- Uśmiechnęła się.

1. To brzmiało bardzo miejscowo, milordzie.

2. Och, staram się.

3. Jak sobie pan radzi z panią Griffin?

- Moi goście, państwo Griffinowie, obrazali mnie tak długo, że nie miałem wyjścia i musiałem ich wyprosić. Meggie, która powinna dostać w skórę, choć i to by pewnie nie pomogło, postanowiła sama wygonić ich z zamku i uczyniła to tak skutecznie, że ruszyli skoro świt.

1. Jak jej się to udało?

2. Udawała ducha przed tą starą wiedźmą i przeraziła ją śmiertelnie.

3. Opowiedz mi o wszystkim. Twoja Meggie jest bardzo pomysłowym dzieckiem. Pani Griffin bywała w zamku Kildrummy od zawsze. Podobno kiedyś pan Griffin był krewkim jegomościem, ale teraz pani Griffin pociąga za sznurki. Taki układ trwa od dawna, od kiedy pamiętam. Ciekawam, czyjego oddanie dla niej jest tylko udawane. Nie sposób zgadnąć. - Przerwała i uśmiechnęła się. - Nigdy nie zwróciła na mnie uwagi, bo jestem bękartem. Nie zaproszono mnie nawet na herbatę do zamku. Tylko Donnatellę.

4. Mary Rosę, czy masz zamiar poślubić Ericksona MacPhaila?

- O mało nie wpadła do strumienia, tak gwałtownie się poderwała z miejsca. Złapał ją za rękę i przytrzymał.

1. Przepraszam, musiałem o to zapytać. Powinnaś wiedzieć, że twój wuj jest przekonany, iż w końcu się na to zgodzisz, zwłaszcza jeśli Erickson będzie miał okazję porozmawiać z tobą sam na sam.

2. Prędzej rzucę się do morza, niż go poślubię - powiedziała. I Tysen jej wierzył. - Wygląda na uroczonego, młodego człowieka, ale nim nie jest. Tak naprawdę, to nawet nie jest miodny. Ma już chyba pod trzydziestkę.

- Tysen zobaczy! w jej oczach ból, który najwyraźniej dokuczał jej od lat. To mogło być jakieś przykre wspomnienie.
- - Co takiego? Co ci się przypomniało, Mary Rosę?
- Powoli odwróciła twarz w jego stronę.
- - Kiedy miałam dziesięć lat, widziałam, jak narzucał się mojej matce.

## ROZDZIAŁ 10

- Tysen usiadł przy bardzo starym, podniszczonym biurku w dusznej bibliotece. Miles MacNeily siedział obok niego. Tysen przewidywał, że zarządca majątku będzie starym, zasuszonym człowiekiem z kępkami siwych włosów tworzących wianuszek wokół łysej głowy, ale rzeczywistość okazała się inna. Miles nie wyglądał na więcej niż czterdzieści pięć lat. Był wysoki i szczupły, bardzo elegancki i przystojny. Jak większość Szkotów miał rude włosy i niebieskie oczy. Tysen zastanawiał się, dlaczego ten mężczyzna jeszcze się nie ożenił.
  - - Tak, milordzie, świetnie pan wszystko rozumie, to pewnie dlatego, że pochodzi pan z wielkiego majątku w Anglii. Kildrummy przy pana rodzinnych dobrach pewnie wydaje się panu raczej nędzny.
  - Tysen uśmiechnął się tylko i spojrzał na inteligentną twarz rządcy. Potrząsnął głową. Wiedział, że będzie mu brakowało tego człowieka. Wiele się od niego nauczył. Okazało się, że matka Milesa zostawiła mu w spadku spory majątek pod Inverness. Tak więc w ciągu miesiąca musiał opuścić Kildrummy.
  - - Prawdę mówiąc, Miles - rzekł Tysen - to mój brat jest hrabią i panem całego rodzinnego majątku. Nie zapominaj, że ja jestem tylko pastorem. Zawsze nim byłem. Wszystko, co wiem na temat zarządzania, wiem tylko ze słyszenia.
  - Miles uśmiechnął się łagodnie.
1. Może i tak, ale ma pan bystry umysł, milordzie. Zostawiam Kildrummy w dobrych rękach.
  2. Dziękuję. Nawet pastor lubi czasem usłyszeć komplement na swój temat. Dobrze ci się pracowało z poprzednim baronem?
  3. Z Tyronnem? Ten to potrafił wrzeszczeć. Jak nikt inny. Nauczyłem się go unikać, kiedy widziałem, że wzbiera w nim kolejny atak furii. Nie chciałem stracić słuchu. Po prostu czmychałem, gdzie pieprz rośnie. Ta - aak... Pracowało nam się dość dobrze, ale dopiero po dwunastu latach powoli zaczął mi ufać. Kildrummy było moim domem przez prawie całe moje dorosłe życie. Byłem tu szczęśliwy. Będę tęsknił! za tym miejscem.
- Pracowali jeszcze przez godzinę, omawiając sytuację wszystkich dzierżawców. Dyskutowali o problemach, które ci ludzie mieli już teraz i które mogły się pojawić w najbliższej przyszłości. Omówili stan budynków we wsi należących do majątku, a także ilość owiec, krów i niezbędne naprawy do wykonania jeszcze przed zimą. Pracowali długo. Tysen wiedział, że jest mnóstwo szczegółów, które będzie musiał zapamiętać, jeśli ma dobrze zarządzać Kildrummy. Przypomniawszy sobie, że niedługo wróci do Anglii, do swego kościoła i trzódki wiernych, i do życia, które teraz wydawało mu się bardzo odległe. Meggie zapukała do drzwi i zajrzała do pokoju jakąś godzinę później. Uśmiechnęła się do ojca i dygnęła na widok Milesa.
  - - Mam panów powiadomić, że podano herbatę.

- Tysen szybko się zorientował, że Miles już uległ czarowi jego wdzięcznej córeczki. Mała uśmiechała się do niego słodko. Błysk w jej oczach dawał temu mężczyźnie do zrozumienia, że może być jej ulubionym wujkiem. Miles był wniebowzięty. Tysen tylko potrząsnął głową. Po chwili Tysen popijał już herbatę i nagle zdał sobie sprawę, jak może rozwiązać problem zarządcy w Kildrummy. To było bardzo proste.

1. Oliver - powiedział głośno. Meggie odwróciła się do niego.
2. Co z Oliverem, tatku?

- - Twój wuj, Douglas, chciałby, żeby Oliver pomagał mu zarządzać majątkiem Northcliffe. Ja zaś uważam, że w Szkocji Oliver doskonale da sobie radę. To on mógłby zarządzać Kildrummy.
- Tysen potarł dłonie z zadowolenia i opowiedział Milesowi o Oliverze: - ...Mój brat, Ryder Sherbrooke, zawsze przyjmował do swego domu biedne sieroty. Kochał je i dbał o nie. Zapewniał im również wykształcenie. Oliver Dalrymple jest jednym z pierwszych przyjętych do domu brata dzieci. Ile on ma teraz lat, Meggie? Chyba dwadzieścia.
- - Dwadzieścia jeden, tatku. Wrócił z Oksfordu w czerwcu - powiedziała mała i zwróciła się do Milesa: - Jak się panu podoba nazwisko Dalrymple?

1. Brzmi bardzo dostojnie. U sterów rządu było kilku ludzi o tym nazwisku.
2. Tak, i dlatego właśnie wujek Ryder wybrał to nazwisko dla Olivera. Oliver nie wiedział, kim był jego ojciec, a matka zmarła po długiej chorobie. Nikt nie wiedział, na co chorowała. Kiedy zmarła, znaleziono przy niej chłopca o imieniu Oliver. Tak, to nazwisko do niego pasuje.
3. Miał wiele szczęścia - rzekł Miles. - Nieczęsto się zdarza, by ktoś przygarnął sierotę. Pański brat to wspaniały człowiek, milordzie.
4. Wszyscy jego podopieczni mieli wiele szczęścia - powiedziała Meggie, nalewając Milesowi jeszcze jedną filiżankę herbaty. Po naukach u ciotki Alex Meggie potrafiła to robić bezbłędnie.

- Tysen znów zatarł dłonie.
- - Muszę napisać list. Miles, później do ciebie dołączę. Meggie, nie rozrabiaj.
- Tysen napisał dwa listy: jeden do Olivera, drugi do Douglasa, po czym wysłał Ardle'a, jednego z chłopców stajennych, by dostarczył je do Edynburga. A teraz, pomyślał, pora spotkać się z Ericksonem MacPhailem na jego terenie. Znalazł dom MacPhaila bez trudności. Rozmiarem przypominał dom sir Lyona, ale nie był tak ładnie utrzymany. Trawnik aż się prosił o ostrą kosę, ściany wymagały malowania, a brukowany podjazd uzupełnienia. MacPhaila nie było w domu. Gosposia o zaciętych ustach, brudnych dłoniach i takich że rękawach powiedziała Tysenowi, że pan wybrał się na przejażdżkę. Było późne popołudnie. Mary Rosę jechała konno w stronę strumienia. Dziesięć minut później nadjechał Erickson.

1. Wyjdź za mnie - powiedział.
2. Nie chcę - odparła spokojnie i cierpliwie, choć serce biło jej tak szybko, że mało nie wyrwało się z piersi.
3. Mówiłaś mi to już, Mary Rosę - rzekł równie spokojnie i trochę protekcyjnie, ponieważ sądził, że dziewczyna po prostu się z nim droczy. Traktował jej odmowę jak głupie babskie

gierki, których miał już dość. Ostatnio, kiedy mu uciekła do lasu i zgubiła go w gęstwinie, poczuł coś więcej niż zniecierpliwienie.

- Była naprawdę ładna. Wiedział, że w końcu i tak zrobi, co będzie chciał. Tak, miała niepospolitą urodę. Gęste, kręcone włosy lśniły wszystkimi odcieniami czerwieni, od jasnorudego, po ciemny mahoń. Podniósł dłoń, jakby chciał dotknąć rudych loków, ale zrezygnował. Oczy w odcieniu soczystej zieleni odziedziczyła po matce. Pamiętał, jaka piękna i namiętna była Gweneth. Mary Rose miała wąski nos i kształtne brwi. Jej usta... bardzo podobały mu się jej usta. Chciał je znów pocałować, by poczuć ich miękkość. Na nosie miała kilka jasnych piegów. Patrzyła na niego niezbyt zachęcająco. Dlaczego go nie chciała? Nie, to tylko głupia babska gra. Zaczynało go to drażnić. Ciągle się opierała. Przeklęta, powinna klęczeć przed nim na kolanach i całować jego dłoń, dziękując za łaskę, ale ona potrzasała tylko głową i zadzierała dumnie ten nieznośny nos.
- - Proszę, uwierz mi, Ericksonie. Nie bawię się z tobą w ciuciubabkę. To nie jest żadna gra. Nigdy nie umiałam kokietować jak inne kobiety. Posłuchaj mnie uważnie. Naprawdę nie chcę wyjść za ciebie za męża.
- W końcu jej uwierzył, zauważyła to. Nie mógł zrozumieć, zaczął więc podejrzewać, że skierowała uczucia ku komuś innemu.

1. Kim jest ten człowiek, którego pragniesz? - zapytał szorstkim z gniewu głosem.
2. Nie ma innego - rzekła, ale w jej oczach zauważył coś, co ją zdradziło. Zrozumiał.
3. Na Boga - zakrzyknął. - To ten przeklęty pastor? Znasz go od tygodnia. Tylko dlatego, że jest pastorem, wierzysz, głupia dziewczko, że będzie dla ciebie dobry i czuły? Myślisz, że zawsze będzie cię traktował jak cenny jedwab? Ale to nie delikatności trzeba kobiecie.
4. Jak śmiesz, Ericksonie. Nie powinieneś go obrażać. Nawet go nie znasz, a ja tak.
5. Założę się, że ten śliczny chłopiec nie wiedział - , by, co zrobić z kobietą, nawet gdyby stanęła przed nim naga.
6. To bzdura. On ma troje dzieci!
7. Pewnie żona pokazała mu, co robić, żeby mógł dopełnić małżeńskich obowiązków.
8. Przestań.

- Erickson zrozumiał, że w ten sposób nic nie osiągnie. Wciąż chciał ją przekonać, zyskać jej przychylność, więc powiedział już spokojniej, ze współczuciem w głosie:
- - Zachowujesz się niemądrze, Mary Rose. Nie myślisz racjonalnie. To nowy lord Barthwick. Pochodzi z szanowanej, angielskiej rodziny. Nie ożeni się z tobą. Poza tym wątpię, czy on w ogóle wie, co znaczy żywić uczucia do kobiety albo jej pożądać. To pastor, na litość boską. On śpi z Biblią, a kiedy ktoś chce go skrzywdzić, składa ręce do modlitwy.
- Zauważył, jak poczerwieniała, a piegi na jej nosie stały się bardziej widoczne.
- - Och, bądźmy szczerzy, Mary Rose, jesteś bękartem. I masz już swoje lata. Jestem jedynym mężczyzną, który chce cię poślubić.
- - Nie.

1. Dobrze więc - rzeki i wzrokiem dotknął jej piersi. Wiedziała, że nie ma już nadziei. Triumfalny uśmiech na jego twarzy świadczył o przeczuwanym zwycięstwie. Tak, Erickson

cieszył się na coś, co sprawi mu przyjemność, niezależnie od tego, co ona będzie miała do powiedzenia. Potrząsnęła głową.

- Nie mam pieniędzy. Człowiek o twojej pozycji nie żeni się, jeśli nie może na tym czegoś zyskać. To nie ma sensu. Głupotą z twojej strony byłoby żenić się z bękartem. Twojej matce się to nie spodoba. Na pewno ci zabroni.
- - To nie ma znaczenia. Będę miał to, czego zapragnę. Zaufaj mi, Mary Rose, potrafię sprawić ci rozkosz.
- - Nie.
- - Więc na początku będzie trochę nieprzyjemnie. Potem, kiedy zasmakujesz cielesnej miłości, przestaniesz mi się opierać.
- Zrobił krok w jej stronę. Był dwa razy większy od niej. Nie miała wyjścia, wzięła głęboki oddech i wskoczyła do strumienia. Krzyknęła, kiedy jej ciało znalazło się w wodzie. Nie zdawała sobie sprawy, że będzie tak paraliżująco zimna. Nie mogła złapać oddechu, czuła jakby zamarły jej płuca, zmartwiały ramiona i nogi. Walczyła z bólem, wypływając na powierzchnię. Prąd już zabrał ją kilka metrów dalej. Zobaczyła go, jak stał na brzegu. Krzyczał głośno, a ona modliła się, by nie wskoczył za nią. Przez chwilę wyglądało na to, że skoczy, ale zrezygnował. Przynajmniej głowę miała nad powierzchnią. Płynęła wśród ostrych skał, a prąd był tak silny, że zahaczała po drodze w każdy wystający kamień. Czuła ostry ból przy każdym uderzeniu. Modliła się, by jedyną karą od Boga za ten nierozsądny krok były sińce, a nie złamany kark. Ostre kamienie podarły jej suknię i przecinały skórę. Woda mroziła jej ciało, a silny prąd miotał nią o głazy jak szmacianą lalką. Wiedziała, że jeśli zaraz nie wyjdzie z wody, umrze z zimna. Jej biedna klaczka, Prymulka stoi pewnie tam, gdzie ją zostawiła. Miała nadzieję, że Erickson nie zabierze jej ze sobą. Mógł teraz jechać sobie wzdłuż strumienia i śmiać się z niej na głos, póki nie uda jej się wyjść na brzeg. Potem tylko do niej podejdzie, z tym pożądanym uśmiechem, i dokończy to, czego nie zdążył zacząć. Zauważyła drzewa, które obrastały brzeg strumienia. Tutaj nie podjedzie. Woda rzuciła ją na złamaną gałąź dębu, która unosiła się nad wodą, podskakując wraz z rwącym wirem. Mary Rose złapała ją z całych sił, modląc się, by się utrzymać. Była przemoknięta, palce jej zgrabiały, w całym ciele czuła ból spowodowany zimnem, ale nie miała zamiaru puścić gałęzi. Wzięła głęboki oddech i podciągnęła się powoli w górę. Z trudem wydostawała się z rwącego potoku. Woda wiła się wokół niej, wciągając z powrotem. Nie była pewna, czyjej się uda. Wyobraziła sobie Ericksona, który rozsuwa jej nogi i patrzy na nią pożądliwie. Chwyciła gałąź mocniej i już po chwili siedziała na niej. Konar pochylił się znacznie, niebezpiecznie sięgając poziomu wody. Proszę, nie złam się, proszę, myślała. Przesuwała się w górę gałęzi. Przyłgnęła do kory z całych sił, chwilę odpoczywała, i znowu zaczęła przesuwac się w górę. Udało się. Oddychała głęboko, dziękując opatrności, że żyje i że Ericksona nie ma nigdzie w pobliżu. Teraz już pewnie odjechał daleko, gdzie kończyły się kępy drzew i zaczynał wodospad wysoki na przynajmniej cztery metry. Drżała cała, schodząc z drzewa. Nie czuła nóg, mokrych i zmarzniętych w butach do konnej jazdy. Suknia przyklejała się do jej ud, krępowała ruchy i przyginała do ziemi dodatkowym ciężarem. Mokre włosy oklejały jej twarz. Jak daleko zmyła ją woda? Może milę w dół strumienia, może więcej. Miała nadzieję, że mniej. Z trudem łapała oddech. Kiedy poczuła pod stopami ziemię, przez chwilę trzymała się jeszcze pnia drzewa, by nie upaść. Ależ jestem głupia, pomyślała. Nie

mogła uwierzyć, że wskoczyła do rwącego potoku. Jednak wskoczyłaby i do morza, byle uciec od Ericksona MacPhaila. Wszystko było lepsze niż gwałt. Zaczęła iść z powrotem do miejsca, gdzie zostawiła Prymulkę. Nagle usłyszała nawoływanie i odgłos kopyt dobiegający zza krzaków. Zamarła. Nie, nie był blisko. Jechał w dół strumienia, daleko od niej. Bogu niech będą dzięki. Teraz musiała tylko znaleźć Prymulkę i uciec stąd jak najszybciej. Ale dokąd miała uciekać? Zastanawiała się, czy wuj wpuści Ericksona do domu, kiedy ona opowie o tym, co chciał jej zrobić ten człowiek. W końcu udało jej się znaleźć klaczkę, która leniwie żuła trzcinę. Mary wyprowadziła ją w stronę lasu. Czekwała tam w ciszy. W końcu, kiedy już czuła, że zamarza, wsiadła na Prymulkę i pojechała. Kiedy zbliżyła się do posiadłości Vallance, pierwsze, co zobaczyła za bramą, to był wierzchowiec Ericksona, trzymany przy pysku przez chłopca stajennego. Wiedziała, czuła w duchu, że w tym domu już nie jest bezpieczna. Nie, pomyślała, to już nie jest mój dom. To dom wuja Lyona, a on mnie nie obroni. Nie wiedziała, co robić, ale to już nie miało znaczenia. Zawróciła Prymulkę na południe, w stronę zamku Kildrummy.



## ROZDZIAŁ 11

- *Nunc, vero intersaxum et locum durum sum.* Teraz naprawdę znalazłem się między młotem a kowadłem.
  - - Na litość boską, Mary Rose, co ty tutaj robisz? Cała drzysz. Jesteś zupełnie mokra. Co się stało? Zrzuciła cię klacz? Och i te rany na twoich rękach i twarzy. Zaraz przyprowadzę tatę.
  - Mary Rose chwyciła się ramienia Meggie i ześlizgnęła z Prymulki.
  - - Nie, nie, Meggie. Nie chcę wplątywać twojego ojca w tę... cóż, można to nazwać kabałą. Niestety, wszystko się strasznie pogmatwało. Nie miałam dokąd pójść. Nie mogę zawracać głowy twojemu ojcu. Nie rozumiesz tego? To dobry człowiek i...
  - Wiedziała, że mówi bez sensu. Meggie miała dopiero dziesięć lat i nie powinna uczestniczyć w takich sprawach, ale i tak już było za późno. Zrozumiała, że to dziecko jest jedyną osobą, która może jej pomóc. Wzięła się w garść i powiedziała:
  - - Posłuchaj, Meggie. Nic wielkiego mi się nie stało, trochę się skaleczyłam i posiniaczyłam, ale to nic strasznego. Muszę się ukryć. Pomożesz mi?
  - Meggie nie wahała się ani przez chwilę. Ujęła dłoń Mary Rose w swoją małą rączkę.
  - - Ależ oczywiście. Najpierw zabiorę twoją klacz do stajni. Powiem stajennym, żeby trzymali języki za zębami. Dlaczego nie chcesz, żeby tata ci pomógł?
  - W domu on zawsze o wszystkim wie. Jego wierni przychodzą do niego z każdym kłopotem. On naprawdę potrafi załatwiać takie sprawy, nawet jeśli żona chce uderzyć męża wałkiem do ciasta. Mary Rose o mało się nie roześmiała, ale beznadziejna sytuacja, w jakiej się znalazła, sprawiła, że posmutniała jeszcze bardziej.
1. Szczerze mówiąc, to pani Crow naprawdę uderzyła męża w głowę i on stracił na jakiś czas pamięć. Tata myślał, że udawał, ale tak czy siak, żona od tej pory była dla niego bardzo miła.
  2. Nie mogę zwrócić się do twego ojca, Meggie, uwierz mi.
- Nie mogła powiedzieć, że to stanowiłoby dla niego zagrożenie i postawiło między Ericksonem a wujem Lyonem, albo może obaj wystąpiliby przeciwko niemu. Nie, na pewno wuj nie wiedział, co Erickson miał zamiar zrobić. Na pewno nie zgodził się, by tym sposobem Erickson zdobył sobie jej przychyłność i obietnicę małżeństwa. Ale nie była pewna. Jeśli nie miała pewności, nie mogła ryzykować. Głos jej drżał, kiedy powiedziała:
1. Muszę się tylko ukryć na jakiś czas, póki się wszystko nie uspokoi. Twój tata nie powinien o tym wiedzieć.
  2. Dobrze, Mary Rose. Coś wymyślimy - odparła Meggie.
- Mary Rose patrzyła, jak dziewczynka oddaje wodze Prymulki Ardle'owi, który skinął głową, nie odrywając od niej wzroku. Nie zaskoczyło jej to wcale. Ardle znał ją od dawna, a teraz na pewno wyglądała jak wariatka.

- - Dziękuję, Ardle - powiedziała. - Naprawdę, bardzo ci dziękuję.
- - Zajmę się Prymulką, Mary Rose. *Dinna yefache yerself.*
- Była mu wdzięczna. Uśmiechnęła się, kiedy przypomniała sobie, jak powiedział to do niej z angielskim akcentem Tysen. Jego „r” nie było tak dźwięczne jak u Szkota.

1. Dziękuję - powtórzyła i delikatnie dotknęła palcami jego wełnianej kapoty.
2. Chodźmy, Mary Rose - szepnęła Meggie. - Jesteś zmęczona i przemoczona. Wiem, gdzie cię schować. Pewnie strasznie ci zimno. Ręce masz jak z lodu. Nie chcę, żebyś się rozchorowała. Pośpieszmy się.

- Meggie powiodła ją wejściem dla służby, schodami na górę. Co chwila rozglądała się, czy nikogo nie ma. Usłyszały, jak pani MacFardle śpiewa sobie pod nosem w jednym z pokoi.

1. Ależ ładnie śpiewa - zauważyła Meggie. - Nie sądziłam, że ona może z siebie wydawać przyjemne dźwięki. Na szczęście nie natknęłyśmy się na Poudera. Zwykle siedzi przy frontowych drzwiach, ale nigdy nic nie wiadomo. Zresztą, ty znasz Poudera lepiej niż ja.
2. Och, tak. Poudier siedzi na krześle przy wejściu dłużej niż ja żyję na tym świecie.
3. Kilka razy o mało się o niego nie potknęłam. Jest teraz młodszym służącym taty. Mówi, że zawsze o tym marzył.
4. Lubię Poudera - powiedziała Mary Rose. - Zawsze był dla mnie miły.

- Wzięła głęboki oddech i próbowała się uspokoić. Tak naprawdę pragnęła tylko zniknąć, stać się niewidzialną, położyć się gdzieś w kącie i udawać, że jej nie ma. Nie mogła, niestety, tego zrobić. Potulnie szła za Meggie Sherbrooke do jej sypialni w północnej wieży. To był ulubiony pokój Mary Rose. Jako dziecko wiele godzin spędziła w tym pomieszczeniu, dobrze się bawiąc. To była sypialnia lana, ale Meggie tego nie wiedziała.

1. Zdejmij ubranie, Mary Rose i wejdź do łóżka, żeby się rozgrzać. Zaraz znajdę drugą kołdrę. Ojej, chyba nie mam niczego, co mogłabyś na siebie włożyć. Jesteś trochę większa niż ja.
2. Tak - odparła Mary Rose z ledwie zauważalnym uśmiechem. - Tak, jestem trochę większa od ciebie.

- Zdejmowała mokre ubrania, które nieprzyjemnie oblepiały jej ciało. Po dwóch minutach była już w łóżku, a buty do jazdy konnej i mokra odzież leżały obok na podłodze. Trzęsła się pod kołdrami, którymi okryła ją Meggie. Dziewczynka dotknęła jej policzka i powiedziała:

- - Znajdę dla ciebie jakieś ubranie, nie martw się. Tak, coś wymyślę. Zostań tu, a ja przyniosę gorącej herbaty. To najlepsze na uspokojenie. Tak mówi tata. Nie wiem właściwie dlaczego, ale chyba ma rację. Tata prawie zawsze ma rację.

- Meggie wymknęła się z sypialni i cicho zamknęła za sobą drzwi. Mary Rose skuliła się, próbując się rozgrzać, ale była mocno przemarznięta. Czowała lód we krwi, w kościach, w każdym kawałku ciała. Próbowała oddychać powoli, głęboko. Próbowała się uspokoić. Już nie porywał jej strumień. Teraz czuła się bezpieczna. Ericksona nie było w pobliżu. *Oddychaj powoli. Tak. Oddychaj powoli. Poradzisz sobie, Mary Rose. Teraz już jesteś bezpieczna. Oddychaj.* Po nieznośnie długiej chwili w końcu zaczęła się rozgrzewać. Spróbowała rozdzielić palcami

poplątane włosy. Musiała wyjąć obie ręce spod kołdry i znów poczuła zimno. Przykryła się więc kołdrą po sam nos. Kiedy było jej już naprawdę ciepło, zdała sobie sprawę, że całe jej ciało jest obolałe. Cóż, mogła się tego spodziewać. Rwący potok uderzał nią o każdą skałę, przeciągnął po każdym kamyku. Zastanawiała się teraz, czy jest mocno poraniona i czy krwawi. Nie chciała zabrudzić pościeli Meggie. Przestała się zastanawiać, kiedy usłyszała kroki pod drzwiami sypialni. Proszę, niech to będzie Meggie, pomyślała, ale to nie była ona. Usłyszała pukanie do drzwi i głos Tysena:

- - Meggie, jesteś tu?
- Serce podeszło jej do gardła. Boże, co robić? Na szczęście niemal natychmiast usłyszała głos dziewczynki, słodki i uradowany:
- - Tatku! Co ty tutaj robisz? Potrzebujesz mnie? Mam coś zrobić?
- Tysen uniósł brwi, zdziwiony jej gotowością do pomocy, i spojrzał uważnie na córkę.
- - Tak, chciałem cię zapytać, czy zagrasz ze mną w szachy przed kolacją.
- Mała nic nie powiedziała, co jak na nią było dość niezwykle. Odkąd pamiętał, nie zdarzyło jej się zapomnieć języka w buzi.

1. A cóż to, taca z herbatą? - zauważył Tysen. - Zrobiłaś sobie bal w sypialni?
2. Tak, tatku. Chętnie zagram z tobą w szachy.
3. Meggie...
4. Och, taca. Cóż, chciałam skomponować piosenkę, ale gardło mam tak wyschnięte, że nie mogłabym jej zaśpiewać, więc przyniosłam sobie herbatę.

- Nastąpiła cisza. Mary Rosę, wciąż zziębnięta i obolała, zastanawiała się, czy Tysen uwierzy w te bzdury. Oczywiście, nie uwierzył.
- - Meggie, co tu się dzieje? Przestań zmyślać i powiedz mi natychmiast prawdę.
- Mary znów zrobiło się zimno. Wstrzymała oddech. On za chwilę tu wejdzie, zobaczy ją i zacznie sobie zadawać pytanie, po co, u licha, w ogóle przyjechał do tej przeklętej Szkocji. Gdyby miała dość siły, ze - szłaby z łóżka i wczołgała się pod nie. Ale nie miała już siły na nic. Leżała więc na łóżku, a spod kołdry wystawały tylko jej oczy i potargane, rude włosy. Cisza. Było zbyt cicho. Po chwili jednak usłyszała głosik Meggie:
- - Tatku, nie każ mi wszystkiego opowiedzieć, dobrze? Złożyłam komuś przysięgę, że dochowam tajemnicy i jeśli jej nie dotrzymam, moja dusza będzie się smażyła w piekle. Nie mogę powiedzieć nikomu. Nawet tobie.
- Znów cisza. I po chwili głos Tysena, z nutką podziwu:
- - Ale w końcu kiedyś mi powiesz, co tam robisz?
- - Jak tylko będę mogła, tatku. Obiecuję.
- Pewnie pomyślał, że to nic ważnego, jakieś zabawy małej dziewczynki. Mary Rosę miała ochotę krzyczeć ze szczęścia. Nie poruszyła się jednak. Meggie też nie weszła do środka, póki Tysen nie zniknął za zakrętem długiego korytarza. Meggie weszła do pokoju czerwona po same uszy. Mary Rosę patrzyła, jak dziewczynka przekręca wielki klucz, tkwiący w zamku, a potem niesie tacę z herbatą i stawia ją na małym stoliku przy łóżku.
- - Dziękuję, Meggie. Tak mi przykro.

1. Nie musiałam mu skłamać - powiedziała spokojnie Meggie, nalewając gorącą herbatę do

wielkiego, ciężkiego kubka. - Ulżyło mi. Nienawidzę kłamać tacie, bo wiem, że to go bardzo boli. Rozumiesz, o co mi chodzi?

2. Tak. Kiedy jest rozczarowany, masz ochotę zapaść się pod ziemię.

- Tak, to prawda - rzekła Meggie, podając jej kubek. - Niektórzy sądzą, że kiedy się tak często kłamie, to łatwiej jest później skłamać takiej osobie, ale to nic nie zmienia. O, mój Boże, Mary Rosę, twoja ręka i twarz są całe podrapane.
- - Tak, wiem, ale to nic groźnego.
- Tak naprawdę Mary Rosę wcale nie miała ochoty spojrzeć na swoje okaleczenia. Chciała tylko wypić tę doskonałą herbatę w malowanym kubku. Nie powiedziała ani słowa, tylko połykała herbatę. Kiedy skończyła, położyła głowę na poduszce i głęboko westchnęła.
- - Wyśmienita herbata, Meggie. Ocaliłaś mi życie. Wskoczyłam do rwącego potoku i obijałam się o skały. Trochę mnie poraniło. Mam sporo sińców, ale nie ma się czym martwić.
- Meggie naląła jej jeszcze.

1. To ulubiony kubek pani MacFardle. Jest największy. - Zauważyła, że Mary Rosę nie jest już tak roztrzęsiona i odetchnęła z ulgą. - Jak długo byłaś w wodzie?

2. Nie więcej niż dziesięć minut. Udało mi się złapać gałąź i wyjść na brzeg. Nic mi nie będzie. Nie martw się już o mnie. Zresztą i tak bym nie utonęła, bo ten potok nie jest dość głęboki, nawet na wiosnę.

- Erickson na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Nie odjechałby sobie, gdyby mogła się utopić.

1. Nie mogłaś wrócić do domu?

2. Najpierw pojechałam do Vallance, ale zrozumiałam, że nie mogę wejść do środka.

- Zauważyła, że Meggie zmarszczyła brwi. Na pewno chciała wiedzieć, co się stało i dlaczego Mary nie mogła mieszkać w Vallance. Jak wytłumaczyć małej dziewczynce, że gdyby nie wskoczyła do strumienia, pewien mężczyzna by ją zgwałcił? Jak jej powiedzieć, że zobaczyła go potem w Vallance i dlatego tam nie została? Sama przecież tego dobrze nie rozumiała. Zamknęła oczy.

1. Nie czuję się najlepiej, Meggie. Mogłabym tu chwilę poleżeć i trochę się przespać?

2. Oczywiście, Mary Rosę. Ja pójdę zagrać z tatą w szachy. Może to go trochę rozerwie i zapomni o mojej tajemnicy, której nie chciałam mu wyjawiać.

- - Nie zapomni. Odjadę tak szybko, jak będę mogła.
- Zastanawiała się, jak ma wyjść z zamku Kildrummy praktycznie bez ubrania. Jej odzienie było w strzępach, a Meggie nie mogła jej zaoferować swojego, miała dopiero dziesięć lat. Westchnęła. Postanowiła pomyśleć o tym wszystkim trochę później, kiedy odpocznie. Tak, poleży sobie godzinkę lub dwie, ogrzeje się i odzyska siły. Godzinkę... Meggie zauważyła, że Mary Rosę śpi. Oddychała swobodnie, ale wciąż była bardzo blada. Stała nad nią i zastanawiała się, co się stało. To musiała być jedna z tych spraw dorosłych ludzi, która, ich

zdaniem, nie nadaje się do opowiedzenia dziecku, nawet bardzo sprytnemu. Delikatnie dotknęła policzka Mary Rosę i pogłaskała go. Musiała już iść, znaleźć ojca. Meggie jadła kolację bardzo wolno, po kolei nabijała ziarna groszku na widelec i wkładała je pojedynczo do ust, zastanawiając się, jak zanieść kolację dla Mary Rosę, nie wzbudzając sensacji.

- - Szybko się uczysz - odezwał się ojciec. - Kiedy wyszłaś damą i powiedziałaś szach, zaczynałem się już martwić.
- Oczywiście nie martwił się, ale to było jedno z tych kłamstewek sprawiających, że dziecko uśmiechało się radośnie i starało się jeszcze bardziej.
- - Naprawdę, tatku?

1. Naprawdę. Po kolacji muszę cię opuścić na chwilę. Pojadę do Ericksona MacPhaila. Trzeba z nim załatwić pewną sprawę. Wcześniej nie było go w domu. Niedługo wrócę.

1. Czy chodzi o Mary Rosę?

- Tysen zaczął kręcić głową, ale zorientował się, że w głosie córki słychać nutkę strachu. Co ona mogła o tym wszystkim wiedzieć?
- - Tak, Meggie, chodzi o Mary Rosę, ale nie martw się, pojadę do niego i wytłumaczę mu... eee... sytuację.
- Czekał, aż mała zacznie go błagać, by wziął ją ze sobą. Ku jego zaskoczeniu, nie powiedziała ani słowa. Z uwagą oglądała polane masłem ziemniaki na środku swojego talerza. To dziwne, pomyślał i zmarszczył brwi. Coś się dzieje, ale co? Nagle w progu stanęła pani MacFardle.

1. Przepraszam, milordzie, ale jest tu sir Lyon. Nalega, by się pan z nim widział natychmiast.

2. Dziękuję, pani MacFardle. Niech pani powie sir Lyonowi, że za chwilę będę.

- Rzucił serwetkę obok talerza i wstał. Natychmiast zauważył, że córka nie ma zamiaru jak zwykle pędzić za nim. Ku jego zaskoczeniu siedziała jeszcze przy stole i chowała do serwetki kawałki chleba. Wyszedł z jadalni. Sir Lyon czekał przy wejściu. Poudier siedział na krześle przy drzwiach z głową opuszczoną aż do klatki piersiowej. Najwyraźniej spał.

1. Co się stało? - zaczął Tysen.

2. Gdzie ona jest, milordzie?

3. Słucham?

- - Mary Rosę. Zniknęła. Nie wróciła do domu z przejażdżki. Przepadła.
- Poczuł natychmiastowy, mrozący krew w żyłach strach. Miał nadzieję, że sir Lyon tego nie zauważy.
- - I sądzi pan, że jest... tutaj?
- - Gdzie mogłaby pójść? Oczywiście jej ciotka twierdzi, że nigdy by tu nie przyjechała, że byłaby zbyt zawstydzona swoim zachowaniem, ale ja się z nią nie zgadzam. Niech pan powie tej dziewczynie, że ma natychmiast wrócić do domu.

1. Przykro mi - odparł Tysen, patrząc na sir Lyona, którego twarz zaczęła niepokojąco czerwienić - obawiam się, że nie wiem, o czym pan mówi. Dlaczego Mary Rosę miałyby zniknąć? Co się wydarzyło?
2. Nie wiem - odparł sir Lyon.
3. Nie potrafi pan kłamać, sir. Proszę wejść do salonu. Opowie mi pan, z jakiego powodu Mary Rosę postanowiła uciec z domu.

- Sir Lyon nie ruszył się o krok, tylko wrzasnął na całe gardło:
- - Niech to szlag, nic nie mam panu do powiedzenia, zwłaszcza panu, przeklęty pastorze! To moja siostrzenica. Jest pod moją opieką, niech ją diabli. Chce ją mieć z powrotem w domu! I to już!
- Poudier podskoczył i zamrugnął zdziwiony, potrząsając głową.
- - Nie ma jej tu - odparł Tysen spokojnie.
- - Prawda - wtrącił Poudier. - Mary Rosę tu nie przyjechała. Nie odchodziłem z mojego posterunku cały dzień. Tylko trzy godziny temu byłem na górze, żeby zawiązać krawaty jego lordowskiej mości.
- Tysen uśmiechnął się do staruszka.
- - Nie ma jej tu - powtórzył.
- Sir Lyon potrafił rozpoznać kłamstwo. Wiedział, że ten przeklęty Anglik nie kłamał. Patrzył mu prosto w oczy. Ten miody człowiek mówił pewnym głosem. Nie był zdenerwowany. Niech go szlag.
- - Więc gdzie ona jest?
- Tysen, równocześnie ze strachem o Mary Rosę, czuł narastającą złość na tego aroganckiego pyszałka.

1. Co, na Boga, jej zrobiliście? - zapytał, starając się zachować spokój.
2. Nic, mówię przecież, zupełnie nic. Ta dziewczyna... nie, to już nie jest dziewczyna, niech będzie przeklęta, to jest kobieta. Zachowuje się jak płochliwa sarna. Jest już przecież za stara na takie ceregiele. No i jest uparta, bardziej uparta, niż jej przeklęta szalona matka. Odtrąciła go. Jemu się to, oczywiście, nie spodobało.

- Gniew Tysena zmieniał się we wściekłość. Czuł, jak wre mu krew, pulsuje w całym ciele, dudni w głowie i nabiega do oczu.

1. MacPhail chciał ją... zgwałcić?
2. Do czarta, nie wiem! Skoczyła do przeklętego strumienia i woda porwała ją w dół. Nie mogł jej znaleźć.
3. Chce mi pan powiedzieć, że MacPhail ją tam zostawił i pojechał do pana?

1. Nie, oczywiście, że nie. Szukał jej długo, a potem dotarł do miejsca, gdzie wskoczyła. Jej klaczy już tam nie było. Pewnie dziewczyna wróciła i zabrała ją. Ten potok, nawet wezbrany, nie jest dość głęboki, by mogła się w nim utopić koza, a co dopiero kobieta. Ale niech ją szlag jasny trafi, nie wróciła do domu. - Przeklinał wciąż pod nosem, a potem nagle tak spojrzał, jakby chciał wybuchnąć płaczem. - Jest pan pewien, że jej tu nie ma? Może się schowała?

2. Nie ma jej tu - rzekł znów Tysen, ale teraz już wiedział, że Mary Rosę musi być gdzieś w zamku. Patrzył, jak sir Lyon, szalejąc z wściekłości, robi się purpurowy na twarzy. Wyglądało na to, że jeśli się nie uspokoi, dostanie ataku apopleksji. Poudier nawet się nie poruszył. Nie wstał z krzesła. Nie powiedział ani słowa, tylko patrzył uważnie na sir Lyona. Z jego poranej zmarszczkami twarzy nie sposób było niczego wyczytać.

1. Niech mnie pan powiadomi, gdyby coś się stało - powiedział Tysen i prawie wypchnął intruza za próg.

2. Powie mi pan, jeśli ona tu przyjdzie?

3. Prawdopodobnie nie - odparł Tysen.

- Czekał na schodach, póki sir Lyon nie wsiadł na konia i nie wyjechał przez bramę. Potem wrócił do jadalni, rzucając przez ramię do starego służącego:

1. Nie martw się, Poudier, sir Lyon na pewno się uspokoi.

2. To straszny nerwus, milordzie - rzekł Poudier, nie ruszając się z miejsca. - Może i jest już stary, ale trza na niego uważać. To podstępny wąż.

- Meggie nie było w jadalni. Nawet nie spodziewał się jej tam znaleźć. Co, na litość boską, miał zrobić? Biegł na górę, pokonując po dwa schody. Wskoczyła do cholernego strumienia, żeby uciec od MacPhaila. Wyobraził sobie spienioną, wirującą wodę otaczającą bezwładną Mary Rosę. Zamarła w nim krew. Na szczęście, dzięki Bogu, wiedział, że nie utonęła. Biegi korytarzem do pokoju Meggie. Nie pukał, tylko nacisnął na klamkę. Drzwi były zamknięte. Zazwyczaj spokojny, rozważny i niespieszny do pochopnych działań, teraz wrzeszczał ile sił w płucach:

- - Meggie, otwórz te cholerne drzwi!

- Ku jego zupełnemu zaskoczeniu drzwi sypialni Meggie po chwili rzeczywiście się otworzyły. W środku stała jego córka, spokojna, jak gdyby nigdy nic.

1. Tak, tatku?

2. Gdzie ona jest, Meggie?

- Nie czekał, aż odpowie, wziął ją pod pachy, przestawił na bok i wszedł do środka. Zatrzymał się gwałtownie. Pokój był pusty. Mary Rosę tu nie było. Łóżko pościelone. Kołdra nawet nie muśnięta. Ani śladu po dziewczynie. Odwrócił się do córki i wyszeptał:

- - Gdzie ona jest?

## ROZDZIAŁ 12

1. O kim mówisz, tatku?
2. O Mary Rose, osobie, której niosłaś herbatę kilka godzin temu. Posłuchaj mnie, Meggie. Ona ma kłopoty. Powiedz mi, gdzie ją ukryłaś.
  - Ale Meggie nie powiedziała ani słowa. Przełykała nerwowo ślinę, a potem podeszła do ojca, objęła go rękoma w pasie i przytuliła twarz do jego brzucha.
  - - Tatku, tak się boję. Miałam do ciebie przyjść. Ona jest bardzo chora, cała się trzęsie. Tatku, jest cała poraniona, wszędzie ma sińce. To nie wygląda dobrze. Na dodatek ma gorączkę. Tak się boję. Nie chcę, żeby umarła. Proszę, nie pozwól jej umrzeć.
  - Tysen objął córkę ramieniem i pocałował ją w czubek głowy.
1. Wszystko będzie dobrze, słoneczko. Nie pozwolę, żeby Mary coś się stało. Możesz mi zaufać. Gdzie ją zabrałaś?
2. Pomogłam jej przejść do twojej sypialni. Słyszałam, jak sir Lyon wrzeszczał i przeklinał, więc pobiegłam tu, na górę i wyprowadziłam ją. Wiedziałam, że Poudera nie ma w twojej sypialni, bo siedział na dole, przy wejściu. Chyba już skończył przekładać twoje krawaty.
1. Chyba tak. Wciąż siedzi pod drzwiami i drzemie. - Pogłaskał ją wielką dłonią po ramieniu. - Zabrałaś ją do mojej sypialni? Dlaczego tam, Meggie?
2. Wiedziałam, że sir Lyon nie będzie się domagał obejrzenia twojej prywatnej komnaty.
  - Tysen przytulił ją mocniej i nie przestawał ścisnąć, póki nie odniósł wrażenia, że trochę się uspokoiła.
  - - Nie pozwoliłbym sir Lyonowi zaglądać do żadnego z pokoi, Meggie. Ale dobrze zrobiłaś. Posłuchaj mnie. Oto, co trzeba zrobić.
  - Dwie minuty później Tysen cichutko otworzył drzwi swojej sypialni. W pokoju było ciepło. Podejrzewał, że to Meggie rozpałała ogień w kominku. Była niezrównoważona. Wszedł ostrożnie do środka i spojrzał na Mary Rose. Wciąż mokre, potargane włosy, zwijały się bezładnie wokół jej twarzy. Na tle białej poduszki były czerwone jak krew. Twarz miała zaczerwienioną i rozpaloną. Zamknął na chwilę oczy i wyobraził sobie, jak dziewczyna szarpie się w rwącym strumieniu. Te skały, pomyślał. Jest ich tam tak wiele. Są ostre, nie sposób ich ominąć. Nie miał innego wyjścia. Usiadł obok niej i delikatnie poklepał pokaleczone policzki. Skórę miała gorącą. Nie ruszała się. Znowu ją poklepał.
  - - Mary Rose - powiedział - obudź się. Powiedz coś. Jesteś już bezpieczna. Nie pozwolę, by ktoś cię znowu skrzywdził. Mary Rose, otwórz oczy.
  - Jęknęła cicho. Zsunął z niej nieco kołdrę i mimowolnie się uśmiechnął. Miała na sobie jego koszulę nocną. Na pewno Meggie ją tak ubrała. Dostrzegł sińce i skaleczenia na rękach. Niektóre były dość głębokie. Sączyła się z nich krew. Nie miał innego wyjścia. Nikt inny tego za



niego nie robi. Podciągnął jej koszulę do góry i wstrzymał oddech. Dziewczyna cała była w sińcach, jasnozielonych, żółtych i fioletowych - na żebrach, brzuchu i ramionach. Poza tym widać było skaleczenia, mnóstwo zadrapań. Poczul strach. Strach i wzbierającą złość na tego przekłętą drania, który ją zmusił do skoku w rwącą, lodowatą wodę. Co miał robić? Pani MacFardle miała w szafie maść, którą można było posmarować rany po ich dokładnym oczyszczeniu. Nie, nie mógł nikomu nic powiedzieć. Ona by nie zrozumiała, dlaczego traktował bękarta jak każdego innego człowieka. Nie spodobałoby jej się to. Położył dłoń na piersi Mary, by sprawdzić, czy jej serce bije równomiernie. Przez jedną krótką chwilę popatrzył na nią jak mężczyzna na kobietę. Była pięknie zbudowana. Szybko cofnął dłoń i zamknął na chwilę oczy. Nie powinien się tak zachowywać. Nie mógł sobie na to pozwolić. Była chora. A on był pastorem. Usłyszał ciche pukanie do drzwi. Zsunął w dół koszulę nocną Mary i zakrył ją kołdrą. To była Meggie. Trzymała miskę z ciepłą wodą i butelkę maści, a przez ramię miała przewieszonych kilka czystych ściereczek.

1. Doskonale, Meggie. Jak ci się udało zdobyć tę maść od pani MacFardle?
  2. Musiałam jej skłamać, tatku. Ona mnie nie zna tak dobrze jak ty, więc uwierzyła, gdy jej powiedziałam, że skaleczyłeś się w dłoń.
  3. Dobrze zrobiłaś. Teraz wracaj do swojego pokoju.
  4. Tatku, proszę, chcę ci pomóc. Mary Rosę jest...
  5. Mary Rosę jest...? - powtórzył pytająco.
- Meggie zmarszczyła brwi i spojrzała na dziewczynę leżącą na środku łóżka jej ojca. Usiłowała znaleźć odpowiednie słowa.
  - - Chodzi o to, że ona jest taka samotna, mimo że mieszka w domu pełnym ludzi. Nikt się nią nie interesuje, nawet jej matka. Ona mnie potrzebuje.
  - Tak, jak ty potrzebujesz mnie, pomyślał Tysen i uśmiechnął się do swojej córki. Pogłaskał dłonią jej policzek.
1. Przyrzekam ci, że dobrze się nią zaopiekuję. Nikt nie może wiedzieć, że tu jest. Jeśli ktoś o mnie zapyta, powiedz, że nie czuję się dobrze i że leżę w swojej sypialni. A teraz już idź, słoneczko. Idź.
  2. Powiesz mi, jeśli jej się pogorszy?
  3. Oczywiście, że tak, obiecuję.
- Tysen poczekał, aż zostanie sam na sam z Mary Rosę. Zamknął drzwi na klucz i podszedł z powrotem do łóżka. Nigdy nie opiekował się w taki sposób żadnym człowiekiem, prócz swoich dzieci, ale i to dopiero po śmierci żony. Kiedy we snach nawiedzały je potwory, tulił swoje maluchy i kołysał bez końca. Masował je po brzuskach, kiedy miały kolki, robił im chłodne okłady, gdy miały gorączkę. Ale Mary Rosę nie była dzieckiem. Była dorosłą kobietą, do tego na pewno nie jego żoną. Nie miał wyjścia. Pomoc pani MacFardle była wykluczona. Przypomniawszy sobie, jak pociągnęła Mary Rosę za nogę i sprawiła jej ogromny ból, ponieważ nie spodobało jej się, że bękart chodzi po salonach zamku Kildrummy, w towarzystwie ludzi dobrze urodzonych.
  - - Dobrze, więc, Mary Rosę - rzekł, patrząc na nią. - Masz tylko mnie.

- Rozebrał ją i dokładnie zbadał całe ciało. Umył pokaleczoną skórę i wtarł w nią olejek, który pachniał szyszkami sosnowymi i lawendą. Zajął się każdym skaleczeniem, każdą raną i draśnięciem, nic nie uszło jego uwagi. Wcierał pachnący olejek w białą skórę i nie myślał o niej jak o kobiecie. Zauważył, że drży cała i szybko ubrał ją z powrotem w koszulę. Wyjął z szafy stary, ciemnozielony szlafrok i owinął ją nim ciasno, po czym okrył kołdrą aż pod brodę i poprawił włosy, które były już niemal suche. Odgarnął je, by nie spadały na twarz. Dotknął jej czoła i policzków. Były chłodniejsze. Modlił się, by tak zostało. Dołożył do ognia i postawił obok łóżka wielki fotel, w którym usiadł. Zapalił kolejną świecę, wziął książkę i zaczął czytać, by nie zasnąć.
- - *Nie rozumiem, dlaczego chcesz to zrobić? Przecież wolałaś Donnatellę. Dlaczego ja? Dlaczego teraz?*
- O mało nie upuścił jednego ze swoich ulubionych dramatów Szekspira, „Henryka IV”.
- - Mary Rose, obudziłaś się?
- Nie. Była nieprzytomna. Poruszyła się, ale kołdra była ciężka i nie mogła jej z siebie zrzucić.

1. *Nie chcę wychodzić za mąż - Nie rozumiesz? Nigdy cię nie poślubię, przecież byleś z moją matką. Widziałam, jak ją pieściłeś. Jak mogłeś? To moja matka!*

2. Wiem - powiedział i pogładził ją po włosach. Dotknął jej twarzy, by się uspokoiła. - Erickson MacPhail już nigdy nie zbliży się do ciebie na tyle, byś musiała się go bać, Mary Rose. Musisz mi tylko zaufać.

3. *To moja matka!*

- - Tak, oczywiście. Już wszystko dobrze. Jestem tu.
- Nagle zaczęła płakać, szloch wstrząsnął jej ciałem, a po policzkach popłynęły strugi łez. Usiadł koło niej i przytulił mocno do siebie. Kołysał ją, mówił coś od rzeczy i głaskał, trzymając w ramionach. Robił to, by poczuła, że jest bezpieczna. Pamiętał, jak na nią spojrział, kiedy mu powiedziała o Ericksonie i swojej matce. Płacząc cicho, wyznała mu wtedy, że nie jest wcale pewna, czyjej matka wciąż go nie pragnie, czy wciąż nie jest jego kochanką. Matka nigdy nic na ten temat nie mówiła, co, według Tysena, było raczej zrozumiałe. Nie był oburzony z powodu zachowania jej matki. Jako pastor bywał świadkiem rzeczy przewrotnych, nieprzyzwoitych i brutalnych. Ale nie spodobało mu się, że Mary Rose widziała tych dwoje razem. Bardzo cierpiała z tego powodu. Teraz, na wspomnienie tej rozmowy, poczuł współczucie. Pochylił się i pocałował ją w skroń. I zadrżał, zdawszy sobie sprawę z tego, co robi, co czuje, gdy jego usta dotykają jej skóry. Nie wypuścił jej z objęć. Nie mógł. Była obcą kobietą, nie jego żoną, a mimo to pocałował ją. Była młoda i bezbronna, nikt o nią nie dbał. Zamknął oczy. Opiekował się nią dobrze, ale ten pocałunek... To nie było przyzwoite. Uspokoiła się, przytuliła twarz do jego ramienia i oddychała spokojniej. - Mary Rose? - szepnął do jej ucha. Spała. Delikatnie położył ją na poduszce. Wstał. Jeszcze jakiś tydzień temu nie wiedział, że istniała, a teraz nie pamiętał czasu, kiedy jej nie było. Nie, to idiotyczne. Nie interesował się kobietami, nie w taki sposób. Od śmierci Melindy Beatrice nie miał żadnej. Nauczył się panować nad potrzebami swojego ciała i nigdy nie było z tym większych kłopotów, póki nie pojawiła się Mary Rose, Szkotka, a na dodatek bękart. Podszedł do kominka. Wpatrywał się w

plomienie. Ogień oblizywał polana i zatapiał się w nich, by za chwilę pojawić się znów w feerii czerwieni i pomarańcza. *Mary Rose*. Uwielbiał to imię, samo jego brzmienie. Boże jedyny, co miał robić? Obudziła się w środku nocy. Wszędzie było ciemno. Czowała straszny chłód. Wiedziała, że jeśli głębiej odetchnie, na pewno rozpadnie się na kawałki. Starła się nie oddychać, ale nie na długo to pomogło. Zaczęła drżeć, jej zęby głośno dzwoniły i nie mogła tego powstrzymać. Im bardziej drżała, tym mocniej czuła swoje obolałe ciało. Jęknęła.

1. Już dobrze, *Mary Rose*. Jestem tutaj.
2. Tysen - szepnęła. - To naprawdę ty? Ojej, tak się cieszę, że to ty. Przepraszam, ale nie czuję się najlepiej.
3. Masz gorączkę, ale nie martw się, poradzimy sobie z tym.
4. Boli mnie... wszędzie mam sińce i zadrapania od tych cholernych kamieni i skał. Przepraszam.
5. Z tym też sobie poradzimy. Teraz połóż się i leż spokojnie, chociaż przez dwie, trzy minuty, możesz to zrobić?
6. Przepraszam.
7. Przestań to powtarzać. Spróbuj po prostu głęboko oddychać. Zaraz wracam.

- Trwało to dłużej niż trzy minuty, ale wkrótce znów był przy niej. Miał podciągnięte rękawy. Zapalił świece w sześcioramiennym świeczniku i postawił go koło łóżka. W świetle zobaczyła jego twarz, spokojną, skupioną i poważną.
- - Będę cię wycierał mokrą, zimną ściereczką. Moja matka zawsze tak robiła, kiedy byłem chłopcem i chorowałem. Po tym zawsze spada gorączka. Sam to robiłem, kiedy moje dzieci były chore. Najpierw jednak musisz dostać trochę laudanum, żeby uśmierzyć ból.
- Pomógł jej się podnieść i po chwili wypita lek. Zawahał się, nim odkrył kołdrę. Wcześniej, kiedy ją badał, była nieprzytomna, ale teraz patrzyła na niego.

1. Proszę, wyobraź sobie, że jestem doktorem, dobrze?
2. Nie, nie mogę - wzdrygnęła się. - Jesteś pastorem. To zupełnie co innego.

1. Wiem, ale nie zrobię ci nic złego, naprawdę. Zaufaj mi, *Mary Rose*.
2. Ufam ci - powiedziała i zamknęła oczy. Nie poruszyła się.

- Wiele razy już pokładano w nim nadzieję i ufano mu bezgranicznie. Czasem odczuwał to jak ciężar, a czasem jak obowiązek. Ale kiedy ona wypowiedziała te słowa, poczuł coś w głębi serca, jakby bezgraniczne ciepło. Powinien się przestraszyć, ale tak się nie stało.
- - Dobrze, więc - powiedział, odsuwając kołdrę.
- Powoli zdjął z *Mary* szlafrok i koszulę, a potem położył ją na brzuchu i zaczął mokrą ściereczką przecierać jej skórę, aż do stóp. Jeden z palców u nogi miała nieco krzywy. Pewnie złamała go wiele lat temu. Dotknął na moment tego miejsca. Czuł, jak ściereczką ogrzewa się od jej gorącego ciała. Moczył ją więc znów w misce z zimną wodą, potem znów, i tak nieskończenie wiele razy. Kiedy odwrócił ją na plecy, nic nie powiedziała. Tylko na niego patrzyła. Nie było na jej twarzy oznak bólu ani strachu, jedynie bezgraniczne zaufanie. Uśmiechnął się, wziął ściereczkę w dłoń i zaczął zmywać jej ciało; piersi, brzuch. Zamknął

oczy. Była chora. Potrafił sobie z tym poradzić. Wiedział, jak ma się kontrolować. Nie zhańbiłby tej dziewczyny, i nie pozwoli, by jego ciało nabrzmiało z pożądania. Ale oczywiście jego ciało właśnie tak uczyniło. Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego Bóg nie przyszedł mu w tej chwili z pomocą, ale potem zachciało mu się śmiać. Dlaczego Bóg miałby zajmować się naturalną, zwykłą reakcją mężczyzny na widok kobiety. Wielkie nieba, ależ ona była piękna. Nie, nie będzie o tym myślał. Wycieranie do sucha okazało się jeszcze trudniejsze. Próbował zamknąć oczy, ale nie pomagało. Włosy na jej łonie były rude, równie piękne, tylko odrobinę ciemniejsze niż na głowie. Spojrzał na kolana, bardzo ładne kolana. Szybko zabrał się za ich wycieranie, co trwało dłużej, niż to było konieczne. Wpatrywał się w nie uparcie, nie patrzył ani wyżej, ani niżej. Potem dotknął dłonią jej policzka, który okazał się znów chłodny. Gorączka spadała. Dzięki ci, Panie. Szybko przyniósł następną koszulę i pomógł Mary Rose się ubrać. A potem przykrył ją kołdrą aż po sam nos. Wstał. Wciąż na niego patrzyła.

- - Czujesz się lepiej?
- Zdziwił się, że jeszcze nie zasnęła, wlał przecież do wody tyle laudanum. Powinno ją dawno zmorzyć.

1. Dziękuję - powiedziała trochę niewyraźnie. - Przepraszam, Tysenie.
2. Już dobrze.

- Nie rozumiał, dlaczego jego głos zabrzmiał tak ostro, ale ona tylko się uśmiechnęła.
- - Pierwszy raz okazałeś mi zniecierpliwienie. Meggie powiedziała, że był tutaj mój wuj. I że nie będziesz musiał kłamać, bo nie wiesz, że tu jestem, a potem pomogła mi przejść do twojej sypialni.
- Tysen tylko machnął ręką.

1. Tak, był tu sir Lyon. Bardzo się zdenerwował, że cię u mnie nie ma. Wie, że nie utonął. Erickson szukał cię, póki nie zobaczył, że twoja klacz zniknęła. Kiedy dotarłaś do domu, zobaczyłaś tam MacPhaila?

- Widziałam jego konia. Nie miałam pojęcia, dokąd jechać. Nie planowałam dotrzeć tutaj, ale Prymulka pogalopowała prosto pod twoją bramę. Meggie była na podwórzu i zaprowadziła mnie na górę. - Uśmiechnęła się nagle. - Zawsze się zastanawiałam, jak to się dzieje, że Poudier nie obrasta kurzem, skoro tak ciągle siedzi pod drzwiami.

1. Jak dotąd obrastał, ale ponieważ ja, nowy baron Kildrummy, nie miałem osobistego służącego, Poudier wskoczył na to miejsce.
2. To miły człowiek - powiedziała Mary Rose.
3. Tak, mnie też się tak zdaje.
4. Wiem, że tego nie lubisz, ale muszę cię przeprosić za te wszystkie niedogodności. Pomyślałam, że może jutro rano wyjadę i...
5. Chciałabyś wyjechać? Mogę zapytać, co na siebie włożysz? Miałem okazję w pokoju Meggie zobaczyć twoje odzienie, a właściwie to, co z niego zostało.
6. Coś wymyślę - powiedziała, a ta lekka doza sarkazmu zmieszała ją trochę. Wyprostowała się i zadarła do góry brodę. Nie było to łatwe, bo wszystko ją bolało i była zmęczona. -

Możliwe, że pani Mac - Fardle ma coś, co mogłabym pożyczyć. - Westchnęła. - Ojej, taka jestem zmęczona.

7. Nic dziwnego. Już najwyższa pora po takiej dawce laudanum. - Zamilkł na chwilę. - No dobrze, powiedzmy, że w końcu uda ci się odziać w jakiś fartuch pani MacFardle, ale dokąd pójdziesz?

- Jego głos zabrzmiał ostro. Zobaczył, jak dziewczyna kuli się, czując ciężar całej swojej bezbronności. To wszystko ją przygniatało. Ujął jej dłoń i powiedział łagodnie:
- - Mary Rose, coś wymyślimy. Nie czujesz się jeszcze dość dobrze, by ubrać się w cokolwiek innego prócz moich koszul. Zaśnij teraz i przestań desperacko poszukiwać jakiegoś wyjścia z sytuacji. Ja coś wymyślę.
- - Ale... Dotknął palcem jej ust.

1. Zostaw wszystko mnie. Zaśnij teraz. Poczujesz się lepiej. Wciąż bardzo cię boli?
2. Nie, już mniej.

- Dwie minuty później jej głowa opadła na poduszkę. Oddychała równo. Spała. Tysen próbował ułożyć się wygodnie w fotelu. Było nawet nie najgorzej, ale i tak przez długi czas nie mógł zasnąć.

\*

- Obudził się gwałtownie. Przyśnił mu się koszmar, w którym był zupełnie przerażony, walczył, by złapać oddech. Wstał z fotela i chodził po pokoju. Kręcił głową, nie mogąc pozbyć się przyśnionych obrazów. Kiedy się w końcu uspokoił, zauważył, że było zimno. Rozpalił ogień w kominku, potem zapalił świecę i podszedł do łóżka Mary Rose. Położył dłoń na jej czole. Była cudownie chłodna. Dzięki Bogu za to. Spała smacznie. Cóż znaczył ten przeklęty sen? Pamiętał tylko krzyk kobiety, potem męski głos... niewyraźny, słaby, a potem prawie niesłyszalny. Potem pojawiło się uczucie, że gdzieś wokół krąży śmierć, nieskończona, nieodwołalna śmierć. On też był w tym śnie, jak cień, może nieśmiały błysk, ale był. Potem, równie nagle jak się zaczął, koszmar się urwał. Wciąż czuł silny strach. Podszedł do fotela i usiadł. Podparł rękoma brodę i resztę nocy spędził na wpatrywaniu się w ogień. Głos mężczyzny... lana? Tak, to był łan, który pół roku temu spadł z klifu.

## ROZDZIAŁ 13

- Doktor Halsey poklepał Mary Rosę po policzku.
- - Tak, panienko, uśmiechnij się do mnie pięknie, a potem możesz mnie przeklinać za to piekielnie gorzkie lekarstwo, które za chwilę wleję ci do gardła.
- Mary Rosę uśmiechnęła się. To on pomagał jej przyjść na ten świat; przynajmniej tak mówiła matka.

1. Gdzie jest Tysen?

2. Kto? Och, chodzi ci o lorda Barthwicka. Tysen... to raczej nie jest szkockie imię? No cóż, ale innego nie należało się spodziewać, skoro to Anglik. Jest tu. Mam wrażenie, że jego lordowska mość powaliłby mnie na podłogę jednym ciosem, gdybym sprawił ci choćby trochę bólu. Jak się czujesz, panienko?

- Mary Rosę zastanowiła się chwilę.
- - Jestem potłuczona.

1. Nic dziwnego - powiedział T/sen, podchodząc i ujmując jej dłoń w swoje wielkie ręce. - Mówiłem panu, że wpadła do rwącego potoku i obijała się o skały, póki nie udało jej się pochwycić gałęzi i wejść po niej na brzeg.

2. Zawsze była z niej silna dziewczyna. Masz podbite oko, Mary Rosę. Wyglądasz groźnie, jak rudowłosy pirat. Teraz, wasza lordowska mość, proszę stanąć pod drzwiami, muszę ją zbadać i sprawdzić, czy nie ma nic złamanego. Może będą potrzebne jakieś szwy.

3. Już ją badałem, doktorze Halsey. Nie ma większych skaleczeń, które wymagałyby szycia. Nie ma też złamań. Ale może są jakieś obrażenia wewnętrzne.

- Doktor Halsey spojrzał krzywo na Tysena. - Ale może coś pan przeoczył. Dobrze, Mary Rosę, gorączki już nie masz, płuca są czyste. Nie boli cię w brzuchu albo w piersiach? No, powiedz, kiedy cię zabolę. Dotykał jej delikatnie, zaczynając od głowy i powoli, metodycznie przechodząc aż do stóp. W końcu powiedział:

- - Nic ci nie będzie, panienko. Będziesz piła moje lekarstwo, a jeśli ci się pogorszy, przyjadę.

• Tysen wyprowadził doktora z sypialni. Usłyszał piskliwy głos pani MacFardle, odbijający się echem od ścian korytarza:

- - Och, doktorze Halsey, mamy tu strasznie przykrą sytuację. Niech pan sobie wyobrazi, Mary Rosę w sypialni pana, on się nią zajmuje, a najgorsze jest to, że nasz baron to angielski pastor. Gdyby mi choć o tym powiedział, wyjaśniłabym mu, że tak być nie może. To niewłaściwe, nieprzyzwoite. Ale on, oczywiście, nie pisał ani słówka, więc co miałam robić? Nic dobrego z tego nie będzie. Niech pan zejdzie z nami do kuchni na filiżankę herbaty. Pan Poudel do nas dołączy. Wiem, że nie śpi, bo słyszałam, jak pokrzykuje na Ardla, którzy trzyma pańskiego

konia.

- Mary Rosę podciągnęła kołdrę pod brodę.
- - Nie powinieneś być posyłać po doktora. On opowie wszystkim, że tu jestem, w twoim łóżku, i że ty jesteś cały czas przy mnie, stanowczo za blisko. Pani MacFardle ma rację. Nie powinno mnie tu być.
- Tysen wzruszył ramionami.
- - Wolę, żeby o mnie plotkowano, niż żebyś umarła z powodu mojego braku wiedzy medycznej. Nie martw się, Mary Rosę. Ulżyło mi bardzo, że nic ci nie jest. Chyba zasłużyłaś na kubek piwa pani MacFardle.
- Dziesięć minut później wrócił z piwem, namówiwszy wcześniej także doktora na szklaneczkę tego napoju. Mary Rosę już spała. Delikatnie dotknął jej czoła. Było chłodne. Pomyślał, że ma jedynie dwie godziny, by przygotować się na przyjazd sir Lyona, który natychmiast zażąda, by zabrać dziewczynę do domu. Ale to nie sir Lyon przyjechał dokładnie godzinę i czterdzieści minut później. To był Erickson MacPhail. *Jesteś nic niewart, tchórzem podszyty kłamca*\* Szekspir, *Henryk IV*, część pierwsza. Tysen wszedł powoli do salonu i zamknął za sobą drzwi. MacPhail stał koło kominka, z rękoma splecionymi na piersiach. Tysen zdał sobie sprawę, że jego własne dłonie są zaciśnięte w pięści, jakby gotował się do walki. Powoli, bardzo powoli, zmusił się do rozluźnienia napiętych mięśni. Był pastorem i wierzył w słusność Bożych wyroków. Wierzył w Jego łaskę i współczucie dla pokrzywdzonych. Był też podobny do swego ojca i braci. Ani Douglas, ani Ryder nie oszaleliby ze złości i nie pofolgowałiby bezsensownej furii tylko dlatego, że mieli na to ochotę i sposobność. On postanowił również tego nie robić. Erickson podszedł bliżej i rzekł bez owijania w bawełnę: - Doktor Halsey powiedział nam, że Mary Rosę jest tutaj, u pana. Powiedział też, że ją zbadał i że nic jej nie będzie. Ponoć jest trochę poobijana. Cholerny strumień. Bardzo się o nią martwiłem. Zabieram ją do domu, do Vallance. Tysen podszedł do wyściełanej złotawym brokatem kanapy i usiadł, zakładając nogę na nogę. Spojrzał na swoje wysokie buty. Nie były dość dobrze wypastowane. Ostatnio zajmował się nimi jeszcze stary Angus, w Edynburgu. Wreszcie powiedział:
  - - Właściwie oszczędził mi pan fatygi. Już miałem udać się do pańskiego domu, żeby porozmawiać na temat Mary Rosę.
  - Erickson postąpił o krok.
  - - Niech cię szlag, pastorze, nie będziesz mnie tu mamił. Zabierz mnie do niej, bo, pastor czynie, stłukę cię tak, że będziesz mógł się tylko czołgać.
  - Tysen uniósł brwi i uśmiechnął się do niego uprzejmie. Twarz Ericksona poczerwieniała niepokojąco. Tysen pomyślał, że z wiekiem to oblicze stanie się sinoczerwone już na stałe, a spowoduje to nadmiar złości. Wzruszył ramionami.
  - - Może pan spróbować.
  - Na twarzy Ericksona pojawił się wyraz kpiny, który bardzo go szpecił.
  - - Prowokuje mnie pan? Ma pan czelność mi się sprzeciwiać? Pan, człowiek, który tak naprawdę nie jest nawet mężczyzną! Nie ma pan dość odwagi. Potrafi pan tylko straszyć ludzi z kazalnicy. Straszy pan prawdziwych mężczyzn ogniem piekielnym, każąc im przełknąć dumę i słuszny gniew. Chce pan, by byli słabi, pozbawieni dumy, jak pan sam. Mówi im pan, że jeśli pana nie posłuchają, będą przeklęci na wieki.

- Tysen wstał powoli. Serce bilo mu gwałtownie, ale czuł się zaskakująco spokojny. Ta litania przekleństw i obelg nie była dla niego czymś nowym. Słyszał to już wiele razy, jeszcze w czasach, kiedy był w Oksfordzie. Te słowa nie zrobiły więc na nim wrażenia, były okrutne, nieprzemyślane, spowodowane nieuzasadnionym gniewem. Nauczył się już, że na tym świecie wiele jest zupełnie niezrozumiałego gniewu, który siedzi w ludziach.

- - Kocha pan Mary Rosę Fordyce?
- Erickson zatrzymał się, jakby skamieniał i uniósł brwi.

1. Dobry Boże, przecież chcę się z nią ożenić!

1. Rozumiem. Więc aby ją przekonać o swoim szczerym szacunku, niezmiernie miłości, miał pan zamiar ją wziąć gwałtem? Wiem, że rzuciła się do strumienia, by od pana uciec.

2. Niech cię szlag. Nigdy nie próbowałem wziąć jej siłą. Jest pan pastorem. Nie rozumie pan zachowania kobiet. Nie wie pan, co potrafią zrobić, by mężczyzna wił się u ich stóp i błagał o względy. Mary Rosę to typowa kobieta. Udaje nieśmiałą, bawi się ze mną. Wpada w histerię, żeby postawić na swoim. Ta odmowa, wskakiwanie do strumienia, idiotyczne uciekanie przede mną, to tylko pokaz, melodramatyczne scenki. Chce za mnie wyjść, żeby uzyskać dobrą pozycję, mieć nazwisko. Na litość boską! Koniec już z tą zabawą. Wyjdzie za mnie. Porozmawiam z nią i sam się pan przekonaj, że zupełnie zmieni już zdanie.

3. Dobrze więc - powiedział Tysen, wstając. - Zabiorę pana do niej. Musi pan mnie jednak zapewnić, że nie będzie próbował jej straszyć. Sądzę bowiem, choć pan woli myśleć inaczej, że ten skok do strumienia to nie tylko udawanie i zabawa. Mnie on udowadnia, że zdolna jest do wszystkiego, by tylko od pana uciec. Proszę więc posłuchać mnie uważnie. Mary Rosę nie czuje się jeszcze najlepiej. Była bardzo chora, więc nie pozwolę, by ktokolwiek źle ją traktował. Zrozumiał pan?

- Erickson uważnie przyjrzał się temu przystojnemu mężczyźnie. Ten cholerny pastor patrzył na niego, jakby on, Erickson MacPhail, był nikim, nic niewartym pyłkiem na jego bucie. Miał ochotę stłuc mu tę piękną głowę, złamać nos, oszpecić go tak, by Mary Rosę nie chciała już na niego spojrzeć. Czy to właśnie dlatego Mary Rosę odmawia mu ręki? Pragnęła tego cholernego pastora?

1. Dlaczego przyjechała tu, do zamku Kildrummy?

2. Po raz drugi uciekała od pana. Chciałby pan teraz z nią porozmawiać i upewnić się, czy naprawdę zmieniła zdanie w tej kwestii? Dam panu pięć minut, nie więcej. Mary Rosę musi odpoczywać. Jest wciąż bardzo słaba.

- Dziewczyna nie była sama. Meggie leżała skulona na łóżku obok niej. Obie smacznie spały. Kiedy usłyszała głos ojca, aż podskoczyła. Odgarnęła włosy, które spadały jej na twarz. Spojrzała pośpiesznie na Mary Rosę i szepnęła:

- - Tatku, chciałam jej pilnować, ale zasnęłam. Wszystko w porządku? Ojej, czy to nie pan MacPhail? Co on tu robi?

- - Chce porozmawiać z Mary Rosę - odparł Tysen najspokojniej i najbardziej obojętnie, jak tylko potrafił.



- Zauważył zmianę w postawie córki i jej groźną minę. Chciało mu się śmiać.
1. Może z nią porozmawiać - oznajmiła - ale ja tu zostanę. Nie będzie jej denerwował.
  2. Cóż więc, MacPhail? - zapytał Tysen.
  3. Na litość boską, człowieku! To dziecko. Niech stąd wyjdzie.
  4. Och, nie. Ona uważa się za opiekunkę Mary Rosę. Niech pan tu chwilę zostanie, a ja jej powiem, że pan tu jest. - Przerwał na chwilę i dodał: - Zapewnię ją, że nie uczyni pan niczego, czego by sobie nie życzyła.
- Usłyszał, jak Erickson przeklina pod nosem. Wymienił wszystkie znane przekleństwa, ale nie był w tym tak dobry, jak niektórzy wychowankowie Rydera, którzy klęli jak najgorsi żeglarze z królewskiej marynarki wojennej. Tysen podszedł do łóżka, uśmiechnął się do Mary Rosę i ujął jej dłoń.
1. Nie obawiaj się. Masz gościa, ale nie będzie cię nękał. Ja i Meggie tego dopilnujemy. Przrzekam. On chce się tylko przekonać, czy nic ci nie jest.
  2. Nie chcę z nim rozmawiać, Tysenie, proszę. On na pewno...
  3. Niech powie, co ma do powiedzenia, i będzie po wszystkim.
  4. Tak - przyznała niechętnie - masz rację. Muszę z nim porozmawiać i położyć temu wszystkiemu kres. - Nabrała powietrza w płuca i zapytała: - Mogę najpierw dostać trochę wody?
  5. Poradzisz sobie z tym śpiewająco.
- Uniósł jej głowę i przysunął szklanekę z wodą do ust. Wydawało mu się, że MacPhail powiedział coś pod nosem, ale zignorował go. Kiedy skończyła pić, westchnęła ciężko i usiadła. Tysen poprawił jej poduszki, a Meggie przysunęła się bliżej. Mary Rosę patrzyła, jak Erickson podchodzi do łóżka. Każdy krok głośno obwieszczał jego wściekłość, frustrację i oburzenie faktem, że tuż za nim stoi pastor, a mała dziewczynka siedzi obok na łóżku i obserwuje go. Zastanawiała się, czy wciąż widzi w niej kobietę, którą chce osiąść. Zrozumiała, że nic się nie zmieniło. Czy inni mężczyźni są tacy sami i wierzą, że kobiety należą do nich niezależnie od swojej własnej woli? Wiedziała, że Meggie patrzy na niego, jakby chciała skoczyć mu do gardła. Erickson podszedł do łóżka i patrzył na nią przez długi czas, nic nie mówiąc.
1. Masz podbite oko - zauważył wreszcie. - Tak.
  2. Dobrze się czujesz?
- Mówił jak człowiek, którego znała całe swoje życie i z którym do niedawna się przyjaźniła. Teraz jednak ten okres w jej życiu wydawał się bardzo odległy.
  - - Tak, trochę jeszcze mnie boli, ale nie mam już gorączki.
  - Potem zaczął mówić tonem, którego się spodziewała i widać było, że bardzo się stara kontrolować. Głos miał miły, a ton odrobinę surowy, jakby beształ małe dziecko.
1. Nie powinnaś była wskakiwać do tego strumienia. Zmyło cię, nim zdążyłem cokolwiek

zrobić. Bardzo się o ciebie martwiłem. Szukałem i szukałem, aż w końcu zobaczyłem, że nie ma Prymulki i doszedłem do wniosku, że nic ci się nie stało. Nie powinnaś była wskakiwać do tej wody.

2. Wskoczyłabym jeszcze raz, bez wahania, gdybyś znów mi zagrażał - odpowiedziała.

- Poczł wewnątrz ciała płomień. To złość rozsadzała go nagłą falą. Chciał wykrzyknąć, że nie powinna była mu się sprzeciwić, ale nie mógł. Spojrzał na dziecko, które jeszcze ścisnęło Mary Rosę za rękę, i spytał:
- - Chcesz, żebym cię odwiózł do Vallance?
- Tysen nie spodziewał się, że Mary Rosę może się stać aż tak blada. Teraz jej twarz była zupełnie pozbawiona koloru.

1. Ciotka i wuj, no i oczywiście Donnatella, bardzo się o ciebie martwią - powiedział Erickson. - Czują się urażeni, że nie przyjechałaś do domu.

2. A co z moją matką?

3. Nikt jej nic nie powiedział. Twój wuj nie chce jej martwić.

- Jak mogłam wrócić do Vallance, skoro zobaczyłam, że tam jesteś? Po tym, co próbowałeś mi zrobić, naprawdę wierzysz, że chciałabym ryzykować i wejść do domu, w którym czujesz się jak u siebie? Miałam wracać tam, gdzie bez skrupowania mógłbyś na mnie znów napadać?
- - Napadać? Znów? Nie napadałem na ciebie, Mary Rosę. Nie pamiętasz, jak było. Wiesz przecież, że przy mnie nie spadłby ci włos z głowy. Poprosiłem cię o rękę. Byłem dżentelmenem. Odrzuciłaś mnie i udawałaś nieuchwytną. Cóż miałem myśleć? Chciałem ci tylko udowodnić, że cię pragnę, że jestem ci oddany. Ale ty postanowiłaś mnie ukarać i wskoczyłaś do wody. Nie mogłem uwierzyć, że to zrobiłaś. Ale teraz już wszystko jest inaczej. Pobierzemy się, kiedy tylko wyzdrowiejesz. Musisz tylko się zgodzić mnie poślubić, a zabiorę cię do domu.
- Mary Rosę zamknęła na chwilę oczy. Coś tu było nie tak.
- - Czy mój wuj chce, żebym cię poślubiła? - zapytała spokojnie.
- - Tak.

1. Ależ to nie ma sensu. Donnatella cię pragnie. Dlaczego wuj nie chce, by ona za ciebie wyszła?

2. Wie, że jej nie kocham. Powiedziałem mu wyraźnie, że muszę mieć właśnie ciebie.

3. A mój wuj pozwoli ci wziąć mnie siłą, kiedy wrócę do domu?

- Dziewczynka przytulona do Mary Rosę patrzyła na niego jak na potwora, choć przecież nie rozumiała wszystkiego, o czym mówili.
- - Zapomnij o swoim przeklętym wuju. To nie ma z nim nic wspólnego. Zapomnij o tych wszystkich bzdurach, że chciałem cię wziąć siłą. Moja matka bardzo cię lubi, Mary Rosę.

1. Twoja matka, Ericksonie, mówi o mnie „ten wstrętny bękart”, i to tak głośno, by wszyscy słyszeli.

1. Zmieniła się, przysięgam.

- - Proszę - powiedziała wyraźnie i bez wahania odejść i zostaw mnie w spokoju. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi. Chciałabym, byśmy znów nimi byli, ale nikim więcej. Nie chcę wyjść za ciebie za mąż. Nie bawię się z tobą w ciuciubabkę. Nie mam zamiaru za ciebie wychodzić i nie chcę również, żebyś zabrał mnie do domu. Nie ufam wujowi i choć to wielka szkoda, tak już zostanie. Do widzenia, Ericksonie.
- Zesztywniał. Tego już było za wiele. Przechylił do tyłu głowę i roześmiał się tak głośno, że aż zagrzmiało w pokoju.
- - Dobrze - rzeki Tysen. - Ten, kto się śmieje, nie planuje podstępu.
- Erickson odwrócił się, by wyjść z pokoju, ale na odchodnym rzucił jeszcze przez ramię:
  1. To nie koniec, Mary Rosę. - O mało nie przewrócił Poudera. - Na Boga, człowieku, patrz, gdzie idziesz!
  2. Krawaty! - wrzasnął Poudier. - Muszę poukładać krawaty jego lordowskiej mości. Już prawie nauczyłem się je dobrze wiązać. Jestem jego służącym.
- Erickson popatrzył na staruszkę z niedowierzaniem. Znał go od dziecka, prawie od zawsze.
- - Jesteś osobistym służącym, Poudier? Dobrze, idź, poukładaj krawaty - rzekł i zszedł powoli po schodach.
- Co, do jasnej cholery, miał teraz zrobić?

## ROZDZIAŁ 14

- Mary Rosę właśnie zjadała miskę zbyt słonego rosółu z kury pod uważnym spojrzeniem Tysena, kiedy do pokoju wpadła zdyszana Meggie. Dziewczynka biegła na górę z wiadomością.
  - - Nie uwierzysz, kto przyjechał, tatusiu! Ciotka Sinjun i wujek Colin!
  - Sinjun weszła do wielkiej, ciemnej sypialni, gdzie z pewnością przez długie lata mieszkali mężczyźni bezzenni. Kobieta wprowadziłaby do tego miejsca odrobinę światła i koloru. Szybko zauważyła Mary Rosę, wspaniałe, kręcone, rude włosy, niezwykle zielone oczy, blizny na twarzy i męską koszulę nocną. W pokoju był również Tysen, który rozpałał właśnie ogień w kominku. Wyciągnął rękę i popatrzył na Sinjun, jakby się przestraszył.
  - - Przyjechałabym szybciej, ale Perłowa Jane nie powiedziała mi dokładnie, co się dzieje. Dopiero wczoraj... Colin, oczywiście, jak każdy mężczyzna jest uparty jak muł, ale w końcu udało mi się go przekonać.
  - Sinjun podeszła szybko do brata, który wyciągnął ramiona w jej stronę, i ze zdziwioną miną wciąż powtarzał jej imię. Objął ją, a Sinjun ucałowała go serdecznie.
1. Sinjun - powtórzył Tysen - wiesz, że nie wierzę w duchy, nawet w tę twoją Perłową Jane. A teraz, bez owijania w bawełnę, powiedz mi, co cię podkusiło, żeby ciągnąć swoją szanowną osobę i Colina taki kawał, aż do Kildrummy?
  2. Oczywiście, że ci powiem, kochany, ale ty mi najpierw powiedz, kto to jest.
  3. To Mary Rosę, ciotciu Sinjun. Ma włosy tak piękne jak ciotka Alex.
1. Tak - powiedział Colin, podchodząc do szwagra i ściskając jego dłoń. - Zupełnie jak u ciotki Alex. Wiedzę, że pani jest ranna. Jestem Colin Kinross, jej uparty mąż. Co się tu dzieje? Nie wierzyłem Sinjun ani przez chwilę... no, może przez maleńką chwilę lub dwie... ale tak się o was martwiła. Bała się, że coś się wam stało i musieliśmy przyjechać. Przepraszam, Tysenie, jeśli przeszkadzamy, odeślij nas do diabła. Jednak zdaje mi się, że moja żona miała rację. Macie tu chyba jakieś problemy.
  2. Dotarliście w doskonałym momencie. Możecie pomóc Meggie obronić Mary Rosę przed Ericksonem MacPhailem.
  3. O rany - westchnęła Sinjun i już była przy boku Mary Rosę, przykładając jej dłoń do czoła. - Oczywiście, że mają kłopoty. Czy Erickson MacPhail to człowiek, którego minęliśmy w drzwiach? Ciskał gromy na wszystkich.
  4. Ojej - przestraszyła się Mary Rosę.
  5. Nieważne - rzucił Tysen. - W końcu zrozumie, że przegrał. Niech się wyłóci.
  6. Teraz my jesteśmy tu z wami, więc nie zdarzy się nic nieprzyjemnego - powiedziała Sinjun. Uśmiechnęła się do młodej kobiety o najpiękniejszych oczach, jakie w życiu widziała. - Tak naprawdę, skoro jest tu Tysen, to wcale nie jesteśmy potrzebni, ale...
- Usłyszeli szuranie pod drzwiami i głośne, złowieszcze odchrząknięcie. Tysen odwrócił się i

ujrzał panią Griffin w drzwiach, z rękoma opartymi na potężnych biodrach.

- - Sinjun, najdroższa siostró - powiedział przymilnym głosem Tysen - błagam, nie odjeżdżaj. Oto kłopot, z którym na pewno nie będę w stanie sobie sam poradzić. Pomóż mi, Sinjun, bo teraz bardzo będzie mi potrzebne twoje wsparcie.
- Pani Griffin wkroczyła do sypialni, wywijając czarną laską.
- - Nie mogę uwierzyć własnym oczom! Ale nie mogę też udawać, że tego nie widzę. W tym łóżku pokolenia lordów Barthwick wydostały się na światło dzienne z łona swoich matek, wielu dożyło sędziwego wieku, przynajmniej niektórzy w dobrym zdrowiu. A teraz, patrzcie na nią, przykryta miękką, puchową kołdrą, wygląda jakby była u siebie, jakby miała prawo sypiać w łóżku lorda Barthwicka, jakby była jego żoną. To tylko bękart. Nikt nie chce mieć z nią do czynienia. Nie powinno jej tu być, zwłaszcza w tym łóżku.
- Pani Griffin nabrała powietrza, a jej pierś zdała się teraz jeszcze bardziej wydatna.
- - Co ona robi w pańskiej sypialni, w pańskim łóżku, milordzie?
- Tysen zawsze mógł liczyć na szczęście, którego wiele osób w jego rodzinie miało pod dostatkiem. Ale teraz w niewyjaśniony sposób szczęście go opuściło. Jego sypialnia roiała się od ludzi, a biedna Mary Rosę wyglądała tak, jakby chciała zapaść się pod ziemię. A teraz jeszcze ta niemądra, stara jędrza obrażała ją bezczelnie. Tysen zaczynał być wściekły.
- - Pani Griffin - powiedział uprzejmym tonem, choć było to dla niego prawie niewykonalne. – Pani Griffin... podejrzewam, że stoi pan dokładnie za swoją żoną i dlatego jeszcze pana nie zauważyłem.

1. Właśnie tak. Przyjechaliśmy sprawdzić, co się tu wyprawia.

2. To zupełnie proste - rzekł Tysen. - Nim znów odjedziecie w pośpiechu, możecie zobaczyć, że Mary Rosę jest chora. Właśnie leczy swoje rany. To wszystko. Tylko to się tutaj wyprawia. Mam nadzieję, że wasz powóz wciąż czeka przed wejściem do zamku.

- - Niegrzeczne zachowanie panu nie przystoi, mimo że jest pan Anglikiem - powiedziała pani Griffin. - Oczywiście nie przyjechaliśmy tylko po to, by sprawdzić, co tu się wyprawia. Pytam jednak, panie, kim są ci ludzie? Oczywiście to na pewno następni przekłęci Anglicy, którzy przyjechali tu, by nas nękać.
- Colin łypnął na kobietę z czarnym wąsikiem nad górną wargą, a potem na jej męża, który wciąż stał tuż za nią. Żałował, że nie ma swojego miecza, którym mógłby machnąć na postrach.
- - Pani - rzekł z dumą - jestem lordem Ashburnham i Szkotem w każdym calu. Kiedy śpię, śnię po szkocku, a nie po angielsku albo włosku. Kim, do diaska, pani jest?
- Ku zupełnemu zaskoczeniu Tysena pani Griffin ukloniła się grzecznie, ale niestety po chwili znów otworzyła usta, by powiedzieć:
- - Jestem pani Griffin, milordzie, i oczywiście jestem tu u siebie. Przyjeżdżam tu od tak dawna, że kiedyś myślałam nawet, iż powinnam wyjść za mąż za starego Tyrorme'a, żeby móc spać w tym łożu. Niestety, nie poślubiłam go, bo żył jeszcze i żyje do tej pory obecny tu pan Griffin. Biedny stary Tyrorme potrzebował koniecznie potomka, jednakże ja byłam w zbyt poważnym wieku, abym mogła obdarzyć go synem. Teraz widzę doskonale, że jesteśmy tu niezbędni. Zrobi! się mętlik, jakiego ziemia nie widziała. Ja... to znaczy, my... przyjechaliśmy, by zrobić z tym porządek. Najpierw proszę zabrać dziewczuchę z tego łóżka.

- Tysen przewracał oczami. Miał nadzieję, że to go powstrzyma przed podejściem do pani Griffin i powiedzeniem jej do słuchu czegoś, co pastorowi nie powinno przejść przez usta, albo wyrzuceniem jej przez okno, gdyby znalazło się choć jedno, przez które mogłaby się przecisnąć. Sinjun powoli akceptowała niewiarygodną informację, że ta kobieta naprawdę istnieje i stoi tu, w sypialni Tysena.

1. Pearlina Jane nic mi o pani nie powiedziała - rzekła.
2. Najwyraźniej ta pani Pearlina Jane nie o wszystkim wie - rzekł pan Griffin, obejmując ramieniem żonę.
3. Gdyby Pearlina Jane powiedziała ci o pani Griffin - Tysen zwrócił się do siostry - wątpię, byś ruszyła się w ogóle z zamku Vere, nawet gdyby moja głowa była pod ostrzem gilotyny. Napisałaś do mnie list z wyrazami współczucia i trzymała się z daleka.
4. Nie bawi mnie pańskie poczucie humoru, milordzie.
5. Na pewno nie - odparł Tysen. - A teraz, proszę, opuśćmy sypialnię i zostawmy Mary Rosę w spokoju. Może pani MacFardle poda nam za chwilę gorącą herbatę. A potem może pani Griffin stwierdzi, iż cały ten mętlik da się jakoś opanować i nie jest nam do tego potrzebna.
6. Powtarzam, że nie podoba mi się pańskie poczucie humoru, milordzie.
7. Czasami, pani Griffin - powiedział Tysen, przełykając kluchę złości, bo nie mógł postąpić inaczej - mnie również się nie podoba.
8. Nalegam, by spełnił pan moje oczekiwania - mówiła z naciskiem pani Griffin.

- - Obawiam się, że to niestety nie jest możliwe. Chodźmy, Mary Rosę nie czuje się dobrze.
- - Ona nie zasługuje na to, żeby żyć - powiedział pan Griffin, wyciągając szyję, by widać go było znad ramienia żony. - Nikt nie chce mieć z nią do czynienia.
- Nie jestem gwałtownym człowiekiem - Tysen powtarzał sobie w duchu po wielokroć. A nawet gdybym był, nie pozwolę sobie na to, by uderzyć staruszkę.
- - Proszę wyjść - powiedziała Sinjun, machając rękoma, jakby rozpędzała stado kur. - Chcę porozmawiać z Mary Rosę. Colinie, zostań i słuchaj, żebyś potem mógł wszystko ze mną omówić.
- Tysen nie chciał zostawić Mary Rosę ze swoją siostrą sam na sam. Nie był pewien dlaczego, ale czuł to w kościach, zwłaszcza w łopatce, która kiedyś była złamana, a teraz jeszcze czasem pobolewała, gdy nadciągały deszcze. To nie był dobry pomysł. Colin wziął go pod ramię.

1. Niestety, nie masz wyjścia - rzekł z mieszaniną współczucia i rozbawienia. - Sinjun uwielbia wszystko załatwiać po swojemu. Sam wiesz.
2. Tak, wiem - odparł Tysen. - Pierwszy raz porządnie coś załatwiła, kiedy miała cztery lata, i skończyło się tym, że biedny Douglas chował się w krzakach przed naszym ojcem.
3. Idź, kochany - powiedziała Sinjun, obdarzając go tym szczególnym uśmiechem, któremu nigdy w życiu nie ufał. - Ja się wszystkim zajmę. Zdaj się na mnie.

- Tysen westchnął! i uśmiechnął się do Mary Rosę.
- - Niedługo się zobaczymy. Spróbuj trochę odpocząć i nie zwracać uwagi na moją siostrę.
- Potem poprosił Meggie, by za bardzo nie ścisnęła Mary Rosę, broniąc jej przed wszystkimi,

i wyszedł za Griffinnami z sypialni.

1. Dobrze - rzekła Sinjun, skupiając całą uwagę na Mary Rosę - powiem ci coś o Pearlin Jane i o tym, co ona mi zdradziła.
2. Kim jest Pearlin Jane? - zapytała Mary Rosę.
3. To duch cioci Sinjun - wyjaśniła Meggie. - Mieszka w zamku Vere. Już od dawna nie żyje, ale opiekuje się ciotką.

1. To prawda - potwierdziła Sinjun i usiadła w wielkim fotelu. - Wczoraj powiedziała mi, że Tysen ma kłopoty w Kildrummy.
2. To prawda - rzekła Mary Rosę, a po jej policzku pociekła łza. - Ja chyba też nie wierzę w duchy. Nigdy żadnego nie widziałam, a podobno w samym zamku Kildrummy jest ich aż sześć.

- Próbowała uśmiechnąć się przez łzy, ale nie mogła. Meggie ścisnęła jej dłoń i uklękła przy niej.

1. Och, nie płacz, proszę, Mary. Tata się wszystkim zajmie. A ciotka Sinjun potrafi wszystko załatwić, nawet tata się z tym zgadza. Wujek Colin tak bardzo ją kocha.
2. To nie jest jego kłopot - powiedziała Mary Rosę i pociągnęła nosem. Łzy były bezsensowne. Nie poprawiały nastroju. - Może ta Perłowa Jane miała rację, ale to już historia. Wyjeżdżam stąd. Nie pozwolę\* by Tysen ponosił konsekwencje mojego postępowania. Nie pozwolę, by stała mu się z tego powodu krzywda. Pani Griffin ma rację. Nie powinno mnie tu być. Nie pozwolę, by Tysen, postępując szlachetnie, napytał sobie biedy. Mogłaby mi pani pożyczyć suknię?

- To ciekawe, pomyślała Sinjun. Ta urocza młoda kobieta siedziała na łóżku Tysena i martwiła się tylko o niego, o jego przekłątą reputację, a nie o siebie. Tak mało się ceniła? Miała takie piękne włosy i ładną twarz. Ale oczywiście takie rzeczy nie przedstawiają dla Tysena żadnej wartości. Chociaż takiego go jeszcze nigdy nie widziała. Melinda Beatrice umarła sześć lat temu. To długi okres samotności dla mężczyzny. Oczywiście miał Maksa, Leo i Meggie, ale to nie to samo. Człowiek potrzebuje kogoś, z kim mógłby się pośmiać, porozmawiać, kłócić się i kochać. Sinjun martwiła się o Tysena od dawna. Spojrzała na bladą twarz Mary Rosę, na jej zadrapania, brzydki siniec pod lewym okiem, i powiedziała spokojnie:

- - Sukienkę? Oczywiście. Dam ci wszystko, czego ci będzie trzeba. Nazywaj mnie, proszę, Sinjun.

- - Ale...

- - Najlepiej zdaj się na ciocię Sinjun. Ona i Perłowa Jane wiedzą, co zrobić, żeby wszystko dobrze się skończyło.

\*

- Nie było sposobu na to, by pozbyć się Griffinnów, może tylko wyrzucając ich na podwórze kopniakami w szanowne miejsce poniżej pleców. Tysen kontemplował przez chwilę tę myśl. Po dwóch filiżankach mocnej herbaty zapytał ich ponownie:

1. Po co przyjechaliście?

2. Widzisz, próbuje być równie stanowczy, jak stary Tyronne - wróciła się do męża pani Griffin, a potem popatrzyła na Tysena. - To się nie uda, młody człowieku. Nieważne, jak bardzo pan tego pragnie, nie ożeni się pan z Mary Rosę Fordyce. Nie pozwolę na to. To bękart. Jeśli w ogóle jest gdziekolwiek przyjmowana, to tylko ze względu na szacunek dla jej ciotki i wuja. Nie, taka jak ona nie może zostać panią na Kildrummy.

- Tysen zupełnie nie mógł znaleźć słów, by jej odpowiedzieć. Ożenić się z Mary Rosę? Taka myśl nawet nie powstała... nie, przecież on tylko jej bronił, jako sługa Boży. To był jego obowiązek. Przecież Erickson chciał ją zniewolić. Zamknął oczy. Udało mu się znaleźć tylko dość słów, by pomodlić się do Boga. Jego modlitwa była prosta, bezpośrednia i raczej niewyszukana: *Panie, wybacz mi Jeśli nie uda mi się powstrzymać przed uduszeniem tej kobiety.*
- - Moja najdroższa żona martwi się jedynie o pańską reputację - powiedział pan Griffin. - Ona się obawia, że mógłby pan zbeczczyć nazwisko jej rodziny, milordzie.
- Pani Griffin skinęła głową do męża w podzięcie. Piła już czwartą filiżankę herbaty. Tysen nie mógł się nadziwić, ile ta kobieta może w sobie zmieścić. Wciąż nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, by się wreszcie odezwać. Ale pani Griffin nie miała takiego problemu. Pochyliła się i poruszając nieznacznie czarnym wąsikiem, perorowała:
- - Już teraz, milordzie, może być pan pewien, że wszyscy na północ od Edynburga mówią o nowym lordzie Barthwicku, to znaczy o panu, który ma w swojej sypialni niezamężną kobietę, w dodatku bękarta. Pani MacFardle powiedziała mi, że był pan z nią całą noc i zajmował się nią w sposób intymny. Ona ma na sobie pańską koszulę nocną. Przecież to... choć waham się użyć takich słów, ale w tej sytuacji to konieczne... to sprośne i nieprzyzwoite, nawet jak na Anglika.
- Tysen zwykle mówił z dużą swobodą i używał wyszukanego języka, był pewny siebie i zrównoważony. Teraz jednak nie tylko nie potrafił nic powiedzieć, ale nie mógł nawet logicznie myśleć. Był jak martwy, jak kamień na polu, i wpatrywał się, ale nie w panią Griffin, tylko w głąb swojej duszy. Zajrzał w siebie, tam, gdzie kryją się cienie, i gdzie niektóre drzwi powinny pozostać zamknięte. Mimo to zajrzał i zrozumiał, że prawdę ma tuż przed oczami. Zrozumiał, że ta stara wiedźma ma całkowitą rację. Tak, naprawdę zajmował się Mary Rosę, gdy była naga, zupełnie jak własnym dzieckiem albo żoną. Nie wahał się. Na wszystko, co święte, cóż uczynił? Miał dobre chęci, chciał ją chronić, uratować jej życie, chciał stanąć między nią a MacPhailem, ale... Miała na sobie jego koszulę, widział ją nagą, zupełnie nagą, każdy cal jej ciała. Nie powinien był. Nie powinien.
- - Więc, panie, cóż masz na swoje usprawiedliwienie? Spałeś z Mary Rosę? Wątpię, czy była dziewicą, bo te bękarcie pomioty rzadko bywają dziewicami, niezależnie od wieku. Czy ten bękart wyda na świat następnego bękarta? Jej wuj i ciotka, oboje tak bardzo szanowani w tej części Szkocji, pozwolili, by ta dziewczucha wychowywała się z ich słodką Donnatellą. Mary Rosę nie powinna była pozostać w tak szanowanym domu. Proszę, co się przez to stało. Leży w łóżu pana domu. A pan, milordzie, pan na to pozwala. Bierze pan nawet w tym udział.
- Tysen potrząsnął głową. Wiedział już, co winien zrobić. Musiał zacząć działać. Odwrócił się i wyszedł z salonu. Jego buty głośno uderzały o podłogę w holu. Natomiast wewnątrz siebie nie słyszał nic. Czuł napływające fale wstydu, poczucia winy, które jednak na szczęście zniknęły pod wpływem naporu nowych, rozsądnych myśli. One były rozwiązaniem jego problemu.



Słyszał głos pani Griffin. Wołała coś do niego, ale nie rozumiał jej słów. Kiedy otworzył drzwi sypialni, zobaczył Colina, który siedział w wielkim fotelu i czytał sobie książkę. Był spokojny i odprężony. Sinjun przysiadła na łóżku obok Mary Rosę i rozmawiała z nią. Meggie zaś trzymała Mary za rękę.

- - Witaj, Tysenie - rzekła Mary. Trzeba było być niewidomym, by nie zauważyć radości w jej oczach.
- Uśmiechała się słodko, szczerze i tylko do niego. Nie powinna tak otwarcie okazywać mu uczuć.

## ROZDZIAŁ 15

- Po chwili cała jej radość prysła, kiedy powiedziała, spuszczać wzrok:
  - - Pojadę do zamku Vere z Sinjun. Mam zamiar być nianią Fletchera i Jocelyn. Sinjun nie chce, żebym pracowała, ale muszę jakoś zarobić na utrzymanie, prawda?
  - Wyjeżdżała?
1. Nie jestem nieukiem. Mówię po łacinie. Mogę pomagać Phillipowi i nawet uczyć Dahling grać na dudach. Nie gram sama zbyt dobrze, ale znam kilka melodii. Nie będę bezużyteczna.
  2. Mówisz po łacinie?
  3. Tak, po łacinie i po francusku. Niestety, mój francuski akcent nie jest zbyt ładny. Za to do łacińskiego nikt nie może mieć pretensji, bo nikt nie wie, jaki on powinien tak naprawdę być.
- Mówiła po łacinie? A to skąd jej się wzięło? Wrócił do właściwego toku myślenia i potrząsnął tylko głową.
  - - Nie wyjedziesz z Kildrummy - rzekł i nawet udało mu się do niej uśmiechnąć.
  - Sinjun otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale kiedy na niego spojrzała, wydało jej się, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Powoli, bardzo powoli wstała z łóżka. Potem wyciągnęła dłoń do bratanicy.
  - - Chodź, Meggie. Pójdziemy z wujem Colinem zwiedzić zamek. Mogłabyś nas oprowadzić?
  - Meggie nie miała pojęcia, co się tu dzieje, ale czuła, że to coś niezmiernie ważnego, coś, co musi się rozegrać tylko między Mary Rosę i ojcem. Mary Rosę znała łacinę? A niech to. Ciekawe, co by na to powiedział Max? Colin spokojnie zamknął książkę i także wstał. Spojrzał po raz ostatni na Tysena i dotknął ramienia żony. Tysen usłyszał, jak Colin pyta szeptem:
1. Ale chyba nie będziemy musieli rozmawiać z tą okropną kobietą?
  2. Nie - szepnęła Meggie - nie przejdziemy nawet obok salonu. Chcę wam pokazać sekretny ogród za biblioteką taty. Zdaje się, że teraz pracuje tam pan MacNeily. To taty rządcą, bardzo miły człowiek. Niestety, niedługo będzie musiał wyjechać. Wolalabym, żeby został. Oliver zajmie jego miejsce.
  3. Douglas będzie zgrzyta! zębami ze złości - powiedział Colin.
- Sinjun roześmiała się.
  - - Oliver świetnie by sobie tutaj poradził. To wymarzone miejsce dla niego.
  - Kiedy wyszli, Tysen zamknął drzwi sypialni na klucz, podszedł do łóżka i powiedział:
  - - Zapomnij o tej posadzie niani, Mary Rosę. Zapomnij o uczeniu łaciny Phillipa i lekcjach gry na dudach z Dahling. Nigdzie nie pojedziesz.
  - Mary Rosę wyprostowała się. Czuła się silniejsza i bardziej pewna siebie niż kiedykolwiek. Nie spuszczała z niego wzroku. Po raz pierwszy zauważyła w jego twarzy taki upór.
  - - Muszę tam pojechać - rzekła, choć bardzo ją to bolało. Nie miała innego wyjścia. - Chyba

sam rozumiesz dlaczego.

- - Nie, nic takiego nie ma miejsca. Posłuchaj mnie.
- Są rzeczy, które czasem musimy zrobić. Teraz jedyną rzeczą, którą na pewno musisz, jest wyjście za mnie za męża. Będiesz panią na Kildrummy w Szkocji i żoną pastora w moim domu w Anglii. Mieszkam we wsi zwanej Glenclose - on - Rowan. Mój dom nazywają oficjalnie domem pastora, ale kiedyś nazywano go Eden Hill, czyli Rajskie Wzgórze.

1. Jak na dom pastora, to bardzo romantyczna nazwa.
2. Chyba tak.

- Nagle, zupełnie bez związku pomyślał, że nawet z tym wielkim sińcem pod okiem wyglądała pięknie. Rude włosy, skręcone w loki, spadały jej na ramiona. Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Czekał. Potrafi! czekać. Czasem jego wiernym sporo czasu zajmowało zebranie się na odwagę, by wyrzucić z siebie grzechy w czasie spowiedzi.

1. Nie mogę. Wiesz, że nie mogę tego zrobić, Tysenie.
2. Nie możesz? Nie możesz za mnie wyjść? Nie widzę dla ciebie innego rozwiązania.
3. Nie zrobię ci tego - powiedziała już bardziej stanowczo, a na jej policzki wracały rumieńce. - Przyjechałam tu, ponieważ nie myślałam rozsądnie. Bałam się wracać do Vallance. Nieważne. Źle, bardzo źle postąpiłam przyjeżdżając tu i wciągając w to ciebie i Meggie. Nie pozwolę ci teraz na takie poświęcenie.

- Uśmiechnął się spokojnie, ukazując białe zęby. Jego niebieskie oczy rozświeciły się radośnie.

1. Zapomnij o poświęceniu. To niedorzeczne. Powinienem ci to powiedzieć już wcześniej. Mam trójkę dzieci. Max to pilny uczeń, bardzo rozumny, ma dziewięć lat. Leo śpiewa jak anioł, a rozrabia jak diabeł. Ma siedem lat. Moją drogą Meggie już znasz. To dobre dzieci.

- Meggie mówiła mi już o Maksie i Leo. - Stropiła się. - Nie, nie zrozumiałeś mnie albo udajesz, że nie rozumiesz. Proszę, Tysenie. Wiesz, że bardzo kochałabym twoje dzieci. Przyzwyczaiałam się już do myśli, że nie będę miała własnych. Nie, nie będę teraz o tym mówić. Uparłeś się, żeby mnie nie rozumieć.

1. Kto cię uczył łaciny?
2. Mieszkał tu kiedyś stary pastor. Zmarł kilka lat temu. - Wzruszyła ramionami. - Wiele mnie nauczył. Tak jak wszyscy, ciągle wspominał o moim pochodzeniu, ale mimo to mnie uczył. Wygłaszał mi też kazania, ale to chyba tylko po to, by nie wyjść z wprawy, a nie żeby mnie nawrócić i uratować moją duszę.

- Uśmiechnęła się na to wspomnienie.
- - Musimy wrócić do tematu, Mary Rose. Czy jestem dla ciebie tak odpychający? Lub nie lepszy od Ericksona MacPhaila?
- Mary Rose odrzuciła kołdrę i spuściła nogi na podłogę. Przypomniawszy sobie, jak wycierał je

ściereczką, najpierw moką, potem suchą. Wstała, a koszula opadła aż do podłogi. Rękawy były dobrych kilkanaście centymetrów za długie. Stała na wprost Tysena, po czym przyłożyła palec do jego torsu.

- - Muszę ci stawić czoło. Nie mogę tak tam leżeć, bezbronna, żałosna, ofiara z podbitym okiem, kobieta godna współczucia. Nie będziesz mi mówił, co mam robić. Czujesz się winny i odpowiedzialny za to, co się stało. To niedorzeczne. Nie wyjdę za ciebie. Nie zrobię ci takiej niedźwiedziej przysługi, Tysenie. Pojadę do zamku Vere z Sinjun. Będę się uczyć. Zostanę doskonałą nianią.
- - Nie - zaprzeczył, splatając ręce na piersiach. Zamyślił się na chwilę.
- - Chyba będziemy musieli rozesłać zaproszenia - powiedział. - Myślę, że w Szkocji są takie same zwyczaje w tym względzie jak w Anglii?
- Chwyliła go za ramię i próbowała nim potrząsnąć, ale nie mogła go nawet ruszyć z miejsca.
- - Rozchorujesz się od tego - powiedział, nie dotykając jej jednak. To by się źle skończyło. Musiał nad sobą panować. - Wracaj do łóżka, Mary Rosę.
- Nagle się uśmiechnęła. - Tysenie, jesteś dobrym człowiekiem. Masz najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. I te ustanie, nie powinnam tego mówić. Posłuchaj. Nie chcę, żebyś potem tego żałował. Nie chcę cię pociągnąć za sobą. Nie chcę cię zhańbić. Jestem bękartem. Nic nie można na to poradzić. Kiedy wreszcie to zrozumiesz?

1. Tak, wiem, że jesteś bękartem. - Wzruszył ramionami. - A kogo to obchodzi?
2. Wszystkich, którzy mnie znają. To zawsze było dla nich niezmiernie ważne.
3. Teraz to już przeszłość, Mary Rosę. Już koniec tych przykrości. Więcej ich nie zaznasz. Powiem to jeszcze raz - kogo to obchodzi?
4. Nie rozumiesz? Należysz do szlacheckiej rodziny. Ja nigdy nie będę do niej należała.
5. Skończyłaś już?

1. Mówisz, jakbym była jakąś niewydarzona histeryczką.
2. Ty i histeria? Zapewniałaś Ericksona, że to do ciebie niepodobne. Zresztą i to nie miałyby znaczenia. Jako pastor, umiem sobie radzić z histerycznymi damami, choć wolałbym nie być mężem żadnej z nich. Moja pierwsza żona skłaniała się w tę stronę... Nie, zapomnij, że to powiedziałem. Według mnie jesteś zaskakująco opanowana, Mary Rosę. Poza tym masz piękne imię. A twoje oczy są takie... - Zaśmiał się i potrząsnął głową. - Nie dbam o to, że nie masz ojca. To po prostu nie jest ważne. Jeśli ciebie to tak bardzo męczy, nie powiemy nikomu w Anglii. To zresztą i tak nie ma dla nikogo z nich znaczenia. Wyjdź za mnie.

- - Nie znasz mnie. Uśmiechnął się.
- - Będziemy się dokładnie poznawali przez najbliższe czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Podobno nie chrapię. Gdybym chrapał, Meggie na pewno powiedziałałaby mi o tym, bo ona i jej bracia przychodzą czasem w nocy do mojego łóżka, zwłaszcza zimą, kiedy w domu jest chłodno. Mamy jeszcze dwa koty, Ellis i Monroe'a. To nie są koty wyścigowe, ale...
- Natychmiast zainteresowała się tematem, na co zresztą liczył.
- - Koty wyścigowe? Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam. Cóż to takiego, koty wyścigowe? Nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś potrafiłby zmusić koty do ścigania się. Przecież one zawsze robią, co chcą. Przestań, żartujesz sobie ze mnie.

- ~ Och, nie. Wyścigi kotów to w Anglii popularny sport. Sezon zaczyna się w kwietniu, a kończy w październiku. Odbywają się w soboty na torze McCaulty, niedaleko Eastbourne. Mógłbym ci kupić kotka i oddać go do trenowania. Poznałem kiedyś braci Harker, najlepszych kocich trenerów w całej Anglii. Pochodzą z Mountvale, posiadłości Rohana Carringtona. - Ojej, jak można wytresować kota? To by dopiero było... - Przerwała, zrozumiawszy, że się zagalopowała. - Nie - powiedziała. - Nie mogę tak myśleć. Nie mogę. Tak się nie stanie. Nie zmienię zdania, Tysenie. Nie mogę.

1. To może być dość trudne. Bracia Harker nie każdemu chcą wytresować kota, bo nie każdy umie z nim potem postępować.
2. Przestań już. Nie będę więcej myślała o tresowaniu kotów. O nie!

- Nie zastanawiając się nad tym, Tysen objął ją i pocałował. Dotknął ustami jej ust, tylko dotknął, nic więcej. Ale to wystarczyło. Było jak objawienie. Poczul, jakby jego ciało nagle ożyło, każda jego cząstka wybuchła energią. Czul wszędzie przyjemne ciepło. Przyjemność, jakiej nawet sobie wcześniej nie wyobrażał, głęboką, przejmującą.
- - Otwórz usta - powiedział nagle, oburzony swoim zachowaniem, a jednocześnie modląc się w duchu, by to uczyniła. Skąd to się właściwie wzięło?
- Nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Ale ku jego zupełnemu zaskoczeniu dziewczyna rozchyliła wargi. Delikatnie wsunął do środka język. O Boże, miał wrażenie, że natychmiast umrze z powodu niezwykłej radości, jaka go ogarnęła. Pomyślał, że samo drżenie mogłoby go przyprawić o nagłą śmierć. Odsunął się. Serce waliło mu jak młotem, dyszał ciężko i nie mógł się opanować. Czul tak wielką potrzebę dotykania jej. Było mu tak dobrze. Nie rozumiał, co tak naprawdę się z nim dzieje. Cokolwiek by to było, nie chciał przestać, nawet gdyby te uczucia miały go rozerwać na strzępy.
- - Nie rozumiem - powiedział powoli, spoglądając na nią, zupełnie zaskoczony tym, co poczul.
- Teraz całe ciało przeszywał niewysłowiony ból, ponieważ nie dotykał jej, nie czuł jej warg na swoich. Opuścił ręce i szybko cofnął się o dwa kroki.
- - Naprawdę nie rozumiem - powtórzył i to była szczerza prawda. Nie rozumiał, co się przed chwilą stało. Wiedział tylko, że było to cudowne i wciąż drżał na całym ciele.
- Jej usta lśniły od pocałunku. Patrzył, jak dotykała opuszkami palców swych warg. Potem zamrugła i spojrzała na niego. Ból w ciele Tysena nasilił się. Miał ochotę krzyczeć z powodu niepokoju, który nim targał.
- - To było naprawdę przyjemne - powiedziała, dokładnie wymawiając słowa.
- Przyjemne? Dla niej to było tylko przyjemne? On trząsał się jak osika i o mało nie wybuchł. Burza uczuć i wrażeń o mało nie powaliła go na kolana, a dla niej to było tylko przyjemne? Ciepły, letni dzień jest przyjemny. Nie mógł się w żaden sposób powstrzymać. Znów ją pochwycił, tym razem mocniej, objął i zaczął namiętnie całować, a dłońmi pieścił i głaskał jej plecy. Przynajmniej miał dość rozsądku, by nie sięgać niżej. Nie była przecież jego żoną. Ale nie mógł przestać jej całować; te cudowne usta, broda, czubek nosa, powieki...
- - Wyjdź za mnie - wyszeptał. - Nie mogę już tego znieść, Mary Rosę. Musisz mnie w tej kwestii posłuchać. Wszystko będzie dobrze. Dzieci cię pokochają. Ellis i Monroe będą ci się

ocierać o nogi. Dobrze nam będzie razem. Wyjdź za mnie.

- Teraz Tysen zaczynał już wierzyć, że jeśli ona się nie zgodzi, to on po prostu umrze na miejscu. Jeśli nie zostanie jego żoną, jeśli nie będzie do niego należała, życie straci sens. Nie mógł się powstrzymać. Całował ją i całował, póki nie jęknęła cicho. Ten cichy dźwięk sprawił, że jego ciało zawrzało jeszcze większym pożądaniem. Ostatkiem sił powstrzymał się, czując, że jeśli tego nie zrobi teraz, to przypadnie w jej ramionach. Odskokzył i pośpiesznie łapał oddech. Przez chwilę zupełnie nie panował nad swoim ciałem. Kiedy się uspokoił, uśmiechnął się, widząc, jak bardzo jest blada i zaskoczona. Dobry Boże, przestraszył ją, a mimo to powiedział:

1. Chcę to z tobą robić, póki nie będziemy starzy i niedołążni.

- Ja... - jęknęła. - Tak - powiedziała nagle. - Bardzo bym tego chciała. Nigdy jeszcze tego nie robiłam. Mam dwadzieścia cztery lata i jestem starą panną. Tak wszyscy mówią. Nigdy tego nie robiłam. Nie wiedziałam, że jedna osoba może sprawić, by druga czuła tyle dziwnych rzeczy. To straszne i niezwykle rzeczy, ale chcę to czuć znów i jeszcze raz. Bardzo tego pragnę. Nie chcę żebyś przestawał. Nie rozumiem tego.
- - Czułaś coś? - Nie mógł uwierzyć, że o to zapytał, ale nie cofnął swoich słów. Musiał wiedzieć.
- Patrzył na jej dłoń, zsuwającą się do brzucha, a potem jeszcze niżej. Zobaczył, jak palce zagłębiają się w fałdach koszuli nocnej. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi, ale on to widział i o mało nie padł na miejscu. Ledwie się powstrzymał, by się na nią nie rzucić i nie położyć jej na plecach na miękkim, szerokim łóżu.
- - Czuję się, jakbym była głodna. Brzuch mam gorący i czuję, że chciałabym cię dotykać, wszędzie.
- O mało się nie zakrztusił. Kontrolować się, pomyślał. Od tak wielu lat te głębokie, niewysłowione, niekontrolowane uczucia nie nawiedzały jego ciała, sprawiając, że miałby ochotę krzyknąć z radości. Powoli, pomyślał, powoli.

1. Mary Rose, gdybyś była moją żoną, mogłabyś mnie wszędzie dotykać, a ja mógłbym w zamian dotykać ciebie. To wielka przyjemność, kiedy mąż i żona razem przeżywają rozkosz. Tak przynajmniej słyszałem. Wierzę, że ja i ty moglibyśmy to razem przeżyć.

2. Bałam się, kiedy Erickson chciał mnie objąć. Nie, nie bałam się, byłam przerażona. Czyż to nie dziwne, że z tobą jest zupełnie inaczej? Tylko o tym myślę. Tysenie, mógłbyś mnie jeszcze raz pocałować? Chciałabym przytulić się do ciebie, mocno się przytulić.

- *Bóg mi świadkiem, nie posunę się dalej, niż mogę, bo wtedy nie uda mi się już powstrzymać.*

1. Pocałuję cię i przytulę, jeśli obiecasz, że zostaniesz moją żoną. Jestem pastorem. Nie wolno mi cieszyć się takimi przyjemnościami bez Bożego błogosławieństwa. Chyba rozumiesz moje położenie. Robiłem w życiu już wiele rzeczy, z których nie jestem szczególnie dumny. Gdybym mógł odwrócić czas, pewnie postąpiłbym inaczej, ale na pewno nie pozbawię cię dziewictwa, by zaspokoić żądę.

2. Ach - powiedziała, rozczarowana tak głęboko, że chciało jej się płakać, ale jednocześnie

pełna podziwu dla jego charakteru. - Rozumiem, Tysenie. Nie jestem dobrą osobą. Przez wiele lat byłam zazdrosna o Donnatellę. Jestem nieuprzejma dla swojej matki. Zabiłabym Ericksona, gdybym wtedy, przy strumieniu, miała pistolet, umiała go nabić i wystrzelić.

3. Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

4. Nie wiem, czy jestem odpowiednią żoną dla pastora.

5. Bzdura. Jesteś człowiekiem, Mary Rose, pięknym człowiekiem. Zazdrość, złość, frustracja to są uczucia. Wszyscy to czasem czujemy, bo po to są uczucia, by im folgować, nawet jeśli wydają nam się złe. Nie wolno ich ignorować, przynajmniej nie zawsze. Szkoda, że nie możesz zobaczyć tego, co ja, kiedy cię widzę. Widzę piękną, młodą kobietę. Nie jestem ślepy. Samo patrzenie na ciebie sprawia mi przyjemność. Twoje włosy, oczy i ten szczególny uśmiezek małego rozrabiaki...

6. Tysenie, przestań, proszę, przestań.

- O nie, widzę też w tobie dobroć. Nie masz ani krzty złośliwości, tylko czułość. Byłaś długo samotna. Nie ceniono cię zbyt. Sądzę również, że wszystko bardzo mocno przeżywasz. Może kiedyś będziesz żywiła tak silne uczucia dla mnie. - To dziwne, ale teraz właśnie poczułem, że postępuje właściwie, chcąc uczynić tę dziewczynę, o której istnieniu przed kilkunastoma dniami nawet nie wiedział, swoją żoną. To była słuszną drogą. Tego właśnie pragnął. Śmiał się z siebie w duchu, przypomniał sobie swoje rozmyślenia i kalkulacje, a potem usprawiedliwianie swojego postępowania. Przypomniał sobie teraz, jakimi wzniosłymi uczuciami darzył Melindę Beatrice, kiedy miał dwadzieścia lat, a ona była jego boginią. Chciał za wszelką cenę dokonać wielkich czynów, by dowieść, jak bardzo ją kocha. Niestety, nigdy nie było po temu okazji. Faktem jednak jest, że związek z Melinda był już odległą historią, a kiedy darzyli się uczuciem, byli jeszcze tacy młodzi. Teraz stał się dojrzałym mężczyzną. Z Melinda Beatrice starał się najlepiej jak umiał, ale nie był do małżeństwa dobrze przygotowany. W wielu sprawach nie miał wielkiego doświadczenia, nic wiedział, jak sobie z nimi radzić, poczynając od żony, a skończywszy na swoich wiernych. Potem pojawiły się dzieci. A potem Melinda Beatrice zmarła. Ale teraz wszystko jest inaczej. Tysen czuł, że w wielu ważnych kwestiach bardzo się zmienił. Zmieniły go dzieci. To one sprawiły, że jego życie było bogate w doświadczenia, nauczyły go współczucia i cierpliwości. Kobiety i mężczyźni z jego kongregacji również go zmienili. Najlepiej, jak potrafił starał się utrzymać ich w wierze i pomagał przejść uczciwie przez życie. Jednak nigdy dotąd nie rozumiał, ile radości może dać mu inna istota ludzka, nieskończone ciepło, czułość i niezwykłą radość życia. Samo patrzenie na nią sprawiało mu radość i wywoływało na jego ustach uśmiech, z którego czasem nawet nie zdawał sobie sprawy. Teraz weszła w jego życie tak nieoczekiwanie. Ta dziewczyna go fascynowała i jednocześnie budziła w nim potrzebę opiekania się, bronięcia jej przed złem świata. Była jedyną kobietą, jaką pragnął mieć przy sobie. Na zawsze. *Drogi Boże, daj mi słowa, które pomogą mi ją przekonać, że powinna za mnie wyjść.*

## ROZDZIAŁ 16

- *Posiadłość Vallance*
  - - Nie wyjdzie za mnie.
  - Sir Lyon brzydził się mężczyzną siedzącym naprzeciwko niego z rękoma wciśniętymi między kolana i miną człowieka zdziwionego, a zarazem pokonanego. Sir Lyon pokładał w nim nadzieje nie tylko związane z jego doskonałą aparycją, ale również z bezwzględnością stanowczością. Wierzył, że chłopak naprawdę jest oddany sprawie, a ten go po prostu zawiódł.
1. Wyprostuj się i podnieś głowę, do diaska. Nie próbowałeś dość stanowczo. Mój Boże, człowieku, zabierz ją z domu tego przeklętego pastora, a wtedy już będzie po wszystkim - rzekł sir Lyon.
  2. On mi nawet nie pozwolił porozmawiać z nią sam na sam - bronił się Erickson. - Jego córka też zresztą nie. Prawie się położyła na Mary Rosę, żeby ją przede mną bronić. Co miałem w tej sytuacji robić? Sługę Bożego wbić w ziemię, a małą dziewczynkę zamknąć w szafie?
  3. Nie, oczywiście, że nie - odparł sir Lyon, pociągając markową, francuską brandy z kieliszka.
- Podrapał się po brodzie. Wyczuł na twarzy kępkę włosów, której nie zauważył jego durny służący, Mortimer, który go dziś rano golił.
1. Musi być jakiś sposób, żeby się do niej dostać i porwać z Kildrummy. Potem pastor nie miałby już nic do gadania. Co mógłby zrobić w tej sytuacji? Zupełnie nic. Do diaska, chłopcze. Nie mogę uwierzyć, że ona naprawdę wskoczyła do strumienia. Zawsze miałem ją za posłuszną.
  2. Zmieniła się - rzekł Erickson i przez chwilę milczał w zadumie. - Pamiętam, jak była mała - odezwał się po chwili. - Była bardzo spokojna, posłuszna. Zawsze stała z boku i obserwowała. Może zmieniała się powoli, a ja nie zauważałem tych drobnych różnic. Dość długo udało jej się trzymać mnie z daleka. Próbowałem już wszystkiego, ale nic nie zadziało. Już ją prawie miałem. To silna dziewczucha. Sama wyszła z wody, bo przecież nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby jej w tym pomóc.
- Sir Lyon nie był tym zbyt zaskoczony.
  - - To tylko słaba kobieta.
  - Erickson spojrzał nad kominek, gdzie wisiał portret pradziada sir Lyona, Williama Thatchera Vallance. To był straszny staruch, który zostawił w okolicznych wsiach więcej bękartów niż ktokolwiek inny w dziejach Szkocji.
  - - Kiedy byliśmy z łańcem małymi chłopcami - wspominał MacPhail - przeszukiwaliśmy cały zamek Kildrummy, by znaleźć tajemne przejścia. Po naszych butach przebiegł batalion szczurów, ale w końcu odszukaliśmy sekretne wejście do zamku. Prowadzi przez wąskie, porośnięte bluszczem drzwi, które otwierają się na ogród za biblioteką. Wiele czasu spędza tam Miles



MacNeily, rządcą Kildrummy, ale on podobno niedługo wyjeżdża.

1. Tak, to prawda, odziedziczył majątek - przyznał sir Lyon. - Podobno nawet całkiem spory. Zresztą Milesowi jest zupełnie obojętne, co zrobisz z Mary Rosę.
2. To dziwne, bo mnie się wydaje, że jednak obchodziłoby go to. Pamiętam, że zawsze o nią pytał. Kiedy była mała, był dla niej miły, dawał jej cukierki i prezenty.

- Erickson wstał i zaczął chodzić po komnacie. Wygląda jak heros, pomyślał sir Lyon, przystojny, młody człowiek o głębokim spojrzeniu. Jest jeszcze przystojniejszy od lana, który stanowczo nie powinien był spaść z tego klifu. Sir Lyon wciąż nie rozumiał, jak to się stało. Ale lana już dawno nie było i teraz nie miało żadnego znaczenia, dlaczego zginął. Obecnie liczył się jedynie Erickson MacPhail, młody człowiek, który gotów był kupić od niego siostrzenicę, nie zważając na jej niefortunne pochodzenie. A najdroższa jego sercu Donnatella tylko skorzysta na tym małżeństwie, kiedy przestanie być zła na Ericksona. Sir Lyon, mając pieniądze, zabrałby ją do Edynburga i przedstawił każdemu dobrze urodzonemu mężczyźnie między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia. Wszyscy byliby nią oczarowani, pisaliby wiersze na temat jej urody, fetowano by ją w każdym towarzystwie i rozpieszczano do granic możliwości. Wtedy byłaby szczęśliwa. Wreszcie znalazłaby się z dala od kuzynki, która dziwnym trafem skradła jej lana. Nikt nie wiedział, jak to się stało, ale to był niezaprzeczalny fakt. Sir Lyon nie mógł się temu nadziwić. Wątpił, by ktokolwiek pamiętał, że lan pragnął Mary Rosę. Nie, większość ludzi pamiętała tylko o tym, że to Donnatella była zaręczona z mężczyzną, który zginął w straszliwym wypadku. A Donnatella, niech ją Bóg błogosławi, nigdy nie próbowała tego sprostować.

1. Nieważne, Miles MacNeily nie jest ważny. Chyba mógłbyś wprowadzić w życie swój plan. Wiesz, że Griffinowie powrócili do zamku Kildrummy? Są tam też lady i lord Ashburnham, siostra i szwagier lorda Barthwicka. Przyjechali z wizytą. Pozostaje jeszcze kwestia służby. W zamku jest teraz mnóstwo ludzi i na nikogo nie możesz się natknąć. Wiesz już, jak ją stamtąd wyciągnąć?
2. Jeszcze nie, ale na pewno coś wymyślę. Mam coraz mniej czasu.
3. Och, tak - przytaknął sir Lyon. - Jednak ja mam własne plany, nim ty wprowadzisz w życie swoje.

- Nikt nie zauważył Donnatelli, stojącej bez słowa za drzwiami komnaty. **Zamek Kildrummy** Głos Mary Rosę był równie blady jak żółta róża umieszczona w wazonie na kominku.
- - Naprawdę uważasz, że jestem dobrym człowiekiem? - zapytała. - Chciałabym wiedzieć, czy naprawdę jesteś o tym przekonany.
- Trochę złości, ponura wątpliwość i szczypta nadziei. Wszystko to słyszał w jej głosie. Roześmiał się. Nie mógł się powstrzymać. Przytulił ją do siebie z całych sił. Potem złapał ją w pasie i uniósł. Rude loki podskoczyły żwawo do góry, a potem gęstym płaszczem spadły mu na twarz. Wdychał ich słodki zapach, zapach prawdziwej kobiety. Od dawna nie czuł go z tak bliska. Nie zapomniał, ale ponieważ nie mógł myśleć o kobietach, więc zwykle odpychał od siebie takie wspomnienia. Spojrzał na nią. Nie uśmiechał się już. Miał minę surową jak nauczyciel albo pastor wśród grzeszników.
- - Dość już tego dobrego, Mary Rosę. Będę cię trzyma! u góry tak długo, póki wreszcie nie

powiesz „tak”.

- Trzymała dłonie na jego ramionach.
1. Naprawdę poprosisz braci Harker, żeby tresowali dla mnie kota?
  2. Obiecuję. Jednak musisz im udowodnić, że jesteś osobą poważną i godną zaufania. Kot wyścigowy wymaga ogromnego poświęcenia. Tak mówił mi Rohan Carrington. To jednak oznacza, że musisz mieć sama o sobie lepsze zdanie. Jeśli ty nie wierzysz, że jesteś dobrą, odpowiedzialną osobą, dlaczego oni mieliby w to uwierzyć? Dlaczego masz wątpliwości, czy jesteś dobra?
  3. Jesteś jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek to o mnie powiedział. Dlaczego miałabym przypisywać sobie jakąś zaletę, jeśli nikt inny nigdy tego nie zrobił?
  4. Ponieważ ja ci to mówię, a ja mam niedługo zostać twoim mężem. Poza tym nie skłamałem otwarcie, od kiedy skończyłem osiemnaście lat. Powinnaś więc mi ufać.
  5. Co to znaczy „nie skłamałem otwarcie”?
  6. Czasami trzeba trochę zmienić odcień prawdy, by uniknąć zranienia czyichś uczuć. Szybko się tego nauczyłem. Można zastosować tę metodę albo po prostu trzymać język za zębami. A teraz, żeby ci udowodnić, że warto za mnie wyjść, powiem ci coś. Jeśli bracia Harker postanowią, że będziesz dla kota dobrą panią, przyrzekam, nie będę wyganiał twojego pupila z domu, nawet jeśli zdenerwuje Ellis i Monroe'a. Nie będę narzekał i zrzędził.
- Mógłby przysiąc, że w tej jednej chwili w jej oczach zauważył błysk przebiegłości, taki sam, jaki wiele razy widywał w oczach swojej siostry, Sinjun.
  - - Jeśli się zgodzę, Tysenie - powiedziała tonem skromnym jak zakonnica - pocałujesz mnie znów?
  - Dobry Boże, pomyślał, ale jedyne, co potrafił teraz zrobić, to skinąć głową i milczeć jak zwykły wiejski głupek.
1. Poczekaj. A co będzie, jeśli się okaże, kiedy już będziemy małżeństwem, że wcale mnie tak bardzo nie lubisz?
  2. Lubię nawet twoje palce u nóg, nawet ten krzywy, który musiałaś pewnie złamać w dzieciństwie.
- Podstępne spojrzenie zupełnie znikło. Wyglądała teraz na oburzoną. Wbiła palce w jego koszulę.
1. Patrzyłeś na moje stopy? To znaczy, dlaczego patrzyłeś na moje stopy? Nikt, kogo znam, nie ogląda palców u nóg. O mój Boże, kiedy?
  2. Musiałem cię całą nacierać, kiedy miałaś gorączkę - powiedział rzeczowym tonem. - Nie, przestań się wić. Nikt inny by tego nie zrobił, Mary Rose. Nie słyszałaś przecież, żebym narzekał, co? A przecież musiałem czuwać przy tobie całą noc. Sama zrozum, że porządny ze mnie człowiek.
- - Widziałeś mój złamany palec - powiedziała i po chwili zobaczył jej przerażony wyraz twarzy. - Widziałeś więcej niż ten złamany palec!

1. No cóż, tak.
2. Strasznie mi wstyd, Tysenie. Jedyłą osobą, która dotąd widziała mnie bez odzienia, byłam ja sama. O Boże, przecież ty jesteś mężczyzną.
3. Owszem, Mary Rosę, jestem mężczyzną. Jeśli szybko nie powiesz mi „tak”, to mogę cię upuścić na podłogę. Nie jesteś ciężka, ale każdy ma swoją wytrzymałość.

- W jej twarzy wciąż było widać wiele zwątpienia, ale ku jego radości skinęła głową i powiedziała:
  - - Dobrze więc, Tysenie. Nie chcę, żebyś potem jęczał z powodu bólu pleców, więc powiem, że za ciebie wyjdę.

1. Powtórz.
2. Powtórzę, chociaż wciąż jestem trochę zawstydzona i ledwie mogę coś z siebie wydusić. Wyjdę za ciebie i modlę się do Boga, byś kiedyś nie żałował swojej wielkoduszności.

- Opuści! ją powoli. By jej udowodnić, że dotrzymuje słowa, i tylko dlatego, pocałował ją tak, jak obiecał. Było piękne popołudnie, jasne promienie słońca dostawały się do pokoju przez wąskie okna. Kiedy Meggie i hrabina Ashburnham wyszły z sypialni, Donnatella spojrzała na kuzynkę.
  - - Wyglądasz okropnie, Mary Rosę. Chcesz, żebym ci uczesała włosy?
  - Mary Rosę tylko się uśmiechnęła. Jeszcze niedawno, gdyby Donnatella tak się do niej odezwała, poczułaby się jak pyłek pod jej butami. Ale teraz miała wrażenie, że nic, co jej kuzynka mówi, nie jest w stanie jej dotknąć. Oczywiście, była pewna, że w jej włosach było więcej kołtunów niż szcurów w stajni Kildrummy, ale to nie miało żadnego znaczenia, zwłaszcza dla Tysena. Była taka szczęśliwa.

1. To bardzo miło z twojej strony, Donnatello. Ty wyglądasz bardzo ładnie. Twoje włosy lśnią w słońcu.
2. Och, dziękuję.
3. Jak się miewa moja matka?

- - Szalona, jak zwykle - powiedziała Donnatella i podeszła do toaletki. Podniosła szczotkę do włosów. - Niewiele się odzywała - rzekła przez ramię. - Mama przekazała jej, że jesteś teraz gościem córki lorda Kildrummy. Nic innego nie trzeba było jej tłumaczyć. Wyszła potem z pokoju, nucąc coś pod nosem.
  - Donnatella zauważyła jasne włosy wplątane w szczotkę. Tysen Sherbrooke był uroczym mężczyzną i najwyraźniej potrzebował żony. Jako że był pastorem, co oznacza, że raczej nie jest stanowczy, że często zajmuje się sprawami ducha, a raczej niewiele czasu poświęca na doczesne problemy, będzie nim łatwo kierować. Powinna o tym pomyśleć, tak, w razie czego. Wyjęła ze szczotki jasne włosy i z lekkim uśmiechem podeszła do łóżka.

1. Pani Mac Fardle twierdzi, że jak najszybciej powinnaś opuścić łóżko pastora. Właściwie to psioczy, że wcale nie powinnaś była się tam znaleźć, że wkrótce wszyscy będą o tym mówili, a reputacja biednego lorda Barthwicka zostanie zupełnie zrujnowana.

2. Tak, wyobrażam sobie, że tak właśnie mówiła. Czuję się już znacznie lepiej. Może dziś wieczorem przeniosę się znów do sypialni Meggie. Jej łóżko jest równie duże jak to. Pomieściłoby swobodnie sześć osób.

- Donnatella usiadła obok niej i zaczęła czesać włosy. Taki pospolity kolor, pomyślała.

1. Meggie to córka pastora?  
2. Tak, to cudowna dziewczynka. Bardzo sprytna. Bardzo kocha swojego ojca.

- Donnatella pociągnęła skołtunione włosy, a Mary Rosę skrzywiła się.
- - Wczoraj widziałam Ericksona w Vallance. Jest przygnębiony, Mary Rosę.
- Mary Rosę zeszywniała.
- - Ależ Mary, nie trzeba się bać mężczyzny. On by cię nigdy nie skrzywdził. Wydaje mi się nawet, że on cię kocha. Co się właściwie z tobą dzieje? Wyjdź za niego, na litość boską, a wtedy zaczniesz rządzić nim i jego domem.

1. Nie wydaje mi się - odparła Mary Rosę, wpatrując się w ścianę przed sobą. - Wiem, że ty potrafiłabyś rządzić mężczyzną i to z łatwością, aleja? Nie jestem o tym przekonana. Nigdy zresztą nie przypuszczałam, że Erickson mnie kocha. Nie masz w tym względzie racji.

2. Więc dlaczego tak bardzo pragnie cię poślubić?

3. Nie wiem. Nawet gdybym go poślubiła, nie wyobrażam sobie, jak mogłabym nim rządzić. Ty, owszem, mogłabyś. Jesteś bardzo silna, Donnatello.

4. Kobieta powinna być silna, bo jeśli taka nie jest, będzie traktowana jak stara słomianka, po której się nieustannie depcze.

- Szarpnęła następny kołtun.

1. Już prawie skończyłam, siedź prosto.

2. Kiedy byłam w twoim wieku, nie wiedziałam, czego chcę. Zawsze podziwiałam w tobie tę umiejętność wyrażania własnego zdania.

- Zastanawiała się przez chwilę, czy Tysen mógłby ją traktować jak starą słomiankę i doszła do wniosku, że to niemożliwe.
- - Nie mogę wyjść za Ericksona - powiedziała, chwytając kuzynkę za rękę. - Nie kocham go. Nigdy go nie kochałam. Gdyby on mnie kochał, nie chciałby mnie zgwałcić.

1. Zgwałcić? - roześmiała się Donnatella. To okropne słowo i słodki śmiech bardzo do siebie nie pasowały.

2. Tak, zgwałcić. Próbował już dwukrotnie. Na szczęście udało mi się uciec.

- Słyszałam - powiedziała Donnatella, ścisząc głos prawie do szeptu i przysuwając się blisko ucha Mary Rosę - że jest podobno doskonałym kochankiem. Mówi się, że spał z kilkoma kobietami we wsi i uśmiechały się od ucha do ucha, kiedy od nich rano wychodził. - Zadrżała nieznacznie. - Może po prostu powinnaś mu zaufać. Niech cię posiadzie. Naciesz się nim, wykorzystaj go. Pod tym względem mężczyźni łatwo dają się wykorzystać. Nauczę cię, jak z

nimi postępować.

1. Nigdy nie czułam najmniejszej ochoty na to, by się z nim kochać. Naprawdę, Donnatello, nie mogę sobie tego nawet wyobrazić. - Zmarszczyła brwi i spojrzała w okno, na zachodzące słońce. - Nie rozumiem, dlaczego chce mnie poślubić. To nie ma sensu. Jestem bękartem. Naprawdę próbował mnie wziąć siłą, a skoro zdobył się na coś takiego, to na pewno nie jest człowiekiem dobrym z natury.
2. Zakochanemu mężczyźnie można wiele wybaczyć. Zauważyłam, że zakochani mężczyźni bywają szczególnie niemądrzy. Może powinnam zaproponować mu pomoc w namówieniu cię do małżeństwa.
3. Wolałabym, żebyś nie próbowała.
4. Tak, zakochany mężczyzna albo taki, który pożąda kobiety, wszyscy oni zachowują się tak samo. Mnóstwo razy to już widziałam. To nawet zabawne. Zważywszy, że Erickson był tu i rozmawiał z tobą, widział cię w takim stanie i wciąż pragnie cię poślubić, to musi być miłość. To jedyne wytłumaczenie. Nie przekonuje cię to?

- - Nie. Donnatella podeszła do rzędu wąskich okien. Otworzyła jedno z nich i wychyliła się.
- - Zawsze uwielbiałam zamek Kildrummy. Już kiedy byłam małą dziewczynką, wiedziałam, że to miejsce w sam raz dla mnie i że kiedyś będę tu mieszkała. Czy to nie dziwne, że wszystko tak właśnie się ułożyło? Chciałam poślubić lana i być jego panią, ale on zginął.
- Cóż za bezsensowna śmierć. Teraz w zamku jest inny baron i na dodatek nie ma żony. Zupełnie jakby przyjechał tu, wiedząc, że jestem w pobliżu, że zawsze chciałam być żoną lorda Barthwicka. Dzięki Bogu, że pastor jest tak przystojny. Zauważyłaś jego oczy? Niezwykły odcień błękitu. Zdaje mi się też, że na jego ciele nie ma ani odrobiny tłuszczu. - Odwróciła się do Mary Rosę, siedzącej na łóżku i obejmującej ramionami kolana. - Pomyślę o tym. Będę spędzała więcej czasu z lordem. Będę patrzyła, jak głupieje z pożądania. Czyż to nie cudowna myśl? Pastor pożądający kobiety. Czy to w ogóle możliwe? Jednak zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabym matkować dziewczynce, która jest ode mnie tylko o połowę młodsza.
- - On ma jeszcze dwóch synów, Maksa i Leo. Jeden ma dziewięć, a drugi siedem lat.
- Donnatella uniosła brwi.
- - Troje dzieci? Nie wiedziałam, że pastor tak często angażuje się w sprawy cielesne. Ciekawe, jaka była jego żona. Powiedział coś o niej?
- - Nie.
- - No cóż, i tak nie żyje, więc to nieważne, jaka była. Wydaje mi się, że powinnaś już wrócić ze mną do domu, Mary Rosę. Jeśli boisz się Ericksona, jeśli sądzisz, że zakradnie się do Vallance, porwie cię i uwięzi, to zapewniam, że będę cię bronić. Możesz nawet ze mną spać. Nie pozwolę mu się do ciebie zbliżyć. Będziesz zupełnie bezpieczna.
- Mary Rosę czuła, jak serce zaczyna jej dudnić z całych sił. Dlaczego Donnatella tak bardzo pragnęła jej powrotu do domu? Na litość boską, dlaczego? Powoli potrząsnęła głową.

1. Nie mogę wrócić.
  2. Więc postanowiłaś zostać i zupełnie zniszczyć reputację biednego pastora?
- Usłyszały pukanie do drzwi. To był Tysen. Nie uśmiechał się. Skinął głową Donnatelli.

1. Mary Rosę, przykro mi, że ci przeszkadzam podczas wizyty kuzynki, ale twoja matka pojawiła się na podwórzu w powozie. Chce się z tobą zobaczyć. Niestety, nie zgodziła się wejść do środka. Co masz zamiar zrobić?
  2. Mama tu jest, naprawdę? Muszę się z nią widzieć.
  3. To żaden kłopot. Moje plecy już się mają trochę lepiej. - Sięgnął po szlafrok, zdając sobie sprawę z faktu, że Donnatella obserwuje każdy jego ruch. Podał go Mary Rosę. - Możesz ustać na nogach? Dobrze, włóż to.
- Donnatella roześmiała się.
1. Jak to miło widzieć mężczyznę usługującego kobiecie. Proszę mi pozwolić się tym zająć. Ja sprowadzę Mary Rosę na dół.
  2. To niepotrzebne - rzekł Tysen, nie odwracając się nawet w jej stronę. - Trzymaj się prosto, Mary Rosę, tylko mi teraz nie upadnij. Dobrze, trzymaj się mnie. - Owinął ją szlafrokiem i zawiązał pasek w talii. - Masz bose stopy, ale jest dość ciepło. Nic ci nie będzie. Gotowa?
- Tysen podniósł ją i po prostu wyniósł z sypialni, zostawiając Donnatellę przy oknie, z wielce zdziwioną miną.
  - - Wcale mi nie przeszkadza, że ci usługuję - powiedział Tysen, idąc korytarzem z Mary Rosę na rękach. - Wiesz co? Kiedy idę, nie wydajesz mi się taka ciężka.
  - Roześmiała się. Przez małą chwilkę trzymała mu głowę na ramieniu, a on poczuł jej ciepły oddech na szyi. Tak bardzo chciałaby zostać w ramionach Tysena na zawsze, a przynajmniej dopóty, dopóki wytrzyma jego kręgosłup.
  - - Twoja matka wygląda naprawdę pięknie - powiedział, ostrożnie schodząc po schodach. Drzwi frontowe były otwarte.
1. Zazwyczaj wygląda pięknie - odparła Mary Rosę. - Co z nią poczniemy, kiedy się pobierzemy?
  2. Przemyślę to, nie martw się. Wszystko się jakoś ułoży.
- Ale jak mogło się ułożyć? Jej matka była bardzo dziwną kobietą. Być może naprawdę szaloną. A może tylko udawała szaloną, by otrzymać to, czego chciała? Matka nigdy nie wyjeżdżała z Vallance. Wiedziała też, kim był ojciec Mary, i nigdy nie raczyła jej o tym powiedzieć. A teraz była tutaj, w powozie. Mary Rosę ledwie mogła w to uwierzyć. Co takiego się stało?

## ROZDZIAŁ 17

- Gweneth Fordyce nie jechała powozem od sześciu miesięcy. Ostatnio była zmuszona tłuc się do Aberdeen na pogrzeb matki. Nienawidziła staruszki, ale obie z siostrą, Margaret, wiedziały, że muszą się odziać w czerń i udawać, że choć trochę rozpaczają. Aż otworzyła usta ze zdziwienia, kiedy zobaczyła, jak lord Barthwick wychodzi z zamku z Mary Rosę na rękach. Dziewczyna miała na sobie jego koszulę nocną i szlafrok. Gweneth wiedziała, że jest coś między jej córką i tym mężczyzną. Nic nieprzyzwoitego, bo przecież to angielski pastor, ale jednak coś, co wyglądało na trochę więcej niż zwykłą troskę mężczyzny o obcą kobietę w potrzebie. Kiedy woźnica otworzył drzwi powozu, Gweneth podała mu dłoń i wysiadła. Stała przez chwilę, patrząc na swoją córkę i pastora, a potem powiedziała:

1. Musisz jechać ze mną do domu, Mary Rosę. Jako twoja matka nie mogę pozwolić, byś została w tym domu, pod jednym dachem z mężczyzną, który nie jest żonaty. Wiem, że to pastor, ale to nieważne. Duchowe rozterki nie mają wielkiego znaczenia w takich kwestiach.
2. Och, mamó. Wybacz, że witam się z tobą w taki sposób, ale niestety jeszcze nie czuję się dobrze.
3. Na pewno nic ci już nie jest, Mary Rosę. Kolor ci wrócił na policzki jakbyś była najwspanialszym okazem zdrowia. Nawet twoje gołe stopy wyglądają zupełnie zdrowo. Nie martw się o odzienie, możemy jechać od razu do Vallance, a tam pójdziesz prosto do łóżka i pozostaniesz w nim przez jakiś czas. Pastorze, proszę umieścić moją córkę w powozie.
4. Niestety, nie mogę, droga pani. Pani córka nie czuje się w posiadłości Vallance bezpiecznie.
5. To jakaś bzdura. Zresztą, to i tak nieważne. Jestem jej matką i Mary Rosę ma obowiązek być mi posłuszną. Poza tym tu nie ma dla niej przyzwoitki. Chodźmy, Mary Rosę.
6. Witam panią. Jestem lady Ashburnham i siostrą jego lordowskiej mości. Brat zaprosił mnie tu w charakterze przyzwoitki dla Mary Rosę.

- Doskonale, pomyślała Gweneth Fordyce, uśmiechając się do uroczej, młodej kobiety, idącej pewnym krokiem w jej stronę. Szła z podniesioną głową i wyglądała na osobę bardzo energiczną. Co za ulga, pomyślała Gweneth. Dotrzymała obietnicy danej siostrze i Lyonowi. Kłóciła się, rozkazywała, przekonywała, a teraz została pokonana. Ledwie się powstrzymała, by nie roześmiać się z radości. Teraz już nic nie musiała mówić. Wszystkie jej argumenty zbiła obecność lady Ashburnham. Nawet Lyon, choć był bardzo wymagający, musiałby się z nią zgodzić, że zrobiła, co tylko mogła, by sprowadzić córkę do domu.

1. Miło mi panią poznać - powiedziała do młodej damy, która odpowiedziała jej świetlistym uśmiechem.
2. Muszę już jechać, Mary Rosę. Pożegnaj się ze mną. Obiecay mi, że nie będziesz ciężarem dla jego lordowskiej mości.
3. Nie, mamó. Postaram się. Zostaniesz na herbatę?

4. Och, nie - odparła Gweneth i skinęła do woźnicy, który szybko pomógł jej wsiąść do powozu. Poprawiła szal, wygładziła wstążki na czepku i spojrzała na osoby znajdujące się obok powozu. Ostatnie, co widziała, to twarz Mary Rosę, uśmiechającej się nieśmiało do pastora.

- Powóz z wolna wytoczył się z podwórza zamkowego.
- - To była twoja matka? - zapytała Sinjun.
- - Tak - odparła Mary Rosę i zmarszczyła brwi.
- Przyglądała się odjeżdżającemu powozowi, który wzbijał w powietrze kłęby kurzu.

1. Na początku - powiedział z zadumą Tysen - nie za bardzo mi się spodobała. Ale potem, kiedy już powiedziała te wszystkie niedorzeczne rzeczy, a w tej sytuacji musiała je powiedzieć, wyglądało na to, że jest zupełnie zadowolona z takiego obrotu sprawy i chyba się cieszy, iż tak pozostanie. Tak, chyba polubiłem twoją matkę, Mary Rosę. Nie jest podobna do wielu innych matek, które miałem okazję poznać, ale na pewno cię kocha. Ciekawe, co by zrobiła, gdyby Sinjun nie pojawiła się przezornie na horyzoncie?

- Meggie mnie odnalazła i powiedziała, że muszę koniecznie być przyzwoitką. Mówiła, że sama jest jeszcze trochę za młoda, żeby ktokolwiek traktował ją poważnie. Potem wypchnęła mnie za drzwi. Twoja matka wcale nie chciała, żebyś z nią jechała, Mary Rosę. Nieważne, co mówiła, bowiem, że wolała, byś tu została. Czy to nie dziwne?
- - Nie - odparł Tysen. - Ona wie, że Erickson MacPhail wcześniej czy później zostałby zaproszony do Vallance, a potem pozwolono by mu wyjść z domu, z Mary Rosę przewieszoną przez ramię. Ona stara się jej bronić. Dobrze sobie poradziła.
- Meggie płatała się w pobliżu, ale nie patrzyła na grupę rozmawiających, tylko na stadko gęsi. Od trzech dni ptaki nie odstępowały jej ani na krok, kiedy tylko znalazła się na podwórzu. Wczoraj biegły do niej, nawołując głośno, a ona rozdała im cały chleb, jaki udało jej się ukraść z kuchni pani MacFardle. Meggie wiedziała, na co się zanoszą. Za chwilę gąski otoczą ją ciasną grupką, chowając małe jak najbliżej środka.
- - Ojej - krzyknęła, podnosząc spódnicę, i pobiegła do zamku. - Zaraz wrócę. Muszę im przynieść trochę chleba! - wyjaśniła w biegu.
- Tysen się głośno roześmiał.
- - Może im pozwolić poskubać trochę ten twój krzywy palec, Mary Rosę?

1. Jaki krzywy palec? - zainteresowała się Sinjun i złapała stopę Mary Rosę.

2. Och, nie, proszę, Sinjun.

3. Tak, coś takiego. To ciekawe.

4. Cicho, Sinjun. O, idzie Donnatella. Dobrze, że zeszła. Chyba już wystarczająco nacieszyłaś się jej rozkosznym towarzystwem? - powiedział Tysen i mrugnął do Mary Rosę.

- - Tak. Oczywiście chciała, żebym wróciła z nią do Vallance. To niezwykle, że wszyscy tak bardzo pragną mieć mnie tam z powrotem. Jak tam twoje plecy?
- - Chyba cię zostawię w salonie i damy ci trochę herbaty. Za bardzo się zmęczyłem, żeby cię targać na górę.
- Sinjun była zaskoczona. Jej brat nie zachowywał się tak, jak zwykle. Nie był tak



przygnębiająco poważny i surowy jak zazwyczaj. Właściwie bez przerwy się uśmiechał. Miał piękny uśmiech. Co jeszcze dziwniejsze, nagle sypał dowcipami, śmiał się z dowcipów innych i, o dziwo, wydawał się szczęśliwy. Wprost tryskał radością. Od wielu lat go takim nie widziała. Sinjun miała niewiele lat, kiedy Tysen postanowił zostać pastorem. Wtedy właśnie stał się poważny jak sam biskup i taki nadęty, że czasem miała ochotę zastrzelić go na miejscu. Kiedy wszyscy weszli do salonu, zobaczyli Colina, a obok niego Donnatellę, która pochylała się ku niemu. Sinjun natychmiast rozpoznała objawy. Donnatella była niezwykle uroczą osobką i Colin nie wyglądał wcale na przestraszonego i zaszczutego, jak to zwykle bywało, kiedy kobieta za bardzo się nim interesowała.

1. Miałabyś coś przeciwko temu, że walnę swoją kuzynkę między oczy? - zapytała Sinjun, zwracając się cicho do Mary Rosę.

1. Chyba nie powinnaś.

1. Ale od tego przystojnego dżentelmena niech się trzyma z daleka - warknęła Sinjun i pomaszerowała prosto w stronę męża i wesolutkiej pannicy, która trzymała się teraz kurczowo rękawa Colina i śmiała się przesadnie z tego, co powiedział. Sinjun była pewna, że to wcale nie było śmieszne, ale Colin najwyraźniej czuł się najbardziej uroczym, najdowcipniejszym i najprzystojniejszym mężczyzną na świecie.

- Colin, mój najdroższy ~ zwróciła się do niego Sinjun - mój najukochańszy mężu, który nigdy nie może się nachwalić mojej urody. Pamiętasz, obiecałeś mi, że odwiedzimy tę jaskinię, o której mówiła nam Meggie? No, tę sekretną, oddaloną od zabudowań, gdzie moglibyśmy, no cóż, nieważne, nie chcę wszystkich zawstydząć. Właśnie jestem gotowa tam z tobą pójść. Nie pożałujesz. - Podeszła tak blisko, że właściwie odepchnęła od niego Donnatellę, uniosła się na palcach i powiedziała wprost do jego ucha: - Chodzi mi po głowie coś, co tobie zjeży włos na karku.

- - Wiem, co ci naprawdę chodzi po głowie, Sinjun - powiedział Colin, pogłaskawszy ją po policzku. - Prawda jest taka, że jesteś po prostu zazdrosna. Nieważne, jak dobrze się właśnie bawiłem, twoja zazdrość bawi mnie znacznie bardziej. Jaskinia, mówisz? I włosy mi się zjeżą?

- - Aha - odparta Sinjun, chwyciła go za rękę i zwróciła się do Donnatelli ze słodkim uśmiechem.

- - Wybacz nam, pani, ale my, nowożeńcy, lubimy od czasu do czasu oddalić się w nieznanie nikomu, przytulne miejsce. Mój mąż jest pod tym względem dżentelmenem bardzo wymagającym. Zegnam się więc, panno Vallance.

1. Podobno mają już kilkoro dzieci - zdziwiła się Donnatella, wpatrując się w otwarte drzwi, przez które przed chwilą przeszli „nowożeńcy”. - Nie miałabym nic przeciwko temu, by się z nim oddalić w takie samo miejsce. To piękny mężczyzna. No cóż. Mary Rosę, wyglądasz już tak dobrze. Jesteś gotowa wrócić ze mną do Vallance?

2. Panno Vallance - zaczął Tysen swobodnie i posadził Mary Rosę na kanapie. - Mary Rosę jeszcze nie jest gotowa do podróży. Niestety, będzie się pani musiała jeszcze przez jakiś czas obejść bez towarzystwa kuzynki.

3. Jak długo?
4. Jeszcze nie postanowiłem - odparł Tysen. - Zobaczymy. Wyślę do was wiadomość, kiedy Mary Rosę będzie gotowa do powrotu.

- Donnatella wyglądała na niezdecydowaną. Mary Rosę jeszcze nigdy nie widziała na twarzy kuzynki takiego wyrazu. Donnatella po prostu nie wiedziała, co zrobić. Skinęła głową do Mary Rosę i wyszła z salonu. Nie padło ani jedno słowo do czasu, kiedy Poudier zmuszony był opuścić swoje stanowisko przy drzwiach, by wejść pewnym krokiem do salonu i odchrząknawszy wprzód, powiedzieć:

1. Milordzie, pani MacFardle jest w rozterce. Nie wiem, co mam jej rzec. Jego lordowska mość jest teraz potrzebny, żeby jakoś zaradzić tej sytuacji.
2. Dziękuję Poudier. Zaraz przyjdę.

- Niewiele się zastanawiając, Tysen wziął staruszka pod rękę i ostrożnie poprowadził w stronę krzesła przy wejściu. Miły gest został przyjęty przez Poudiera z wdzięcznością.

1. Mary Rosę - rzucił przez ramię Tysen, wychodząc z salonu - porozmawiaj z moją córką, kiedy już nakarmi gęsi i wróci z podwórka.
2. Ja również z nią porozmawiam - rzekł Miles MacNeily, idąc w ich stronę. Skinął do Tysena i uśmiechnął się w stronę Poudiera, który już siedział na swoim krześle z pochyloną głową i lekko pochrapywał.

- Tysen znalazł panią MacFardle w wielkiej kuchni zamkowej. Bez zbędnych wstępów, spokojnym, opanowanym głosem powiedział:

- - Mary Rosę siedzi teraz na kanapie w salonie.
- Na pewno jest głodna. Jeśli za chwilę nie przyniesie jej pani srebrnej tacy pełnej smakowitego ciasta i dzbanka gorącej herbaty, będzie pani musiała opuścić Kildrummy. To samo spotka panią niechybnie, jeśli nie uśmiechnie się pani do niej, podając ciasto i herbatę i nie będzie się pani zwracała do niej z należnym szacunkiem. Czy dobrze mnie pani zrozumiała, pani MacFardle?
- - Ale to zwykły bękart, milordzie! To nie miejsce dla niej. Zresztą żaden porządny dom, gdzie mieszkają szanowani ludzie, nie jest miejscem dla takich jak ona. Ludzie zaczną mówić, że zadaje się pan z pospółstwem, że brak panu moralności... a to przecież nieprawda. Czyżbym się myliła? Może jako pastor nauczył się pan już nie darzyć większym uczuciem ludzi, którzy na to nie zasługują. Tak, to chyba tylko wina tej pańskiej dobroci. Ale lord Barthwick nie powinien tak postępować. Mary Rosę nie powinna spać w pańskim łóżku, milordzie. Jeśli jest zbyt chora, by wrócić do domu, może przecież spać w pokoju dla służby. Na piętrze, koło schodów jest taki uroczy pokój, w którym...
- Tysen poczuł napływającą gdzieś z głębi wielką falę złości. Nie podobało mu się, że czyjeś słowa potrafią wywołać u niego tak silną, trudną do opanowania reakcję.
- - Dość już pani powiedziała, Pani Mac Fardle. Mary Rosę Fordyce właśnie przyjęła moje oświadczenia.
- Kobieta otworzyła usta. Wyglądała na zupełnie przerażoną.

- - Albo pogodzi się pani z faktem, że Mary Rosę zostanie lady Barthwick i będzie ją pani traktować z szacunkiem, albo wyjedzie pani z mojego domu i to natychmiast. Decyzja należy do pani. Czekamy na herbatę w salonie. Ma pani dziesięć minut, pani MacFardle, ani chwili dłużej.
- Nie dodał już więcej ani słowa, nawet kiedy westchnęła głęboko. Otworzył drzwi i rzucił jeszcze przez ramię:
- - Jest pani pierwszą osobą, która się o tym dowiedziała. Z samej grzeczności powinna mi pani pogratulować zaręczyn.
- - Ojej. To naprawdę niepożądana zmiana. Wiedziałam, że Anglik przyniesie zagładę temu zamkowi. Jednak należą się panu gratulacje, milordzie.
- Zapomniał o pani Griffin. Kiedy wszedł do salonu, siedziała w głębokim, wypłowiałym od słońca fotelu. Pan Griffin wcześniej przysunął go blisko kanapy, na której spoczywała Mary Rosę.

1. Mam już tego dość, Mary Rosę - powiedziała głośno pani Griffin. - Postanowiliśmy z panem Griffinem zabrać cię ze sobą do Edynburga.

2. Mary Rosę właśnie przyjęła moje oświadczyzny, pani Griffin.

- Meggie podskoczyła z radości.

1. Tatku, naprawdę? Och, to cudownie! Mary Rosę, naprawdę wyjdiesz za tatę? Będziesz z nami mieszkała? - Otrzepta suknię z okruszków chleba, które zostały po karmieniu gęsi i podbiegła do Mary Rosę. Uścisnęła ją serdecznie. - Nie spodziewałam się tego, ale to świetny pomysł, bardzo się cieszę. Będziemy się świetnie bawić, zobaczysz. Och, taka jestem szczęśliwa.

2. Dziecko, powstrzymaj na chwilę swój język - warknęła pani Griffin. - Powinnaś być teraz w jadalni albo siedzieć cicho z boku i czytać książeczkę do nabożeństwa, albo co tam dzieci...

- Tysen uśmiechał się od ucha do ucha. Nie mógł się powstrzymać.
- - Pani Griffin, moja córka musi dobrze poznać swoją przyszlą macochę. Niedługo dostaniemy herbatę. Poudler, co się stało?
- Zgarbiony staruszek stał w otwartych drzwiach i uśmiechał się szeroko, ukazując nieliczne zęby.

1. Gratulacje, milordzie. Och, to prawdziwy cud! Teraz jestem tu potrzebny bardziej niż kiedykolwiek. Nie dość, że jestem służącym pana, mogę jeszcze zostać służącym pani domu, jeśli tylko Mary Rosę nauczy mnie, co mam robić.

2. Mary Rosę, wyjeżdżamy za trzydzieści minut - krzyknęła pani Griffin. - Zaraz, kiedy wypijemy herbatkę pani MacFardle. To wielka dla nas niewygoda, ale podejrzewam, że inaczej nie możemy postąpić. Będziesz mi towarzyszyć jako moja służąca, oczywiście. Może nawet pozwolę ci rano palić w kominku. Zgodzę się na niewielką zapłatę za twoją pracę, żebyś mogła od czasu do czasu kupić sobie jakieś bzdurne damskie ozdóbki. No, wstawaj, Mary Rosę. To...

3. Meggie, proszę, idź do swoich gęsi - powiedział stanowczo Tysen. - 1 sprawdź, czy się najadły. Nie, nie spieraj się ze mną, tylko idź natychmiast.

- Nikt nie rzekł ani słowa, póki Meggie nie wyszła z salonu. Miles MacNeily pomógł Poudrowi wrócić na jego ulubione krzesło. Zostało ich w salonie tylko troje. Tysen wołał, żeby Mary Rosę leżała teraz bezpiecznie w łóżku, ale tak się nie stało. Nie miał czasu zanościć jej na górę. Musiał natychmiast załatwić sprawę pani Griffin.
- - Dość już tego dobrego, pani Griffin - rzeki.
- Spojrzał na Mary Rosę i o mało nie stracił resztek opanowania, które jakimś cudem jeszcze mu zostały. Dziewczyna płakała. Łzy płynęły strumieniami po jej bladych policzkach. Nie wydała przy tym z siebie ani jednego odgłosu. To okrucieństwo. Tyle już wycierpiała w życiu. Słowa uderzały silnie, aż w końcu przebiły się przez udawaną obojętność i sprawiły jej tyle bólu, że nie mogła przestać płakać. Miał ochotę zabić panią Griffin, a zaraz potem panią MacFardle. Złość sprawiła, że zrobiło mu się gorąco. Czuł się silny. Gotów był do walki. Mógł nawet zabić. Podszedł blisko do pani Griffin i rzucił:
  - - Chcę, żeby pani stąd natychmiast wyjechała. Ma pani na to pięć minut i ani chwili dłużej. Jest pani złośliwą, wstrętną staruchą. Pani i ten pani nedorzeczny mąż jesteście obrzydliwi. Nigdy więcej nie chcę was widzieć. Nie jesteście już mile widziani w zamku Kildrummy? Czy wyraziłem się jasno?
- Pani Griffin, czerwona z wściekłości, zerwała się na równe nogi, ale Tysen spokojnie mówił dalej:
  - - Proszę się wynosić z mojego domu, oboje. Już. I tym razem nie waście się wracać, bo każę was wyrzucić. Nie... zrobię to osobiście.
- Usłyszał przerażone piśnięcie pani MacFardle. Spóźniła się z herbatą przynajmniej pięć minut. Sprawa stała się więc jasna. Tysen odwrócił się w jej stronę i patrzył, jak kobieta próbuje jednocześnie utrzymać tacę i przyjść z pomocą pani Griffin.
- - Pani MacFardle - zwrócił się do niej - pani również opuści zamek Kildrummy. Może pani Griffin zechce, by towarzyszyła jej pani do Edynburga. Zdaje się, że potrzebna jest jej dama do towarzystwa, pomoc kuchenna, służąca i lokaj w jednej osobie. Zdaje mi się, że pani sobie z tym poradzi. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Może nawet pani Griffin będzie skłonna zapłacić pani jakiś nędzny grosz, żeby mogła pani od czasu do czasu kupić sobie jakieś bzdurowe damskie ozdoby.
- Usłyszał jakiś dźwięk dochodzący z wejścia, ale kiedy wyjrzał, Poudier spał smacznie z brodą zwieszoną na piersi. Kiedy salon opustoszał, Tysen zamknął drzwi na klucz. Podszedł do Mary Rosę, która patrzyła na niego, szlochała i ocierała dłońmi zapłakane oczy. Tysen trząsł się jeszcze ze złości na myśl, jak bardzo te kobiety ją dotknęły.
- - Tak mi przykro, Mary Rosę. Nigdy nie powinienem był pozwolić tej wstrętnej starej wiedźmie tak długo ciągnąć jej złośliwe wywody. Nie powinienem był pozwolić jej wrócić, a tym bardziej pozostać tu tak długo. Proszę, wybac mi, kochana. Byłem ślepy, zupełnie ślepy, ale to się już nigdy nie powtórzy. Pani Griffin i pani MacFardle za chwilę wyjadą. One są dla siebie stworzone.
- Usiadł obok niej. Wprost nie mógł znieść straszliwego bólu, który widział w jej oczach.
- - Mary Rosę - powiedział i posadził ją sobie na kolanach. Tulił ją przez chwilę. - Wszystko będzie dobrze. Ja się tobą zajmę. Już nikt nie będzie dla ciebie okrutny i złośliwy, obiecuję. Zaufaj mi, dobrze?
- Nic nie odparła, przyłgnęła tylko do niego jak dziecko. Siedzieli tak przez chwilę w

milczeniu. Tysen nie wiedział, jak długo to trwało. Po jakimś czasie usłyszał ciche pukanie do drzwi i głos Meggie. Odsunął się i spojrzał na twarz Mary Rose. Wyglądała na zmęczoną, pokonaną i przybitą. Tysen postanowił przestać jej współczuć i pocieszać. To nigdy nie była dobra metoda, by komuś poprawić nastrój. Pocałował ją w czubek nosa i zapytał:

- - Nie wiesz, gdzie moglibyśmy znaleźć kogoś, kto ugotuje nam obiad?

## ROZDZIAŁ 18

- ***Id imperfectum manet dum confectum erit.*** Nic nie jest skończone, póki się nie zakończy. Mary Rosę usłyszała cichuteńki szept, bardzo blisko, tuż przy uchu. To był głos mężczyzny - bardzo łagodny, cichy. Coś do niej mówił, ale co? Obudziła się. Zrozumiała, że to nie był sen. Już otworzyła usta, by krzyknąć, kiedy jej twarzy dosięgła twarda pięść. Dziewczyna upadła na poduszkę i straciła przytomność. Erickson odgarnął jej włosy z policzka. Oświetlało ją słabe światło świecy. Musiał to zrobić. Po prostu nie miał wyboru. Zaklął pod nosem, kiedy odsunął kołdrę. Miała na sobie koszulę nocną tego przekłętego pastora. Zdał sobie sprawę, że na dodatek musi ją ubrać w szlafrok tego człowieka. Kiedy już to zrobił, przerzucił ją sobie przez ramię i wyszedł z sypialni. Otworzył drzwi na oścież i wyjrzał na korytarz. Ani żywej duszy. Na korytarzu nie było wcale ciemno. Drzwi kilku komnat stały otworem. To przez nie wpadało światło księżyca, oświetlając korytarz. Erickson nie potrzebował nawet świecy. Teraz musiał już tylko przedostać się do biblioteki, a stamtąd, przez drzwi tarasu, do ogrodu. Potem czekała go najłatwiejsza część planu. Musiał tylko wyjść z zamku przez wąskie drzwi w murze, za którymi czekał jego koń. Wszystko szło jak po maśle. Ten plan od razu wydał mu się doskonały. Żałował tylko, że musiał ją uderzyć. Bał się, że dziewczyna zacznie krzyczeć i wszystkich obudzi. Nie zdzielił jej jednak mocno, więc był pewien, że mu później wybaczy. W końcu żona musi wybaczać mężowi. Zastanawiał się przez chwilę, czy jego matka kiedykolwiek wybaczyła coś ojcu. Ojciec umarł, chyba żeby znaleźć się jak najdalej od żony... Było już po północy. Wszędzie panowała cisza. Erickson zatrzymał się na chwilę i nasłuchiwał. Przypomniawszy sobie, jak matka mówiła mu poprzedniego dnia wieczorem, że wszyscy teraz plotkują na temat lorda Barthwicka. Podobno wyrzucił z zamku nie tylko państwa Griffinów, ale nawet panią MacFardle, która przecież pracowała tam od zawsze. Pastor! Kto to widział! Erickson sam nienawidził szczerze pani MacFardle, tej starej wiedźmy. Nie powinna była tak traktować Mary Rosę. Zmarszczył brwi i zamyślił się. Tak naprawdę, źle traktowała wszystkich. Najbardziej zaś nienawidziła dzieci. Poczuł ciężar Mary Rosę na ramieniu. Jej gęste loki łaskotały go w twarz. Krok po kroku posuwał się cichutko dalej. Mary Rosę nie ważyła wiele. Noszenie jej nie sprawiało mu żadnej trudności. Nagle, bez ostrzeżenia, z jednej z sypialni dobiegł go chichot. Mój Boże, cóż to za śmiech? Zdawało mu się, że słyszy go z ostatniej komnaty na końcu korytarza. Jakaś kobieta. Nie spała jeszcze i chichotała. Powód mógł być tylko jeden. Potem usłyszał krzyk, męski głos, niezbyt donośny, potem śmiech. Potem znów przekłety damski chichot. Usłyszał tupot bosych stóp na drewnianej podłodze. Zamarł. Stał na środku korytarza i czekał. Zastanawiał się, co robić. Nagle drzwi otworzyły się z łoskotem i wybiegła z nich kobieta odziana w białą koszulę nocną. Wciąż chichotała, spojrzała za siebie i biegła dalej. Za nią wyskoczył mężczyzna, zupełnie nagi. Na początku Erickson myślał, że to pastor, ale szybko stwierdził, że to nie on. To chyba była jego siostra i szwagier. Co oni wyprawiali? Nagle kobieta zniknęła w cieniu i stanęła nieruchomo jak posąg. Była tylko kilka kroków od niego. Jej nagi mąż zatrzymał się tuż przy Ericksonie. Uniósł wysoko świecę i zaświecił prosto w oczy

niedoszłemu porywaczowi. To niesprawiedliwe, pomyślał Erickson, to po prostu niemożliwe. Przeklinał głośno i siarczyście. Niech to szlag, przecież to był doskonały plan i poszłoby jak z płatką, gdyby nie pech. Akurat musiała napatoczyć się na niego w korytarzu para w miłosnych zalotach.

- - Ona jest moja, do cholery! - wrzasnął. - Zabieram ją!
- Przez chwilę Colin nie mógł uwierzyć własnym oczom.
- - Mój Boże, ty cholerny, parszywy przybłędo, porwałś Mary Rosę. Sinjun, chodź tu szybko!
- Erickson zauważył błysk białej koszuli nocnej w ciemności i nagi mężczyzna oddał komuś świecę. Nie było na co czekać. Odwrócił się i pobiegł korytarzem, najszybciej jak potrafił. Mary Rosę podskakiwała na jego ramieniu, a nagus był tuż za nim. Mary Rosę obudziła się nagle, podniosła głowę i krzyknęła:
  - - Nie! Puść mnie, ty głupcze! - Chwyliła go za włosy i zaczęła ciągnąć z całej siły tak, że musiał odchylić się do tyłu i przystanąć.
  - - Niech cię, Mary Rosę, przestań! Zaufaj mi.
  - Przewrócili się. Erickson zwałił się całym ciężarem ciała na dziewczynę. Colin zatrzymał się, stanął nad nimi, a za chwilę dołączyła do niego Sinjun. Przysunęła bliżej świecę.

1. On mnie zgniecie - jęknęła Mary Rosę, próbując złapać oddech. - Cieszę się, że oboje wyszliście na korytarz, choć nie wiem, co tu robicie o tej porze.
2. To nic takiego - odparł Colin, klękając obok Ericksona.
3. Masz goły tyłek - oburzył się nagle. - Nie wstyd ci? Tu jest dama.

- Colin spojrzał pośpiesznie na Mary Rosę.

1. Zamknij oczy - powiedział, a ona pośpiesznie wykonała rozkaz. Colin podniósł Ericksona jednym ruchem, jakby był bardzo lekki. Ale Erickson miałby sporą szansę wygrać, bo kiedy tylko stanął na nogi, uderzył Colina prosto w brzuch. Wtedy Sinjun rzuciła w niego świecznikiem. Mosiężny przedmiot uderzył go w szczękę, a płomień świecy osmałił mu twarz. Kiedy świeca spadła na podłogę, Sinjun rzuciła się z furią na porywacza.
2. Ty kompletny idioto - krzyczała - próbowałeś porwać Mary Rosę!

- Erickson czuł, że jest w tarapatkach. Starał się odsunąć od siebie tę furiatkę. Tłukła go z taką radością i pachniała tak cudownie, jak fiołki wiosną. Nagus chwycił go za ramię, jakby je chciał wyrwać z barku. Erickson uderzył z całych sił jego żonę w ramię, a ona przewróciła się do tyłu. Golas puścił jego ramię, by pochwycić Sinjun, a wtedy Erickson skoczył na równe nogi i pobiegł tak szybko, jak potrafił. Nie znał drogi prowadzącej do wyjścia, nie był więc pewien, czy ucieka w dobrym kierunku. Ale to go nie powstrzymało. Nagle, z nienacką, dokładnie naprzeciw niego otworzyły się z łoskotem drzwi i wybiegł z nich mężczyzna, w pośpiechu zapinając spodnie. Tym razem był to ten przeklęty pastor. - Nie mam jej - krzyknął Erickson. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zdiełać pastora, ale zrezygnował. To niedorzeczne, że sługa boży wygląda na tak silnego mężczyznę. A na dodatek jest wściekły jak rozjuszony byk. Erickson odwrócił się, ale wpadł natychmiast na Sinjun i Colina. Cała trójka przewróciła się na podłogę. Tysen spojrzał przed siebie. W jego stronę biegła Mary Rosę w szlafroku i koszuli, którą trzymała w dłoni, podciągając ponad kolana. W drugiej ręce trzymała

świecznik. Na szczęście świeca, która osmaliła twarz Ericksona, wciąż dzielnie trzymała się w świeczniku i nie podpaliła całego zamku. Ogień drżał jak szalony, ale i ta odrobina światła pozwalała dojrzeć coś w ciemności.

- - On chciał ją porwać, Tysenie! - wrzeszczał Colin, wstając i pomagając Sinjun się podnieść. - Mary Rosę, zamknij oczy, proszę.

- Mary Rosę zamiast zamykać oczy, tym razem szybko zdjęła szlafrok Tysena i rzuciła go w stronę Colina, zaciskając z całych sił powieki. Colin zaśmiał się i zawiązał go w pasie. Cała trójka stała nad Ericksonem MacPhailem, który nie mógł uwierzyć, że mu się nie udało. Przeklinał w myślach siebie i Mary Rosę za jej cholerny upór i jej przekłętą wuję za to, że go w to wciągnął. Tysen stanął nad nim w rozkroku. Zdawał sobie sprawę, że z każdą chwilą traci spokój i rozsądek. Bardzo cicho, głosem, który w ogóle nie przypominał jego własnego, zapytał:

- - Mary Rosę, czy on ci coś zrobił?

1. Uderzy! mnie w twarz, ale nie za mocno. Tysen spojrzał na Ericksona.
2. Chciałeś ją stąd wykraść i zgwałcić?

- - Nie, do diaska - odparł Erickson, leżąc na plecach i nie poruszając się. - Chciałem ją poprosić o rękę. Po raz kolejny. Nie rozumiesz? Szaleję za nią. Muszę ją mieć. Nie zgwałcę jej, jeśli wreszcie będzie rozsądna i zrozumie, co dla niej dobre. Niech to szlag, ja jej pragnę. Kiedy zostanie moją żoną, nikt nie ośmieli się nazwać jej bękartem. Będzie bezpieczna. Jaja obronię. Tysen słyszał dudnienie w głowie. To krew tak pulsowała mu w żyłach. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu całkiem stracił nad sobą panowanie. Pochylił się, chwycił Ericksona za koszulę i podniósł go.

- - To wszystko wierutne bzdury i dobrze o tym wiesz. Nie wiem dlaczego tak bardzo chcesz ją poślubić, ale dowiem się, nim cię wypuszczę z tego zamku. A teraz, ty parszywy psie, zatłukę cię na śmierć.

- Nie słyszał krzyku Mary Rosę ani uspokajającego głosu Sinjun, każącego mu przestać, ale usłyszał, jak Colin mówi:

- - Tylko nie zabij go od razu, ode mnie też musi trochę oberwać.

- Tysen nie uderzył człowieka, od kiedy opuścił rodzinny dom. W domu, oczywiście, codziennie walczył o wszystko z braćmi. Nauczył się podstępów, który w walce był niezbędny, tak jak w tej chwili. Uderzył Ericksona w twarz, potem w brzuch, a potem w nerki. Rzucił nim o ścianę i uśmiechnął się, usłyszawszy głucho uderzenie jego głowy o dębową boazerię. Erickson otrząsnął się i złożył pięści do walki. Ruszył w stronę Tysena.

- - Och, tak, no chodź - zachęcał go Tysen, chwycił go za prawą rękę i wykręcił ją z całych sił, ale Erickson sięgnął go nogą, kopnął i uwolnił się.

1. Nic takiego nie zrobiłem, do cholery - wrzasnął Erickson i wyrzucił silny cios w stronę Tysena, któremu udało się natychmiast go zablokować.

- Ty psie! - Tysen przywarł do niego, tłukąc z całych sił, gdzie się dało, bez opamiętania. Poczuł, że przeciwnik chwyta go za ręce. Próbował przez chwilę uwolnić pięści. Nagle zrozumiał, że to nie Erickson go trzyma, tylko Mary Rosę. Dziewczyna płakała. Mary Rosę płacze? Ale dlaczego? Przecież ją uratował i właśnie miał zamiar zabić Ericksona MacPhaila,



człowieka, który powinien już w kołyszce zostać uduszony. Wyszarpnął ręce i znów schwycił Ericksona, ale ten zdążył już złapać oddech i ruszył w jego stronę. Uderzył Tysena w brzuch, a potem obaj upadli na podłogę, szamotali się, uderzali bezładnie pięściami, wrzeszczeli i przeklinali. W końcu Tysenowi udało się przekręcić Ericksona na plecy i unieruchomić go. Kiedy poczuł, że panuje nad sytuacją, miał wrażenie, że przez jego ciało przemaszerowała armia radosnych uczuć. Uśmiechnął się do Ericksona i zdzielił go pięścią raz i drugi.

1. Wystarczy - krzyknęła mu do ucha Mary Rose. - Przestań!
2. Tak, teraz moja kolej - upominał się Colin, podchodząc do nich. - Ona ma rację. Już dość go natłukłeś. Twoja kolej minęła. A teraz daj go mnie.

- Tysen nie słuchał. Nawet nie podniósł głowy. Uderzył go jeszcze raz. Erickson prawie stracił przytomność. Nie próbował nawet walczyć.
- - Nie - rzekła Sinjun.
- Stała nad bratem, wciąż nie mogąc zrozumieć, co się z nim stało. Tysen stłukł tego mężczyznę, zbił go na kwaśne jabłko i nie przestawał. Trzymał go teraz za szyję, ale nie próbował udusić. Dzięki Bogu. Widać było, że się uspokaja, że powoli odzyskuje kontrolę nad sobą. Nie, nie miała racji. Naprawdę zaczął go dusić. Położyła dłoń na jego ramieniu i powiedziała bardzo łagodnie: - Tysenie, mój drogi, musisz przestać. Już mu dałeś nauczki. Musisz przestać, bo potem sobie tego nie wybaczysz. Znam cię dobrze, uwierz mi, powinieneś już go puścić. Nie chcę, by dręczyły cię potem wyrzuty sumienia, żebyś posyłał własną duszę do piekła. Przestań. Już przestań. Dopiero ostatnie słowa dotarły do jego umysłu, dopiero wtedy poczuł, jak bardzo jest obolały i potłuczony. Krew już tak szybko nie krążyła mu w żyłach. Czuł, jak serce wraca do normalnego rytmu. Wstał i powiedział zupełnie spokojnie:

1. Jeśli zobaczę cię w odległości choćby kilku metrów od Mary Rose, zabiję cię, rozumiałeś?
2. Każde z nas cię zabije. Będziemy to robili po kolei. Jedno pięściami, drugie nożem, trzecie z pistoletu - rzekła Sinjun. - Bóg wybaczy mojemu bratu wściekłość, bo jesteś tak wstrętnym, podstępnym padalcem, że zasługujesz na to, by od razu iść do piekła.
3. Teraz - wtrącił Colin - tak jak mój szwagier, chciałbym wiedzieć, dlaczego tak bardzo chcesz się ożenić z Mary Rose. Mężczyzna, który naprawdę kocha kobietę, nie bije jej, nie próbuje porwać i zgwałcić w środku nocy w obcym domu. Dlaczego tak bardzo chcesz się nią ożenić?

- Erickson z krwawiącym nosem, rozciętymi ustami, zwinięty w pól z powodu bólu brzucha, plujący krwią i obity jak nigdy dotąd, jęknął i wyszeptał:

1. Mylisz się co do mnie. Nie mam innego powodu. Kocham ją. Muszę ją mieć za żonę. Nie kłamię, nie ma innego powodu, tylko szczere uczucie. - Spojrzał na Mary Rose, stojącą na korytarzu w koszuli pastora. - Musisz za mnie wyjść, Mary Rose. Moje życie straci sens, jeśli nie będziesz moja.
2. Kłamiesz - warknął Colin, krzywiąc się z niesmakiem. - Chcę znać prawdę. Mary Rose, daj tu świecę. Chciałbym zobaczyć twarz tego idioty. O, krew mu leci z nosa. Do twarzy mu z tym, nie sądzisz?

3. Nie - odparła Mary Rosę.

- Colin stał wciąż nad nim.
- - Ona chyba ma rację. A teraz coś ci powiem. Wydobędziemy z ciebie prawdę, a jeśli nie powiesz po dobroci, będę cię trzymał, a Tysen całkiem wgniecie cię w podłogę. Rozumiesz mnie, podstępny gadzie?
- Erickson westchnął głęboko. Wyglądał na pokonanego i rozżalonego. Potrząsnął głową.
- - Nie mam nic do powiedzenia. Nic już więcej nie powiem. Jestem niewinny. Jedyłą moją zbrodnią jest namiętna miłość do Mary Rosę.
- Colin kucnął przy Ericksonie i chwycił go za kołnierz koszuli, uniósł w górę, a potem bez ostrzeżenia, bez chwili wahania, uderzył jego głową o podłogę. Erickson jęknął.
- - Nie ma w tobie ani kropli miłości do Mary Rosę, ani też do jakiegokolwiek innej kobiety. Mów. Powiedz albo rozbiję ci łeb na miazgę.
- Tysen opierał się o ścianę. Ręce splótł na piersi i zupełnie nic nie mówił.
- - Jesteś cholernym pastorem! - wrzeszczał do niego Erickson. - Jak możesz mu na to pozwalać? Już i tak jestem głuchy po tym, jak mnie stłukłeś. Powstrzymaj go, na litość boską.

1. Nie, jeśli nie powiesz prawdy - rzekł Tysen, z uwagą przyglądając się otartemu naskórkowi na dłoniach.

2. Nie ma żadnej innej cholernej prawdy. Niech was szlag.

3. Mam cię zmienić, Colinie? - zapytał Tysen, podchodząc o krok.

- Mary Rosę i Sinjun rzuciły się do niego, starając się go powstrzymać. Obie spoglądały na Ericksona, jakby był wstrętnym robalem, który wpełzł spod kamienia. Colin pochylił się znów i złapał go za kołnierz.

1. Nie - jęknął Erickson. - Nie rób tego. Do diaska, ząb mi się rusza. Naprawdę, nie mam już nic do powiedzenia. Jeśli mnie zabijesz, powiesz cię za to.

2. Tysenie, dokąd się wybierasz?

3. Zaraz wracam, Sinjun. Wezmę tylko mój pistolet. Nie mogę ryzykować, że on przyjdzie tu jutro albo pojutrze, żeby zgwałcić Mary Rosę i zmusić ją do małżeństwa. Muszę go zabić. Nie chce nam powiedzieć, po co odgrywał już tyle razy to żalosne przedstawienie. Nie mam więc innego wyjścia.

4. Będziemy losować, kto go zabije - postanowił Colin.

5. Ja też chcę losować - wtrąciła się Mary. - Nie chcę już dłużej się go bać. Przecież wszystkich nas za to nie powiesz, prawda?

6. Nie. Wszystkich nie - powiedziała Sinjun. - Przynieś ten pistolet, Tysenie.

- Erickson patrzył na te wszystkie zadowolone z nowego pomysłu twarze i wierzył im. Czuł się pokonany. Nie miał już ani krzty odwagi. Nie potrafił znaleźć innego wyjścia. Odetchnął głęboko, przełknął ślinę. Starając się pokonać ból, powiedział:
  - - No dobra. Niech was szlag. Żebyście wszyscy trafili do piekła. Muszę ożenić się z Mary Rosę, bo jest bogata. Jest nawet bardzo, bardzo bogata. Jej ojciec zgromadził dla niej pieniądze. Nie, nie wiem, kim jest jej ojciec. To wie tylko jej matka, bo przecież musi pamiętać, przed kim

zadzierała spódnicę. W Banku Angielskim jest jej osobisty fundusz. Mary Rosę otrzyma go, kiedy wyjdzie za mąż albo skończy dwadzieścia pięć lat. Niech was wszystkich szlag.

- Erickson spojrzał na Mary Rosę, ale nic nie zauważył, bo jej twarz była schowana w cieniu.  
- W przyszłym miesiącu skończysz dwadzieścia pięć lat, Mary Rosę. Musisz za mnie wyjść za mąż jeszcze przed urodzinami, żebym dostał te pieniądze. Potrzebuję ich. Donnatella ma tylko pięć tysięcy funtów, a to mi nie wystarczy.

1. Ile tam jest pieniędzy? - zapytała Sinjun.
2. Nie wiem. Sir Lyon powiedział, że jest tam wiele tysięcy. Mówił mi, że starszy pan, który zajmuje się funduszem, opowiadał mu o pieniądzach większych niż spodziewałby się najbardziej nawet chciwy człowiek.

- Tysen dyszał ciężko. Ledwie łapał w płuca powietrze. Odsunął Sinjun i Mary Rosę z drogi, pochylił się nad MacPhailem i znów zaczął go bić z całej siły, bez litości. Serce waliło mu tak mocno, że mało nie wyskoczyło z piersi, a złość sprawiła, że prawie nic nie widział. Tym razem to Colin złapał go i odciągnął od Ericksona. Tysen próbował go uderzyć, ale Sinjun krzyknęła: - Przestań, Tysenie! Uspokój się! Przynajmniej teraz znamy prawdę. Przestań. Ten paskudny padalec przegrał. Teraz już na pewno, bezwzględnie przegrał. Mary Rosę podeszła do obu mężczyzn. Przytuliła się do Tysena, objęła go mocno, a on powoli, bardzo powoli, opuścił zaciśnięte pięści i także ją objął. Wdychał jej zapach, czuł w ustach smak jej włosów. Sprężyste loki łaskotały mu twarz.

1. Mieliście z wujem Mary Rosę jakąś umowę? - zapytał Colin, stając nad Ericksonem z rękoma zaciśniętymi w pięści, choć wiedział, że mężczyzna nie będzie próbował uciekać. Jednak czuł, że Tysen może znów stracić panowanie nad sobą i tym razem po prostu go zabić. Gdzieś w głębi jego duszy tkwiło przekonanie, że nie może mu na to pozwolić. Taki czyn zniszczyłby Tysena i skazał napiekło jego duszę.

- Tak - wydusił w końcu Erickson, wiedząc, że już nie ma po co kłamać. - Miałem mu dać dziesięć tysięcy funtów po ślubie z Mary Rosę. Jego zadaniem było dopilnowanie, żeby nie spotykała się z nikim innym i chętnie przyjęła moje zaloty, a jeśli to by nie zadziało, miał ją do tego przymusić.

- - A co z Donnatella? - spytała Mary Rosę. - Czyż to nie jej zawsze pragnąłeś?
- Erickson masował obolałą szczękę. Poczł na dłoni krew z rozciętej wargi.
- - Tak - powiedział z nutą odrazy w głosie. - Jesteś nikim w porównaniu z Donnatella. Nie jesteś głupia, Mary Rosę, i masz przecież oczy. Mieszkasz w Vallance i wiesz, jaka ona jest piękna.
- - Gdybyś ożenił się ze mną, nie mógłbyś mieć Donnatelli. Ona nigdy nie zgodziłaby się zostać twoją kochanką. Sara dobrze wiesz, Ericksonie. Miałbyś pieniądze, ale na pewno byłbyś nieszczęśliwy, mając za żonę mnie, a nie ją.

1. Moja matka jest bardzo stanowcza - powiedział już ciszej Erickson. - Znasz ją. Powiedziała, że wszystko się dobrze ułoży i to już niedługo. Powiedziała, że kiedy dostanie pieniądze, ja będę miał to, czego pragnę, a ja przecież pragnę tylko Donnatelli.

2. Więc twoja matka miała zamiar zabić Mary Rosę - wyszeptwała Sinjun. Nie mogła uwierzyć, że tak zły człowiek naprawdę istnieje.
  - Erickson tylko wzruszył ramionami. Okazało się to dość trudne, bo bolały go wszystkie mięśnie, nawet kolano, w które się uderzył, upadając na podłogę razem z tym przeklętym pastorem.
  - - Cóż to za bzdury! - krzyknął wściekły. - Moja matka nikogo by nie zabiła. Nie wiem, co zamierzała, ale na pewno nie zabiłaby tej dziewczyny.
  - Sinjun uniosła koszulę, obnażając nogę aż do kolana, po czym kopnęła Ericksona z całej siły w żebra. Jęknął.
1. Kłamiesz, ty padalcu. Nie potrafię znaleźć innego, dość mocnego określenia dla człowieka takiego jak ty. Pewnie tylko w stajni, w zamku Vere moi stajenni znają odpowiednie słowa na takich... To oczywiste, że twoja matka albo ty mieliście zabić Mary Rosę, a po jej śmierci miałbyś i pieniądze, i Donnatellę. Do kroćset, jesteś paskudnym, złym człowiekiem. Co się zaś tyczy twojej matki, powinno się ją związać i zastrzelić od razu, jak psa.
  2. Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Mary Rosę do Tysena. - Więc jestem bogata. Dlaczego matka mi o tym nie powiedziała? Dlaczego pozwoliła, żebym wierzyła, iż jestem tylko ubogą krewną na łasce i niełasce jej siostry i sir Lyona?
  3. Może matka myślała, że jej nie uwierzysz? - zastanawiał się Tysen. - Uwierzyłabyś w to?
  4. Nie, chyba nie. Ale powinna była przynajmniej spróbować. - Czuła ból w sercu. Po prostu nic nie rozumiała. Zresztą nigdy się nie rozumiały. - Ale skąd wuj Lyon wiedział o pieniądzach? - zapytała nagle.
  - Erickson wstrzymał oddech. Nie patrzył na nich. Wiedział, że nic już nie mógł naprawić, więc właściwie dlaczego nie miałby im powiedzieć wszystkiego.
  - - Twój wuj zagroził, że obie was wyrzuci z posiadłości Vallance. Zdaje mi się, że chciał zrobić z twojej matki swoją kochankę, a ona mu odmówiła. Nie winię jej za to. Jest już stary i cuchnie mu z ust. Pewnie twoja matka powiedziała mu o pieniądzach. Zapewniła go, że masz mnóstwo pieniędzy, ponieważ twój ojciec jest bardzo bogatym człowiekiem. Obiecała dać mu trochę, jeśli was nie wyrzuci z domu i jeśli ją zostawi w spokoju. Zdaje mi się, że później sir Lyon wpadł na pomysł uzyskania tych pieniędzy, ale najpierw udał się do Edynburga, żeby się upewnić, czy twoja matka mówiła prawdę. - Erickson odwrócił się na bok i powoli zaczął się podnosić z posadzki. Usiadł, opierając się o ścianę.
  - - Zaraz! - zawołała Mary Rosę. - Jeśli to moja matka opowiedziała o majątku, który mam dostać, całkiem możliwe, że on w ogóle nie istnieje. Moja matka od czasu do czasu miewa napady szaleństwa i to już od wielu lat. Może poprosiła tego człowieka z Edynburga, żeby skłamał na temat pieniędzy?
  - Erickson potrząsnął głową.
  - - Nie. Twój wuj znalazł człowieka, który zarządza twoim majątkiem i wypytał go o wszystko. Ten człowiek nie zgodził się powiedzieć, kim jest twój ojciec, ale potwierdził, że istnieje fundusz, który założył w twoim imieniu. Powiedział też, że jest tam mnóstwo pieniędzy.
  - Mary Rosę wpatrywała się w niego, próbując jakoś to wszystko zrozumieć. Nie była już tylko ubogą krewną. Była kimś.

1. Musiałeś się z nią ożenić, nim skończy dwadzieścia pięć lat - zauważył Colin - bo inaczej nie dostałbyś jej posagu. Ona i jej matka dostałyby pieniądze i mogłyby się wyprowadzić, mieszkać, gdzie by im się spodobało.
  2. Wciąż trudno mi w to uwierzyć - powiedziała Mary Rosę. - Nie wiedziałam o tym. Nawet nie przy - szłoby mi to do głowy. Może jednak ojciec kochał mnie choć trochę, skoro dał mi tyle pieniędzy? Nigdy nie sądziłam, że to możliwe.
- Tysen spojrział na Ericksona. Na jego szyi wciąż widniały czerwone ślady jego palców. Nie, tego Mary Rosę nie będzie wspominała z przyjemnością. Pokiwał głową, zaniepokojony swoim zachowaniem, i zwrócił się do Ericksona:
  - - Przecież mamy się z Mary Rosę pobrać. Nie słyszałeś o tym? Ona będzie moją żoną. Przegrałeś. To już koniec.
  - Erickson skinął głową.
  - - Tak, pani MacFardle powiedziała wszystkim w okolicy, że żenisz się z bękartem. Nie rozumie, dlaczego to robisz. Sądzi chyba, że Mary Rosę wszystko to sobie dokładnie zaplanowała, że skoczyła do strumienia, by zyskać twoje współczucie i uwieść cię. A ponieważ jesteś cholernym pastorem, z twoim honorem i szlachetnością poczułeś się zmuszony, by się z nią ożenić.
  - Tysen odchylił do tyłu głowę i roześmiał się. Objął mocno Mary Rosę i śmiał się jeszcze radośniej, a w końcu rzekł do Ericksona:
  - - Naprawdę w to wierzysz, że Mary Rosę byłaby zdolna kogoś uwieść?
  - Erickson niechętnie pokiwał głową. Brzuch bolał go coraz bardziej, żebra kłuły, jakby miały przebić się przez skórę. Nie chciał przeżyć upokorzenia, kiedy będzie musiał zwymiotować na środku korytarza w zamku Kildrummy. Jęknął i odwrócił się, zamykając z bólu powieki.
1. To dlatego musiałem działać szybko. Gdyby Mary Rosę za ciebie wyszła, wszystko by przepadło.
  2. Rozumiem - powiedział Tysen. - Chyba że mnie też spróbowałbyś zabić.
  3. Nie, nie jestem mordercą.
  4. Jestem bogata - powiedziała Mary Rosę. - Teraz - zwróciła się do Tysena, nie przestając go obejmować - nie musisz się już ze mną żenić. - Powoli odsunęła się od niego i spojrzała mu w oczy. - Zwalniam cię ze słowa. Jesteś wolny.

- - Właściwie - rzekł Tysen - to wcale nie jestem. Erickson trzymał się za brzuch, opierając się o ścianę.
- Z nagłą nadzieją w głosie zwrócił się do Mary Rosę:
- - No właśnie. Nie musisz już za niego wychodzić.
- Teraz możesz pomyśleć rozsądnie. Znasz tego pastora tylko tydzień. Mnie znasz całe swoje życie. Zawsze byłem dla ciebie dobry, nigdy nie naśmiewałem się z tego, że jesteś bękartem. Pamiętasz, jak uczyłem cię pływać? Razem pływaliśmy z morswinami. Posłuchaj mnie, wiesz dlaczego jemu nie zależy na twoich pieniądzach? Pastor potrzebuje tylko miejsca do przyjmowania swoich wiernych, żeby im wypominać ich grzechy i straszyć piekłem. Po to właśnie są kościoły. Kiedy wszyscy wejdą do środka, zamykają się te potężne drzwi i nikt nie może wyjść na zewnątrz. Pastor wrzeszczy na nich i sprawia, że każdy czuje się okropnie i boi

się, że pójdzie do piekła. A kiedy już zbierze na tacę i wszyscy mają wrażenie, że kupili sobie rozgrzeszenie, on czuje się o niebo lepszy od nich. Moja matka nikomu źle nie życzy. Ona tylko chce, żebym był szczęśliwy. Ale sama też chce być szczęśliwa. Chce bywać na balach i rautach w Edynburgu, pokazywać się w najlepszym towarzystwie. Mary Rose, posłuchaj mnie. Pastor cię nie potrzebuje, nie tak jak ja. To sługa Boży i minio że o mało mnie nie zabił, a będzie się za to smażył w piekle, to tak naprawdę on nie jest prawdziwym mężczyzną. On nie potrafi dać kobiecie rozkoszy i... - Przestał z obawy, że dalsze słowa mogą mu znów przysporzyć wiele bólu. - Proszę, wyjdź za mnie, a nie za niego. Nie daj mu się przekonać. Zniewolę cię tylko, jeśli będę musiał, tylko jeśli mi odmówisz i... Sinjun znów posłała mu porządnego kopniaka.

## ROZDZIAŁ 19

- Następnego ranka przy śniadaniu Miles MacNeily opowiedział wszystkim o tym, co mu się przydarzyło, kiedy eskortował do domu Ericksona MacPhaila. Tam czekała już na złoczyńcę jego kochająca matka.
  - - Nie miał nawet szansy cokolwiek wyjaśnić - rzekł Miles. - Zaczęła na niego wrzeszczeć już z okna na piętrze. Gdyby nie fakt, że miałem ochotę zdzielić go w głowę, na pewno bardzo bym mu współczuł.
  - Miles spojrzał na swoją jajecznicę. Smażono ją tak długo, że wyglądała jak małe żółte kamyczki, leżące na talerzu.
  - - Ta kobieta jest straszna. Słyszałem, jak nazwała go idiotą, papłą, pomiotem diabelskim, który przypadkiem wyszedł z jej łona. Uciekłem, kiedy tylko nadarzyła się okazja. To dziwne. Erickson ma opinię silnego mężczyzny, bardzo pewnego siebie. Tymczasem najwyraźniej przy matce jest zupełnie bezradny.
  - Jeszcze raz spojrzał na jajecznicę, nabrał jej trochę na widelec, włożył do ust, a potem zakrztusił się i sięgnął po wodę. Mary Rosę skrzywiła się. Nikt inny nie miał odwagi tknąć tych jajek.
1. Przykro mi, Miles - powiedziała. - Nigdy jeszcze nie robiłam jajecznicy. Chyba trochę za długo ją smażyłam.
  2. No, może troszeczkę. Nie przejmuj się tym, Mary Rosę. Ważne, że się starałaś - rzekł Miles i uśmiechnął się do niej naprawdę słodko.
- Tysen zauważył ten uśmiech. Poczuł nieznane, niejasne ukłucie zazdrości, piętrzące się gdzieś w okolicy brzucha. Sam się tym zdziwił. Poczuł się tak zażenowany, że zaczął patrzeć na swoje brudne buty. Miles MacNeily był w takim wieku, że mógłby być ojcem Mary Rosę.
1. Miles ma rację - powiedział w końcu Tysen. - Nie przejmuj się jajecznicą. Wszyscy jesteśmy wdzięczni za śniadanie.
  2. Nie wiedziałam, że byłaś w kuchni - wtrąciła się Sinjun. - Jesteś pewna, że czujesz się na tyle dobrze, by zajmować się takimi rzeczami?
  3. Nic mi nie jest, Sinjun.
  4. Nieważne. Póki Tysen nie znajdzie kucharki, ja zajmę się posiłkami. Colinie, powiedz wszystkim, jak świetnie gotuję.
- Colin zachłysnął się kawą. Nie z powodu tego, co powiedziała jego małżonka, ale raczej z powodu zapachu kawy. Do jego nozdrzy dostał się bowiem nagle nieznośny smród, który nie kojarzył mu się z niczym dobrym. Nie mógł przestać kasłać, póki Meggie nie uderzyła go w plecy. Kiedy Colin znów był w stanie oddychać i trzymał w dłoni szklanekę wody, łypiąc podejrzanie na filiżankę z kawą, Meggie powiedziała:

- - Podobno Poudier mówił, że pani Golden z wioski potrzebuje pieniędzy na utrzymanie trójki swoich wnuków. Mówił nawet, że ta kobieta gotowa byłaby przyjść do Kildrummy jeszcze dziś, więc nie musisz nam gotować, ciociu Sinjun. Poudier powiedział, że będzie z niej doskonała gospodyni.
- Nastąpiła chwila ciszy, a potem Tysen powiedział:
- - Meggie, przyznaję, że mimo tych ciągłych kłótni, mimo twojego nieustannego narzekania, miałem rację, biorąc cię ze sobą do Kildrummy siłą. Okazałaś się mi wielce przydatna w trudnych chwilach. Bardzo ci dziękuję.
- - Dziękuję, tatku. Jestem do twoich usług – rzekła Meggie, nie mrugnawszy nawet powieką.
- Wszyscy przy stole zatrzęśli się ze śmiechu. Meggie zaś siedziała ze splecionymi na piersiach rękoma i dumną miną osoby, która uratowała wszystkich mieszkańców domu przed bólem brzucha.

\*

- Trzy godziny później pani Golden nuciła wesoło i piekła chleb w kuchni zamkowej. Zapach pieczywa rozniósł się po całym zamku. Ale już nikt się nie śmiał. Tysen stał na najwyższym podeście schodów i wrzeszczał ile sił w płucach:
  - - Nie możesz wyjeżdżać, Mary Rosę! Skąd się wziął ten powóz? Zostaniesz tu i wyjdiesz za mnie. Nie chcę, żebyś mnie zwalniała ze słowa. Pocałowałem cię... może nawet więcej niż pocałowałem, przynajmniej w mojej wyobraźni. Zostałaś zhańbiona. Dotykałaś mnie i przytulałaś, teraz już nie możesz mnie opuścić. Wracaj szybko do zamku, bo to się dla ciebie źle skończy.
  - Ale Mary Rosę nadal szła do wynajętego powozu, niosąc torbę podróżną, pożyczoną jej z pewnym ociąganiem przez Milesa MacNeila.
  - - Och, tatku, ona nie może tego zrobić – jęczała Meggie, stając nagle obok ojca. - Nie wiedziałam, że ona sobie to wszystko zaplanowała. Chodzi o jej honor, tatku. Powiedziała mi, że to ją dławi. Wtedy nie rozumiałam, o co jej chodzi. Ojej, pan MacNeily chyba jej pomógł to zorganizować. Mary Rosę go do tego namówiła. Zdaje mi się, że on się teraz schował, żebyś go nie stłukł tak jak MacPhaila. Nie możesz jej pozwolić odejść, tatku. Musisz coś zrobić. Musisz ją zatrzymać.
  - Tysen czuł się, jakby cały świat przewrócił się do góry nogami, jakby sam miał za chwilę wpaść w niezmierną przepaść. Stał w zamku na samym szczycie wysokich schodów, z rękoma na biodrach, i wrzeszczał jak szalenciec. Czuł, jak krew krąży mu w żyłach. Było mu gorąco. Miał wrażenie, że robi z siebie głupca. Meggie szarpała go za rękę.
1. Proszę, tatku, musisz ją powstrzymać. Ona chce zrobić to, co uważa za słuszne... ale nie rozumie, że wyjście, które wydaje się jej najrozsądniejsze, jest tak naprawdę najbardziej niemądre.
  2. Tak, powstrzymam ją. To prawda, jej pomysł jest zupełnie głupi. - Zbiegł po schodach na sam dół i wyszedł na podwórze. - Zostaniesz tutaj, Mary Rosę! - krzyczał.
- Już chciała przyjąć podaną przez woźnicę dłoń, kiedy Tysen chwycił biedaka za kołnierz i rzucił nim tak, że mężczyzna, drobiaż niezdarne, przewrócił się w błoto.

1. Co do ciebie... - zaczął.



2. Tysenie, nie powinno cię tu w ogóle być. Miałeś jechać do wsi.
3. Bytem we wsi i wróciłem, na szczęście. Meggie ma rację. To najgłupsze, co możesz zrobić, Mary Rosę. Chodźmy do domu.

- Szarpała się i wrywała.
- - Nie rozumiesz. Mam dobry powód, ważny powód. To wcale nie jest głupie. To naprawdę ważny powód. Dlaczego nie możesz zrozumieć, że powinnam odejść. Koniecznie muszę wyjechać. Tak naprawdę nie chciałeś się ze mną ożenić. Jestem bękartem i nie możesz tego zmienić. Twój brat hrabia wściekłby się, gdyby się dowiedział, że ktoś w jego rodzinie ożenił się z bękartem. Nie można kogoś takiego jak ja przyjąć do twojej rodziny, to zniszczyłoby...
- Tysen usłyszał gęsi. Prowadził je gąsior Willie. Gęgały tak głośno, że nie słyszał własnych myśli. Serce waliło mu jak oszalałe.
- - Tatku, mam jej torbę. Nie, nie. Willie, nie skub mnie. Mam dla ciebie chleb, ale musisz poczekać. Nie teraz - krzyczała zrozpaczona Meggie.
- Spojrzał kątem oka na Meggie, walczącą z ciężką torbą podróżną Mary Rosę. Wolno i z uporem ciągnęła ją w stronę zamku, a gęsi dreptały za nią, gęgając jak oszalałe.
- - Dość tego - powiedział Tysen, spoglądając na Mary Rosę. - Dość już.
- Chwyci! ją i przerzucił sobie przez ramię.
- - Tysenie, ojej. Tak nie powinien postępować pastor. Postaw mnie. To śmieszne. Robię to, co najlepsze dla nas wszystkich. Posłuchaj mnie. Pan MacNeily bardzo się natrudził, żeby sprowadzić tu dla mnie powóz...
- Tysen dał jej klapsa. Sam był zaskoczony tym niespodziewanym odruchem.
- - Nigdzie nie pojedziesz. - Zorientował się nagle, że jego dłoń spoczęła na jej pośladku za długo, jak na zwykły klaps.
- Cofnął rękę i z determinacją, patrząc prosto przed siebie, ruszył stanowczym krokiem w stronę zamku. Dziewczyna wierciła się i kręciła, ale nic nie pomogło. Kopała i waliła go pięściami, choć oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru zrobić mu krzywdy. Cokolwiek by teraz próbowała uczynić, na pewno nie miała już szansy odjechać. Spojrzała na Meggie, która ciągnęła za sobą torbę pożyczoną od MacNeily'a. Gęsi gęgały coraz głośniej. Willie skubał ją w nogi. Kurz unosił się wysoko w górę, a Mary Rosę pomyślała, że trzeba tu posadzić drzewa i krzewy. Taki kurz unosi się na podwórzu, kiedy nie ma na nim żadnych roślin. Potrząsnęła głową i przestała się szamotać. Woźnica wstał z ziemi, otrzepał spodnie i wpatrywał się ze zdziwieniem w mężczyznę - pastora! - z damą przewieszoną przez ramię. Za nim powoli sunęła dziewczynka, ciągnąc za sobą wielką, ciężką podróżną torbę. Ten niewiarygodny pochód kończyły gęsi skubiące małą po nogach. Miles MacNeily stał w drzwiach tuż obok Poudera. Obaj mężczyźni przyglądali się z zainteresowaniem dziwnemu orszakowi. Kiedy Tysen przekroczył próg zamku, Miles próbował się tłumaczyć:

1. Przepraszam, milordzie, ale Mary Rosę to bardzo miła osóbka. Nie chciała, żeby pan czuł się odpowiedzialny...
  2. Miles - przerwał mu Tysen, wchodząc do holu - zwalnia cię.
  3. Ależ milordzie, i tak już miałem wyjechać za dwa tygodnie.
- Meggie udało się w końcu wciągnąć torbę do środka. Willie stał na schodach i gęgał głośno.

Pouder podszedł do niego i machając kościstymi dłońmi, krzyczał:

- - Zmykaj, wstrętne, białopierzaste paskudztwo. Nie będziesz mi panienki skubał po nogach, ty przebrzydły!
- Willie zaczął głośno gęgać pod drzwiami. Machał skrzydłami, próbując odstraszyć Poudera. Tysen nie mógł się powstrzymać - zaczął się głośno śmiać. Kobieta, którą teraz niósł, próbowała od niego uciec, ale on się śmiał. Czuł jej brzuch na ramieniu, wiedział, że gdyby przysunął ją sobie trochę bliżej, dotykałby policzkiem jej biodra. Obejmował ręką jej uda. Jej bliskość sprawiła, że cały drżał. Co się z nim działo? Zobaczył Meggie, nadal ciągnącą tę idiotyczną torbę. Pouder stał w drzwiach i wpatrywał się w małą. Miles MacNeily podniósł w końcu walizkę, a Meggie odetchnęła z ulgą i powiedziała:

1. Dziękuję panu, panie Miles. Nie powinien był pan dać się namówić Mary Rosę na sprowadzenie tego powozu. Ona zaręczyła się z moim ojcem, a ja już napisałam do brata, że będziemy mieli nową mamę.
2. Eee... chciałabyś, żebym wysłał ten list, Meggie?
3. Tak. To bardzo miło z pana strony. Och, Mary Rosę, co jest w tej walizie? Waży więcej ode mnie.
4. Dałem jej dwa cenne świeczniki należące do mnie - powiedział Miles. - Miała je sprzedać w Edynburgu. Niestety, nie otrzymałem jeszcze spadku i nie mam pieniędzy. Może powinienem je oddać twojemu ojcu jako zadośćuczynienie?

- Meggie biegła już za Tysenem, ale odwróciła się szybko na te słowa, i zawołała:
- - Tyle chyba może pan uczynić, żeby wybaczył panu tę haniebną zdradę.
- Dwa przekłete świeczniki - pomyślał Tysen, i znów zachciało mu się śmiać. Przygryzł wargę i zapytał:
- - Z pieniędzy z ich sprzedaży, jak mniemam, miałaś przeżyć w mieście do czasu twoich dwudziestych piątych urodzin?
- Mary Rosę przytaknęła.
- - Pewnie napisałaś do matki, by podała ci nazwisko prawnika, któremu powierzono twoje pieniądze?
- Znów przytaknęła.
- - W dzień urodzin, wczesnym rankiem koczowałaś już pod jego drzwiami? Potem, kiedy dostałaś swoje pieniądze, sprowadziłaś do Edynburga swoją matkę?
- Podszedł do schodów, zatrzymał się na chwilę i zawołał przez ramię:

1. Nie zwalniam cię, Miles, przepracujesz u mnie jeszcze te dwa tygodnie.
2. Dziękuję, milordzie. Odprawię woźnicę. Zabiorę bagaż Mary Rosę do sypialni Meggie.
3. Nie chcę twoich świeczników - rzekł Tysen - ale musisz mi przysiąc, że ukryjesz je przed Mary Rosę.
4. Tak, przysięgam, milordzie - rzekł Miles. - Rozumiem teraz, że tak właśnie będzie najlepiej. Już jej nie posłucham.
5. Przynajmniej wysłuchał mnie pan choć raz - powiedziała Mary Rosę, unosząc głowę.

- Tysen przypomniał sobie, jak Meggie ciągnęła za sobą ciężką torbę. Kiedy wszedł do

salonu, tak naprawdę miał ochotę zrobić tylko jedno. Postawić Mary Rosę na podłodze i objąć ją, kładąc ręce na jej pośladkach. Nie uświadamiał sobie nawet, że popełnił grzech, że miał nieczyste myśli, że brnął w grzech z minuty na minutę coraz głębiej. Czuł tylko jej bliskość, jej krągłe pośladki. Dopiero kiedy przekazał Mary Rosę pod opiekę Sinjun i kazał siostrze usiąść na dziewczynie, jeśli będzie chciała zrobić coś głupiego, dopiero wtedy zrozumiał, jak bardzo zgrzeszył myślą. Kiedy wyliczał w pamięci swoje grzechy, zastanawiając się nad każdym z nich, do biblioteki wszedł Poudier i poinformował go o przybyciu kolejnych gości. Kiedy Tysen zobaczył sir Lyona, pomyślał, że wolałby raczej kontemplować cały dzień swoje winy, niż przebywać choćby chwilę w towarzystwie tego człowieka. Jednak tym razem towarzyszyła mu matka Mary Rosę. Zbliżało się południe, a w zamku gromadziło się coraz więcej smakowitych zapachów. Wszyscy pociągali nosami, czując w powietrzu doskonały zapach świeżo upieczonego chleba. Tysen stał i patrzył, jak sir Lyon rozkoszuje się zapachem. Oboje z Gweneth Fordyce weszli do salonu. Dlaczego poprzednim razem nie chciała wejść do zamku? Dlaczego teraz weszła bez ociągania? Na szczęście Mary Rosę była na górze, w sypialni Meggie. Rozmawiała z jego córką, która, jak jej sam polecił, miała za zadanie bacznie pilnować swego gościa. Sinjun miała ją od czasu do czasu odwiedzać, by się upewnić, że Mary Rosę nie próbuje wyjść przez okno. Colin zaś sprawdzał stajnie i obory, zastanawiając się, jakie zwierzęta należałoby jeszcze kupić.

1. Sir Lyonie - ukłonił się gościowi. - Pani - rzekł, nie wiedząc, jak ma się zwracać do matki Mary Rosę. - Dziękuję ci Poudier - odesłał sługę.
  2. Udam się do pańskiej sypialni, milordzie, by odświeżyć pańską garderobę.
  3. Doskonały pomysł, Poudier. Dziękuję za odprasowanie moich krawatów - rzekł i zwrócił się do przybyłych: - Zechciejcie państwo usiąść, proszę. Pani Golden przygotowuje nam herbatę.
  4. Pani Golden nie powinna się tu znajdować - powiedział sir Lyon, po czym stropił się, przypomniawszy sobie, że przyszedł tu z innym zamiarem, a jego słowa nie zabrzmiały wcale przyjaźnie, więc szybko dodał: - Pani MacFardle, przy całym swoim talencie do prowadzenia domu, jest straszną jędzą. Lepiej będzie panu bez niej. Chleb pachnie doskonale.
- - Kazać pani Golden przynieść kilka kromek do herbaty? - zapytał Tysen, po czym rozkazał Poudierowi, siedzącemu znów na swoim krześle przy wejściu, iść do kuchni. Biedny staruszek chyba zapomniał, że miał udać się do sypialni i znów spał przy głównych drzwiach. Kiedy Tysen wrócił do salonu, Gweneth Fordyce zabrała głos:
1. Wiele razy miałam ochotę wbić tej kobiecie nóż w brzuch. Przez wiele lat bardzo źle traktowała moją córkę. Dla mnie nie była nieuprzejma, bo się mnie bała. Każdy boi się wariatki.
  2. Pani MacFardle z pewnością znajdzie odpowiednią posadę - rzekł Tysen.
- Jego goście usiedli, a on stał przy kominku z rękoma splecionymi na piersi i skinął tylko głową, kiedy sir Lyon odchrząknął dwukrotnie, by w końcu zacząć mówić.
  - - Milordzie - rzekł, spoglądając kątem oka na matkę Mary Rosę - rozumiem, że zeszłej nocy mieliście tu pewne poważne problemy.
1. Nie - odparł swobodnie Tysen - nie było nic, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić.

2. Jako opiekun i wuj Mary Rosę jestem gotów przystać na pański ślub z moją siostrzenicą, jeśli pan podejmie się wypłacić z jej posagu, przekazanego jej przez ojca, całą sumę, jaką przez te wszystkie lata na nią wydałem. Należy pamiętać, że utrzymywałem ją prawie dwadzieścia pięć lat.
3. Rozumiem - Tysen skinął głową. - Sam fakt, że był pan hojny i dobry dla swojej szwagierki i jej córki oczywiście panu nie wystarczy?
  - - Nie, niestety, nie. Powiedz sama, Gweneth. Matka Mary Rosę wstała i spojrzała na sir Lyona.
  - - Co mam mu powiedzieć? Że zawsze uważałam cię za nadętego gbura, że dla mnie jesteś żalostną kreaturą? A może to, że teraz właśnie próbujesz wymusić pieniądze od lorda?
  - Sir Lyon poczerwieniał. Tysen obawiał się przez chwilę, że może dostać ataku apopleksji.
1. Jesteś niewdzięczna, Gweneth! Niech cię szlag, kobieto, otworzyłem drzwi swojego domu dla ciebie i twojego bękarta. Nigdy niczego wam nie żałowałem. Byłyście dla mnie jak rodzina.
  - Zamilkł na chwilę, a jego nalana twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Tysen wyprostował się, gotów w każdej chwili rzucić się mu na pomoc, gdyby ten upadł na podłogę. - Niech cię szlag, Gwenie. Zaczynam wierzyć, że nie jesteś wcale szalona i że nigdy nie byłaś, że udawałaś szaleństwo, byś nie musiała nigdy robić nic dla siebie ani dla swojej biednej córki.
2. Nie, nie jestem szalona - powiedziała Gweneth. - Tak naprawdę udawanie szalonej sprawiło, że ty trzymałeś się ode mnie z daleka, przynajmniej do pewnego czasu. Ale ostatnio... Niemądrze postąpiłam, mówiąc ci o pieniądzach przeznaczonych dla Mary Rosę. Nie podejrzewałam nawet, że namówisz Ericka, żeby się z nią ożenił. Nie sądziłam, że on będzie chciał zabrać jej pieniądze. Jesteś żalostną kreaturą, Lyonie.
3. To kłamstwo! - wrzasnął. - Cicho bądź. Potrzebuję tych pieniędzy! - Znów spojrzał na Tysena, dysząc ze złości. - Niech mnie pan posłucha uważnie, milordzie. Jeśli nie otrzymam pieniędzy, które mi się słusznie należą, wydam Mary Rosę za Ericka MacPhaila.
  - Tysen patrzył na człowieka o czerwonej twarzy i zaciśniętych pięściach, gotowych do walki. Począł spokojnie, aż twarz sir Lyona przybierze naturalny kolor, a potem skinął do niego, by usiadł. Kiedy to zrobił, Tysen odezwał się spokojnie:
    - - Dziesięć tysięcy funtów, zdaje się, że tyle panu obiecał Erickson MacPhail. Zgadza się?
    - Gweneth Fordyce, która zdążyła już usiąść i się uspokoić, znów wstała. Spojrzała na sir Lyona z ogromną złością. Nietrudno było przewidzieć, że kobieta może za chwilę wybuchnąć, Tysen powiedział więc szybko:
      - - Nie, droga pani, proszę usiąść. Muszę wam obojgu powiedzieć coś, o czym pewnie nie wiecie. Skontaktowałem się już z Donaldem MacCrayem, prawnikiem Tyronne'a. Ten człowiek mieszka w Edynburgu i jest doskonale zorientowany w tych sprawach. Powiedział mi, że Mary Rosę nie ma prawnego opiekuna, a pan, sir Lyonie, nigdy nawet nie ubiegał się o tę funkcję. Dlatego śmiem twierdzić, iż próbuje mnie pan oszukać i wyłudzić ode mnie lub od Mary Rosę pieniądze, które się panu nie należą. Nie ma pan żadnych podstaw prawnych do swoich roszczeń. Sugerowałbym, żeby modlił się pan do Boga o wybaczenie za ten ciężki grzech, jakim jest celowe oszustwo i kłamstwo dla uzyskania korzyści. - Nie dodał, że sam będzie musiał długo prosić Najwyższego o to samo, z powodu swego pośpiesznego kłamstwa dotyczącego

prawnika z Edynburga. Oczywiście nie kontaktował się z nim jeszcze, ale z miny sir Lyona wnioskował, iż ma absolutną rację w tym względzie.

- Sir Lyon wyglądał na przyłapanego na gorącym uczynku. Tym razem nie podskakiwał ze złości, nie krzyczał, co sił w płucach.
- - Więc nie jestem jej prawnym opiekunem, cóż z tego? Takie formalności nigdy nie były potrzebne. Jestem przecież, do cholery, jej wujem! Gweneth, masz to wszystko natychmiast sprostować i dopilnować, żebym dostał dziesięć tysięcy funtów. Jeśli nie, możesz już nie wracać do mojego domu w Vallance. Do cholery, to przecież pewnie tylko niewielka część sumy, którą zostawił jej ojciec.
- Gweneth patrzyła długo na szwagra, a potem uśmiechnęła się do Tysena i powiedziała:
- - Milordzie, on zmusił mnie, bym tu dziś z nim przyjechała. Miał nadzieję, że mu pomogę wyciągnąć od pana pieniądze. Nie wiedziałam, że będzie próbował to zrobić w tak niegodny, niehonorowy sposób. Nie wiem, ile pieniędzy zostawił Mary Rosę jej ojciec. Zapewnił mnie tylko, że to znaczna suma. Nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym zabrała z Vallance rzeczy moje i Mary Rosę i kazała je tu przywieźć?
- - Z radością powitam panią w moim domu. Gweneth Fordyce spojrzała na szwagra.
- - Mam nadzieję, że pozwolisz mi zabrać rzeczy. Udostępnisz mi też powóz, bym miała czym dojechać do Kildrummy?
- Nie miał innego wyjścia. Zrozumiał, że jeśli tego nie zrobi, nim nadejdzie zmierzch, będzie znany w okolicy nie tylko jako największy głupiec, ale także pospolity cham.
- - Oczywiście - rzekł, choć miał ochotę ją udusić. Wiedział, że musi wszystko przemyśleć. Nic nie poszło tak, jak powinno. Nie poradził sobie z tym tak, jak chciał. Nie powinien był zaufać Gweneth. Nie powinien był jej dziś ze sobą zabierać. Powinien był wiedzieć, że ona nie będzie chciała wstawić się w jego sprawie. Powinien był się domyślić, że ta kobieta go zdradzi. Wciąż jej pragnął, ale kiedy pomyślał, jakie będzie musiał poczynić oszczędności, teraz, kiedy już nie ma szansy na uzyskanie tych pieniędzy, jego pożądanie zniknęło w nawale kłopotów. Udając spokój i opanowanie, pożegnał lorda Barthwicka, przeklętego pastora, który powinien z łatwością dać się nabrać i przestraszyć kilku ostrych słów. I poszedł z matką Mary Rosę do powozu.
- Tego wieczoru Gweneth Fordyce przyjechała do Kildrummy eskortowana przez trzech służących. Przywiozła ze sobą całą górę bagaży.

## ROZDZIAŁ 20

- Następnego ranka Tysen siedział w bibliotece i pisał list do Donalda MacCraya. Chciał się dowiedzieć prawdy na temat tego, co ostatnio usłyszał. Podniósł głowę, kiedy w drzwiach pojawiła się Mary Rose.
1. Milordzie - powiedziała.
  2. Jak oficjalnie.
  3. Cóż, mam wrażenie, że wciąż jesteś na mnie zły za to, że wczoraj próbowałam wyjechać. Nie przestałam uważać, że to najlepsze wyjście z tej sytuacji. Nie chciałeś wczoraj ze mną rozmawiać, unikałeś mnie, więc ja przyszedłam do ciebie.
  4. Nic nie rozumiesz - rzekł i odłożył pióro do kałamarza. - Cóż takiego się znów stało, że powinienem koniecznie o tym wiedzieć? Znów masz poczucie winy? Może tym razem będziesz próbowała się zastrzelić, żeby oszczędzić mi hańby i poniżenia i żebym nie musiał się poświęcać, żeniąc się z tobą? A może nie podoba ci się coś, co zrobiłem, by cię bronić?
- Nie - odparła, westchnęła ciężko i zaczęła się bawić wstążką, którą obszyto rękawy jej sukni. Miała już na sobie własne odzienie, przywiezione z Vallance. - Chciałam ci podziękować za to, że zaprosiłeś tu moją matkę. Meggie bardzo ją lubi, a ona oczywiście uważa małą za najbardziej bystre dziecko w całej Szkocji. Meggie jest szczęśliwa, bo ma nową babkę, która, dzięki Bogu, wcale nie jest szalona. Zdaje się, że moja matka ma zamiar uczyć Meggie malarstwa. Świetnie sobie radzi z akwarelami. - Przerwała na chwilę, a potem dodała w zamyśleniu: - Czy to możliwe, że ona przez wszystkie te lata udawała szaloną? I to jak umiejętnie! Skinął głową.
  - - Chyba ją rozumiem - zastanawiała się dalej Mary Rose. - Była przy nadziei, niezamężna, co więc miała robić? Ale dlaczego zaczęła udawać szaloną, skoro była bezpieczna w domu siostry i szwagra?
  - Tysen westchnął.
  - - Zdaje mi się, że twój wuj chciał sobie z niej zrobić kochanicę. Nie zawahał się przecież przed szantażem. A twoja matka to sprytna kobieta. Postanowiła udawać szaloną, by bronić się przed nim. Potem chyba jej to weszło w nawyk.
  - Mary Rose posmutniała.
1. Wygląda na to - powiedziała - że niewielu zostało już na świecie prawdziwych dżentelmenów.
  2. Bzdura - zaprzeczył Tysen. - Kiedy pojedziesz ze mną do Anglii, będą cię otaczali jedynie prawdziwi dżentelmeni. Jest ich tam wielu. Moi bracia są tacy. Polubisz ich, ich żony i dzieci.
  3. Nie rozumiem dlaczego mój ojciec nie pomógł matce.
  4. Bez wątpienia musiał być żonaty.
  5. Tak, na pewno, ale mimo to... Tak się zastanawiałam, Tysenie...

6. O Boże, nie. Znów wymyśliłaś, jak się mnie pozbyć?

- Tak myślałam, że skoro za miesiąc skończę dwadzieścia pięć lat, będę mogła ci się odwdziżyć za to, że tak się zająłeś mną i moją matką. Pozwoliłeś jej się tu nawet przeprowadzić. To bardzo miło z twojej strony. O Boże... - czuła, jak drżą jej wargi. Nie mogła tego powstrzymać. Tak trudno było zatrzymać napływające do oczu łzy.
- - Jeśli nie przestaniesz płakać, Mary Rosę - powiedział Tysen bez odrobiny współczucia - wsadzę cię na konia, pojedę z tobą nad ten strumień i sam cię wrzucę do wody. Zobaczymy, ile czasu tym razem zajmie ci wyjście na brzeg. Sprawiasz mi same kłopoty tylko dlatego, że pragnę zrobić to, co uczynić powinienem. Gdybyś w końcu zrozumiała, że życie u mego boku zakończy twoje cierpienia i przykrości! Twojej matki zresztą też. Jeszcze masz łzy w oczach. Przestań płakać.
- Pociągnęła nosem.
- - Piszę list do pewnego człowieka, żeby sprawdzić, czy kłamstwo, którym wczoraj tak łatwo zdemaskowałem twojego wuja, na pewno ma solidne podstawy. Twój wuj temu nie zaprzeczył, ale lepiej się upewnić.
- Patrzyła na niego zdziwiona.
- - Skłamałeś? Dopiero miałeś zamiar napisać do tego człowieka i wiedząc to, skłamałeś z rozmysłem? Och, Tysenie, to wszystko moja wina. Jesteś sługą Bożym, a dla mnie musiałeś skłamać i...
- - Cicho. Posłuchaj.
- W skrócie przekazał jej, co wczoraj powiedział sir Lyonowi i jak ten zareagował na jego słowa.
- - Nigdy nie mówiono mi, że sir Lyon jest moim prawnym opiekunem. Podejrzewam nawet, że nigdy z własnej woli nie zostałby nim. Wstydił się tego, że ja, bękart, mieszkam pod jego dachem. Jego poczucie wstydu było tak wielkie, że nie potrafił być nawet wobec mnie wielkoduszny. Wiesz, zastanawiam się, czy łąn przypadkiem też się o tym wszystkim nie dowiedział.
- - Nie wiem. Zapytam pana MacCraya, jeśli chcesz. Tak czy owak, pobierzemy się w niedzielę. Dostaniemy specjalne pozwolenie. Dziś rano rozmawiałem z wielebnym MacMilanem, bardzo miłym, starszym dżentelmenem, który mówi, że zna cię od dziecka i doskonale nadajesz się na żonę dla pastora, mimo że ten pastor nie jest Szkotem. Martwi się tylko, czy w swojej szlachetności nie popędzam cię za bardzo. Obawia się, że możesz zmienić zdanie. Powiedziałem mu, że zawsze marzyłaś, by wyjść za pastora, to znaczy za mnie, przeprowadzić się do południowej Anglii, gdzie nie będziesz znała żywej duszy, poznać w jeden dzień całą hordę nowych krewnych i zostać matką trójki dzieci, z których żadne nie jest twoje. Chyba bardzo chciało mu się śmiać.
- Mary Rosę stała przed nim blada. Na twarzy miała jeszcze mnóstwo strupów po skaleczeniach. Nie śmiała się. Nie uśmiechnęła się nawet. Wstał z fotela i zwrócił się do niej łagodnie:
  - - Poddaj się, Mary Rosę, poddaj się. Wyjdź za mnie. Tak trzeba. Dobrze nam będzie razem.
  - Nie odrywał od niej wzroku, aż w końcu powiedziała ledwie słyszalnie:
  - - Dobrze, Tysenie, wyjdę za ciebie w niedzielę.

- Tak więc w następną niedzielę z samego rana, w salonie zamku Kildrummy szanowny Tysen Edward Townsend Sherbrooke, wielebny z Glenclose - on - Rowan, brat hrabiego Northcliffe, ożenił się po raz drugi. Wziął za żonę Mary Rosę Fordyce, pannę z posiadłości Vallance. Gweneth ronila łzy wzruszenia w maleńką chusteczkę obszytą koronką, a Colin Kinross stał za Tysenem, kiedy ten spokojnym tonem wypowiadał przysięgę małżeńską. Sinjun Kinross stała tuż za Mary Rosę i lekko ścisnęła jej ramię od czasu do czasu, jakby chciała dodać jej odwagi lub nakłonić, by mówiła głośnie. Ani wuj, ani ciotka Mary Rosę nie byli obecni na uroczystości. Otrzymaawszy zaproszenie, odpowiedzieli, że z żalem muszą odmówić. Nie wzbudzili zresztą tą odmową' niczyjego zdziwienia ani żalu. MacPhail i jego matka nie odezwali się nawet słowem, co wszyscy przyjęli z ulgą. Pani Golden przygotowała smakowite potrawy na obiad weselny. Milesowi udało się zdobyć pół tuzina butelek dość przyzwoitego szampana. Pani Golden najęła jeszcze sześć dziewcząt z okolicznych wsi do pomocy przy uroczystości. Dwie z nich miały pozostać w Kildrummy jako stała służba. Dobrze się składa, pomyślał Tysen, usłyszawszy o tym. Może wreszcie będę miał jakieś czyste koszule. Wielebny i jego młoda żona, pani Sherbrooke, mieli pozostać w zamku Kildrummy do połowy września, czyli jeszcze około dwóch tygodni. Na weselu pojawiła się jeszcze jedna osoba, Donald MacCray, prawnik z Edynburga, który od zawsze reprezentował interesy lordów Barthwick. Podczas wesela MacCray nie chciał nikomu zwracać głowy formalnościami, więc powiedział tylko do Tysena: - Nie ma się pan czym martwić. Okazuje się bowiem, że sir Lyon nigdy nie był prawnym opiekunem pańskiej żony. Skłamał w tej kwestii. Co się zaś tyczy pańskiego kłamstewka, eee... czy może raczej pewnej nieścisłości, całkowicie się potwierdziło. Później, za każdym razem, kiedy Tysen spojrzał na MacCraya, ten pił szampana i wpatrywał się z uwagą w Gweneth Fordyce. Meggie szepnęła zaniepokojona do ojca, że jego prawnik wypił chyba sam całą butelkę szampana. Późnym wieczorem Meggie uszczęśliwiona weszła za ojcem i Mary Rosę do wielkiej sypialni pana domu. Mówiła bez przerwy, ledwie łapiąc oddech i śmiała się wciąż głośno.

1. Zdaje się, że twoja ciotka Sinjun dała ci odrobinę szampana, prawda, Meggie?

- No tak, tatku, tylko troszeczkę. Paskudny napój i to chyba po nim nie mogę przestać mówić. - Uśmiechnęła się radośnie i objęła Mary Rosę. - Dobrze nam będzie razem. O nic się nie martw, Mary Rosę. Max i Leo zgadzają się ze mną, że powinnaś jak najszybciej pojechać z nami do domu. Może porozmawiamy teraz o twoich nowych obowiązkach pani domu i żony mego taty? Meggie usiadła po turecku na środku wielkiego łóża i uśmiechała się wesoło do młodej pary. Tysen nie wiedział, co ma powiedzieć. Mary Rosę też oniemiała. Oboje czuli się zobligowani, by coś odpowiedzieć i już otwierali usta, kiedy usłyszeli pukanie do drzwi. - Tak? Do środka zajrzała Gweneth Fordyce.
- - Och, Meggie, najdroższa, tu jesteś. Wszędzie cię szukałam. Bardzo potrzebuję twojej pomocy. Mam straszliwą migrenę i chyba spowodowały ją umizgi pana MacCraya. Mogłabyś rozmasować mi skronie?
- Meggie nie mogła się zdecydować. Spoglądała to na ojca, to na Mary Rosę, aż w końcu westchnęła.
- - Tatku? Mary Rosę? Nie pogniewacie się, jeśli pójdę pomóc twojej matce? Jest teraz moja



babką. Nie chciałabym, żeby niepotrzebnie dłużej cierpiała, zwłaszcza jeśli mogę coś na to poradzić...

- - Nie, Meggie, nie pogniewamy się. My też nie chcemy, żeby cierpiała. To bardzo miło z twojej strony, że się nią tak zajmujesz - rzekł Tysen i pocałował ją w czoło. Zobaczysz się ze mną i Mary Rosę rano.
- Meggie zmarszczyła brwi. Przechyliła głowę na bok w pytającym geście. Tak samo zawsze robił jej ojciec.

1. Mary Rosę, nie idziesz ze mną do mojej sypialni? W ogóle, po co przyszyliśmy do sypialni taty?

2. Meggie, Mary Rosę jest teraz moją żoną. To oznacza, że będzie przy mnie blisko, w dzień i w nocy. Teraz będzie spała ze mną, w mojej sypialni - odparł łagodnie Tysen.

- - Ależ tatusiu, ja... Zza drzwi dobiegł ich uszu tłumiony śmiech. Potem znów pojawiła się Gweneth Fordyce. Wyciągnęła dłoń w stronę Meggie i powiedziała:
- - Meggie, najdroższa, ta migrena się nasila. Twoja nowa mama musi lepiej poznać twego ojca. Musi się do niego przyzwyczaić. Na tym polega małżeństwo. Teraz będą spędzali ze sobą dużo czasu, będą się lepiej poznawali, muszą omówić wiele spraw. Nie musisz się o nic martwić, dobrze?
- - No dobrze - odparła Meggie. - Mary Rosę, chcesz tu z tatą zostać całą noc? Chcesz z nim porozmawiać?
- - Tak, Meggie, chcę.
- Meggie uniosła się na palcach, a Tysen wyciągnął w jej stronę ręce, uścisnął ją i pocałował w czoło.
- - Dobranoc, kochanie. Zobaczymy się jutro. Meggie i babka zniknęły za drzwiami. - To nie był zbyt romantyczny początek – zauważył Tysen, stojąc daleko od swojej wybranki.
- Mary Rosę nic nie odparła. Widział, że bardzo się bała. On też się bał jak diabli. Podszedł do kominka i rozpałił ogień. Kiedy się odwrócił w jej stronę, zauważył, że nie ruszyła się nawet o krok. Podszedł do niej, oparł dłonie na jej ramionach i powiedział:
- - Nie masz powodu się bać, Mary Rosę. Nie jestem straszny. Jeśli jeszcze nie chcesz ze mną być dzisiejszej nocy, wystarczy tylko powiedzieć.
- Z chwilą, gdy wypowiedział te słowa, już ich żałował. Miał ochotę ugryźć się w język. Czekał z obawą na odpowiedź. Ona stała wciąż w miejscu i patrzyła na niego niezdecydowanie, rozpatrując jego propozycję, ale w końcu powiedziała:

1. Kiedy mnie wcześniej pocałowałeś i obejmowałeś, było mi przyjemnie, Tysenie. Jesteśmy teraz małżeństwem. Chyba więc powinniśmy to zrobić. Tego od nas wszyscy oczekują.

2. Chyba tak, ale to nieważne. Nikt i tak się nie dowie prawdy. To zależy tylko od ciebie. Jeśli wolisz jeszcze poczekać... - mówił, ale w końcu udało mu się zamknąć usta.

- Co ja wyprawiam? - pomyślał. Czyżbym już zupełnie stracił rozum? Mary Rosę skinęła powoli głową, ale nie ruszyła się z miejsca. Ręce trzymała złożone jak do modlitwy. Wciąż miała na sobie tę śliczną sukienkę, którą uszyła jej matka, blad różową z mnóstwem koronek i wstążek wokół dekoltu i prostą aż do kostek. Tysen nie mógł się nadziwić, że ten blady róż tak

doskonale pasował do jej rudych włosów. Odchrząknął i mając nadzieję, że nie zabrzmi to zbyt pożądliwie, powiedział spokojnie:

- - Bardzo cię lubię, Mary Rose. Wiem, że ty mnie też. Wiem, że miłość cielesna jest ci obca, ale...
- Panna młoda tylko machnęła ręką.
- - Tak, może to i prawda - rzekła, postąpiwszy o krok w jego stronę. - Mógłbyś mnie pocałować?
- Tak też uczynił. Wkrótce zrozumiał, że pragnie więcej, znacznie więcej niż kiedykolwiek sądził, że jest w stanie przeżyć z kobietą. Jednak ona była dziewicą. Pamiętał, jak straszliwy ból sprawił Melindzie Beatrice, jak bardzo płakała tej pierwszej nocy, kiedy w nią wszedł, jak szlochała z żalem, kiedy skończył i później, kiedy znów jej pragnął. Potrząsnął głową. Był wtedy chłopcem, nie wiedział nic o tym, jak dać rozkosz kobiecie, jak przyjmować ofiarowywane przez nią pieszczoty. Teraz nie wiedział wiele więcej, ale musiał sam przed sobą przyznać, że kiedy był młodszy, zwłaszcza podczas pierwszych miesięcy małżeństwa, ukradkiem słuchał, kiedy bracia rozmawiali o miłości cielesnej, a to zdarzało im się dość często. Tak więc, mimo małego doświadczenia, miał spory zasób wiedzy teoretycznej.
- - Rozepnę ci suknię. Potem, jeśli wolisz, mogę wyjść na korytarz, kiedy będziesz się przebierała w koszulę.
- Odgarnęła gęste włosy, a Tysen zaczął zdrętwiałymi palcami rozpinąć jej guziki. Kiedy jego oczom ukazała się biała skóra pleców, z trudem cofnął się o krok.
- - Już. Rozpięta. Przepraszam, że nie pomyślałem o parawanie - rzekł i szybko wyszedł z pokoju.
- Prężnym krokiem przemierzał korytarz, chodząc w tę i z powrotem. W pewnej chwili jego uwagę przykuł cichy, kobiecy głos. To była Sinjun. Rozmawiała z Colinem w swojej sypialni. Drzwi nie były zamknięte. Tak więc on, pastor, człowiek srogim wzrokiem karcący własne dzieci, kiedy podsłuchiwały pod drzwiami, podszedł teraz bliżej do uchylonych drzwi i nasłuchiwał. - Ależ, Colinie, Tysen był ledwie chłopcem, kiedy ożenił się z Melinda Beatrice. Nic o tych sprawach nie wiedział. Poza tym był strasznym bigotem. Taki świętoszek nie mógł nic wiedzieć. W niczym nie przypomina Douglasa i Rydera. Nigdy zresztą nie był do nich podobny, jeśli już o tym mówimy. Boję się po prostu, że... - Sinjun przerwała na chwilę, ale Tysen już wiedział, o czym mówiła. To było jasne. Bała się o niego i Mary Rose.
- - Posłuchaj mnie, Sinjun - uspokajał ją Colin. - Tysen nie jest prostakiem. To Sherbrooke, a mówię ci, że mężczyźni z tego rodu wiedzą, jak zaspokoić kobietę. Chodź ze mną do łóżka i uwiedź mnie, jak to tylko ty potrafisz. Pamiętaj tylko, żebyś się nie śpieszyła, boja też chcę mieć szansę odwdziżyć ci się tym samym.
- Sinjun zachichotała.
- - Jesteś pewien, że sobie poradzi? Nie powinieneś może porozmawiać z nim, zapytać, czy ma jakieś wątpliwości? Może potrzebuje twojej rady? Colin, zaraz! Co ty wyprawiasz? O, Boże! Colinie, straszny z ciebie świntuch.
- Tysen słyszał, jak jego siostra, jego mała siostrzyczka chichocze. Potem nastąpiła cisza. Po chwili słyszał już tylko głębokie oddechy. Szybko odszedł. A więc to tak. Urodził się, wiedząc, jak zaspokoić kobietę. Cóż, Melindy Beatrice nigdy nie zaspokoił. Ale to było tak dawno. Sinjun miała rację. Był wtedy chłopcem, niedoświadczonym, niedouczoneym, przepełnionym uczuciami,

których nie potrafił opanować. Tak bardzo pragnął wtedy swojej żony, że mało nie zgubił zbyt wcześnie nasienia. Teraz musiał tylko zaufać instynktowi. Jego brat Ryder miał rację, mówiąc:

- - Jeśli mężczyzna potrafi rozśmieszyć kobietę, to ona należy już do niego.
- Śmiech. Jak do diaska miał sprawić, że kobieta zacznie się śmiać, skoro nie mógł sam przestać myśleć tylko o swojej naglącej potrzebie? Wrócił do sypialni. Mary Rosę leżała na środku łóżka, oparta o poduszki, z kołdrą podciągniętą pod brodę. Uśmiechnął się do niej. Chodził wolno po pokoju, gasząc wszystkie świece. Została tylko jedna tuż obok wielkiego łóżka. Odsunął się w cień i rozebrał. Włożył koszulę nocną i stanął przy łóżku.
- - Ty lepiej w niej wyglądasz niż ja – powiedziała Mary Rosę.
- Odstłonił kołdrę i usiadł obok niej. Spojrzał na jej piękną twarz i powiedział z uśmiechem:
- - Wiesz, że jeszcze całkiem niedawno w ogóle się nie znaliśmy?
- Mary Rosę wyciągnęła dłoń spod grubej kołdry i dotknęła nią policzka męża.
- - Tak, z jednej strony trochę mnie to przeraża, ale z drugiej sprawia, iż wierzę, że Bóg miał dla mnie swój własny, przemyślny plan. To cudowne, Tysenie.
- Poruszyły go te słowa i sprawiły, że posmutniał.
- - Nie chcę, byś myślała, iż ożeniłem się z tobą tylko ze względu na honor, tylko po to, by się tobą opiekować, uratować przed machinacjami twego przekłętogo wuja i jego ulubieńca, Ericksona MacPhaila. Bardzo cię lubię, Mary Rosę. Cieszę się, że zostałam moją żoną. - Odwrócił na chwilę wzrok. - Jesteśmy teraz mężem i żoną. Albo wielebnym i żoną, jeśli wolisz.
- Jego słowa miały sprawić, że dziewczyna zacznie się śmiać, ale na jej ustach zagościł ledwie zauważalny uśmiech.

1. Prawie wcale cię nie widzę, Tysenie.

- No cóż, nie stworzę przecież intymnego nastroju w pełnym świetle dnia - rzeki, choć był pewien, że intymne sprawy jego braci odbywały się czasami w ogrodzie, w lesie pod dębem. On nigdy sobie na to nie pozwalał. Wierzył solennie, że żonie należy się szacunek, że nie można jej obrażać, okazując zbyt wielkie pożądanie lub nastawać na jej skromność. - Nie chcę cię przestraszyć lub zawstydzić - rzekł poważnym tonem.

1. Dziękuję.

1. Proszę, nie bój się mnie. Nie jestem w tych sprawach mistrzem, ale będę się starał. Pocałuję cię teraz, Mary Rosę, i będę całował, póki nie trafię na ten twój krzywy palec u nogi. Jego też pocałuję.

- Uśmiechnęła się.

1. Dobrze - powiedziała i objęła jego szyję ramionami.

2. Smak twoich ust przypomina truskawki - powiedział - a włosy masz miękkie jak grzywa mojej klaczki.

- Zachichotała, kiedy w końcu dotknął jej piersi. Zamknął na chwilę oczy, zastanawiając się, co robić. Wiedział, że nie podszedł do tego jak trzeba, ale ku swojemu zaskoczeniu nie przejął

się tym bardzo.

- - Nie ruszaj się przez chwilę - powiedział. - Postaram się nie sprawić ci bólu.
- Delikatnie podciągnął w górę jej koszulę. Poczul jej miękkie ciało i miał nadzieję, że jest już gotowa go przyjąć. Nie odsunęła się. Nie próbowała uciekać. Całowała go z wielkim entuzjazmem. Musiał się opanować. Od tak dawna, od tak bardzo dawna nie był z kobietą. Wiele lat temu kochał się z własną żoną. Bał się, że brak doświadczenia spowoduje, że pozbawi ją wszelkiej przyjemności. Po chwili zrozumiał, że jedyne, co może zrobić, to postarać się jak najlepiej, a wtedy na pewno nie będzie jej tak bardzo źle. W końcu przecież był mężczyzną z rodu Sherbrooke. Zaciśnął zęby, wiedząc, że długo już nie wytrzyma. Wszedł w nią i delikatnie pchnął biodra. Krew krążyła w jego żyłach ze zdwojoną szybkością i czuł, że za chwilę całe jego ciało rozerwie pożądanie. Z całych sił trzymał się postanowienia, że nie sprawi jej bólu. Był już mężczyzną, a nie chłopcem, który brutalnie pozbawił dziewictwa Melindę Beatrice.
- - Mary Rose? - szepnął i zastygł w bezruchu. Patrzyła na niego, ale już się nie uśmiechała.
- Do tej chwili całowała go namiętnie, dotykała językiem jego języka, ale teraz zeszywniała. Leżała pod nim jak kłoda, nie poruszając się, nie uśmiechając ani odrobinę. - Tak?
- - Jestem w tobie. Jeszcze tylko trochę. Wszystko będzie dobrze. Czuję twoją dziewiczą błonę. Czujesz mnie w sobie?
- - Tak. Dłużej już nie mógł wytrzymać. Pchnął silnie. Wszedł głęboko. Boże, czuję jej łono, pomyślał. W głowie mu huczało, krew wrzała. Czuł bardziej niż kiedykolwiek w życiu, że jego ciało żyje pełnią życia. Był już na progu wytrzymałości. Usłyszał jej krzyk.

1. Mary Rose? Nic ci nie jest?

2. Nie, Tysenie. Przysięgam. Trochę mnie bolało, ale teraz, kiedy się we mnie nie poruszasz, nie jest tak źle. - Zamilkła, a potem dodała: - Wiedziałam, że mężczyzna i kobieta stają się jednością, ale nie wiedziałam, że to właśnie tak.

- O Boże, pomyślał. Oszalały z pożądania, na progu rozkoszy, czując głód, który pożerał go całego, miał wrażenie, że za chwilę umrze. Po chwili już było po wszystkim. Nie wyobrażał sobie nawet, że kiedyś spotka go coś takiego. Jakbym umarł, pomyślał, a śmierć była cudownym uczuciem. Pochylał się nad nią, podpierając się na łokciach. Dyszał ciężko, czuł jak serce wali mu w piersi. Wciąż nie był w stanie nic powiedzieć. Nie mógł nawet zebrać myśli. Już zapomniał, jak to jest. A może po prostu nigdy wcześniej tak się nie czuł. To było coś wspaniałego, cudownego i zupełnie nieoczekiwanego. Mary Rose nie poruszyła się. - Przykro mi, że sprawiłem ci ból. To już się nie powtórzy - zaklinał, kiedy tylko był już w stanie mówić. Gardło miał jeszcze ściśnięte z poczucia winy. - Potrafisz mi wybaczyć?
- - Tak, oczywiście. Jesteś moim mężem i pewnie nie wszystko, co zdarza się między małżonkami, zawsze jest przyjemne. Nie znam się na tym, Tysenie.

1. Nie śmiałaś się - powoli wysunął się z jej wnętrza. Położył się obok niej i przyciągnął do siebie. Dopiero zdał sobie sprawę, że wcześniej zerwał z siebie koszulę i teraz był zupełnie nagi. Wiedział, że ona poczuła na sobie jego nagość. Pomyślał, że to może ją przestraszyć, a wtedy ucieknie z jego sypialni.

2. Ubiorę się - powiedział, ale Mary Rose poruszyła przecząco głową.

3. Nie, proszę, nie. Jesteś taki ciepły. Twoje ciało jest twarde. To bardzo przyjemne uczucie.

- Na chwilę stracił oddech. Kobieta, jego żona, powiedziała do niego coś tak miłego. Nic nie odparł, bo nic nie przyszło mu do głowy. Czy powinien podziękować, kiedy kobieta tak do niego mówi? Nie wiedział. Cieszył się jednak, że ona wciąż ma na sobie koszulę. Lepiej, że ją miała, zwłaszcza że znów czuł pożądanie. Przychodziły mu teraz do głowy myśli grzeszne, niepojęte. Chciał znów to zrobić, chciał więcej. Wiedział, że poczułby teraz na pewno jeszcze większą rozkosz. Jęknął prawie na myśl, co mogłoby go teraz spotkać. Nie, pora spać, pomyślał. Teraz ona musiała odpocząć, uspokoić się i wybaczyć mu ból, jaki jej sprawił. Choć prawdę rzekłszy, nie wyglądała na bardzo zrozpaczoną. Zdmuchnął świecę i leżał na plecach w ciemności. Czuł, jak przytula się do niego. Była miękka i ciepła, a jej piersi przywarły do jego boku. O Boże, dobrze, że ma na sobie koszulę, pomyślał. Czuł, że powinien teraz coś powiedzieć. Zastanawiał się, czy mają prosić o zaufanie, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło. Był przecież zupełnie niedoświadczonym prostakiem w kwestii miłości cielesnej.

1. Zaufaj mi - powiedział, całując ją w policzek, choć chciał całować jej usta. - Zaufaj mi.
2. Ufam ci i gotowa jestem powierzyć ci swoje życie, Tysenie - powiedziała, a on poczuł jej ciepły oddech na swoim ciele i zadrżał. Nie chciał mówić już nic więcej, bo bał się, że jakieś jej nieświadomie wypowiedziane słowo mogłoby sprawić, iż znów obudzi się w nim pożądanie.

- Czuł ją obok siebie, przytuloną do jego boku. Tak bardzo chciał znów w nią wejść, poczuć ją w środku, i to cudowne spełnienie. Podśluchał kiedyś, jak Douglas i Ryder mówili o tym, że mężczyzna nie powinien zachowywać się jak zwierzak, że nie warto nic robić na siłę. Leżał więc spokojnie i w końcu zmęczony zasnął. Natomiast Mary Rose długo nie mogła zasnąć. Jakie to dziwne, pomyślała, patrząc gdzieś w ciemność i czując go obok siebie, tak blisko. Naprawdę był w niej, w jej wnętrzu. Dotykał ją i całował. To nie było nieprzyjemne. No, nie wszystko. Wiedziała, że jemu to sprawiło przyjemność. Nie, dla niej też nie było takie straszne. Westchnęła. Poczula, że jest mokra, a jej uda się lepią. Tysen obok niej oddychał miarowo, więc powolutku, ostrożnie zsunęła się z łóżka, zdjęła koszulę i się umyła. Potem z powrotem włożyła koszulę. W komnacie było chłodno. Drewno w kominku całkiem już się wypaliło. Położyła się z powrotem do łóżka i przytuliła do męża. To jest mile, pomyślała i położyła dłoń na jego piersi. Miała ochotę zsunąć ją niżej, ale wiedziała, że tak się nie robi, że kobieta nie powinna mieć na to ochoty. Kiedy w końcu zasypiała, miała dobry nastrój. Tysen naprawdę coś do niej czuł. Było mu przykro, że sprawił jej ból, chociaż miała wrażenie, że nie było mu aż tak bardzo przykro, jak twierdził. Zauważyła coś w tych pięknych oczach, kiedy do niej mówił, jakby ogień i pożądanie. Ale wiedziała, że mówił szczerze. Jak kobieta mogła to zrozumieć? W końcu Tysen był mężczyzną, a kobieta nie może zrozumieć mężczyzny.

## ROZDZIAŁ 21

- Świt rozpostarł w sypialni miękkie, szarawe światło. Tysen obudził się i natychmiast poczuł obok siebie cudowne, miękkie, przyjazne ciało. Nagle się zorientował, że w pokoju jest zimno. Nie chciał, by Mary Rosę obudziła się w takim chłodzie. Odsunął się delikatnie i wstał, żeby rozpaść w kominku. Począł, aż jego ciało się rozgrzeje, a potem wrócił na swoje miejsce przy żonie. - Mary Rosę - szepnął, a na sam dźwięk tego słowa pożądanie sprawiło, że jego męskość stwardniała jak bazaltowe skały wokół zamku. Teraz nie było mu już tylko ciepło, płonął, a ogień pochodził z jego wnętrza. Żarzył się jak polana w kominku, które przy podmuchu wiatru wybuchają nagłym ogniem. Nie czekał, aż się obudzi. Zaczął ją całować. Ciało miała zaróżowione i ciepłe. Widział już jej piękną twarz, bladą i spokojną we śnie, jej wspaniałe, rude włosy rozrzucone na poduszce. Zauważył, że miała na sobie jego koszulę i zastanawiał się, kiedy ją włożyła. Oczywiście to nie było ważne, bo po chwili już ją z niej zdjął. Nie opierała się, nie drżała ze strachu, nie próbowała go powstrzymać. Nawet uniosła biodra, by łatwiej sięgnął z niej odzienie. Kiedy już była naga, przytulił ją do siebie i mocno do niej przywarł. Jęknął cicho, kiedy zdał sobie sprawę, że ona go całuje. Czuł tak wielką, nagłą potrzebę posiadania jej, że nie myślał o świetle wpadającym przez okna do sypialni, nie myślał o tym, czyjego nagość ją zawstydzi, że jej własna nagość sprawi, iż zastygnie z przerażenia. Mary Rosę oddawała pocałunki, a on powiedział cicho, dotykając jej ust: - Chcę poczuć twój smak. Zadrżał, czując na języku jej język. Kiedy całował jej piersi, głaszcząc dłońmi jej ciało, jęczała cichutko, a on, doprowadzony do granic wytrzymałości, ledwie opanował falę pożądania, która go w tej chwili ogarnęła. Te dźwięki, płynące z jej ust, i dłonie na jego brzuchu sprawiały mu nieopisaną rozkosz. Podniósł się lekko w górę, by dotknęła go nżej, a kiedy to zrobiła, ledwie wstrzymał nasienie. Był już bliski końca, więc odsunął się od niej, dysząc z wysiłku, a wtedy wszystko nagle stało się jasne i proste. Chciał ją całować wszędzie, chciał uczynić coś, czego nie robił nigdy wcześniej, coś, co nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, a teraz pragnął tego bardziej niż cegokolwiek w świecie. Wydawało się to tak naturalne, jak oddychanie i tak samo było mu teraz potrzebne. Zsunął się, by całować i pieścić jej brzuch, a potem ciepły oddech przesunął się nżej, a usta zamknęły się na niej i język zaczął kolistymi ruchami poruszać się dziko. Mary Rosę zamarła na moment, zdziwiona tym, co zrobił, ale jej zaskoczenie trwało tylko chwilę.
- - Ojej - jęknęła i przysunęła się mocniej do jego ust. Poczwała jak jego palce błądzą w stronę jej wnętrza, a potem wsuwają się do środka. - Tysenie - powiedziała, a właściwie krzyknęła, czując, że coś niezwykłego dzieje się z jej ciałem. Chwyła go za włosy i jęknęła głośno.
- Opadła po chwili na poduszkę, powtarzając wciąż jego imię i błagając, by nie przestawał, prosząc wciąż o więcej. Nie przestawał, a ona wiała się dziko pod jego ustami. Czuł rozkosz pojawiającą się falami i wzbudzającą nieznany dreszcz. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł niczego podobnego. Powoli odsunął się i to też wydawało się teraz zupełnie naturalne. Kiedy rozluźniła mięśnie, uniósł głowę i spojrzał na nią. Teraz już wyraźnie widział ją całą w świetle dnia.

Twarz miała zaczerwienioną, usta rozwarłe. Patrzyła na niego zamglonymi oczami.

- - Mój Boże - szepnęła i wyciągnęła w jego stronę dłonie.
  - Szybko podciągnął się w górę i położył na niej, mówiąc:
  - - Mam nadzieję, że to ci się też spodoba.
  - Już był w jej wnętrzu i poruszał się mocno, szybko. Tym razem miał wrażenie, że naprawdę umrze, ale to nie było ważne. Był gotów opuścić ten świat. Kiedy odchylił się do tyłu, uniósł głowę i krzyknął w stronę sufitu, całowała jego tors, a dłońmi pieściła brzuch. Opadł na nią, głowę kładąc obok jej głowy na poduszce. Czuł teraz jak jej dłonie delikatnie dotykają jego pleców. Co chwila całowała jego ucho, szyję, całowała go wszędzie, gdzie tylko zdołała sięgnąć, nie poruszając się pod nim.
  - - To było niezwykle, Tysenie - szepnęła. - Nie wiedziałam, że małżeństwo oznacza również coś takiego.
  - On też tego nie wiedział. Jego bracia byli mężczyznami o wielkim doświadczeniu, którzy bardzo cenili sobie uciechy cielesne. Nigdy nie wstydzili się o nich mówić otwarcie. On sam zawsze uważał to za grzech, grzech rozpusty. Jego bracia popełniali go regularnie z własnymi żonami, bo Tysenowi wydawało się wtedy, że czerpanie zbyt wielkiej przyjemności z miłości cielesnej z żoną również jest grzechem. Czuł się lepszy od braci, bo wiedział, że potrafił opanować zwierzęce żądze, że w jego życiu ważniejsze były wartości intelektualne i duchowe. To, co robili bracia, musiało być grzechem, bo przecież sprawiało, że mężczyzna zatracił się zupełnie, zapominał, co w jego życiu było naprawdę ważne, a co nie. Czyżbym naprawdę był takim nadętym idiotą, takim nieznośnym zrzędą? Znów poczuł, jak jego członek twardnieje w jej wnętrzu. Nie mógł się powstrzymać, zaczął się śmiać. Śmiał się, bo po raz pierwszy od trzydziestu jeden lat poczuł niezwykłą radość bycia mężczyzną i posiadania kobiety, która równie mocno jak on raduje się wspólnym kochaniem. W końcu opanował śmiech i pocałował ją w usta.
  - - Mary Rose - powiedział, lekko dotykając wargami jej różowych ust - czujesz mnie w sobie?
  - Zaczął się poruszać powoli, delikatnie. Radość z takiego kochania sprawiała, że miał ochotę krzyczeć, śpiewać i tańczyć.
1. Tak - powiedziała i pocałowała ramię, które poruszało się nad nią. - Tak, czuję cię. To wspaniałe uczucie, Tysenie.
  2. Jesteś zmęczona?
  3. Tak, trochę, ale to nieważne. Podoba mi się to, co robisz.
- Znów się zaśmiał i pocałował ją. Wsunął dłoń pomiędzy ich ciała i znalazł ją. Delikatnie pieścił, a Mary Rose utkwiała w nim zamglony wzrok. Tysen był naprawdę szczęśliwy. Cieszył się miłością cielesną z własną żoną. Na pewno nie ma w tym nic grzesznego, pomyślał. Na pewno. Usłyszeli pukanie do drzwi. Tysen otworzył oczy, ale nie poruszył się.
  - - Nie obchodzi mnie, co tam się dzieje, nawet jeśli Erickson MacPhail znów tu przyszedł, żeby cię wykraść. Nie chcę wstawać i nie chcę też, żebyś ty wstawiała. Zresztą chyba jesteś tu bezpieczna, skoro leżysz pode mną.
  - Zaśmiała się i uścisnęła go mocno.

1. Kto tam? - krzyknęła.
  2. To ja, Meggie.
  3. Mam jakąś córkę. Mam też dwóch synów, ale w tej chwili nie wiem nawet, jak się nazywają. - Uśmiechnął się, rozbawiony. - Przynajmniej zapukała.
- Ledwie udało im się od siebie odsunąć, kiedy Meggie wetknęła głowę przez uchylone drzwi.
  - - Dzień dobry. Jest już prawie ósma. Mam wam tu przynieść śniadanie, tatusiu? Mary Rose, dobrze się czujesz? Jeszcze rozmawiacie z tatą? O czym mu opowiadasz? Lubisz jeszcze tatę?
  - Tysen westchnął głęboko i powiedział:
  - - Ona mnie uwielbia, Meggie. Tak, poprosimy o śniadanie.
  - - Owszem, Meggie, wciąż lubię twojego tatę. Drzwi się zamknęły, a Tysen odwrócił się do żony.
  - Przytulił ją do siebie, poczuł na sobie jej brzuch, jej piersi, smukłe nogi.
  - - Więc jak ci się podoba być moją żoną?
  - - Skłamałam, odpowiadając Meggie - powiedziała i odsłoniła kołdrę. - Mówiłam, że lubię jej tatę, a to chyba coś więcej. Jak na razie małżeństwo z tobą jest wspaniałe. Nigdy nie wyobrażałam sobie nawet, że może być tak cudownie. Wstała, ale przypomniała sobie, że jest naga i zamarła w jednej chwili. Odwróciła się szybko w stronę męża, który leżał zupełnie odkryty i całkiem nagi. Patrzył na nią, jakby też nie wiedział, co w tej chwili powinien uczynić. Nie poruszyła się. On również się nie poruszył, tylko leżał i patrzył na nią. Przełknęła ślinę, zaczęła po omacku szukać kołdry.
  - - Tysenie, jesteśmy nadzy - szepnęła.
  - Patrzyła na niego, ale nie na jego twarz, tylko na jego męskość. Po raz pierwszy kobieta widziała go nago i nie odwróciła głowy. Wręcz przeciwnie, była bardzo zainteresowana tym, co zobaczyła. Melinda Beatrice zawsze spuszczała skromnie wzrok, kiedy przez przypadek natknęła się na niego bez jakiegokolwiek części garderoby.
1. Mary Rose?
  2. Jesteś pięknym mężczyzną, Tysenie - rzekła i dalej stała bez ruchu. Po chwili chciała przykryć dłońmi piersi, ale opuściła ręce. - To chyba głupie, że wstydzę się swojej nagości. Przecież widziałeś mnie naga, kiedy byłam chora.
  3. To prawda - rzekł, choć sam nie wiedział, jak to się stało. Miał wrażenie, że to ktoś inny odpowiada za niego. Teraz była jego kolej, by uważnie przyjrzeć się jej nagiemu ciału. - Teraz to co innego - rzekł.
- Pochyliła się, by podnieść z podłogi koszulę nocną, która leżała obok miski z wodą. Wciągnęła ją przez głowę i ukradkiem spojrzała na miskę.
  - - Tysenie, och, mój Boże!
  - Jęknęła tak żałośnie i z przestraszeniem, że natychmiast wyskoczył z łóżka.
  - - Co się stało?
  - W ułamku sekundy znalazł się u jej boku. Palcem wskazywała wodę, nic nie mówiąc.
  - - To krew twojego dziewictwa - powiedział z wielką ulgą. - Nie ma się czym martwić, naprawdę.



- Popatrzyła na jego twarz, a potem spuściła wzrok w dół, zupełnie na dół. Z zaróżowionymi policzkami patrzyła na jego męskość, jakby nie mogła oderwać wzroku, jakby to była najciekawsza rzecz pod słońcem. Wyciągnął ramiona i przytulił ją, częściowo z powodu zawstydzenia, jakie poczuł pod wpływem jej wzroku, a częściowo dlatego, że chciał ją poczuć blisko siebie, jej zapach, delikatną woń róż, która zawsze unosiła się z jej włosów, swój własny zapach na jej ciele. Zapach pary w miłosnym uścisku.
- - Wybaczyłaś mi, więc, Mary Rose?
- Odsunęła się ostrożnie. Wyglądało na to, że nie wie, o czym on mówi.
- - Och, tak. Jesteś najwspanialszym mężem pod słońcem - rzekła, odsunęła się jeszcze i znów spojrzała w dół. - I najpiękniejszym z wszystkich mężów. Tak bardzo różnisz się ode mnie. To niezwykle, Tysenie, i bardzo ciekawe.
- Opuściła w dół rękę i dotknęła go. Jęknął. Miał nadzieję, że znów go tam dotknie. Jednak zdawał sobie sprawę z faktu, że lepiej by było, gdyby tego nie robiła; przynajmniej nie teraz. Nic nie powiedział. Nie wiedział, co w takiej sytuacji mógłby rzec. Powiedziała, że był piękny? Uścisnął ją jeszcze mocniej. Był tak podniecony, że nie wiedział, co ze sobą począć. Na szczęście znów rozległo się pukanie do drzwi. Westchnął i włożył koszulę nocną.
- - Otrzymałeś Ust od Douglasa - zawołała Sinjun, kiedy Tysen i Mary Rose zeszli na dół, trzymając się za ręce. Oboje uśmiechali się niemądrze i próbowali wyglądać jak najbardziej zwyczajnie.
- Colin wszedł do zamku przez frontowe drzwi. Włosy miał rozwiane, ubrany był tylko w czarne wełniane bryczesy i luźną koszulę. Uśmiechnął się do nich.

1. Dzień dobry. Mam nadzieję, że oboje czujecie się dobrze.

2. Och tak, Colinie. Wszystko jest naprawdę wspaniale - rzekła Mary Rose i zaczerwieniła się aż po czubki włosów. Tysen, nie zastanawiając się wiele, pochylił się i pocałował ją w policzek. Pomyślał, że Mary Rose wygląda przepięknie w porannym ostrym świetle odbijającym się w jej zielonych oczach. Była taka szczęśliwa i roześmiana. Była jego żoną. On był żonatym człowiekiem. Pomyślał, że to bardzo miły stan.

- Został lordem Barthwick, przyjechał do Szkocji, znalazł sobie żonę, to dobry początek. Boży plan, jak to wymyśliła Mary Rose, nie był jeszcze dla niego do końca zupełnie jasny, ale na razie wydawał mu się bardzo dobry.

1. Hmm - mruknął Colin, oglądając oboje bardzo uważnie, a potem odwrócił się do żony i rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie. - Wcale mnie to nie dziwi - rzekł wchodząc do holu, mijając Poudera, który drzemał jak zwykle na swoim krześle przy drzwiach. - W końcu Tysen jest z rodu Sherbrooke'ów.

2. Cicho bądź, Colinie - rzekł z zadowoloną miną Tysen, kiedy odbierał Ust od siostry. - Zawstydzasz moją żonę.

- Jak dziwnie było znów wypowiadać na głos te słowa. Zabrał się do czytania, a potem podniósł głowę i powiedział:
- - Douglas jest na mnie zły, ale sam twierdzi, że niedługo mu przejdzie, bo Oliver jest tak podekscytowany perspektywą zarządzania moimi dobrami w Kildrummy, że Douglas nie może

się na nas gniewać. Oliver jest już w drodze do Szkocji. Powinien niedługo dotrzeć na miejsce. Douglas pisze, że tak się śpieszył, by tu jak najszybciej przybyć, że bez ładu i składu wrzucał swoje rzeczy do kufra. Douglas twierdzi, że teraz mam w stosunku do niego dług wdzięczności.

\*

- Oliver dotarł na miejsce jeszcze tego samego popołudnia. Miał ze sobą wielki kufer podróżny. Na widok zamku Kildrummy wrzasnął z radości.
  - - Och, wielebny Tysenie - rzekł, szarpiąc dłoń lorda Barthwicka. - To dla mnie wielki zaszczyt. Ojej, teraz jest pan baronem. Powinienem się zwracać do pana milordzie. Pan jest MacNeily? Pomoże mi pan na początku? Niech pan nie wyjeżdża, póki się pan nie upewni, że nie puszcę tu wszystkiego z torbami. To takie piękne miejsce.
  - - Nie wyjadę - odparł MacNeily, śmiejąc się i przyglądając jednocześnie uważnie młodemu mężczyźnie. - Jestem przekonany, że pan wyniesie majątek Kildrummy na wyżyny bogactwa i porządku.
  - Kiedy Oliver poznał Mary Rosę, żonę wielebnego Sherbrooke, stanął jak wryty i przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.
  - - Oliverze - zagadnął go Tysen - dobrze się czujesz?
1. Chodzi o to, że pan jest żonaty, to znaczy, milordzie... a ja po prostu nie wyobrażałem sobie pana z kobietą, to znaczy, że pan może być, że pan jest żonaty i że pańska żona...
  2. Miło mi cię poznać, Oliverze - skróciła jego męki Mary Rosę i z uśmiechem uściśnęła mu dłoń.

\*

- - Nadeszła już pora - rzekł Tysen do Mary Rosę. Wiedziała, że to już najwyższa pora na to, co miała usłyszeć, ale wciąż się bała, czego się dowie.
  - Pan MacCray wyjechał wcześniej rano, Colin i Sinjun postanowili zrobić sobie konną przejażdżkę, a Meggie pomagała Pouderowi układać ubrania Tysena w szafie. Pani Golden przygotowywała kolację, a nowe służące prały. Oliver i MacNeily zabarykadowali się w bibliotece i obstawili stosami książek i dokumentów.
  - - Poprosiłem twoją matkę, by się z nami spotkała - rzekł. Przerwał na chwilę i ścisnął jej dłoń, dodając: - Ona już wie, że to najwyższa pora, żebyś się o wszystkim dowiedziała, Mary Rosę.
  - Ku ich zaskoczeniu Miles MacNeily wcale nie siedział z Oliverem w bibliotece, ale towarzyszył Gweneth Fordyce, kiedy Mary Rosę z Tysenem szli do salonu. Wstał, gdy zjawili się nowożeńcy. Tysen nie rzekł ani słowa, tylko spokojnie czekał na rozwój wydarzeń. Mary Rosę patrzyła to na matkę, to na Milesa, a po chwili zapytała:
  - - Czy to pan jest moim ojcem? Uśmiechnął się i zaprzeczył ruchem głowy.
  - - Żałuję, że to nie ja, moja droga, ale zjawiłem się w Kildrummy dopiero, kiedy byłaś już dziesięcioletnią dziewczynką. Mimo to twoja droga matka zgodziła się zostać moją żoną. Mary Rosę zatoczyła się lekko, ale poczuła silną dłoń Tysena, podtrzymującą ją za łokieć.
1. Nie rozumiem. Był pan dla mnie zawsze bardzo miły. To dlatego? Dlatego że zawsze kochał pan moją matkę?
  2. Tak, kochałem twoją matkę, Mary Rosę, i to od dawna, ale nie mogłem się z nią ożenić.

Dopiero niedawno, kiedy otrzymałem spadek, mogłem poprosić ją o rękę, bo jestem teraz w stanie ją utrzymać. Mam sporo pieniędzy. Sama zrozum, gdyby twoja matka mnie poślubiła, musielibyśmy zamieszkać w Kildrummy, bo w całej wiosce nie ma wolnej chaty dla rządcy majątku. - Przerwał na chwilę i uśmiechnął się. - Mogę zostać twoim ojczymem, Mary Rose?

- Mary Rose spojrzała na matkę, która nic nie mówiła. Siedziała blada na kanapie, w uroczej jasnoniebieskiej, muślinowej sukience, a jej wyraz twarzy zdradzał na przemian zaniepokojenie i radość.

1. Mamo? - zawołała Mary Rose.
2. Tak, kochanie. Bardzo chcę poślubić Milesa. - Wzięła głęboki oddech i powoli wstała. - Zrozum. On mnie pokochał, bo jemu nigdy nie wydawałam się szalona. Od dawna już darzymy się uczuciem, ale dopiero teraz możemy być razem.
3. Gratuluję wam obojgu - rzekł Tysen. - Mary Rose, a co ty na to?
4. Po prostu nie wiem. Tak wiele się wydarzyło. Sądziłam, że mama pojedzie ze mną do Anglii, że nie będę sama w obcym kraju, że...
5. Och, kochanie - przerwała jej Gweneth i wyciągnęła w jej stronę ramiona. Podeszła do córki. - Jeśli chcesz, możemy poczekać ze ślubem. Pojadę z tobą i twoim mężem.

- Mary Rose potrząsnęła głową.
- - Nie, mamo, to bardzo samolubne z mojej strony. Sama jestem tak szczęśliwa jako żona Tysena. Nie chcę nawet sobie wyobrazić, że mogłabym nie pozwolić tobie na podobne szczęście.
- Kiedy jednak wypowiedziała te słowa, pomyślała, że matka i Miles MacNeily znajdą się razem w łóżku, ich ubrania będą rozrzucone po podłodze, a oni przywrą do siebie tak jak ona i Tysen ostatniej nocy. Przypomniała sobie, jak Tysen całował ją wszędzie i przeraziło ją, że Miles może robić to samo z jej matką. Nie mogła sobie tego wyobrazić. Wpatrywała się teraz z zażenowaniem w czubki swoich butów.

1. Ojej - szepnęła.
2. Doskonale - rzekł Tysen. - Potrzeba nam teraz tylko szampana. Możemy dokończyć nasze sprawy, droga pani? - zwrócił się do Gweneth. - Już najwyższa pora. Mary Rose powinna się dowiedzieć, kim jest jej ojciec, a potem odebrać pieniądze z funduszu, który on jej zostawił.
3. Tak - rzekła Gweneth. - Już pora. Chodzi o to, że jest to dość niemiła sprawa i wiem, że Mary Rose będzie cierpiała.
4. Jak to możliwe, bym cierpiała, jeśli dowiem się, kim był mój ojciec?

- - Ponieważ był jednocześnie dziadkiem lana. Tysen patrzył oniemiały na Gweneth Fordyce.

1. Chce pani powiedzieć, że to stary Tyronne był ojcem Mary Rose? To on zostawił jej pieniądze?

- Tak - odparła Gweneth. - Miał już ponad sześćdziesiąt lat, kiedy go poznałam. Umarła jego żona, a on koniecznie chciał mieć innych następców w razie jakiegoś nieszczęścia. To stało się

jego obsesją. Przyjechałam z wizytą do mojej siostry i jej świeżo poślubionego męża. Poznałam Tyronne'a. Byłam nim oczarowana. - Zaczęła nerwowo skubać suknię, odwróciła się od nich i podeszła do okna. - Nigdy nie zapomnę, jak mi powiedział, że pragnie mieć synów, że musi mieć więcej synów, że życie ludzkie jest takie kruche, nieprzewidywalne, że nawet ta gromadka dziedziców, którzy czekają w kolejce, może wkrótce przestać istnieć. Zdaje się, że było ich wtedy pięciu. Odwróciła się. Dłonie splotła jak do modlitwy, w której miała prosić córkę o wybaczenie i zrozumienie.

1. Tak więc byłam z nim, Mary Rosę, a ty urodziłaś się w wyniku tego związku. Nie chciał się ze mną ożenić, póki się nie upewni, czy urodzę chłopca. Nie urodziłam, więc postanowił znaleźć sobie inną kobietę, która mu go urodzi. Powiedział mi wtedy, że założył dla ciebie fundusz w Edynburgu. Jego jedynym warunkiem przed podpisaniem dokumentów było dotrzymanie przeze mnie tajemnicy co do jego ojcostwa. Nienawidziłam go za to, ale nic nie powiedziałam, bo obiecał, że odłoży dla ciebie sporą sumę. Powiedział, że tobie też nie mogę wyznać, kto jest ojcem, bo inaczej wycofa pieniądze. Pewnie nie chciał, żebyś płątała się po zamku i uważała się za rodzinę. Nie miałam ani grosza, więc wprowadziłam się do siostry i sir Lyona, a niedługo potem zaczęłam udawać szaloną. To z powodu sir Lyona. Pragnął mnie. Tylko tak mogłam uniknąć jego zalotów i trzymać go z dala od siebie.

2. Mamo - szepnęła ledwie słyszalnie Mary Rosę. - Tak mi przykro.

1. Nie, poczekaj, to jeszcze nie wszystko, kochanie. Pozostaje sprawa łana, ostatniego z dziedziców Tyronne'a. Jak wiesz, Tyronne już nigdy się nie ożenił. Miał wielu chłopców w rodzinie: synów, wnuków, bratanków, siostrzeńców, ale powoli każdy z nich umierał. Potem pozostał już tylko łan, a on chciał poślubić Mary Rosę. Oczywiście nie mógł. Byłaś córką jego dziadka. Łan też zmarł - powiedziała Mary Rosę. - Upił się i spadł z klifu.

2. Może - odparła niepewnie Gweneth. - Wiem, że Tyronne tego właśnie dnia powiedział mi, kim jesteś, przyznał się, że jest twoim ojcem. A potem łan już nie żył.

- Mary Rosę nie mogła, nie chciała w to uwierzyć.

1. Nie, łan nie mógł popełnić samobójstwa.

2. Nie wiem.

- Mary Rosę odwróciła się bez słowa i podeszła do męża. Tysen wyciągnął w jej stronę ramiona i przytulił ją mocno. Nic nie rzekł, tylko ją trzymał blisko przy sobie.

1. Czy to już wszystko, droga pani? - zapytał.

2. Tak. Nie wiem, ile pieniędzy zostawił jej Tyronne, ale sądzę, że to naprawdę duża suma. Tak mi przynajmniej zasugerował. Znam pewnego starszego dżentelmena, który je przechowuje i jest jedyną osobą, która o wszystkim wiedziała. Podam ci teraz to nazwisko. Masz do tego prawo.

## ROZDZIAŁ 22

- **15 września 1815** Tysen i Mary Rosę wyszli z domu pana Mortimera Palmera, prawnika, staruszka leżącego w łóżu, owiniętego szczelnie wełnianymi kocami. Starszy pan dał Mary Rosę grubą kopertę i pobłogosławił ją na drogę, jak to czynią katolicy księża, a potem zaczął kasłać tak silnie, iż Tysen obawiał się nawet, że biedaczysko może tego nie przetrzymać. Z ulgą stwierdził jednak, że pan Palmer przeżył ich wizytę. Zastanawiał się, co by się stało z kopertą należącą do Mary Rosę, gdyby starzec zmarł, nim to niego dotarli. Szli w stronę domu Sinjun i Colina w dzielnicy Abbotsford. Dzień był ciepły i słoneczny, oboje nowożeńcy upajali się zapachami Edynburga. Tysen przysłuchiwał się rozmowom, w których rozbrzmiewał dziwny akcent. Ledwie rozumiał sens słów. Rozglądał się, od czasu do czasu zawieszał wzrok na strzelistym zamku położonym na wzgórzu pośrodku miasta. Mary Rosę szła obok niego milcząca, zamyślona, ze zmarszczonym czołem. Przyciskała kopertę do piersi.
- - Możesz już ją otworzyć, Mary Rosę - powiedział i uśmiechnął się do żony. - Wszystko będzie dobrze.
- Wziął ją pod ramię i poprowadził do niewielkiego parku, gdzie wskazał jej ławkę.
- - Boję się - westchnęła, spoglądając na niego, a potem na kopertę, którą ścisnęła w dłoniach, jakby to był jadowity wąż, próbujący ją ugryźć. W końcu, po dłuższej chwili wahania, podała mu ją. - Proszę, Tysenie. Tyją otwórz.
- Tysen zrobił to bez wahania i wyjął ze środka pojedynczą kartkę papieru oraz drugą, grubą kopertę. Najpierw przeczytał na głos to, co napisano na arkuszu papieru: *Droga córko! Już nie tyje, a ty albo skończyłaś dwadzieścia pięć lat, albo jesteś mężatką i dlatego czytasz mój list. Twoja matka była piękną kobietą i miałem wielką nadzieję, że urodzi mi syna, kolejnego dziedzica, ale tak się nie stało. Urodziła ciebie. Modliłem się, tak bardzo modliłem się o syna, ale Bóg mnie oszukał. Niestety, nie jesteś chłopcem. Wielka szkoda. Oto dlaczego nie mogłem poślubić twojej matki. Nie okazała się prawdziwą kobietą. Ale narodziłaś się ty i co miałem począć? Jestem człowiekiem honoru i dlatego postanowiłem dać ci odpowiedni posag. Twój ojciec Tyronne, baron Barthwick* Tysen zmiął kartkę i rzucił ją na ziemię. Potem jednak się opanował i podniósł papier. Przeczytał Ust jeszcze raz, tym razem po cichu i zaczął się śmiać.
- - Cóż to był za żalosny, stary gbur. Naprawdę żałował, że nie jesteś synem. Szczęście, że nie okazałaś się chłopakiem, bo teraz żadne z nas nie byłoby tutaj. Wciąż się smucisz. Posłuchaj mnie. Stary Tyronne był okrutnym, złośliwym starcem, a na dodatek miał jakąś nieznośną obsesję posiadania dziedziców. Był gorszy od diabła. Okropny z niego człowiek. - Machnął kopertą. - Nie pozwól, by teraz sprawił ci ból. Jego już od dawna nie ma na tym świecie. Kiedy pisał te bzdury, nie był już przy zdrowych zmysłach.
- Mary Rosę położyła mężowi dłoń na ramieniu.
- — Już dobrze, Tysenie. Naprawdę. Pamiętam go. Widywałam ojca, kiedy byłam mała. To był dziwny człowiek. Nigdy nie zwracał na mnie większej uwagi.
- Pamiętam, jak łan opowiadał mi kiedyś, że podobno podczas pewnej kolacji, kiedy siedzieli

z nim przy stole chłopcy z jego rodziny, każdego wypytywał dokładnie o stan zdrowia, łącznie zawsze się z tego śmiał. Mówił, że czasem jego kuzyni udawali dziwne drgawki i opowiadali, co ich boli, by potem śmiać się, kiedy stary Tyronne zastanawiał się, jakiej chorobie mogłyby przypisać te symptomy.

1. Cieszę się, że jako twój rodzic nie brał udziału w twoim wychowaniu. Nie wynikłoby z tego nic dobrego, Mary Rosę.
2. Wiem. Na szczęście widywałam go tylko z daleka i od czasu do czasu słuchałam historyjek opowiadanych o nim przez innych. Przynajmniej było o czym rozmawiać.

- Tysen podał jej zaklejoną grubą kopertę. Rozerwała ją pośpiesznie. Banknoty wysypały się na ziemię jak płatki śniegu. Zebrali je oboje i policzyli. A gdy policzyli, wybuchnęli zgodnym śmiechem. Tyronne, lord Barthwick, zostawił swojej córce w posagu sto funtów, w banknotach jednofuntowych.

\*

1. To zadziwiające - powiedziała później Mary Rosę w rozmowie z Sinjun, Colinem i Meggie, która stała obok ojca. - Kiedy przestaliśmy się śmiać, zrozumieliśmy, jakie mogłyby z tego wynikać konsekwencje. A co by było, gdybym wyszła za Ericksona MacPhaila? Był przekonany, że jestem bogata.

2. Powiesz o tym matce? - zapytał Colin.

3. Nie - odparł Tysen. - Mary Rosę nie chce, żeby ktokolwiek poznał tę żalną prawdę. - Uśmiechnął się do żony. - Pozwólmy Ericksonowi zastanawiać się, jak bardzo byłby bogaty, gdyby udało mu się ją zmusić do małżeństwa. Teraz, kiedy poślubi Donnatelle, będzie nieszczęśliwy, zyskawszy jedynie... pięć tysięcy funtów. Ciekawe, co na to powie jego droga matka?

- - Na pewno niewiele - wtrąciła Mary Rosę. - Z Donnatella będzie musiała się liczyć. Matka Ericksona nie ma przy niej najmniejszych szans. Zaś co do wuja Lyona, będzie musiał po prostu oszczędzać.

- - Sir Lyon na pewno teraz pośpiesznie wyda Donnatellę za Ericksona - rzekł Tysen. - Och, Mary Rosę, wszystko się dobrze ułożyło. Twoja matka jest teraz naprawdę szczęśliwa z Milesem MacNeily, człowiekiem, który będzie o nią dbał, a tobie został rozczarowany zalotnik. Erickson zawsze będzie myślał o tobie jako o tłustym gołąbku, który przypadkiem wymknął mu się z rąk. - Dotknął dłonią jej policzka. - Teraz pora, by twoje życie zaczęło się układać normalnie w obcym kraju, gdzie odtąd będziesz mieszkała.

- Mary Rosę westchnęła.

1. Meggie nauczyła mnie, że żona musi we wszystkim słuchać męża, że za nim powinna iść wszędzie, nawet do jaskini lwa.

2. Ale powiedziałam jej też, że tam, gdzie jedziemy, nie ma żadnych lwów - wtrąciła się Meggie.

- ***Dom Eden Hill Glenclose - on – Rowan Południowa Anglia***

- - Kim pani jest?
- Mary Rosę przechadzała się wokół domu pastora. Obejrzała się i zobaczyła wysokiego, szczupłego chłopca stojącego na głowie obok krzaka tuż przy wejściu do domu.
- - To chyba bardzo trudne? - zapytała, podchodząc bliżej i klękając obok niego.
- To na pewno Leo, pomyślała, który kocha konie i nie potrafi wydusić po łacinie ani jednego słowa. To on ma wesołe usposobienie po swoim wuju Ryderze i doprowadza swoją siostrę do szału psikusami. Tysen i Meggie powiedzieli jej, że obaj chłopcy są teraz w Northcliffe, u wuja i ciotki.

1. Nie - odparł mały. - Po prostu trzeba mieć bardzo twardą głowę. Tato mówi czasem, że ja mam głowę stworzoną do tego, żeby na niej stać.
2. Jestem Mary Rosę.
3. A ja jestem Leo. Przyszedłeś tu zobaczyć się z tatą? On jest pastorem, wiesz? Jest teraz w Szkocji. Został tam nowym lordem. Nie wiem, kiedy wróci.
4. No cóż, jeśli mam być z tobą szczerą...
5. Leo, mógłbyś stanąć na nogach?
6. Tata! - krzyknął Leo i z wdziękiem wykonał polecenie. Otrzeptał ubranie i rzucił się w ramiona ojca. - Nie wiedzieliśmy— Max chciał się ze mną założyć, że przyjedziesz tu do przyszłej niedzieli, ale zostały mi już tylko trzy szylingi. Nie mogłem sobie pozwolić na taką stratę. Wiem, że on mnie czasem oszukuje, tato, tylko nie umiem mu tego udowodnić.
7. Jestem w domu i cieszę się, że nie straciłeś swoich trzech szylingów - rzekł Tysen i mocno przytulił chłopca.

- Na chwilę zamknął oczy i cieszył się bliskością syna. Po chwili malec spojrzał uważnie na Mary Rosę.

1. Widzę, że już poznałeś Mary Rosę - powiedział Tysen.
2. Powiedziała mi, jak się nazywa. Tylko tyle. Mam nadzieję, że to nie jest nasza guwernantka, tato. Max by na pewno doprowadził ją do szału. On zawsze się wszystkim przechwala. Ale zresztą ona i tak nie mówi jak porządna guwernantka. W ogóle dziwnie mówi. Może to nowa służąca? Wiesz, wujek Douglas pozwala mi przychodzić do domu, kiedy Max ma lekcję z panem Harbottle.

- Tysen wciąż trzymał chłopca w ramionach. Nie miał ochoty go wypuścić.
- - Napiszę natychmiast do twojego wuja i dam mu znać, że jestem w domu i pozwolę ci tu ze sobą zostać. Wiesz, że Mary Rosę lepiej zna łacinę niż Max. Co ty na to?
- Dopiero teraz Leo przyjrzał jej się naprawdę uważnie. Obejrzał ją sobie od góry do dołu kilka razy. Miała na sobie szarą, starą, spraną sukienkę z muślinu, zupełnie niemodną. W tej samej chwili Mary Rosę pożałowała, że nie włożyła jednej z tych pięknych, nowych sukni, które Sinjun kazała dla niej uszyć w Edynburgu.
- - Nie wiedziałem, że dziewczyny potrafią mówić w innym języku niż angielski. Pan Harbottle powiedział, że nie uczy dziewczyn, bo one nie są w stanie niczego się nauczyć. Max mu odpowiedział, że Meggie potrafiłaby przegadać nawet jego, ale pan Harbottle nie chciał mu uwierzyć. - Malec zmarszczył brwi. - Naprawdę dziwnie mówisz.

1. Pochodzę ze Szkocji - wyjaśniła Mary Rosę, umyślnie uwypuklając obcy akcent. - A pan Harbottle jest po prostu starej daty.
2. Meggie mówi, że to stary grzyb i nie odróżniłby fasoli od truskawki. Naprawdę jesteś ze Szkocji? Tata cię tu przywiózł z zamku Kildrummy?
  - - Tak.
  - - Leo - powiedział Tysen, ściskając ramię chłopca. - Mary Rosę jest moją żoną i twoją nową mamą.
  - Leo zamarł. Mama?
1. Tatku, nie miałem matki od wielu lat. Właściwie nie wiem już, do czego one służą. Nie, tato, nie potrzebuję nowej mamy. A jej przecież w ogóle nie znam.
  - Zamknij gębę, Leo! - krzyknęła Meggie, biegnąc szybko w ich stronę. Zatrzymała się gwałtownie, zaledwie kilka centymetrów od nosa swego brata. - Nie wiedziałam, że tu jesteś. Gdybym wiedziała, nie pozwoliłabym Mary Rosę chodzić samej po ogrodzie, tylko poszłabym razem z nią. Posłuchaj mnie, ptasi mózdzku, jaja znam i to dobrze. Wiem, że ona jest dokładnie taką matką, jakiej potrzebujemy. Nie próbuj nawet na niej swoich tortur, Leo, bo dam ci popalić i to porządnie.
1. To doskonały początek - roześmiała się Mary Rosę. Była nawet bardziej zaskoczona niż rozbawiona i Tysen nie mógł jej się dziwić.
2. Ja też dam ci popalić, Leo - powiedział. - Powinieneś najpierw lepiej ją poznać, to się przekonasz, że jest bardzo miła. Max już wrócił z lekcji z panem Harbottle?
3. Max jest teraz z panem Pritchartem. Chyba prowadzą jakiś teologiczny spór, oczywiście po łacinie. - odpowiedział ojcu Leo, a potem wyjaśnił Mary Rosę. - Pan Pritchart jest zastępcą taty. On nas zabiera z powrotem do Northcliffe po lekcjach Maksa. Pan Pritchart jest jeszcze starszy niż tata, a nie ma żony. Może mogłabyś wyjść za niego zamiast za tatę?
4. Człowiek żeni się raz na zawsze - odparł Tysen. - Pan Pritchart będzie musiał sobie znaleźć własną żonę.
1. Potrafisz prowadzić spór po łacinie? - zapytał Leo.
2. Chyba nigdy nie trafiła mi się po temu okazja - odparła Mary Rosę. - Może Max mi pokaże, jak to się robi.
3. Masz rude włosy.
4. Leo - powiedziała Meggie, mrużąc oczy - uważaj lepiej, co mówisz. Szkoda, że nie dostałeś listu, w którym napisałam ci o Mary Rosę. Może poćwiczyłbyś trochę trzymanie języka za zębami.
5. Nie powiedziałem niczego złośliwego.
6. Tak - przytaknęła mu Mary Rosę. - Mam rude włosy. Tobie podobają się rude?
  - - Moja ciotka Alex ma rude włosy, ale twoje są bardziej czerwone, gęste i kręcone. Mój wuj Douglas... to brat taty, hrabia... on naprawdę lubi rude włosy. Zawsze się bawi włosami ciotki Alex. Kiedyś nawet widziałem, jak sobie jej włosami głaskał policzek, a potem je



polizał. To obrzydliwe.

- Mary Rose o mało nie wybuchnęła śmiechem. Mrugnęła do męża. Dzieci stały teraz uczeplone Tysena, a ona naprzeciwko całej trójki, sama, w ogrodzie przy domu, w którym miała spędzić całe życie.

1. Tata się zmienił - powiedział wolno Leo i przyjrzał się uważnie ojcu. - Ciągłe się uśmiecha. Nawet na mnie nie nakrzyczał, kiedy powiedziałem, że chciałem się założyć z Makssem.
2. Tata jest taki sam, jak był - broniła go Meggie. - Zamknij się, Leo. - Spojrzała na brata złowieszczo. Podskoczyła jednym susem do Mary Rose, uścisnęła ją i powiedziała: - Jak ci się podoba twój nowy dom? Czyż nie jest uroczy? Cały z jasnej cegły i porośnięty bluszczem. Tata mówi, że się boi, bo bluszcz może pewnego dnia podejść do jego łóżka i oplatać go całego, a wtedy nawet Monroe i Ellis go nie rozplaczą. Ale w środku jest ślicznie i dość miejsca dla nas wszystkich, zobaczysz, Mary Rose. Jeśli mam być szczerą, salon jest bardzo ciemny, ale spodziewam się, że każesz zdjąć i spalić stare zasłony.
3. To prawda, dużo tu tego bluszczu - powiedziała Mary Rose. - Naprawdę jest pięknie. Powinam kazać spalić stare zasłony?
4. Chyba tak - odparł Tysen. - Ja sam po prostu nigdy o tym nie pomyślałem.

- - To dlatego, że jesteś dżentelmenem, tatku, a dżentelmeni nie zajmują się sprawami domu i nigdy nie wiedzą, co trzeba w nim zrobić.
- Tysen uśmiechnął się do córki.
- - Przysięgam ci, Meggie, że teraz będę już na wszystko patrzy! innym okiem, bo jest tu z nami Mary Rose. Chodźmy do środka - rzekł i wziął żonę za rękę. - Powinnaś poznać panią Priddie, to nasza kucharka i gosposia. Mamy też dwie służące, które przychodzą ze wsi, Belinę i Tootsie. Jest też Marigold, ona pomaga w kuchni. Malcolm, którego już poznałaś, dogląda stajni. - Przerwa! na chwilę i uśmiechnął się. - Myślę, że pani Priddie wyda ci się bardziej przyjemna niż pani MacFardle.

1. Och, są Monroe i Ellis - powiedziała Meggie. - One kochają tatę. Ponieważ śpisz z tatą, żebyś mogła z nim w nocy rozmawiać, Ellis i Monroe na pewno przyjdą też łąsić się do ciebie. Będą po tobie chodzić i mrużyć.
2. Elis przed chwilą wypluł mnóstwo sierści - powiedział Leo. - Pani Priddie nakrzyczała na niego i chciała go zdzielić miotłą. Oczywiście Ellis szybko uciekł.
3. Ellis - rzekł Tysen i uśmiechnął się. Wydało mu się to teraz takie naturalne. - On bez wątplenia ma domieszkę krwi kotów wyścigowych. Jest szczupły i wysoki, a biega szybko jak błyskawica.
4. Ale przeważnie jest bardzo leniwy - skarżył się Leo. - Czasem chcę się z nim pobawić i daję mu kulkę z papieru, ale on tylko zadziera w górę ogon i odchodzi. Tatku, ty się ciągle śmiejesz.
5. Zostaw tatę w spokoju - powiedziała Meggie. - Ellis odchodzi z prostego powodu. Jesteś strasznie nudny. Musisz się z tym pogodzić.
6. Aleja przynajmniej nie chodzę po okolicy z pan - talonami na wierzchu...

1. Chcesz zginać marnie, ty mały głupku?

2. Nigdy mnie nie złapiesz!

- I pobiegli. Meggie goniła Leo, który uciekł na drugą stronę ogrodu, za dom. Tysen potrząsnął głową.
- - Nie zrobi mu krzywdy - powiedział i dopiero uświadomił sobie, że wciąż się śmieje od ucha do ucha.
- Mary Rosę poznała Tootsie, Belinę i Marigold, która wybałuszała oczy i chichotała nerwowo, a potem panią Priddie, pełną sztywnej grzeczności. Obeszła pokoje na dole, a kiedy wróciła, Tysen już został porwany przez panią Flavobonne, która miała do niego niecierpiącą zwłoki sprawę. Tak więc Mary Rosę poszła na górę w towarzystwie pani Priddie. Kiedy stanęła na środku swojej nowej sypialni, która łączyła się z sypialnią Tysena, usłyszała za oknem głos Meggie. Dziewczynka wciąż jeszcze była w ogrodzie. Pani Priddie przeprosiła, tłumacząc się, że musi ratować wielebnego Sherbrooke'a z tłustych rąk pani Flavobonne i wyszła. Mary Rosę podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

1. Musiałeś wtrącić swoje trzy grosze, Leo - powiedziała Meggie i wbijając palec w klatkę piersiową chłopca, pchnęła go w stronę kłujących krzaków.

2. Ale on ją znalazł gdzieś w Szkocji, Meggie. Nie potrzebujemy drugiej matki. Wszystko dotąd było dobrze. Nie chcę jej tu. To nie miejsce dla niej. Jest obca i na dodatek jest dziewczyną. A ty, dlaczego ją tak lubisz?

3. Jestem dziewczyną, paskudo, a to na pewno jest miejsce dla mnie. Połowa ludzi tu mieszkających to dziewczyny. Przyzwyczaj się - powiedziała i znów pchnęła go tak, że wylądował zadkiem na krzaku róży.

- Wrzasnął i podskoczył w górę.

1. Kolec mi się wbił w lewy pośladek. Nie musisz mnie zabijać tylko dlatego, że jej nie lubię. Idź do domu. Powinnaś się cieszyć, że znów mnie widzisz, a ty mnie bijesz.

- Bo zachowujesz się jak przygłup - powiedziała Meggie i zmarszczyła brwi. - Ale urosłeś. Minał ledwie miesiąc, a ty urosłeś bardziej niż ja. Ale i tak ciągle jeszcze potrafię połamać ci nogi, więc o tym nie zapominaj i zachowuj się przyzwoicie. - Będę taki duży jak tato - powiedział Leo. - Może już w przyszłym miesiącu, a na pewno do Gwiazdki. Wtedy już nie dasz rady mnie zbić.

1. Zawsze będę mogła cię zbić - powiedziała Meggie, opierając dłonie na biodrach - bo ja urosnę większa niż tata. I nie waz się powiedziec złego słowa na Mary Rosę, kiedy Max wróci z domu pana Pritcherta, słyszysz?

2. Mary Rosę... to głupie imię. Jest takie miękkie jak gąbka. Dlaczego tata się z nią ożenił? Nie zrobił tego tylko dlatego, żeby nam przywieźć nową mamę, bo wie, że jej nie potrzebujemy. Przecież go o to wcale nie prosiliśmy. Więc dlaczego?

3. Tata ożenił się z Mary Rosę, bo pewien straszny człowiek chciał ją wykraść i się z nią ożenić, a ona nie chciała.

4. Och - powiedział Leo, pocierając pośladek. - No, to rozumiem. Ożenił się z nią, bo jest taki

strasznie honorowy i było mu jej żal. Dobrze, że mężczyzna ma tylko jedną żonę, bo inaczej tata miałby już do tej pory z tuzin mam dla nas. Ratowałyby je z jakiejś opresji i z litości żeniłby się z wszystkimi. Ale wiesz co, Meggie? On się śmieje, żartuje sobie, jak gdyby nigdy nic. To bardzo dziwne. Co się z nim stało?

- - Jest szczęśliwy. Może trochę się zmienił. Hmm... Masz rację. Ostatnio dużo się śmieje. Mnie się to bardzo podoba.

1. Tak, mnie chyba też.

2. Ojej - jęknęła Mary Rosę, cofając się. - Ojej - powtórzyła w pustej sypialni, która wydawała jej się okropna. No cóż, podsłuchiwała. Co Leo miał na myśli, kiedy się tak zdziwił, że Tysen jest wesoły?

- Tysen zawsze się uśmiechał i żartował, przecież już taki był z natury. Stała na środku pokoju i stała tak przez chwilę. Zasługiwała na to, co usłyszała. Leo był tylko małym chłopcem. Potrzebował czasu, by się przyzwycząić do nowej osoby. Rozejrzała się. Nie miała ochoty ani chwili spędzić w tym przykrym miejscu. To była sypialnia Melindy Beatrice. Tak jej powiedziała pani Priddie. Dodała też, że nikt tu nic nie ruszał od śmierci pani, a minęło już sześć lat. Potem pani Priddie zachwycała się, jak pięknie pani Sherbrooke urządziła ten pokój. Mary Rosę miała ochotę zwymiotować, choć nigdy wcześniej coś takiego nie przyszło jej nawet do głowy. Tym razem odruch doskonale pasował do sytuacji. Jeśli będzie musiała tu pozostać, skończy się na tym, że spędzi cały dzień na kolanach nad miską. Pokój był naprawdę okropny. Nie chodziło to, że był brzydki czy zaniedbany. To powietrze w środku było takie duszące... Pomyślała, że zachowuje się jak idiotka. Kiedy zjawił się Tysen, nie zapytał nawet, co się stało, tylko powiedział bez wahania:

- - Nie chcę, żebyś tu przebywała. Nigdy nie lubiłem tego pokoju. Moja sypialnia jest dość duża dla nas dwojga. Może z tej zrobimy niewielki salonik, a jeśli to nie pomoże, będę tu za karę zamykał chłopców, kiedy coś zbroją.

• Podbiegła do niego i objęła go za szyję. Pani Priddie odchrząknęła, stanąwszy za Tysenem.

- - Rozprawił się pan z panią Flavobonne bardzo szybko, wielbny Sherbrooke, może nawet za szybko. To jest dom sługi Bożego. To dom pastora. Gdyby pan wciąż był sobą, sprawy cielesne zostawiłby pan na później. Zawsze był pan ponad to. Do takiego zachowania przywykłam.

- - Ale już nie jestem tylko sobą, pani Priddie. Jestem teraz mężem mojej żony - powiedział i uśmiechnął się, bo pomyślał, że już nie jest ponad wszystkim, zwłaszcza jeśli chodziło o sprawy cielesne z Mary Rosę, dotykane jej i całowanie. Powoli opuścił ręce i zwrócił się do pani Priddie: - Pokażmy Mary Rosę jej nową sypialnię.

- Pani Priddie znów odchrząknęła. W sypialni zastali oba koty. Ellis był długi, chudy, jakby owinięty wokół grubego Monroe z żółtymi oczami i sierścią czarniejszą niż dusza grzesznika. Oba leżały oczywiście na łóżku Tysena. Ellis od niechcienia otworzył oko. Zobaczył swego pana, miauknął i skoczył w jego ramiona. Tysen, przyzwyczajony do jego zachowań, zgrabnie go złapał.

- - Byłeś grzeczny, Ellis?

- Kot mrucał tak głośno, że Mary Rosę, która nigdy nic podobnego nie słyszała, stała i

wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

- - Ukradł kotlet wieprzowy ze stołu kuchennego, wielebny.
- - No cóż, szybki z niego kot, co, pani Priddie?
- Podrapał kota po brzuchu, przytulił go, a potem położył obok Monroe'a, który nawet nie poruszył wąsem.

1. Monroe nieczęsto się rusza - powiedział Tysen i pogłaskał kota po grzbiecie. Ten wyciągnął się, a Tysen wciąż go głaskał, póki zazdrosny Ellis nie wepchnął się pod jego dłoń.
2. Poczekaj, a zobaczysz, co się będzie działo, kiedy znajdziemy się z nimi w łóżku - powiedział Tysen, a pani Priddie znów odchrząknęła.
3. Nie mogę się doczekać - rzekła Mary Rosę, a Ellis spojrzał na nią i wyciągnął w jej stronę szyję. Pogłaskała go lekko, ale on wskoczył na ramię Tysena.

## ROZDZIAŁ 23

- *Antiquis temporibus, nati tibi similes in rupibus ventosissimis exponebantur ad necem.*  
W dawnych czasach tobie podobne dzieci zostawiano na pewną śmierć na nadmorskich urwiskach. Max Sherbrooke, wyprostowany, z wypiętą dumnie piersią, powiedział:
  1. Dziewczyny nie mówią po łacinie.
  2. Ta dziewczyna owszem, mówi - odparła swobodnie Mary Rosę.
  3. Nawet jeśli dziewczyna potrafi powtórzyć słowa, to na pewno nie jest w stanie zrozumieć, o czym mówi.
- Mary Rosę uniosła brwi na tę pompatyczną wypowiedź chłopca. I spojrzała w jego oczy. Max miał oczy jak cały ród Sherbrooke, błękitne. Przypominały oczy jego ojca, Sinjun, Leo i Meggie. Ten uparty wyraz twarzy też wydał jej się znajomy.
  1. Czy mi się zdaje, czy słyszę słowa staromodnego pana Harbottle?
  2. Oczywiście, że nie - odparł Max, marszcząc czoło. - Choć przyznam, że pan Harbottle nie waha się, nawet gdy ma dobry humor, wytknąć płci pięknej znaczących słabości.
- Dlaczegoż to masz tak złą opinię o umyśle niewiasty, Max?
  1. Właśnie - wtrącił się Tysen, wchodząc do ciemnego salonu, którego zasłony wkrótce miały zostać spalone. - Powiedz nam, Max, skąd u ciebie taka zła opinia o kobietach.
- Sam mówiłeś... - zaczął chłopiec, ale przygwożdżony wzrokiem ojca, zmienił taktykę. - No, może nie to mówiłeś, ale sądziłem, że nie miałeś wiele szacunku dla umysłu dziewczyn, z wyjątkiem Meggie, oczywiście...
  1. Oczywiście.
  2. No, bo dziewczyna nie umie wiele więcej niż rodzić dzieci i...
  3. Tak, masz rację, Max, nigdy nic podobnego nie mówiłem i nie wierzyłem nigdy w takie brednie. A teraz lepiej przestań gadać te bzdury, bo jeśli się zagalopujesz, obawiam się, że twoja nowa mama zastrzeli cię na miejscu.
- Max przyjrzał się ojcu uważnie.
- - Leo mówił mi, że zachowujesz się inaczej, ale sądziłem, że znów stał zbyt długo na głowie. No nie wiem, tato, ale... - przerwał i wpatrywał się w uśmiech, który gościł na twarzy ojca.
- Max wciąż patrzył na Tysena, a Mary Rosę pomyślała, że Tysen nie powinien jej nazywać matką, bo przecież nią nie była. Zwłaszcza teraz moment nie był na to odpowiedni, bo obaj chłopcy najchętniej wysłaliby ją z powrotem do Szkocji. Mimo to udało jej się roześmiać.

Machnęła ręką i powiedziała:

1. Już dobrze, Max, to przecież nieważne. Kłócimy się o łacinę i która z płci potrafi lub nie potrafi jej używać, a to przecież martwy język. Na dodatek jest bardzo prosty i pospolity. Jako język nie jest w najmniejszym nawet stopniu tak ciekawy jak egipskie hieroglify. Co ty o tym sądzisz?
2. Nie wmawiaj mi tylko, że hieroglifami też mówisz - powiedział Max chłodno.
3. No, nie. Tak naprawdę, to hieroglifami się nie mówi. Je się czyta, ale jeszcze nikomu się to nie udało. Jakiś pan Young pracuje teraz nad odszyfrowaniem ich znaczenia.
  - Max podszedł bliżej do Mary Rosę.
  - - Pan Harbottle uważa, że to wszystko pogańskie bzdury i dlatego nie warto się tym zajmować.
  - W jednej chwili Tysen postanowił solennie, że pan Harbottle już nigdy nie otworzy ust w obecności Maksa. Dlaczego nigdy wcześniej nie zdał sobie sprawy z faktu, że ten człowiek wpaja jego synowi mnóstwo bzdur?
1. Nikt nie ma jeszcze w tym względzie pewności - powiedziała spokojnie Mary Rosę. - Nie chodzi mi oczywiście o to, czy to pogańskie bzdury, tylko czy to jest alfabet i prawdziwy, niegdyś żywy język, czy może tylko zbiór obrazków. Twój ojciec zna wielu uczonych w Oksfordzie, więc jeśli cokolwiek w tej sprawie zostanie odkryte, wkrótce na pewno się dowiemy. Ktoś na pewno nas o tym poinformuje.
2. Tak - przytaknął Max i zwrócił się do ojca. - Dowiesz się, tato, prawda? To naprawdę ważna sprawa, naukowa. Może nawet jest w tym jakiś aspekt religijny, który mógłby cię zainteresować.
1. Sądzisz, że to mogłoby być choć trochę bardziej ciekawe od ciebie samego, Max? - rzucił Tysen i mrugnął do syna.
2. Nie jestem pewien, tato - rzekł Max i patrzył na ojca zmieszany. Potem podskoczył, a jego błękitne oczy rozświetliły się radością. - Wyobraź sobie, jakby to było, gdybyśmy patrzyli na te wszystkie symbole i odczytywali je! Chyba pójdę do pana Harbottle i powiem mu, jakie to ważne.
  - Max wyszedł z pokoju, mrużąc cicho pod nosem jakieś melodie, a Tysen westchnął. Wiedział, że będzie musiał znaleźć nowego nauczyciela, ale niewielu było w tej okolicy prawdziwie świątłych ludzi. - Przynajmniej otworzyłaś mi oczy na to, co się dzieje - zwrócił się do Mary Rosę. - Dobrze się spisałaś. Ten pan Harbottle nie ma dobrego wpływu na moich synów. Nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. Teraz przyszło mi do głowy coś bardzo ważnego. Nie zdawałem sobie również dotąd sprawy, że twoje imię brzmi tak miękko jak gąbka. Kto tak powiedział? Leo? Oczywiście pomijając fakt, że podsłuchiwałaś. Westchnęła.
1. Nie powinnam była tego słuchać, wiem. Ale nie mogłam się opanować. Mnie też nigdy nie przyszło do głowy, że moje imię brzmi jak gąbka.
2. To dopiero pierwszy dzień w nowym miejscu - powiedział, podchodząc i chwytając jej

dłonie. - Jesteś tu dopiero cztery godziny, a już wszyscy w Glenclose - on - Rowan wiedzą, że pastor ma nową żonę. Pani Flavobonne pewnie powiedziała pani Padworthy, a ona, mimo że jest starsza niż kamienie na równinie Salisbury, rozniosła wiadomość dalej. Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze o nas mówią. Pani Priddie właśnie poinformowała mnie, że wiele dam jest już w drodze do naszego domu. Niosą ciasta, biszkopty i inne słodkości dla Szkotki. Ich mężowie na pewno nie ucieszą się z nagłego zainteresowania twoją osobą, bo zbliża się pora kolacji.

3. Ojej - jęknęła Mary Rosę. - Ile nam zostało czasu do wizyty?

4. Jakieś pięć minut.

- Pastor przywitał w progu tuzin kobiet, które na jego zaproszenie wwały się do środka i zapełniły niewielki hol, przyciskając do swoich szacownych piersi talerze z pachnącymi wypiekami. W końcu pani Priddie uwolniła je od ciężaru słodczy i zaprosiła do salonu.
- - Drogie panie, niech mi wolno będzie przedstawić wam moją żonę, panią Mary Rosę Sherbrooke - powiedział uroczyście Tysen.
- Na te słowa Mary Rosę weszła do salonu. Meggie wślizgnęła się zaraz za nią i stanęła za plecami zebranych dam. Machnęła do Mary Rosę, po czym oparła się o parapet okna. - Miło mi panie poznać - powiedziała Mary i uśmiechnęła się. - To miło z waszej strony, że tak szybko przybyłyście, by mnie powitać. Przyniesione przez was ciasta pachną wyśmienicie. Proszę usiąść. Za chwilę podejść do każdej z pań. Tysen wyszedł z pokoju po dziesięciu minutach. Wcześniej ugryzł jedno z ciastek i wciąż czuł smak mąki w ustach. Był już pewien, że wszystko pójdzie dobrze. Niektórym z tych osób nie ufał ani trochę, ale jak na razie zachowywały się bardzo porządnie. Najbardziej martwiła go panna Glenda Straphorpe. Zastanawiał się, czy nie powinien był opowiedzieć o niej Mary Rosę jeszcze przed tą wizytą. Wszystkie damy przyglądały mu się trochę podejrzliwie, kiedy jeszcze stał w salonie. Pomyślał, że to pewnie z powodu uśmiechu goszczącego na jego ustach. Czyżby aż tak bardzo się zmienił? Postanowił już dłużej się tym nie martwić, jak jego żona poradzi sobie z poznawaniem nowych ludzi. Tak naprawdę od nocy poślubnej niewiele rzeczy go martwiło. Myślał tylko o niej. Przypominał sobie wielokrotnie te rozkoszne chwile. Jej radość i spełnienie sprawiały, że czuł się najwspanialszym kochankiem w Anglii, może nawet tak wspaniałym jak jego bracia. Nie kochał się z żoną od wyjazdu z domu Sinjun i Colina w Edynburgu, ponieważ Meggie spała razem z nimi, gdy zatrzymywali się na noc w przydrożnych gospodach. Trudno mu było tak po prostu leżeć i nic nie robić, gdy Mary Rosę była ledwie kilka centymetrów od niego. Trzeciej nocy miał wrażenie, że się za chwilę rozplacze, a gdy spojrzał na żonę, wydawało mu się, że jej też się chce płakać z powodu niespełnionych pragnień. To było takie cudowne. Teraz już byli w domu i mógł się z nią kochać jeszcze tej nocy. Może nawet udałoby się dwa razy. Bóg na pewno się nie pogniewa i nie potraktuje tego jak rozpustę. Rozejrzał się po swoim gabinecie, aż do sufitu wypchanym książkami. Miał ich tu więcej niż zdążyłby przeczytać w ciągu całego swojego życia. Większość z nich była bardzo nudna i trzeba było zupełnie się zestarzeć, by w ogóle przez nie przebrnąć. Ale to był jego dom. Tu pisał słowa kazań głoszonych potem co niedziela w kościele. Bóg oczekiwał, że będą wzniosłe, że opiszą jego wielkość, że wskażą ludziom właściwą drogę, ostrzegą ich przed surową karą i wyjaśnią, czego Bóg od każdego oczekuje. Usiadł przy biurku. Nie było na nim ani odrobinki kurzu. Jego dłuższą nieobecność

zdradzał tylko wielki plik listów ułożonych porządnie z boku. Zaczął je czytać. Trzydzieści minut później do gabinetu wbiegła, dysząc ciężko, Meggie. Miała pobladłą twarzyczkę.

- - Tatku, pani Bittley. Jest strasznie miła, no wiesz, ona zawsze tak robi, kiedy szykuje się do ataku. Boję się, że nie zostawi na Mary Rosę suchej nitki.
- Tysen dotarł do salonu w ciągu trzydziestu sekund. Stał przed uchylonymi drzwiami i słuchał. Pani Bittley, szlachcianka, zrzedliwa żona i znana w okolicy od wielu lat plotkarka, której wszyscy się bali, stała na środku salonu. Jej obfite kształty spowijał głęboki fiolet jedwabiu, a we włosach skręconych w loki przypominające kiełbaski miała fioletowe pióro. Patrzyła w stronę Mary Rosę i gestykulowała z ciastkiem w dłoni.
- - To cudowne dla osoby pochodzącej z północy, obcego kraju, wyjść za naszego pastora, Anglika do szpiku kości.

1. Tak, naprawdę cudowne, pani Bittley. Dziękuję, że pani o tym wspomniała. Pani Markham, życzy sobie pani jeszcze filiżankę herbaty?
2. Nie, dziękuję, pani Sherbrooke. Trudno mi wymawiać te słowa, zwracając się nimi nagle do zupełnie obcej osoby i na dodatek nie pochodzącej z naszych stron.

- Mary Rosę tylko uśmiechnęła się do chudej kobiety, której włosy były tak jasne, że w bladym świetle popołudniowego słońca wyglądały jak by były siwe. Jutro, pomyślała. Jutro wpuścimy trochę słońca do tego pokoju. Chyba każę go pomalować na żółto. Wróciła myślami do pani Markham i powiedziała swobodnie:

1. Pani pewnie też przez jakiś czas nie mogła się przyzwycząić, gdy nagle po ślubie zaczęto się do pani zwracać nazwiskiem Markham, prawda?
2. Tego się nie da w żadnym razie porównać - odparta pani Bittley. - Sama pani przyznała, że jest Szkotką. Jest pani tu obca.
3. Do tego raczej nic trzeba się przyznawać, bo przecież tego nie da się ukryć, nie sądzi pani?

- Pani Padworthy, starsza osoba, niska i drobna, machnęła suchą dłonią.

1. Ależ pani Bittley, nie mówiłam pani, jak bardzo lubię Szkotów. To taki egzotyczny naród, te ich kobzy i inne dziwaczne instrumenty, brzmiące jak zarzynana krowa. Podobają mi się u nich te kolorowe spódniczki i warkocze we włosach. Podobno wszyscy takie noszą... albo nosili, póki nasz miłościwy król i jego ludzie nie przydusili ich karków butami do ziemi. Kiedyż to było po raz ostatni? W tysiąc siedemset czterdziestym piątym?
2. Och, moje panie, mam nadzieję, że wizyta u mojej żony upływa wam przyjemnie. Może pani usiądzie, pani Bittley. Pani Padworthy, jak się miewa pani drogi mąż? Mam nadzieję, że dobrze?

1. Jest umierający, pastorze. Zanim dojdę z powrotem do domu, może już wydać swoje ostatnie tchnienie. Wcześniej pan o niego nie pytał.

2. Pomodlimy się, by dłużej został na tym świecie - odparł Tysen. - Och, tak, pani Bittley, tam jest krzesło. Meggie mówiła mi właśnie, że powinienem tu przyjść, bo przecież paniom, jako moim drogim, przyjaciółkom, które na myśli mają tylko moje dobro, powinienem dokładnie



opowiedzieć o moim wyjeździe do Szkocji i nieoczekiwanym powrocie w towarzystwie żony.

3. Pojechał pan do Szkocji w oczywistym celu, pastorce - powiedziała pani Padworthy. - Odziedziczył pan tam tytuł i zamek, który najpewniej jest tak stary, iż zostały z niego ledwie ruiny. Jest pan teraz lordem Barthwickiem. Pojechał pan tam doglądać swojego majątku. Nie miał pan załatwiać tam żadnych innych spraw.

- Uśmiechnął się do każdej z pań po kolei. - To prawda, a jednak, kiedy poznałem Mary Rosę, od razu wiedziałem, gdzieś w głębi duszy, bez cienia wątpliwości... tak moje panie, wiedziałem, że to niezwykła kobieta. Wiele czasu spędziłem, przekonując ją, by zechciała za mnie wyjść za mąż i zamieszkać ze mną w Anglii. Obawiała się... i to bardzo. Mówiła, że nie wie nic o Anglikach, że dla niej to obcy ludzie, że mają inne zwyczaje i inaczej mówią, może nawet popełniają inne grzechy. Oczywiście nie rozmawialiśmy o szczegółach. Zapewniłem ją, że będzie zachwycona, poznając mieszkańców miasteczka, że wszyscy będą ją witali z radością i zachowywali się przyjaźnie, bo Anglicy to naród ludzi pogodnych, w przeciwieństwie do aury, która nam nie sprzyja. Przekonywałem, że Anglicy to taktowni, uprzejmi ludzie, którzy z otwartymi ramionami przyjmują każdego. No i znów mówię i mówię, jak na niedzielnym kazaniu, a to przecież nie kazanie, tylko uniżona prośba do was, byście zrozumiały moje pragnienia, jako moje drogie przyjaciółki. Przepraszam, że wam przeszkodziłem, drogie panie. Odchodzę i zostawiam panie, by każda z was miała okazję lepiej poznać moją żonę.

1. To do pana niepodobne, pastorce - powiedziała pani Padworthy. - Powiem mojemu drogiemu mężowi o pańskim zbyt swobodnym zachowaniu, kiedy wrócę do domu. Jeśli mój biedny mąż jeszcze oddycha.

2. Jeśli wciąż jeszcze oddycha, to na pewno coś pani odpowie - odparł Tysen, uśmiechnął się ponownie do wszystkich pań i wyszedł z salonu.

- Mary Rosę mogłaby przysiąc, że zaraz po jego wyjściu usłyszała na korytarzu głos Meggie. Miała ochotę za nim pobiec, rzucić mu się na szyję i wycalować do utraty przytomności, ale odetchnęła głęboko i powiedziała:
  - - Drogie panie, bardzo podziwiam mojego męża. To cudowny człowiek.
  - Pani Bittley namyślała się chwilę, zdając sobie sprawę, że inne panie nie są już tak bardzo bojowo nastawione do nowej pastorkowej.
  - - Nie tak długo musiał nasz pastor przekonywać panią do tego małżeństwa - powiedziała w końcu. - Nie było go w domu raczej krótko. To wszystko odbyło się bardzo szybko, za szybko jak na mój gust. Najwyraźniej uczyniła pani coś bardzo zdroźnego. Pastor bardzo się zmienił. Będziemy musiały to uważnie zbadać. Jest w tym jakaś tajemnica. Oczywiście mamy nadzieję, że z czasem, kiedy pani pomieszka tu dłużej, zacznie pani mówić po angielsku z lepszym akcentem.
  - - Może - odparła Mary Rosę. - Albo może niektóre z pań zaczną mówić zaciągając trochę tak jak ja, po szkocku. Albo może nawet po jakimś czasie wasze słowa nie będą takie kąśliwe i uszczypliwe. Co pani o tym sądzi?
  - Pani Bittley odchrząknęła. Mary Rosę zastanawiała się, czy pani Bittley i pani Priddie nie są przypadkiem spokrewnione. Pani Tatę, młoda, dość ładna żona miejscowego kowala, Teddiego, powiedziała:

- - A mnie by się nawet spodobała taka lekcja zaciągania po szkocku. Co ty o tym sądzisz, Glendo? Nic nie powiedziałaś, odkąd tu jesteśmy. No, proszę, powiedz, co myślisz o lekcji szkockiego?
- Glenda Strapthorpe dopiero niedawno skończyła dziewiętnaście lat i zdawała sobie doskonale sprawę z faktu, że była najładniejszą panną w okolicy. Odwróciła swoją śliczną buzię w stronę Mary Rosę i powiedziała:
- - Nie, szkocki akcent jest według mnie bardzo pospolity, Bethie, nawet wulgarny, zupełnie jak rude włosy.
- Bethie Tatę nie bardzo wiedziała, co ma w tej sytuacji zrobić, więc rzuciła szybko:
- - Pani Sherbrooke, niech nam pani opowie o zamku Kildrummy. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, że nasz wielebny Sherbrooke jest teraz baronem, Ciekawam, co na to jego brat, hrabia Northcliffe.

## ROZDZIAŁ 24

- *Zamek Northcliffe niedaleko New Romney* Hrabia Northcliffe, Douglas Sherbrooke, czytał krótki liścik Tysena.
  - - Nie mogę w to uwierzyć - powiedział, kiedy skończył.
  - Do gabinetu przez wielkie, ciężkie drzwi zajrzał jego syn.
1. W co nie możesz uwierzyć, tato?
  2. Chodź tu, Jasonie. Pora na lekcję szachów, prawda? Dostałem list od twojego wuja Tysena. Píše mi, że się ożenił. Jego żona jest Szkotką i ma na imię Mary Rose. Wnosząc z tonu listu, mój brat jest bardzo szczęśliwy. To zupełnie do niego niepodobne. Opisał mi, jak Meggie przebrała się za chłopca stajennego i jechała uczepiona z tyłu powozu całą drogę do Edynburga. Podobno kiedy ją rozpoznano, Tysen o mało nie eksplodował ze złości. Ciekawe, dlaczego nie napisał mi o tym, kiedy prosił w liście o przysłanie Olivera?
- Jason zachichotał, zakrywając usta rękawem, a potem odchrząknął i udając powagę, wpatrywał się w czubki butów. Jego ojciec zamilkł na chwilę.
1. Wiedziałaś, co ona miała zamiar zrobić? - zapytał po pewnym czasie.
  2. Nie, naprawdę nie, tato. Ale nie sądzisz, że to bardzo śmieszny pomysł?
- Nie, nie sądzę - odparł Douglas, wiedząc, że ze swojego przystojnego, upartego jak osioł syna nie wydobędzie już na ten temat ani słowa. Jason zdawał sobie sprawę, że gdyby opowiedział o wszystkim ojcu, jego kuzynka znalazłaby się w niezłych tarapatach. - Dzięki Bogu, że nic jej się nie stało. Właśnie wszyscy wrócili do domu.
1. Mówiłeś, tato, że wuj znalazł sobie żonę w Szkocji.
  2. Jestem pewien, że Tysen uśmiechał się, kiedy pisał ten Ust. Co się tam, do diaska, dzieje? Chyba powinniśmy wszyscy złożyć wizytę pastorowi. Jak myślisz, Jasonie? Przy okazji zwrócilibyśmy twoim kuzynom odzienie.
  3. Jak myślisz, tato - rzekł Jason, prawie nie słuchając ojca - czy ona jest brzydka?
  4. Dlaczego tak uważasz?
  5. Słyszałem, jak kiedyś mówiłeś, że matka Leo jest wręcz oddychająca.
  6. Chciałeś powiedzieć odpychająca.
- Ciągle zapominał, że dzieci mają tak doskonały słuch, iż usłyszałyby mysz podjadającą ser w kącie spiżarni.
1. Tak, o to mi chodziło. A wuj Tysen mówił mi kiedyś, że ciało ludzkie wcale nie jest ważne, że liczy się to, co ktoś ma w duszy i w sercu. To czyni człowieka pięknym lub brzydkim.

2. Tak - przyznał cicho - twój wuj miał całkowitą rację. A co do jego żony, to zobaczymy. Jasonie, zapamiętaj sobie tylko jedno - słowa „odpychający” nie wolno ci użyć w obecności nowej ciotki. Zrozumiałeś?

- Douglas doskonale pamiętał Melinę Beatrice, pierwszą żonę Tysena. Pamiętał, że Tysen uważał ją za dar Boży, za doskonałą żonę dla siebie, osobę o podobnej duszy, przyjaciółkę na całe życie. Bardzo się pomylił. Zdecydowanie się pomylił. Był wtedy jeszcze bardzo młody, za młody, by rozsądnie wybrać. Melinda Beatrice zabiła w nim całą radość życia, dobro serca. Ale teraz Tysen nie był już taki młody i chyba się zmienił. Wyglądało na to, że na lepsze. Dzięki Bogu.

1. Ty zawsze mówisz mamie, jaka jest piękna - dociekał dalej Jason.
2. Twoja matka, Jasonie, to szczególna osoba. Jest w duszy, w sercu równie piękna, jak na zewnątrz.
3. Powiem Jamesowi, tato. Może nasza nowa ciotka nie będzie potrafiła nas odróżnić. Będziemy udawali siebie nawzajem. W ten sposób więcej się dowiemy.
4. Żądam, byście nie robili nic podobnego.

- Jednak Douglas już wiedział, że Jason właśnie wymyśla plan. Będą udawali siebie nawzajem i doprowadzali biedaczkę do szału.

1. Możemy później pograć w szachy? Mamy nową ciotkę... może będzie miała dla nas jakieś prezenty.
2. Mały chytrus - powiedział Douglas, kiedy jego syn wyszedł z gabinetu. Na pewno za chwilę pójdą do ogrodu, żeby oglądać nagie rzeźby, stojące na trawnikach. Wstał i poszedł poszukać swojej żony. Chciał jej przekazać wieści.

- Znalazł ją w pokoju muzycznym. Ćwiczyła nowy utwór na klawesynie. Bardzo chciała przebrnąć przez sonatę Scarlatti, która składała się z gęsto po sobie następujących wysokich dźwięków. Powinna była grać szybciej, i nawet próbowała, ale rezultat był godny pożalowania. Mimo to grała z entuzjazmem, tak jak zresztą robiła wszystko, czego tylko się dotknęła. Pomasażował jej lekko ramiona, a potem pochylił się, by ją pocałować w ucho, potem w nos i na końcu w usta. Odwróciła się na stołku i objęła go w pół.

- - Och, dobrze że jesteś, Douglasie. - Westchnęła. - To niełatwy utwór.
- Nie przeszło mu nawet przez myśl, by powiedzieć jej prawdę.
- - Cudownie grałaś. - Pocałował ją znów i dodał: - Na chwilę oderwę cię od klawesynu. Przeczytaj, proszę, list od Tysena.

- - Ojej - szepnęła Alex, kiedy skończyła lekturę. - Mój Boże, ona ma dwa imiona, zupełnie jak Melinda Beatrice. Sądysz, że tak jak tamta, nie ma piersi?

- Douglas zaśmiał się głośno. Nie mógł się opanować. Przypomniawszy sobie, jak Ryder powiedział kiedyś, że lepiej jeśli dziewczyna zamiast dwóch imion ma dwie piersi. A teraz Tysen znów ożenił się z kobietą o dwóch imionach... **Posiadłość Chadwyck między Lower Slaughter i Mortimer Coombe Cotswolds** Ryder Sherbrooke śmiał się głośno, bo jeden z jego synów ciągnął go za lewą rękę, drugi uczeplił się prawej nogi, a mała córeczka obejmowała go

w pasie nogami i śmiała mu się do ucha, rączkami trzymając go za szyję. Ryder próbował uwolnić choć jedną rękę.

- - Nie duś mnie, Linnie. Muszę przeczytać ten list. To od twojego wuja Tysena. Nie lubię, kiedy ktoś posyła listy przez gońca, bo to zwykle bardzo niepomyślne wieści. Musicie wszyscy mnie natychmiast puścić. Tylko na chwilę. No właśnie. Później będę waszym więźniem.
- Uwolniony Ryder usiadł w wielkim fotelu, zrobionym specjalnie na zamówienie według jego upodobań. Musiała się w nim zmieścić jedna dorosła osoba z trojgiem małych dzieci lub dwójką większych. Wyprostował złożoną na pół kartkę papieru i przygarnął dzieciaki do siebie. Czytając, delikatnie głaskał Theo po głowie. *Drogi Ryderze! Piszę, aby Cię powiadomić, że przywiozłem ze Szkocji żonę. Ma na imię Mary Rosę i jest naprawdę urocza. Kiedy wyjeżdżałem z zamku Kildrummy, Oliver tańczył jak małe dziecko i zachwycał się wszystkim, co napotkał jego wzrok. Był taki podekscytowany, że nie potrafił wydusić z siebie ani słowa. Przesyła ci pozdrowienia i prosi, bym przekazał, że dobrze sobie radzi jako mój zarządca. Wiele się wydarzyło, miałem do czynienia z naprawdę dziwnymi ludźmi, ale wszystko skończyło się dobrze. Moja żona jest, jeśli mam być szczerzy, naprawdę piękna. Sprawia mi wiele radości. Pozdrowienia dla wszystkich twoich dzieci. Niedługo poznasz Mary Rosę. Twój brat, Tysen* - Ależ to niesamowite - powiedział oszołomiony Ryder, wpatrując się w ścianę tuż nad głową Linnie, jakby nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą przeczytał. - To naprawdę niezwykle. Nie, nie martwcie się, to nie są złe wieści. Tak naprawdę to wspaniałe wieści, mój brat, porządniczy ponurak, nareszcie trochę się zmienił. Może nawet więcej niż trochę. No cóż, zobaczymy. Ojej, Theo, zauważyłem, że się skrzywiłeś. Boli cię ramię? Nie? To dobrze. Linnie, przesuń się. Trochę zdrętwiała mi ręka. Nie, nie ty, Ned, możesz tak siedzieć. Możesz mnie mocno ścisnąć. Wcale mi to nie przeszkadza. - Co się stało, wujku Ryderze? - zapytała Linnie i przysunęła się bliżej, przytulając się do niego z całych sił. Objął dzieciaki, oparł się wygodnie na fotelu i zamknął oczy. Wciąż tak bardzo się boją, pomyślał. Boją się, że ktoś nagle zabierze je z powrotem do piekła, w którym on je znalazł. Bały się bólu, poniżenia i bezradności, które towarzyszyły ich dotychczasowemu życiu, i nade wszystko bały się, że znów głód skurczy ich maleńkie żołądki. W głębi serca czuł ból i wściekłość. Wiedział, że to uczucie będzie mu towarzyszyło do końca życia. Wiedział, ile miał szczęścia, spotykając te dzieci na swojej drodze. Uśmiechnął się do nich. Poklepał każde po głowie i pogłaskał ich małe buźki. Wiedział, że kiedyś nie będą już takie wystraszone. Nauczą się ufać ludziom. Niewiele razy jak dotąd poniósł porażkę wychowawczą. Dziękował za to Bogu. Maluchy szybko zaczynały rozumieć, że będą kochane już do śmierci. Poczul, jak Linnie przyciska głowę do jego ramienia. Przytulił ją mocniej.

1. Powiedz no, wujek Ryder, kto napisał list - prosił mały Theo, który mówić nauczył się od zapijaczego złodzieja, mieszkającego gdzieś w ciemnym zaułku, niedaleko londyńskich doków. Przez ostatnie cztery miesiące maluch poczynił znaczne postępy. Jego ręka w końcu prawie całkiem się zagoiła.
2. To list od jednego z moich braci - powiedział pogodnie Ryder. - To wujek Tysen. Poznałeś go, Theo, pamiętasz? Był tu zaraz po tym, jak cię przywiozłem. Był na początku lata. To pastor. Przyjechał tu z trójką własnych dzieci.
3. Meggie nauczyła mnie wspinać się po drzewach - pochwaliła się Linnie. - Spadłam na nią, a

ona wcale się nie gniewała, tylko się śmiała. Pokazała mi, jak uderzyć chłopaka, żeby go mocno bolało.

4. Chyba już nie powinnaś mi mówić nic więcej - stwierdził Ryder.

5. Meggie powiedziała, że nie możemy zwracać głowy jej tacie, bo on ma bardzo wzniosłe sprawy do przemyślenia i nie ma czasu na głupoty. Mówiła, że musi ciągle być przy nim, żeby się nim opiekować, bo on jest taki nieobyty ze złem tego świata.

- Meggie dobrze знаła swego ojca. Ryder uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie twarz dziewczynki, kiedy wypowiadała te słowa.

1. Przez wiele lat jej tata zajmował się tylko wzniosłymi rzeczami, ale teraz... Ma nową żonę. Ciekawe, co się z nim stało? Ciekawe, co Meggie ma do powiedzenia na temat swojej nowej mamy?

2. Leo nauczył nas się ścigać. Zrobiliśmy wyścigi dookoła dębu, przez żywopłot i dookoła stawu w ogrodzie - powiedział Ned. - A zwycięzcę Ned nauczył skoku do tyłu.

1. Max nas uczył łaciny - pochwalił się Theo.

1. *Vos amo* - powiedział Ryder i pocałował każde z nich.

1. Co to znaczy, wujku Ryderze? - zapytała Linnie. Pocałował je znów i powiedział:

2. To znaczy: „Kocham was”.

1. Max nauczył nas czegoś innego: *Diabolusfecit ut idfacerem!* - powiedział Theo.

2. To znaczy: „Diabeł mi kazał to zrobić” - powiedziała Linnie, odwracając głowę od ramienia Rydera.

3. Powiedział, że dorośli zawsze się z tego śmieją - wyjaśnił Theo. - Poradził nam, żeby to mówić, kiedy coś nabroimy, to wtedy na pewno ominie nas kara. - Malec zmarszczył brwi. - Ale jak to może zadziałać, kiedy dorosły nie zna łaciny?

- - Nie zadziała - odparł ze śmiechem Ryder.

- Śmiał się jeszcze serdecznie, kiedy jego własna córka Jenny stanęła w progu. Miała już siedemnaście lat i była bardzo podobna do Rydera. Ale oczy odziedziczyła po matce. Były zielone. Myślała i mówiła raczej wolno, ale miała piękną duszę i bardzo miły sposób bycia. Ona też bardzo kochała dzieci.

- - *Vos amo* - zawołał w jej stronę Ryder. - To znaczy: „Kocham cię”.

- Jenny uśmiechnęła się słodko do nich wszystkich i powiedziała:

- - Ja też *vos amo*.

- Ryder postawił Neda na podłodze i gestem zaprosił Jenny. Był szczęśliwym człowiekiem. Miał wrażenie, że ostatnio tracił Jenny, bo ona zaczynała kierować swe względy w stronę Olivera, ale chłopak był teraz w Szkocji i zarządzał majątkiem Tysena w zamku Kildrummy. Był przekonany, że Oliver kochał Jenny bardziej niż kogokolwiek na świecie, bardziej nawet niż siebie samego, co jest doskonałą podstawą małżeństwa. Razem dorastali i od kiedy Ryder pamiętał, Oliver zawsze bronił Jenny. Ona zaś na pewno bardzo go lubiła.

- - Tęsknię za Jeremym - powiedziała. - Jak myślisz, gdy wróci z Italii, zostanie tu trochę, czy pojedzie od razu do Szkocji, do Olivera?
- Ryder pomyślał o młodszym bracie Sophie, który urodził się ze szpotawą stopą. Poza tym był sprawnym, silnym i przystojnym młodym mężczyzną.
- - Nie wiem - odparł. - Zobaczymy.
- Jenny tęskniła za Jeremym, a nie za Oliverem? To dziwne, pomyślał. Westchnął i zamknął oczy. Życie zawsze robi nam jakieś niespodzianki i nim zaczniemy coś podejrzewać, obrywamy po nosie. Jerry? A nie Oliver? *Dom Eden Hill Glen close - on - Rowan Credo fatum nos coegisse.* Chyba to los nas ze sobą połączył. Uwielbiał całować jej brzuch, pocierać policzkiem miękkie, ciepłe ciało. Wzdychał z radości nawet gdy chichotała, łechtana porannym zarostem, a potem, po krótkiej chwili wykrzykiwała jego imię u szczytu rozkoszy, a on zakrywał dłonią jej usta, by nie było jej słychać w całym domu. Wolał, żeby służba i dzieci nie biegli wcześniej rano na pomoc, słysząc wrzaski z ich sypialni. Uśmiechał się, patrząc jak jego żona pije herbatę, Wiedział, że Mary Rosę denerwuje się wizytą w mieście, gdzie miała przywitać się ze wszystkimi wiernymi z jego kościoła, a oni mieli ją sobie obejrzeć. Meggie upierała się, by pojechać z nimi. Jej zdaniem to miało przekonać wszystkich, że Mary Rosę jest akceptowana w swoim nowym domu i cała rodzina ją kocha. Godzinę później z takim samym uśmiechem, wysłuchawszy gratulacji od wielu ludzi w miasteczku, Tysen pomyślał, że wszyscy go tu lubią i dobrze mu życzą. Był przekonany, że wszyscy uznają Mary Rosę za doskonałą żonę dla pastora i będą się cieszyli razem z nimi.

1. Pani Bittley jest straszną jędzą, tatku - powiedziała Meggie i ścisnęła jego rękę.
2. Tak, ale ona zawsze taka była. Nie zaszła w niej żadna zmiana i to chyba nawet pocieszające. Przynajmniej wiemy, czego mamy się po niej spodziewać.
3. Ja wolę zmiany - nie zgodziła się Meggie, spoglądając z ukosa na ojca.

1. Tak - mruknął bezwiednie Tysen. - Pora na ostatnią i mam nadzieję, że krótką wizytę u rodziny Strapthorpe. Mieszkają dziesięć minut drogi stąd piechotą. To tuż pod lasem. Posiadłość nazywa się Grattling. Pani Strapthorpe opowiada wszystkim, że ta nazwa pochodzi od nazwiska niemieckiego hrabiego, który zbudował tu dom w czternastym wieku, ale nie wiem, czy to prawda.
2. Przykro mi, Mary Rosę - powiedziała Meggie głosem zbyt ponurym, jak na dziesięciolatkę - będziesz musiała spotkać się z panną Strapthorpe, ale ja będę cały czas przy tobie. Przynajmniej teraz ta jędza przestanie flirtować z tatą. Wiesz jak traktowała zawsze mnie i chłopców...?

- Meggie wzruszyła ramionami.
- - Kiedy wszystkie panie z okolicy odwiedziły mnie wtedy w domu taty, była raczej cicho - zauważyła Mary Rosę, zadzierając głowę, by złapać jeszcze trochę słońca.
- To cudowne uczucie, gdy delikatne promienie ogrzewają twarz, pomyślała. Tysen pocałował ją delikatnie w policzek. Przystanąła, spojrzała na niego z miłością i zapytała:

1. Naprawdę flirtowała z tobą, Tysenie?
2. Nie, Meggie przesadza - odparł i pocałował ją w ucho.

- Usłyszeli chichot. To była pani Snead, miejscowa szwaczka. Oglądała sztukę pięknego materiału, miękkiego, różowego muślinu, który, jak się Tysenowi, wydawało doskonale nadawałby się na suknię dla Mary Rosę. Uśmiechnął się do szwaczki, przedstawił jej swoją żonę, która pochwaliła materiał. Tysen poprosił więc panią Snead o uszycie sukni dla jego pięknej żony. Pani Snead westchnęła wzruszona i zadowolona, trzymając dłoń na sercu.

1. Doskonale, tatku - pochwaliła ojca Meggie i poszli dalej.
2. Mary Rosę doskonale wygląda w różowym - odparł Tysen i znów pocałował żonę w ucho.

- Meggie zaczęła podśpiewywać sobie coś pod nosem. Mary Rosę zaś była najszczęśliwsza na świecie. Nie obchodziło jej już nawet, że Glenda Strapthorpe flirtowała kiedyś z jej mężem i nie martwiła się tym, że to piękna panna. Mary Rosę czuła się piękna, bo miała na sobie żółtą, muślinową suknię wizytową, podarek od Sinjun, i wiedziała, że w niej podoba się Tysenowi. Nawet Max ją pochwalił, choć trochę inaczej.

1. No, Mary Rosę, wyglądasz jak puszysty deser w czerwonych włosami. Jesteś taka apetyczna, że nie powinnaś umieć mówić po łacinie.
2. *Quis est qui inquit, Max?* - odpowiedziała na to Mary Rosę i uśmiechnęła się do Tysena, który właśnie zamykał wielką dłonią usta swojemu synowi.
3. A co to właściwie znaczy? - zapytała Meggie, marszcząc brwi.
4. To znaczy: „Kto to powiedział?” - wyjaśnił Max i odpowiedział na pytanie Mary Rosę: - Jak to kto, oczywiście, że pan Harbottle, a kto miałby to powiedzieć?

- Tysen potrząsnął głową, trochę zdezorientowany. Sam pomyślał niedawno, że w tej żółtej sukni Mary Rosę wyglądała bardzo apetycznie, ale nie mówił nic, póki nie usłyszał słów Maksa. - Nie chcę już więcej słuchać, co pan Harbottle ma do powiedzenia, Max. Słyszysz? Nie rozumiem, dlaczego wcześniej nie zorientowałem się, jaki z niego głupiec. Wypytywałem już w okolicy o nauczyciela dla ciebie, Max, ale nie ma tu wielu ludzi, którzy wiedzieliby więcej, niż już się nauczyłeś. Nie możesz po prostu się od niego uczyć, nie przyjmując jednocześnie do serca jego absurdalnych poglądów?

1. Chodzi ci zwłaszcza o jego zdanie na temat kobiet?
2. Dokładnie o to mi chodzi.
3. Postaram się, tatku - odparł Max.
4. Jesteś takim krótkowzrocznym głąbem, że na pewno ci się nie uda - fuknęła na niego Meggie i uderzyła go w ramię.

- - Uważaj na Glendę - powiedziała w drodze na farmę Grattling. - Ona jest jak dzika kotka. Od jakiegoś roku polowała na tatę. Musiał mieć naprawdę silną wolę, żeby się jej nie dać usidlić. Pamiętasz, tato, jak cię przyłapała w zakrystii? Słyszałam, jak dwie panie mówiły, że chciała ci pomóc zdjęć szaty liturgiczne.

- - Eee, tak - odparł niechętnie Tysen, a Mary Rosę zauważyła, jak się zaczerwienił. Potrząsnął głową. - To nieważne. Jestem teraz żonaty, a ona musi się z tym pogodzić. Zresztą już na pewno dawno o wszystkim zapomniała i właśnie zarzuca wędkę na nową rybę.



- Pan Strapthorpe był niezwykle otyły. Miał gościć i przynajmniej dwa podbródki. Podziwiał Tysena nie dlatego, że był oddanym miastu przywódcą duchowym i doskonałym pastorem, ale dlatego, że miał brata hrabiego, człowieka o wielkiej fortunie i władzy. Pan Strapthorpe zajmował się wciąż handlem, choć zamieszkał daleko od swoich fabryk w Manchesterze. Jego nowa pozycja w towarzystwie, jako człowieka bardzo majątnego i ważnego dla miasta, sprawiła, że wypadało mu planować, jak by tu zostać teściem Tysena. Mimo to nie zmartwił się jego niespodziewanym ożenkiem i przywitał Mary Rosę uprzejmie, podczas gdy jego chuda, skąpa żona nalewała herbatę i narzekała na służbę. Twierdziła, że w małych miasteczkach nie można znaleźć odpowiednich ludzi. Glenda Strapthorpe zaplanowała swoje wielkie wejście na trzy minuty później. Kiedy pojawiła się w drzwiach, natychmiast utkwiała oczy w Tysenie. Weszła do zbyt mocno nagrzanego salonu w tak pięknej sukni, że Mary Rosę poczuła się jak czupiradło. Meggie najwyraźniej zgadzała się z tym, bo przysunęła się do niej bliżej. Tysen wstał, przywitał się z Glendą i powiedział uprzejmie:
  - - Doskonale pani wygląda, panno Strapthorpe, prawie tak pięknie jak moja śliczna żona. Kiedy Mary Rosę poczuje się pewniej w swoim nowym domu, na pewno będziemy się częściej odwiedzać.
  - Glenda nie zwracała jednak uwagi na uprzejmości ani na żonę pastora i powiedziała bez zbędnych wstępów:
    - - Muszę panu coś pokazać, wielebny Sherbrooke. W oranżerii. Mamo, niedługo wrócimy.
    - Matka spojrzała na nią zdenerwowana i o mało nie rozlała herbaty, którą wciąż nalewała. Ojciec Glendy skrzywił się, jakby właśnie gościec dał mu się bardziej we znaki. Tysen wiedział, że pani Strapthorpe nie znosi bezpośredniego sposobu bycia swojej córki, ale to Glenda rządziła domem, a rodzice mieli tylko za zadanie jej służyć. Wszyscy o tym wiedzieli. Uśmiechnął się do Mary Rosę i swojej córki. Wziął Glendę pod rękę i powiedział przez ramię:
      - - Niech pani nie słodzi mojej herbaty, pani Strapthorpe. Za chwilę wrócimy.
      - Glenda Strapthorpe zamknęła drzwi do oranżerii i spojrzała na niego. Cudownym, drżącym, wibrującym głosem powiedziała mu prosto w nos: - Jak pan mógł!

1. Jak mogłem co, panno Strapthorpe?
2. Chciałam za pana wyjść za mąż, a pan zamiast mi się oświadczyć, przywiózł ze sobą ze Szkocji to nieszczęsne stworzenie! Wystarczyło poprosić mnie o rękę, nie trzymałabym pana wiecznie w niepewności. Odnowiłabym pański dom, może nawet kazałabym coś dobudować, może nowe skrzydło. Tak, usunęłabym zapadnięte, stare groby z cmentarza przy pańskim ogrodzie i zbudowała nowe skrzydło domu, gdzie miałby pan więcej miejsca na gabinet, bibliotekę i miejsce do modlitwy. Mógłby pan lepiej służyć swoim wiernym. Poza tym mógłby pan codziennie podziwiać moją urodę. Już od dawna powinien ją pan podziwiać. Jestem przecież niezwykle piękna. Niech pan tylko na mnie spojrzysz, a potem na nią. Nie ma porównania.

- Tysen spojrzał z nikłym zainteresowaniem.

1. Nie - rzekł w końcu - nie ma porównania.
2. Właśnie. Czekałam i czekałam, ale pan się nie oświadczył. Co pan właściwie w niej widział? Na pewno nie ma odpowiedniego posagu. Ja mam dziewiętnaście lat, a ona jest stara.

Prawie taka stara jak moja matka.

- Nadeszła pora, żeby zakończyć już ten jej monolog.
- - Przykro mi, że panią rozczarowałem, panno Strapthorpe. Mary Rosę raczej nie jest jeszcze w wieku pani matki. W jakiej sprawie potrzebowała pani mojej rady?
- - Jest pan ślepy? A może po prostu głupi? Nie ma pan za grosz rozumu, żadnego rozsądku? Powiedziałam, że pana pragnęłam, a pan właśnie zaczynał dostrzegać moją urodę przed wyjazdem do Szkocji. Jest pan teraz lordem Barthwick, a mój ojciec patrzy na pana jeszcze bardziej przychylnie. Chciałby mieć pana za zięcia. Ale pan wszystko popsuł i przywiózł do nas tę obcą kreaturę bez gustu i nawet odrobiny urody... Tysen przerwał jej ostro:
- - Tak, panno Strapthorpe, być może jestem ślepy. Fakt pozostaje faktem, jestem żonaty. Zawsze mnie uczono, że osoba z dobrego domu powinna zachowywać się uprzejmie, nawet kiedy spotka ją rozczarowanie, przykrość czy ból. Jeśli nie potrzebuje pani mojej rady, wróćmy, proszę, do salonu.
- Odwrócił się i przepuścił ją przodem.
- - Niech pani będzie miła dla Mary Rosę - dodał. - Bardzo panią o to proszę. Tak należałoby w tej sytuacji postąpić. Tego wymaga grzeczność.
- Wyglądało na to, że wolałaby raczej wypatroszyć pstrąga.

1. No, jakoś to przetrwaliśmy - powiedziała Meggie, kiedy w końcu, jakieś pół godziny później szli w stronę domu. - No i co, tatku, próbowała cię uwieść w - tej oranżerii?
2. Nie - odparł Tysen. - Meggie, niech cię diabli, nie chcę, żebyś знаła to słowo, a tym bardziej jego znaczenie. Uwieść to nie jest odpowiednie słowo dla dziesięciolatki, chociaż ciągle zdajesz się o tym zapominać.

1. Tak, tatku. Czego ona od ciebie chciała?

- - Chciała się wykrzyknąć - powiedział. - Była zła, że przywiozłem ze sobą żonę, skoro ona czekała tu na mnie w nadziei, że się jej oświadczę.
- Westchnął.

1. Ojej - przestraszyła się Mary Rosę. - Może być z tym jeszcze kłopot.

- Nic, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić - odparł Tysen. - Zrobiliśmy, co do nas należało. Poznałaś wszystkich w miasteczku z wyjątkiem pana Thatchera, który większość czasu spędza pod stołem, pijany jak bela. Ale w niedzielę jest zawsze trzeźwy i wtedy ci go przedstawię. To dziwne, jak oni reagują na Tysena, pomyślała Mary Rosę. Nie mogła tego zrozumieć. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że dotąd była ślepa. Ludzie po prostu nie wiedzieli, kim ona jest. Obca, z innego kraju, z dziwnym akcentem nagle znalazła się pośród nich. Na pewno głowili się, dlaczego pastor się z nią ożenił, jeśli wszystkie wolne kobiety w miasteczku chciały za niego wyjść za mąż. Myślała o tym z posępną miną aż do kolacji.

## ROZDZIAŁ 25

- *Vivere, amare, discere.* Żyć, kochać i uczyć się. Przy kolacji, nad talerzem zupy zółwiowej, Tysen obwieścił nagle:
  1. Pogoda jest piękna. Odwiedzimy Brighton. Poprosiłem pana Ardena...
  1. To prawnik taty - wyjaśniła Meggie.
  1. Tak. Od razu znalazł dla nas dom. Nie chciałem nic mówić, póki się nie upewnię, że naprawdę pojedziemy. Zostaniemy tam przez tydzień. Co wy na to?
- Chłopcy patrzyli zdziwieni na ojca. Leo zaczął powoli:
  - - Tato, nigdy wcześniej nie zabierałeś nas do Brighton. Nigdzie nas nie zabierałeś. Najwyżej do wujostwa. Zawsze mówiłeś, że nicnierobienie, gdzieś w obcym miejscu to zupełna strata czasu.
  - Czy on naprawdę tak myślał?
- 1. Z przyjemnością pojedziemy - odparł Max, marszcząc brwi i spoglądając w stronę Mary Rosę. - Może jej obecność tutaj to nie jest wcale taki zły pomysł.
- 2. Zgadzam się z tobą Max. Miło, że Mary Rosę jest z nami - odparł ojciec i pomyślał, że ma ochotę pocałować ją w lewe ucho.
- Nie, to jeszcze stanowczo za wcześnie. Zauważył, że dzieci na niego patrzą. Zakasłał, osłaniając usta dłonią, i próbował przybrać obojętny wyraz twarzy.
  1. Och, rozumiem - powiedział Leo.
  2. Głupek - warknęła Meggie.
- Księżę regent nie przebywał w tych dniach w swoim domu w Brighton, więc londyńska śmietanka również nie zaglądała teraz do miasta. Posłusznie jeździli za księciem wszędzie tam, gdzie on miał w zwyczaju spędzać lato. Był już koniec września, ale pogoda wciąż utrzymywała się wspaniała - ciepła i słoneczna. Rodzina Tysena szybko oswoiła się z wynajętym domem na placu Steyne. Podczas czwartego dnia ich pobytu w Brighton Mary Rosę znów zauważyła pewnego młodego mężczyznę. Widywała go już wcześniej i to dość często. Siedziała pod parasolem na plaży i obserwowała Leo, Maksa i Meggie bawiących się na piasku. Tysen oddalił się na chwilę, żeby kupić ciasteczka dla wszystkich. Po chwili cień mężczyzny pojawił się na piasku tuż obok Mary Rosę.
  - - Przepraszam, że zakłócam pani samotne rozmyślenia, ale słyszałem od znajomych, że pochodzi pani ze Szkocji. Nazywam się Bernard Sandeford.

- Przypomniała sobie, jak Tysen z nim rozmawiał. Widziała go na plaży już kilka razy, więc uśmiechnęła się uprzejmie i odparła:

1. Tak, jestem Mary Rosę Sherbrooke.
2. Och tak, urocza pani Sherbrooke. Pani mąż to szczęśliwy człowiek. Wystarczy na państwa spojrzeć, by się tego domyślić.

- Mary Rosę przypomniała sobie natychmiast Ericksona MacPhaila. Miała nadzieję, że ten młodzieniec nie jest w niczym do niego podobny. I chyba nie był. Przyjrzała mu się uważnie, nic nie mówiąc. Nie, nie bała się pana Sandeforda. Jeśli poradziła sobie z Ericksonem, poradzi sobie też z nim. Tak więc, kiedy mężczyzna kucnął obok niej, patrzyła na niego ze spokojem. Zbliżył się do niej za bardzo, ale wiedziała, że jeśliby zaszła taka potrzeba, z łatwością mogła go uderzyć. Czuła się jednak trochę dziwnie, bo na plaży nie było nikogo prócz bawiących się nieopodal dzieci. Maluchy skakały przy brzegu przez fale. Mężczyzna spojrział na nią tak przymilnie, że miała ochotę rzucić mu garść piachu w twarz.

1. Pani mąż jest w tej chwili bardzo czymś zajęty, droga pani. Może nudzi panią i dlatego każe mu pani iść precz? Wiem, że odesłała go pani dlatego, że zobaczyła mnie. Obserwowałem panią. Zauważyłem, że spogląda pani na mnie. Może powinniśmy się lepiej poznać? Mam nadzieję, że będzie pani chciała później się ze mną spotkać.
2. Jest pan może krewnym lub znajomym Ericka MacPhaila?
3. Nie. Na pewno nie jestem spokrewniony ze Szkotem. Nie znam nikogo o tym nazwisku. Może...
4. Mamo!

- Meggie, cała w piasku, z włosami oblepionymi wokół twarzy biegła w ich stronę. Tuż za nią widać było Maksa i Leo. Włosy mieli rozwiane, twarze zaczerwienione i patrzyli z niepokojem na obcego mężczyznę. Meggie przystanęła tuż przed panem Sandefordem z rękoma na biodrach i tonem nieznośnym sprzeciwiu zapytała:

1. Kim pan jest, proszę pana?
2. Meggie, kochanie, to pan Sandeford. Przyszedł się przedstawić i chwilę porozmawiać.

- - Nasza mama nie zabawia rozmową obcych dżentelmenów, kiedy ojca nie ma w pobliżu - powiedział Max.

1. Ależ pani nie może być matką tych dzieci - oburzył się pan Sandeford. - Jest pani na to stanowczo za młoda.
2. Mama ma już prawie trzydzieści pięć lat, proszę pana - zachnął się Leo. - Ona tylko tak młodo wygląda. Zawsze nam mówi, że to dzięki nam zachowuje młodość. Jest bardzo szczęśliwa z tatą i z nami. Ciągłe nam to powtarza, prawda, mamo?
3. Przynajmniej kilkanaście razy dziennie - odparła Mary Rosę.

- - Rozumiem - Sandeford podniósł się powoli. Otrzepał piasek ze spodni i spojrział na dzieci.

1. Ja sam nie kochałem mojej matki tak bardzo jak wy. Macie szczęście, że urodziła was taka kobieta.
2. Tak, proszę pana, wiemy o tym - rzekł Leo.
  - Począł chwilę, póki pan Sandeford się nie oddalił. Kiedy był już pewien, że podrywacz nie wróci, pobiegł szybko, a potem wykonał kilka fikołków aż do brzegu morza. Mary Rosę roześmiała się.
  - - On mi przypomina Ericksona MacPhaila - powiedziała Meggie, w zamyśleniu obserwując odchodzącego mężczyznę.
  - - Dziwne, że właśnie to powiedziałaś - przyznała Mary Rosę. - Mieliście rację, że tu przybiegliście.
  - Skąd wiedzieliście, że ten człowiek nie zachowa się jak dżentelmen?
1. Mój nadęty brat Max może jest ślepy jak kura - powiedziała Meggie - ale wie, kiedy mężczyzna ma w oczach coś złego.
2. Dziękuję wam za pomoc.
  - Po chwili wrócił Tysen, trzymając mnóstwo ciastek, jabłek i pomarańczy.
1. Kim był ten mężczyzna, z którym rozmawiałaś?
2. Tato - poskarżył się Max - to nie był dżentelmen. Próbował flirtować z Mary Rosę.
3. Co się stało?
4. To ktoś podobny do Ericksona MacPhaila - odparła Mary. - Poradziłabym sobie z nim, ale nie zdążyłam, bo dzieci przybiegły, by bronić mojej cnoty.
  - Tysen miał ochotę rozkwasić nos temu obcemu człowiekowi. Natychmiast wstał, a twarz miał czerwoną ze złości. Lecz pana Sandeforda już nie było. Tysen zaklął pod nosem. Meggie usłyszała, co powiedział, i patrzyła na niego z otwartą ze zdziwienia buzią.
1. Przepraszam - westchnął. - Nie powinienem tak mówić.
2. Tatku, nie pozwoliliśmy zrobić jej krzywdy - powiedział Max. - O, idzie Leo, sam go zapytaj. Nie masz się czym martwić.
3. Tak - przyznała Mary Rosę i wzięła jabłko. - To tylko niezręczna sytuacja. Max, wydaje mi się, że poważnie się skaleczyłeś w nogę. Kiedy wrócimy do domu, muszę ci to posmarować maścią.
4. *Num mihi dolebit hoc?* - zapytał Max.
5. Co to znaczy? - zaciekała się Meggie.
  - - Zapytał, czy nie będzie go bolało - wyjaśniła Mary Rosę. - Nie, jeśli nie będziesz się opierał.
  - - *Abeo* - odpowiedział Max i pobiegł w stronę napływających fal. - *Abeo?* A to, co znaczy? - spytała Meggie, zasłaniając oczy przed słońcem i obserwując Leo, który teraz szedł po plaży na rękach.
  - - Powiedział, że odchodzi.

- - Mówiłem ci ostatnio, że uwielbiam całować twój brzuch?
  - Jej serce uderzało miarowo, ale silnie, w oczekiwaniu. Czowała jego ciepły oddech na swojej skórze. Wiedziała, że za chwilę jej mięśnie zaczną się napinać, a pożądanie napłylnie falami coraz większymi i silniejszymi, sprawiając, że jej ciało zacznie się prężyć.
1. Nie mówiłeś - odparła - ale nietrudno mi to zgadnąć, bo ostatnio mnóstwo czasu mu poświęcasz.
  2. Innym miejscem też nie skąpię czasu - powiedział z uśmiechem Tysen, a potem skrzywił się, kiedy usłyszał nagłe, natarczywe pukanie do drzwi.
  3. Och, ojej - jęknęła rozczarowana Mary Rosę.
- To był Leo. Musiał im koniecznie o czymś opowiedzieć. Razem z Maksem zawarli nową znajomość, która okazała się bardzo niekorzystna. Nowym kolegą był hazardzista i obaj chłopcy, zakładając się z nim, stracili buty. Tysen nawet nie zapytał, o co się założyli. Ich pobyt przedłużył się o kolejne pięć dni, póki w końcu deszcz nie lunął ciężkimi strugami na Brighton. Ciemne chmury i wiatr zmyły wodę, a temperatura gwałtownie spadła. Kiedy wrócili, okazało się, że Samuel Pritchert już przygotował wszystkich wiernych na taką ewentualność, że przez następny miesiąc kazania będą pisane i wygłaszane właśnie przez niego. Tak więc Tysen poklepał go po plecach i powiedział, że doskonale się złożyło, ponieważ dzięki temu on będzie mógł zabrać rodzinę w odwiedziny do kuzynostwa.
1. Jak długo tym razem planuje pan być poza domem, wielebny? - zapytał beznamiętnym głosem Samuel Pritchert.
  2. To się jeszcze okaże, Samuelu. Wiem, że mogę ci zaufać. Ty na pewno będziesz dbał o duchową czystość moich owieczek - odparł, zaśmiał się i potarł dłonie. Samuel Pritchert spojrzał na Mary Rosę i dzieciaki. Wszyscy po wizycie w Brighton tryskali radością. Zastanawiał się, co z tego wszystkiego wyniknie. Kiedyś ten dom był przecież tak bardzo poważny i uduchowiony.
- W Northcliffe spędzili dwa tygodnie. Pewnego późnego popołudnia Mary Rosę przechadzała się w towarzystwie hrabiny po wielkich ogrodach Northcliffe.
  - - To nasza prywatna część ogrodu - powiedziała Alex Sherbrooke, machnąwszy ręką, i westchnęła. - Spodziewam się jednak, że nie na długo. Zdaje mi się, że chłopcy już odkryli to miejsce. Zawsze wywęszą wszystko, co choć odrobinę mogłoby się wydawać nieprzyzwoite.
  - Tak więc Mary Rosę mogła teraz obejrzeć niezmiernie szereg greckich posągów, a na każdym z nich parę w miłosnym uniesieniu. Każda z par wyrzeźbiona była w innej pozycji, niektóre wydały się Mary Rosę mile zaskakujące.
1. Mój Boże - powiedziała po raz kolejny i tym razem zatrzymała się przy wielkim posągu przedstawiającym mężczyznę z głową schowaną między nogami kobiety, która wyglądała na bardzo szczęśliwą.
  2. To ulubiona rzeźba Sophie - powiedziała Alex. - Wiesz, Tysen chyba nie spędził w tym ogrodzie ani chwili. Wiem nawet, że skrytykował te rzeźby. Powiedział, że są okropne i sprośne. Sądzisz, że może teraz zmienić zdanie na ich temat?

- Mary Rosę wciąż wpatrywała się w rzeźbę dokładnie odzwierciedlającą to, co robili z Tysenem poprzedniej nocy.

1. Mam zamiar go tu przyprowadzić, kiedy tylko wróci ze spaceru z jego lordowską mością - powiedziała lekko zachrypłym głosem.
2. On ma na imię Douglas. Obrazi się, jeśli będziesz się do niego zwracała tak oficjalnie.
3. Wygląda na osobę, którą powinno się traktować oficjalnie i z wielkim szacunkiem.
4. Może, czasem... - zamyśliła się Alex.

- - Twoi synowie to najpiękniejsi chłopcy, jakich w życiu widziałam. Tysen powiedział mi, że są identyczni, ale mnie nie wydają się aż tak bardzo podobni.
- Alex Sherbrooke westchnęła.
- - Większość ludzi ich nie odróżnia, a oni chętnie wykorzystują ten fakt do różnych psot. Co zaś do ich urody, masz rację, to niestety prawda. Biednego Douglasa doprowadza to do szału. Chłopcy są bardzo podobni do swojej ciotki, Melissandy, a to najpiękniejsza kobieta w całej Anglii. Douglas martwi się, że wiele kobiet będzie miało złamane serca, kiedy dorosną. Syn Melissandy jest jednak bardzo podobny do Douglasa. Może kiedyś poznasz moją siostrę i jej męża - powiedziała, a potem wskazała ścieżkę, wzdłuż której stał rząd greckich rzeźb. - Tam jest jeszcze wiele interesujących rzeźb, Mary Rosę. Powinnaś je zobaczyć.
- Młoda żona nie ociągała się wcale. Tego samego wieczoru, tuż przed zmierzchem, Mary Rosę zaprowadziła Tysena do posągów, które się jej najbardziej podobały w prywatnym ogrodzie hrabiny. Nie wracali aż do ósmej, kiedy zaczął padać drobny deszczyk. Douglas tylko kiwał głową, zdziwiony, rozradowany i naprawdę bardzo, bardzo zadowolony. Potem rodzina Sherbrooke'ów pojechała do Cotswolds, gdzie spędzili trzy tygodnie. Zabrali ze sobą Jamesa i Jasona, którzy błagali na kolanach, by ojciec i matka pozwolili im odwiedzić wuja Rydera i jego dzieci. Szczerze czy nie, wybłagali sobie to pozwolenie i ruszyli w drogę z rodziną wuja Tysena. Dzieci przeniesiono na czas wizyty do Brandon House, gdzie zajęła się nimi nauczycielka. Nie chodziło o to, by Tysen i Mary Rosę mieli trochę spokoju, ale o to, że dwadzieścioro dzieci w jednym domu to bezustanne walki, wrzaski, śmiech i łzy. No i oczywiście ktoś musiał przygotowywać niezliczoną ilość jedzenia dla nich wszystkich. Był już listopad i powinno być chłodno, ponuro i wilgotno, ale tak nie było. Zapowiadało się jeszcze kilka ciepłych, pięknych dni przed nastaniem jesiennych chłódów. Był właśnie jeden z tych słonecznych, ciepłych dni i Tysen leżał z głową na kolanach Mary Rosę w sadzie, tuż pod jabłonią. Słońce przesiało przez liście, ciepły lekki wiaterek przynosił zapach dzikiej róży. W oddali słychać było głosy dzieci, ale tu byli zupełnie sami. Tysen pochylił się i ucałował brzuch Mary Rosę. - Trochę za dużo między nami materiału - powiedział z podstępym uśmiechem. Zamknął oczy, kiedy poczuł na skórze głowy jej palce. Bawiła się jego włosami. Westchnął. - A może mógłbym powiesić na gałęzi drzewa twoje odzienie? - Jeszcze nie - pochyliła się, by go pocałować. Milczała przez chwilę. Oczy miała zamknięte. - Jesteśmy tu trochę jakby poza czasem - powiedziała. - Zupełnie jakbyśmy byli w innym miejscu, w innym czasie, oddaleni od świata, rzeczywistości i obowiązków. Minęły już trzy miesiące. Nie brakuje ci pracy i twoich wiernych? Tysen zastanawiał się nad tym. Pomyślał o ludziach, którzy dobrze życzyli jemu i jego młodej żonie. Myślał też o dzieciach, całej trójce, o ich uśmiechach, radości, o ich ciągłych

bójkach, kończących się zawsze zwycięstwem Meggie. Pomyślał o tym, jak sam śmiał się do rozpuku, obserwując dzieciaki, jak wspaniale czuł się u boku Mary Rose. Przypomnił sobie spacer po ogrodzie w towarzystwie żony, i poranki, kiedy Ellis i Monroe leżeli na kołdrze i mruczeli głośno. Przypomnił sobie, jak Mary Rose rozmawiała z dziećmi, jak one się do niej uśmiechały. Sama świadomość, że jest przy nim sprawiała, iż czuł się dobrze. Należała do niego i tylko do niego, tak jak on należał do niej. Nawet dom wydawał mu się teraz weselszy, pełen słońca i to nie tylko dlatego, że salon pomalowano na żółto, a okropne, ciemne zasłony zniknęły. Nie. Teraz zdawało mu się po prostu, że dom odmłodził po latach smutku i odrodził się na nowo. Teraz jego dom był szczęśliwym miejscem. Jedyna ponura twarz, jaka w nim gościła, należała do Samuela Pritcherta. Nawet pani Priddie się uśmiechała. Tysen słyszał, jak któregoś dnia śpiewała sobie w kuchni, przyrządzając pieczeń. - Czyżbym się zmienił, Mary Rose? - zapytał, marszcząc brwi.

- - Ja nie mogę tego wiedzieć. Dla mnie zawsze jesteś taki sam, zawsze mówisz to, co należy, wszystkim się potrafisz zająć. I śmiejesz się, Tysenie... zawsze lubiłam twój śmiech. Żartujesz sobie ze mnie, z chłopców i z Meggie. Taki po prostu jesteś. Nie zawsze taki byłeś?
- Nie chciał się nad tym zastanawiać. Wolał, żeby nie wiedziała, że kiedykolwiek był inny. Co by na to powiedziała, że był kiedyś bardziej surowy, pozbawiony humoru, nawet można powiedzieć ponury, pompatyczny, zbyt oschły w obejściu.

1. Jak ci się podoba twoja nowa rodzina? - zapytał, chwytając jej dłonie i przyciskając je do serca.
2. No cóż, Douglas jest hrabią. Kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, wydawał mi się straszny, no wiesz, sztywny, arystokratyczny, bardzo władczy w swoim zamku.
3. Arystokratą jest z urodzenia.
4. Wydawał mi się nieprzystępny, póki Alex nie połaskotała go pod pachą. Zaczął się śmiać, pochwyił ją, wciągnął za kozetkę i widać było tylko fruujące dookoła halki jej sukni. Śmieje się zupełnie jak ty. Jeśli chodzi o Alex, ona jest niezwykła, naprawdę. Max powiedział nawet, że zaczęły mu się podobać rude włosy, że ciotka i macocha zdołały razem pokonać jego opory. - Zaśmiała się. - Zaczynają się do mnie przyzwyczajać. To wspaniałe dzieci.
5. A co myślisz o Ryderze i Sophie?

1. Sądzę, że Ryder mógłby uwieść każdą kobietę między osiemnastym a osiemdziesiątym rokiem życia.
2. Nawet ciebie?
  - Och, nie. Ja mam ciebie, a ty jesteś do niego trochę podobny. Obaj jesteście niezwykle mili i weseli. Kiedy ktoś znajdzie się w waszym towarzystwie, natychmiast ożywa. Kiedy wchodzisz do pokoju, wszyscy odwracają głowy w twoją stronę i obdarzają cię uśmiechem. Tak samo jest z Ryderem. Przypominał Rydera? To wesoły, beztroski człowiek.
  - - Ale jest w was też coś z Sinjun, a może coś z was w niej. Sophie zawsze stawia na swoim, nawet z Ryderem, chociaż przyznam, że nie wiem, jak ona to robi. Jest taka cicha, a sprawia, że wszyscy robią, co każe, bez narzekania i ociągania się. Wydaje mi się, że Ryder czołgałby się na brzuchu, gdyby tego zażądała. I oboje mają tyle cierpliwości do dzieci.
  - - Oliver to jedno z pierwszych przygarniętych przez Rydera dzieci - powiedział Tysen. -



Malec znał tylko swoje imię, głód i niekończące się okrucieństwo. Kiedy Ryder znalazł go na ulicy w Londynie, ciągnął za sobą połamaną nogę, próbując opróżnić czyjeś kieszenie, by kupić sobie coś do jedzenia.

- - Ale za to jaki teraz jest Oliver! To mądry i pewny siebie mężczyzna. Ryder doskonale go wychował. A ty - wskazała palcem Tysena - sługa Boży, który zajmuje się sprawami wszystkich ludzi w Glenclose - on - Rowan, modli się za nich, pomaga w chwilach bolesnych i smutnych i dzieli ich szczęście, ty jesteś wspaniały, Tysenie. Mówiłam ci już, że jestem najszczęśliwszą kobietą w południowej Anglii?
- ~ Nie, nie mówiłaś mi o tym.
- - Bo nie będę tego pewna, póki nie dostanę kota wyścigowego.
- - Będę musiał napisać do Rohana Carringtona i dowiedzieć się, co na to powiedzą bracia Harker.
- - Nie zmartwię się za bardzo, jeśli odrzucą moją kandydaturę. Może Leo ma rację i Ellis naprawdę jest świetnym materiałem na kota wyścigowego. Widziałam, jak uciekał przed panią Priddie. Jak strzała przeleciał przez kuchnię, ślizgając się po mokrej podłodze, wykonał kozła w powietrzu i tyle go widzieliśmy - opowiadała Mary Rosę, a potem zmieniła temat. - Wiesz, Tysenie, widziałam, jak dziś obskoczył cię jakiś tuzin dzieciaków.
- - To tylko dlatego, że wpadłem na pomysł, żeby zatrzymać się w Lower Slaughter i kupić im wszystkim prezenty. Kiedy mają nadzieję wydebić ode mnie coś więcej, oblegają mnie całą bandą.
- - A jeśli ja zacznę cię oblegać, co od ciebie dostanę?

1. Och - mruknął Tysen, unosząc brew i spoglądając na żonę. - Pomyślałem właśnie, że bardzo chciałbym się znaleźć teraz w greckim ogrodzie w Northcliffe.
2. Mam doskonałą wyobraźnię - odparła Mary Rosę.
3. A ja świetną pamięć.

## ROZDZIAŁ 26

- **Dom Eden HM Glenclose - on - Rowan** Samuel Pritchert, zastępca Tysena, który pracował z nim już trzy lata, był człowiekiem niezwykle surowym. Wyraz twarzy miał bardzo ponury i w miasteczku mówiło się, że jego matka zapłakała, gdy go zobaczyła zaraz po urodzeniu. - Wielebny, z przykrością muszę pana poinformować, że niektóre damy z miasteczka, a właściwie spora ich grupa, czują, że oddalił się pan bardzo od swoich wiernych. Nie są zadowolone z pańskiej pracy jako pastora i skarżą się, że ich duchowe potrzeby nie są wystarczająco zaspokajane - mówił pan Pritchert. - Uroczą pani Tatę powiedziała nawet, że pastor wydaje się mało zainteresowany sprawami wiernych po swojej długiej, trwającej wiele miesięcy, nieobecności. Stwierdziła, że pan już nie troszczy się o swoją trzódkę. Tysen patrzył na Samuela z podziwem. Zawsze niezmiernie go dziwiło, jak to się dzieje, że ludzie z taką łatwością opowiadają mu o wszystkim, co ich trapi, choć ten człowiek miał minę cierpiętnika. Mimo to wszyscy rozmawiali z nim zupełnie szczerze, czasem nawet zbyt szczerze. Tysen ze swojej strony ufał Samuelowi. Wiedział, że potrafi kontrolować emocje wiernych i na każde skinienie pastora przystąpi do działania. Ale teraz Tysen nie miał ochoty wysłuchiwać narzekań. Gdyby chciał być szczery, powiedziałby pewnie, że boi się, co jeszcze usłyszy. Ale nie miał wyjścia, musiał się wszystkiego dowiedzieć. Tak więc Tysen włożył pióro do kałamarza, oparł się wygodnie na krześle i podłożył dłonie pod głowę. - Jestem w domu dopiero od ośmiu dni, Samuelu. To prawda, że od trzech miesięcy nie wygłosiłem żadnego kazania, ale z pewnością ty spisywałeś się doskonale. Wzruszyło mnie zwłaszcza ostatnie niedzielne kazanie. Pięknie powiedziałeś. Wydaje mi się, że ludzie lubią od czasu do czasu zobaczyć inną twarz na kazalnicy. Jutro znów pojawię się na nabożeństwie. Razem z Mary Rosę odwiedziliśmy wszystkich wiernych przed wyjazdem do Brighton i odwiedzinami u moich braci. Jestem już w domu od ponad tygodnia i wszystko chyba wróciło do normy. Spotkałem się z mieszkańcami miasteczka, rozmawiałem ze wszystkimi, wysłuchiwałem ich zwierzeń, modliłem się z nimi. Razem z Mary Rosę odwiedziliśmy wiernych po raz drugi, piliśmy z nimi herbatę i muszę przyznać, że wszyscy zachowywali się bardzo uprzejmie. Powiedz mi więc, Samuelu, jak to możliwe, że doszli do wniosku, który mnie wydaje się zupełnie absurdalny, że już o nich nie dbam?

1. Tak czy siak - zauważył Samuel, pomijając pytanie jako mało ważne - zawsze informuję pana o wszystkich problemach wiernych, a im przekazuję pańskie słowa.
  2. Dobrze więc, powiedz mi, czego nie zauważyłem w ich zachowaniu.
- Samuel odchrząknął. Najwyraźniej próbował dobrać słowa, które mogłyby w jak najbardziej taktowny sposób przekazać to, co chciał powiedzieć.
1. Moim obowiązkiem jest - zaczął - przypomnieć panu, że nie jest pan już w Szkocji, kraju,

gdzie pewnie ludzie są równie porządni jak my, gdzie jest pewnie tyle samo grzeszników, co w Anglii. Szkoci są jednak zupełnie inni niż Anglicy. Może to Szkocja pana odmieniła, tam spotkał się pan z problemami, które sprawiły, że zaczął pan myśleć inaczej niż dotychczas. Teraz krzyczy pan, zamiast mówić spokojnie, jak kiedyś. Może w wyniku tej podróży zaczął pan zastanawiać się nad duchowymi i religijnymi sprawami, może zaczął pan wątpić w to, w co wierzył dotychczas z takim oddaniem. Może poświęcił się pan innym myślom.

2. Jeśli mam być szczery, nie jestem pewien, czy rozumiem, co chciałeś mi powiedzieć.

- - Zrozumiałby pan przed wyjazdem do Szkocji i w tym samym tonie odpowiedziałby pan na to, co usłyszał. Ale to było przed wyjazdem. Och, to takie trudne, wielebny. Postaram się wyrażać jaśniej, jeśli to możliwe. Szkoci po prostu są inni niż my. Ich wiara nie jest tak głęboka, skomplikowana i doskonała jak nasza. Oni nie rozumieją tego, jak my widzimy świat i ludzi. Nie doceniają naszej religii.

1. Jacy więc my jesteśmy, Samuelu?

2. Jesteśmy przede wszystkim Anglikami, wielebny.

3. Ach, rozumiem. Chodzi o to, że moja żona nie jest Angielką.

4. Tak. Z tego co się dowiedziałem, nasi wierni są skłonni tolerować ją, jeśli pan wróci do swojej poprzedniej postaci, jeśli będzie się pan zachowywał tak jak dawniej. Oni chcą, żeby pan znów był taki, jak przed wyjazdem do Szkocji. Wszyscy chcą, żeby prawdziwy wielebny Sherbrooke wrócił do nich jak najszybciej. Bardzo by chcieli, żeby pan spróbował znów być sobą. Nie chcą nikogo innego, tylko dawnego pastora, zadumanego, poważnego, oddanego ludziom, który tak doskonale im przewodził przed nieszczęsną podróżą do Szkocji.

- - Mam być taki, jaki byłem przed wyjazdem do Szkocji - powtórzył Tysen. - Jak sądzisz, co to ma właściwie znaczyć, Samuelu?

- - Długo rozmawiałem z mężczyznami i kobietami z naszej kongregacji. Sami mnie o to poprosili. Wielu z nich potrzebowało tej rozmowy. Chcieli mi wszystko opowiedzieć. Pan Gaither, obecny właściciel gospody „Pod martwym Hiszpanem”, kupił ją jakieś dwa tygodnie temu od swojego starszego brata, Toma. Skarżył się, że nawet pan o tym nie wie, nie powiedział pan na ten temat ani słowa, a on chciałby od pana usłyszeć gratulacje i słowa zachęty. Pan Gaither mówił w imieniu wszystkich mężczyzn. Powiedział, że rozmawiali już o tym między sobą. Muszę to powiedzieć, choć czuję się zażenowany i robię to naprawdę niechętnie - oni nawet podśmiewali się i dowcipkowali na pański temat. Żartują sobie, że ta młoda kobieta owinęła sobie pana, sługę Bożego, wokół małego palca, że zachowuje się pan jak młody żonkoś i że... sprawy cielesne są dla pana ważniejsze niż duchowe, o wiernych już nawet nie mówiąc. Pan Ellias powiedział nawet, że widział, naprawdę widział, jak pan całuje żonę. Powiedział, że jak to zobaczył, o mało się nie przewrócił.

- Tysen miał ochotę zdzielić Samuela tak, by odpadła mu głowa. Z trudem się opanował. - To mnie naprawdę martwi, proszę pana. Teraz oni widzą w panu takiego samego człowieka, jakim jest każdy z nich. Nie jest już pan ponad nimi, nie jest już pan tym idealnym pastorem, który nie zważa na zwykłe pragnienia, na potrzeby, które skłaniają zwykłego człowieka do grzechu i sprawiają, że stacza się coraz niżej i niżej. Teraz widzą w panu człowieka równie słabego, jak oni sami, równie mocno targanego potrzebami natury jak oni i ich sąsiedzi, jak ich przyjaciele i

wrogowie. Martwią się o pana. Ich wiara podupada. W ich oczach nie jest już pan duchowym przywódcą. Łaska Boska nie jest już z panem. Cieleśne sprawy. Tysen zmarł. Pomyślał o tym, jakie było jego życie przez ostatnie trzy miesiące, te wszystkie cudowne noce i poranki, każdy wypełniony niekończącą się radością, czułością. Odkrywał teraz nowe rodzaje przyjemności. Dyszał z pożądania i jęczał z rozkoszy. Radował się cudownym uczuciem, które sprawiało, że w jego głowie nie starczało już miejsca na inne rzeczy, sprawy, którymi zajmował się wcześniej. Samuel miał rację. Tysen był już innym człowiekiem. Po powrocie ze Szkocji zmienił się nie do poznania. Przez ostatnie trzy miesiące uśmiechał się do siebie bez powodu. Śmiał się tak samo jak wtedy, gdy był bardzo młody, nim postanowił zostać sługą Bożym, nim pojednał się ze Stwórcą, nim poznał Melinę Beatrice. Przypomniawszy sobie, jaki był kiedyś, i porównawszy tego człowieka z tym, kim stał się potem. Niedługo po podjęciu decyzji o zostaniu pastorem stał się poważnym, zadumanym, surowym człowiekiem, pozbawionym poczucia humoru. Nie wiedział, jak cieszyć się życiem. Miał wtedy tylko jeden cel, tylko sprawy duchowe zaprzętały jego myśli. Dbał jedynie o innych ludzi, za których dusze czuł się odpowiedzialny. Ci ludzie podziwiali go, słuchali każdego jego słowa, liczyli na jego pomoc w rozstrzygnięciu sporów i dylematów. To jego potrzebowali w chwilach troski i bólu. Oni oczekiwali od niego pewnego sposobu bycia, statecznego życia. Wiedział, czego pragną, i starał się ich nie zawieść. Tak było do chwili, gdy poznał Mary Rosę. Zawsze kochał swoje dzieci, ale nigdy nie obdarzał ich całkowitą uwagą, nigdy nie dzielił z nimi radości, nie pozwalał się do siebie za bardzo zbliżyć. Nie myślał o nich kiedyś tyle, co teraz. Ani o sobie. Mary Rosę. Kochał się z nią co rano, całował na dzień dobry, obejmował jej ciało. Czuł rozkosz, wszechogarniającą potrzebę, by za każdym razem, kiedy byli ze sobą sam na sam, sprawiało im to coraz większą przyjemność. Budził się z uśmiechem na twarzy, podniecony i gotów do porannych igraszek. Wstał i podszedł do okna. Na dworze było szaro i zimno, paskudny, drobny deszczyk uderzał o szyby. Złota jesień zmieniła się w zimę w ciągu kilku dni. Czuł chłód, przenikliwy, nieprzyjemny chłód. Nie powiedział nic, tylko podszedł do kominka i rozpałił w nim. Wziął głęboki oddech i odwrócił się do swego zastępcy, który nawet o krok nie ruszył się ze swojego miejsca. I który odezwał się wreszcie:

- - Będę z panem szczerzy. Ludzie nie chcą tu Szkotki. Chcą pana.
- - Idź już, Samuelu.
- - Jest coś jeszcze.

1. Słucham.
2. Denerwuje ich pański śmiech.
3. Co takiego?
4. Pański śmiech, nieoczekiwane wybuchy wesołości, dowcipkowanie. Przez to wszystko mają wrazenie, że ich duchowy przywódca stał się kimś zupełnie im obcym. To ten brak powagi tak bardzo ich martwi, nieodpowiednie zachowanie, dziwaczne reakcje. Zajmowanie się sprawami nieważnymi i zaniedbywanie obowiązków. Zmienił się pan nie do poznania. Stracił pan wiele w ich oczach. Ich wiara bardzo na tym ucierpiała. Mówili mi o tym. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan szczerść.
5. Dziękuję ci za nią, Samuelu, ale teraz już idź.

- Tysen nie ruszył się, póki Samuel nie wyszedł z gabinetu. Dopiero wtedy odwrócił się w

stronę kominka, by ogrzać dłonie. Pomasaował zeszytywniały kark i spojrzął na zegar. Była jedenasta, a on znów myślał o Mary Rose. Trzy i pół godziny temu był z nią w łóżku, a teraz znów jej pragnął. Do chwili spotkania z Mary Rose jego myśli zaprzętał tylko Bóg i misja, jaką wyznaczył mu na ziemi. Nie, nie zawładnęła jego duszą, choć to nie było niemożliwe. Tak nisko jeszcze nie upadł. Ale zmieniła go. Oddała mu się, obdarzyła go zaufaniem i miłością. Wiedział, że ona go kocha, choć jeszcze mu o tym nie powiedziała. Była otwarta, bezkompromisowa. Miłość mógł wyczytać w jej oczach. A co on do niej czuł, do swojej żony, do kobiety, która tak bardzo go zmieniła? Nie chciał o tym myśleć, nie potrafił. Miał wrażenie, że myśli tylko o jednym, że utonął w oceanie rozkoszy i ważne stały się dla niego tylko jego własne potrzeby. Kiedy to zrozumiał, poczuł nagle odrazę do samego siebie. Nawet gdy miał dwadzieścia lat i dopiero co poślubił Melinę Beatrice, nie pożądał jej tak bardzo, nie potrzebował z nią być tak często. Czyżby teraz czuł tylko pożądanie? Nie, to coś więcej. Melinda Beatrice próbowała być dobrą żoną. Ulegała mu, bo go kochała. Mówiła mu to setki razy. Pragnęła być mu nie tylko żoną, ale też pomocą w sprawach duchowych. Po pewnym czasie zaczął odwiedzać jej łóżko tylko po to, by począć dzieci. Sądził, że tak właśnie powinno wyglądać jego małżeństwo. Małżeństwo pastora. I że niczego więcej od życia oczekiwać nie może. Był szanowany, podziwiany, potrzebny ludziom. Z całych sił próbował wypełnić rolę duchowego doradcy wszystkich w miasteczku. Ale teraz pojawiła się w jego życiu Mary Rose. Należała do niego. Wystarczyło, że była przy nim, że jej dotykał, że czuł rozkosz, gdy muskał ją palcami, ustami. Nigdy wcześniej nawet o tym nie pomyślał, ale teraz wydawało się to bardzo ważne, by dzielić z nią rozkosz, wiedzieć, że potrafi dać rozkosz swojej ukochanej. A kiedy w nią wchodził, gdy wykrzykiwała jego imię wiele razy, drżąc na całym ciele, czuł się cudownie. Był kimś więcej niż dotychczas. To ona sprawiła, że stał się mężczyzną kochanym i pożądanym. I doskonale radziła sobie z jego upartymi chłopakami. Wczoraj na przykład wytłumaczyła Maksowi, dlaczego musi zjeść brukselkę. Max tak się śmiał, że po pewnym czasie zaczął się trzymać za brzuch, a następnego ranka podczas śniadania mamrotał pod nosem: - *Aut id devorabis amabisque, aut crasprandebis*. Oczywiście Meggie natychmiast zapytała Mary Rose, co to znaczy, a ta odpowiedziała: - „Zjesz to i będzie ci smakowała albo dostaniesz to jutro na śniadanie”. Rozbawiło go to. Chyba naprawdę nie był już dość poważnym człowiekiem jak na pastora. Za często się śmiał? Był zbyt wesoły? To sprawiało, że wierni mieli o nim gorsze zdanie? Dobry Boże, co miał robić? Wiedział, że Samuel miał rację. Wiedział, że jego wierni mają rację. Wszyscy zauważyli w nim wielką zmianę, wszyscy prócz niego samego. Tak, zmienił się. To nie była zmiana na lepsze, nie zasługiwał na szacunek. Stał się człowiekiem opętanym wszystkim, co w życiu jest mało ważne, wszystkim z wyjątkiem zbawienia duszy. To naprawdę była zmiana na gorsze. Podszedł do biurka i sięgnął po tekst niedzielnego kazania. Poczuł nagle bolesne ukłucie. Zaskoczyło go to, co tam sformułował - z taką swobodą, radością. Zamknął na chwilę oczy, a potem podarł kartkę. Nie został w domu na obiedzie. Poszedł do gospody „Pod martwym Hiszpanem”, by Petunia, kucharka pana Gaithera, podała mu kubek herbaty z przyprawami, trochę zimnego kurczaka i ciepły chleb. Był mokry od siąpiącego bez przerwy deszczu i przemarznięty do kości. Jadł, czekając, aż pojawi się pan Gaither. Przez głowę przetaczały mu się setki myśli.

- - Och, wielbny Sherbrooke, cieszę się, że jest pan znów w domu. Długo pana nie było. Wielu dobrych ludzi zaczęło się ociążać z chodzeniem do kościoła. Przestali słuchać kazań pana

Pritcherta. To dobry człowiek, ale trochę zbyt nadęty, biedaczysko. Tylko że on jest na każde skinienie, kiedy tylko ktoś potrzebuje jego rady, pomocy, otarcia nosa. Można do niego pójść z każdą bzdurą. Ale jutro w końcu będzie pan na kazalnicy. Wszyscy przyjdą do kościoła.

- Pan Gaither był szerszy niż jego fartuch, a serce miał równie wielkie jak brzuch. Tysen go szanował i lubił.

1. Był pan kiedyś w Szkocji, panie Gaither?
2. Nie. Urodziłem się i wychowałem tutaj. Spędziłem tu całe swoje życie. Uważam, że człowiek powinien wiedzieć, gdzie są jego korzenie.

- To nie było zbyt subtelne, pomyślał Tysen i ugryzł kawałek chleba.

1. Widziałem wczoraj po południu pańską żonę w sklepie z materiałami. Była z Meggie. Śmiały się zupełnie bez powodu. Nie tylko ja je słyszałem. Było tam sporo ludzi. To prawdziwa piękność.
2. Tak, Meggie jest bardzo podobna do swojej ciotki Sinjun - rzekł Tysen.
3. Nie, chodziło mi o pańską żonę. Wszyscy mężczyźni tak uważają.

- Tysen zgniótł kawałek chleba w kulkę. Serce waliło mu jak młotem. Teraz pan Gaither próbował sprowadzić jego żonę do roli klaczy na targu. Przypomniawszy mu się pan Sandeford w Brighton. Mary Rosę wcale nie miała ochoty z nim flirtować. Poczł, jak bardzo ma ściśnięte gardło i o mało nie udławił się chlebem. Jakimś cudem udało mu się uspokoić i wskazał panu Gaitherowi miejsce obok siebie. - Moja żona i córka bardzo się lubią. Oczywiście, że razem dobrze się bawią. Co miał pan na myśli, mówiąc, że moja żona to piękność? Poznał pan ją wcześniej, więc nie powinien być pan zaskoczony jej wyglądem. Był pan przecież u nas na herbacie ze swoją drogą małżonką.

1. Oczywiście, pastorze, Pani Sherbrooke była niezwykle uprzejma dla wszystkich. Tylko, że... och, ojej, nie chciałem obrazić pana ani pana żony.
2. Może więc powinien pan wyjaśnić swoje słowa, panie Gaither, jakoś bardziej przystępnie. Proszę.
3. Na litość boską... co za wstyd, co za kłopot... żeby o tym mówić. Nie ma innego wyjścia. Pańska żona flirtowała z Tedem Tatę. I to bezwstydnie.
4. Och - jęknął Tysen zupełnie ogłupiały. Przypomniawszy sobie pana Sandeforda.

1. Biedna Bethie Tatę. Droga Bethie płakała, wręcz szlochała, kiedy rozmawiała o tym z panną Strapthorpe.
2. Rozumiem, więc to panna Strapthorpe wspomniała panu o tym?
3. Och, panna Glenda wspomniała o tym wszystkim, wielebny.
4. Czy oprócz flirtowania z Tedem Tatę moja żona popełniła jakiś inny, śmiertelny grzech?
5. Och, proszę pana, nie. Pan się zdenerwował, a ja tego naprawdę nie chciałem. Wiem, wiem, że panna Strapthorpe chciała pana dla siebie i pewnie dlatego sądzi pan, że to kłamstwo, które ma na celu zdyskredytowanie pana żony w pańskich oczach, że to tylko złośliwość odrzuconej kobiety.

6. Tym właśnie jest to kłamstwo, panie Gaither. Panna Strapthorpe to uparta młoda dama. Obawiam się, że uraziłem ją, nie dając jej tego, czego oczekiwała, to znaczy mnie samego i mego domu, który zresztą chciała rozbudować aż na cmentarz.

1. Coś takiego? Cóż to za myśl! Niech pan sobie tylko wyobrazi, że pije pan sobie herbatę w salonie, siedząc dokładnie na grobie pani Beardsley, która leży tam już od czterdziestu lat.
2. Zdaje mi się, że panna Strapthorpe miała zamiar usunąć trumny.
3. Ojej - zdziwił się pan Gaither i potrząsnął głową. - Tak, założę się, że powiedział jej pan szczerze, iż nie zamierzał się z nią żenić, choć na pewno nie był pan nieuprzejmy.
4. Raczej nie.

- Pan Gaither podrapał się po ogolonej brodzie.

1. To prawda, że jest bardzo rozczarowana. Tak przynajmniej mówiły pani Bittley i pani Padworthy. Słyszałem, jak rozmawiały przed tawerną, podczas gdy ich mężowie pili sobie piwko. To pijaki. Tak, całkiem możliwe, że panna Strapthorpe trochę wszystko wyolbrzymiła.
2. Bardziej niż trochę. Ale to tylko pretekst, panie Gaither. Proszę mi powiedzieć, o co naprawdę chodzi?
3. Spróbuję. No, wie pan, każdy już zauważył, że zupełnie stracił pan głowę na punkcie nowej żony, że popadł pan w otchłań ludzkich słabości, słabości, które przystoją tylko zwykłym ludziom. O to właśnie chodzi.
4. Rozumiem - odparł Tysen.

- Dość się już tego nasłuchiwałem całkiem niedawno, pomyślał i wstał z krzesła. Teraz doskonale wszystko rozumiał.
- - Przykro mi, że wszyscy uważają, iż tak bardzo się zmieniłem tylko dlatego, że znalazłem sobie żonę.
- Pan Gaither spojrział na niego ze smutkiem.
- - Małżeństwo to dla pastora bardzo niefortunne wydarzenie, wielebny. To prawdziwa katastrofa.
- Tysen znów poczuł, jak serce mu wali, a każde uderzenie sprawia ból.

1. Czy jest coś złego w śmiechu?

1. Jeśli niczemu nie służy, wielebny, to jest złem - powiedział pan Gaither ze współczuciem. - Łatwo popaść w błahą wesołość, a w pańskim wypadku tak chyba właśnie się stało.
- Tysen wyszedł z gospody i skręcił w ulicę High. Spoglądał na swoich wiernych. Patrzył na ich twarze. Niewielu spoglądało mu prosto w oczy. Miał pewnie taką minę, jakby właśnie odprawiał mszę żałobną. Nie zwracał uwagi na deszcz, który coraz mocniej zacinał; poszedł na stary, zaniedbany cmentarz za kościołem. Glenda Strapthorpe chciała zlikwidować groby i zbudować tutaj nowe skrzydło domu pastora. Nie dawało mu to spokoju.
  - Kiwał głową z niedowierzaniem, idąc w stronę swojej ulubionej mogiły. Mężczyzna, którego tu pochowano, był dzielnym żołnierzem, ale kiedy Tysen przychodził na jego grób, czuł

spokój. Położył dłoń na starym pomniku nagrobnym, dotknął wiekowego kamienia, który z roku na rok coraz bardziej się zmieniał. Ledwie można było odczytać wytarte litery:

- *Sir Vincent D'Egle, urodzony w 1231, zmarł w 1283.* Na mogile leżały świeże kwiaty. Przykrywały odrobinę napis. Meggie je tu przyniosła. Ze względu na ojca. Kwiaty były już mokre od deszczu. Czuł się równie żałośnie, jak one wyglądały. Odsunął się od grobu i usiadł na kamiennej ławce. Spojrzał na kościół, przepiękną wieżę wystającą ponad wszystkie budynki w Glenclose - on - - Rowan. Ściany z szarego, solidnego kamienia nie ulegały wpływowi czasu. Często tu siadywał i słuchał dzwonów kościelnych, uruchamianych przez pana Petersa. Czuł, jak te cudowne dźwięki wkradają się w jego duszę. Teraz zamknął oczy i długo się modlił.



## ROZDZIAŁ 27

- Dom pastora był pełen ludzi aż po sam dach. Douglas, Ryder i ich rodziny, wszyscy zjechali bez zapowiedzi, zupełnie niespodziewanie późnym popołudniem w sobotę, wylądowanymi po brzegi trzema powozami, które ledwie mieściły się w niewielkiej powozowni. Dom drżał w posadach, kiedy dzieci biegały po nim, krzyczały i śmiały się, a dorośli rozmawiali. Gospościa z powodu nadmiaru obowiązków i bałaganu o mało nie wpadła w histerię. Mary Rosę włożyła nową suknię, którą podarowała jej Sinjun - ciemnozieloną, wełnianą z koronką pod szyją i długimi, wąskimi rękawami. Pod biustem lśniła ciemnozielona, satynowa wstążka. Tysen pomyślał, że jego żona pięknie wygląda w tym stroju. Wiedział, że była bardzo przejęta wizytą rodziny. Śmiała się, nalewała herbatę, częstowała gości ciastem i szkockimi specjałami. Z uwagą przysłuchiwała się temu, co mówi do niej dziecko, które właśnie bardzo potrzebowało jej rady w jakiejś ważnej kwestii, i uśmiechała się wesoło. Tysen za to marzył tylko o tym, żeby zamknąć się w gabinecie i zostać tam, póki się nie ściemni. Od pewnego czasu bowiem pogrążony był w cierpieniu związanym z niepewnością i zwątpieniem, które targwały jego duszą. Nie mógł jednak oddalić się i zaniedbać gości. Jego bracia wraz z rodzinami przyjechali do niego z wizytą, Bóg jeden wiedział na jak długo. Ani Ryder, ani Douglas nie zdradzili mu tego. Poklepywali go tylko po plecach i śmiali się. Tysen siedział cichutko z filiżanką herbaty w dłoni, nic nie mówił, słuchał, co mówią inni. Wcześniej nawrzeszczał na Maksa za to, że powiedział *merda* do swojego kuzyna. Zamknął teraz oczy i z bólem wspominał swą złość i frustrację. Mary Rosę nie rozumiała, co się dzieje. Tysen zachowywał się dziwnie, ale powodem jego ponurego nastroju nie była wizyta rodzeństwa. Nie, już wcześniej wrócił do domu zamyślony, z przygnębionym wyrazem twarzy. Włosy miał wtedy mokre i potargane od wiatru i deszczu. Podbiegła do niego ze śmiechem, łajając go za nierozsądne zachowanie. Była rada, że wrócił do domu, chociaż tak przemoczony i smutny. Stała na palcach, by go pocałować, ale on nie schylił się i nie przywitał się nawet. Powoli, z ociąganiem opuściła ramiona, które wyciągnęła radośnie na jego widok, i zapytała:

1. Co się stało, Tysenie?
2. Nic - odparł tylko i odszedł.

- Miała ochotę krzyczeć za nim, żeby zdjął mokre ubranie, bo pewnie przemókł do suchej nitki, ale nie mogła wydusić ani słowa. Teraz zachowywał się tak, jakby w każdej chwili świat mógł mu się zawalić na głowę, i nie wiedział, czy wówczas pójdzie do piekła, czy do nieba. Martwiła się o męża, więc nie przejmowała się nawet szczególnie niespodziewaną wizytą jego rodziny. Mimo to Meggie przez cały czas stała przy niej, trzymając ją za rękę, jakby starała się ją obronić przed ewentualnym atakiem.

1. W tym ciemnym świetle - zauważyła Meggie - twoje włosy i włosy ciotki Alex są do siebie bardzo podobne.

2. Wiem - wtrąciła Alex - w świetle dnia włosy Mary Rosę są jaśniejsze i ładniejsze.

- - Nie to chciałam powiedzieć - rzuciła Meggie z uśmiechem i spojrzała na ciotkę.
- Mary Rosę podała Alex następny kawałek placka z brzoskwiniami i wzięła drugi dla siebie.
- - Nigdy nie będziesz miała problemu ze zbyt małymi piersiami - zauważyła Sophie Sherbrooke, spoglądając na dekolt szwagierki. - Co o tym myślisz, Mary Rosę? Nie sądzisz, że Bóg nie poskąpił Alex wdzięków w tym miejscu?
- Mary Rosę zaśmiała się.

1. Tak, to bardzo niesprawiedliwe.

2. Mówicie o biuście? - wtrącił się Douglas Sherbrooke, spojrzał pożądliwie na dekolt swojej żony, a potem pocałował ją delikatnie w usta.

3. Douglasie, nie wypada tak mówić - skarciła go żona.

- - Ależ Alex, słowa „piersi” używają kobiety, a mężczyźni mówią „biust”, bo kojarzy im się z czymś innym. Ty, moja droga dla mnie masz zawsze tylko biust. I dzięki Bogu.
- Sophie odchrząknęła.
- - Tak czy siak, Douglasie, to, o czym mówiłyśmy, nie powinno cię interesować. Idź, pomęcz trochę biednego Tysena. Jeśli mam być zupełnie szczerą, młody człowieku, ta rozmowa nie została przeznaczona dla twoich uszu.
- Po chwili Douglas odszedł, uśmiechając się tajemniczo.

1. Tak się cieszę ze spotkania z waszymi dziećmi - powiedziała do Sophie Sherbrooke Mary Rosę. - Jeszcze nigdy nie widziałam, by Tysen tak wesoło się bawił, jak wtedy, gdy byliśmy u was, a tuzin dzieciaków powaliło go na ziemię.

2. Naprawdę dobrze się bawił - zauważyła Sophie i zmarszczyła lekko brwi, spojrzawszy na Tysena.

- Mary Rosę wiedziała, co zobaczyła szwagierka. Widziała mężczyznę zamyślonego, nieobecnego, błędzącego we wnętrzu własnego umysłu lub własnej duszy. To nie był miły widok. Sophie uśmiechnęła się do męża. ~ To prawdziwy dom wariatów. Ryder kocha je tak bardzo - westchnęła, a wszyscy spojrzeli na jej męża, który trzymał pod pachą głowę Leo, a pod drugą Maksa i siłował się z nimi. - Wystarczy przyprowadzić do niego zapłakane dziecko, a już po chwili będzie się wesoło śmiało.

1. Mówisz, jak gdybyś ty sama nic nie robiła, tylko siedziała i jadła słodczyce - oburzyła się Mary Rosę. - Pamiętaj, że byłam w waszym domu i widziałam, jak biegasz od rana do wieczora. Ciągle byłaś czymś zajęta.

2. Cóż, zajmuję się sprawami dzierżawców. Znam najlepsze metody hodowli owiec, uprawy roli, dojenia krów i poprawiania ich mleczności. Mój Boże, jestem prawdziwym ekspertem w sprawach rolnictwa. Powinnam ci kiedyś opowiedzieć o życie i jęczmieniu - powiedziała, śmiejąc się wesoło. - Poza tym muszę oczywiście mieć oko na mojego drogiego męża, a to praca fascynująca, aczkolwiek bardzo czasochłonna.

1. Zauważyłam - odparła Mary Rosę.

1. Ryder cię uwielbia - zaśmiała się Alex. - Wystarczy, że się zbliżysz do niego, a on już oblizuje usta. To zawstydzające, Sophie.

2. A ty, Alex? Ty nie powinnaś poruszać tego tematu. Widziałam, jak Douglas wpatrywał się w twoje piersi. Poszedł do Tysena, ale dalej patrzy na ciebie. Pewnie wcale nie zajmuje brata rozmową i nawet go nie słucha.

- Mary Rosę przysłuchiwała się wesołej wymianie zdań między szwagierkami. Lubiła je obie, bo też nie sposób było ich nie lubić. Nie przeszkadzało im, że była Szkotką i mówiła z dziwnym akcentem. Nie zwracały na to uwagi.

1. Mary Rosę śmieje się prawie tak uroczo jak ty, ciociu Sophie - powiedziała Meggie.

2. No dobrze - odparła Sophie z westchnieniem. - Masz tu ode mnie bransoletę, Meggie.

1. Dziękuję.

- Tak, pomyślała Mary Rosę, przebierając się do kolacji, moja nowa rodzina to bardzo mili ludzie, naprawdę wspaniali i chyba wszyscy bardzo mnie lubią. Ze szkockiego bękarta nagle zmieniłam się w żonę angielskiego pastora. No i wniosłam mężowi całe sto funtów posagu. Uśmiechnęła się pod nosem. Udało jej się znaleźć dla każdego z gości odpowiednie łóżko do spania. Trzej chłopcy, kuzyni Maksa i Leo mieli spać z nimi w pokoju. Podejrzewała, że przez całą noc będą tylko psocić. Grayson, syn Sophie i Rydera, doskonale opowiadał różne historie, minio że miał dopiero osiem lat. Podobno pierwszą historyjkę o duchach wymyślił, kiedy miał trzy lata. Jego niania wybiegła z wrzaskiem z sypialni. Sypialnię Meggie oddała Douglasowi i Alex, a Meggie znów mogła spać w sypialni jej i Tysena. Mary Rosę trochę żałowała, że nie może mieć go tylko dla siebie, bo chciała się dowiedzieć, co go tak bardzo trapi. Przy kolacji byli obecni tylko dorośli. Tysen niewiele mówił, wyraz twarzy miał surowy, kiedy już ktoś go o coś zapytał odpowiadał tonem chłodnym, obojętnym. Słuchał, co mówi jego rodzina, której członkowie żartowali, śmiali się z siebie nawzajem, obrzucali się uszczypliwościami i komplementami na przemian. Mary Rosę czuła, że Tysena nic to wszystko nie obchodzi. Bardzo jej się to nie podobało. Jeszcze kilka dni temu rozmawiałby z nimi, wtrącał swoje trzy grosze i śmiał się jak wszyscy. Boże, jak brak jej było jego dobrego humoru, żartów i dowcipów, jego dobroci i uprzejmości. Co się stało? Czy coś zrobiła źle? Kiedy w końcu w domu było już zupełnie cicho, Meggie spała w swoim dziecięcym łóżku w kącie przy ścianie, po drugiej stronie pokoju, Mary Rosę podniosła się na łokciu, pochyliła nad mężem i pocałowała go. Jego reakcja była najmniej oczekiwaną z możliwych. Nie poruszył się, i tylko powiedział: - Nie.
- - Ależ, Tysenie, uwielbiam cię całować. Tak długo już nie dotykałam twoich ust. Nie obudzę Meggie. Tylko cię pocałuję.
- Ze względu na córkę miał na sobie koszulę nocną. Mary Rosę nie cierpiała tych koszul. Zsunęła mu dłoń na brzuch. Uwielbiała go dotykać, czuć, jak jego ciało twardnieje i się pręży. Pochwyił jej rękę i odsunął.
- - Idź spać, Mary Rosę.
- Nie widziała jego twarzy w ciemności.

1. Dobrze się czujesz, Tysenie? - Tak.
2. Zrobiłam coś, co cię zdenerwowało? - Nie.

1. Coś się stało. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

1. Nie ma o czym mówić. Spij.

- Leżała na plecach, wpatrując się w ciemny sufit i zastanawiając się, co się dzieje z jej mężem. W niedzielę wszyscy Sherbrooke'owie poszli do kościoła. Dzwony wygrywały melodie na całą okolicę. Powietrze było czyste, pachnące późną jesienią. Poranny wietrzyk przepędził szare chmury. Weszli do świątyni i zajęli miejsca w ławkach. Każde z dorosłych opiekowało się dwójką dzieci. Tysen nie szedł z nimi. Powiedział, że wejdzie z Samuelem Pritchardem przez zakrystię. Organy, jak na gust Mary Rosę, były trochę za bardzo rozstrojone, ale pan Caddy grał na nich naprawdę dobrze, mimo że palce miał stare i powykręcane artretyzmem. Dziś po raz pierwszy Mary Rosę zobaczyła swego męża w roli kaznodziei. Wszedł w milczeniu. Miał przy sobie ciemny strój, podszyty białą podszewką. Obok niego stał Samuel Pritchert. Tysen najpierw ogłosił kilka ważnych spraw, a potem wszyscy zebrani zaczęli śpiewać. Po chwili modlili się o łaskę Boga, ale modlitwa trwała tak długo, że dzieci zaczynały się powoli niecierpliwzić. Potem Tysen podszedł do rzeźbionej kazalnicy z orzechowego drewna. Kiedy zaczął mówić, jego głos wydał jej się głęboki, dźwięczny, docierał do każdego kąta w kościele, do każdego ucha. Błękitne oczy, dziedzictwo rodu Sherbrooke'ów, lśniły blaskiem poranka, docierającym przez kolorowe szybki witraży. Oczarowana słuchała, nie mogąc oderwać oczu od jego postaci. Pomyślała, że tylko anioły mogą być piękniejsze niż on teraz. Ale w miarę kazania, jego oczy nabierały coraz bardziej intensywnej barwy, a jego twarz poważniała. Stał się aniołem zwiastującym ludziom pogrom. Mówił, że jeśli nie zmienią swego postępowania, czeka ich kara za grzechy. Mówił długo o zobowiązaniach wobec Boga, mówił o tym, że nic nie może odrywać myśli człowieka od Pana i jego przykazań. Wyjaśniał, czego Bóg oczekuje od tych, którzy w niego wierzą, którzy poświęcają mu swoje życie i uczą innych, jak go kochać i mu służyć. Mówił pięknie, inteligentnie argumentując. Jego słowa zdały się Mary Rosę surowe, groźne, ale prawdziwe. Miała chwilami wrażenie, że nie wszyscy obecni go rozumieją. Siedziała w bezruchu. W jego głosie nie było nawet odrobiny tej pogody i wesołości, jaką znała, żadnej nadziei na zbawienie, czy choćby odpuszczenie grzechów. Nie zapewniał ludzi o niezmiernym miłości, jaką Najwyższy ma dla nich. Nie powiedział ani słowa o współczuciu. Nie zachęcał, by podziwiali codziennie świat, najpiękniejsze dzieło Boże. Jest taki inteligentny, pomyślała, ale surowy i bezkompromisowy w swoich osądach. I bardzo chłodny. Mary Rosę dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Jej mąż, człowiek troskliwy, czuły, nie mógł równocześnie być tym pastorem, którego dziś poznała. W jednej chwili zdała sobie sprawę z faktu, że jego bracia mieli bardzo rozczarowane miny. Czy to możliwe? Nie podobało jej się to. Jego dewocja, wielkie wymagania w stosunku do ludzi sprawiały, że chciał walczyć zarówno z grzechem, jak i samymi grzesznikami. Na szczęście msza wreszcie się skończyła. Pan Caddy zaczął grać szybko i energicznie na organach. Mary Rosę nie mogła pozbierać myśli. Tysen kroczył środkiem kościoła, nie patrząc na swoją rodzinę. Wszedł na zewnątrz i stanął obok drzwi. W jasnym świetle poranka, z poważną miną dziękował każdemu z wiernych za przybycie, ścisnął dłonie, kłaniał się, inni kłaniali się jemu, mówił cicho i nie skrzywił ust nawet w

najdrobniejszym uśmiechu. Kiedy Mary Rosę stanęła przed nim, skinął jej tylko głową. To samo spotkało jego braci, własne dzieci i resztę rodziny. Max, Leo i Meggie trzymali się blisko macochy, ale nic nie mówili. Wiedziała, że widzą jej rozczarowanie. I że boją się ją pocieszać.

## ROZDZIAŁ 28

- Tysen wszedł przez wąską furtkę do ogrodu. Stał pod ceglanym murem, opierając na nim dłoń. Dotykał ciemnych liści bluszczu. Przycisnął czoło do ściany. Słońce zniknęło za chmurami, które przywiał silny wiatr. Było chłodno, ale jeszcze nie bardzo zimno. Mimo nie najgorszej pogody Tysen czuł, że zmarzył do szpiku kości. Zamknął oczy i zastanawiał się, co ze sobą zrobić. Nie potrafił już inaczej błagać Boga, modlić się do niego o radę, objawienie, o pomoc w podjęciu decyzji, jak ma żyć. Nie mógł wymagać od Stwórcy, by zajmował się takim prostym człowiekiem jak pastor malej parafii. Może Bóg nie odpowiadał, ponieważ Tysen powinien wiedzieć, jakie są Boże zamiary wobec niego. Jednak takie życie, jakie czekało go teraz, było okropne. Czuł się pokonany, jego dusza obumarła, a to samo w sobie było już bluźnierstwem wobec Boga, bo dusza ludzka umrzeć nie może. Modlił się w sercu. Nagle poczuł się zupełnie sam i wiedział, że teraz będzie już zawsze sam. Boże, nie potrafię znieść takiego siebie, myślał. Nienawidził bólu, który go teraz przepelniał.
  - - Co ty, do cholery jasnej, wyprawiasz? To był głos Douglasa.
  - Niepewnie, ociągając się, odwrócił się w stronę brata. Douglas i Ryder stali naprzeciw niego z twarzami zagniewanymi, ściskając dłonie w pięści.
  - - To ci dopiero przedstawienie - powiedział Ryder, kiedy nie doczekali się odpowiedzi. - Wrzeszczałeś w kazaniu o grzechu i jego straszliwych konsekwencjach, o podłości i obowiązkach człowieka wobec Boga. Mówiłeś o Bogu jako nieskończenie surowym i nigdy niewybaczającym. Potem modliłeś się bez końca, grząc na cały kościół tym swoim, niemiłym nawet Bogu, zimnym głosem, namawiając wszystkich, by porzucili inne zajęcia i zajęli się tylko modłami i obowiązkami wobec Stwórcy. A potem, przekłety durniu, przeszedłeś obok żony, dzieci i reszty rodziny, jakbyśmy w ogóle nie istnieli i poszedłeś rozmawiać ze swoimi wiernymi. A co, do diaska, Bóg powie na temat twoich obowiązków wobec żony? Co, do diabła, się z tobą dzieje? Co ty sobie myślisz, głupcze?
  - Znów odpowiedziała im cisza.
  - - Alex powiedziała mi, że Mary Rosę wyglądała na oszołomioną i bardzo urażoną twoim postępowaniem - odezwał się Ryder. - Na litość boską, sam widziałem, co zrobiłeś i jaka była zaskoczona i zrozpaczona. Zauważyłem też, że twoi wierni byli bardzo z tego powodu zadowoleni. Kiwali tymi swoimi cholernymi łbami, bo ich stary pastor wrócił, człowiek bez poczucia humoru, surowy i chłodny. Był znów z nimi. Takiego pastora znali i wiedzieli, czego mają się po nim spodziewać. Nie chcieli, żeby się zmienił.
  - A twoje dzieci... - przerwał na chwilę. - Nie, to może poczekać. Mam nieprzewartą ochotę zdzielić cię w łeb.
1. Ożeniłeś się z nią, a teraz traktujesz ją jak byle co - podchwycił Douglas. - Jakby zawadzała w twoim domu. Jakby była jakąś obcą osobą, stoma w bucie, która cię uwiera. Ignorujesz ją, odcinasz się od niej na oczach wszystkich w kościele. Zachowałeś się jak potwór bez serca.

1. Wiem - powiedział Tysen i nic więcej nie dodał.

1. Co właściwie mają znaczyć te kompletne brednie? - zapytał Douglas i zacisnął pięści.

2. Powiedziałem, że wiem, jak się zachowuję. Nareszcie postępuję tak, jak powinienem. Te poprzednie trzy miesiące były chwilową słabością, pomyłką. Znow jestem sobą. Wszystko jest takie, jak powinno.

3. Słabość? Cholerna pomyłka? - syknął Douglas. — Słabość? Niech cię szlag, co za wierutne bzdury nam opowiadasz? Tysenie, Mary Rosę jest twoją żoną. Widzieliśmy, jak bardzo cię kocha, jak uśmiecha się na twój widok, jak lśnią jej oczy, kiedy wchodzisz do pokoju. Wiemy, że ty też ją kochasz, że śmiejesz się, kiedy z nią jesteś, że wtedy bawisz się z dziećmi, że w końcu zrozumiałeś, co to radość.

- Ryder też nie mógł milczeć:

- - Widzieliśmy, jak wiele ostatnio się śmiałeś, jak obejmowałeś i przytulałeś dzieci, bez wielkiego powodu, jak się z nimi świetnie bawiłeś. Bawiłeś się, Tysenie. Nie widzieliśmy cię bawiącego się, od kiedy postanowiłeś zostać tym gburem, jakim się w końcu stałeś.

- - Nawet Max - przerwał mu Douglas - kiedy wróciliśmy z kościoła do domu, usiadł mi na kolanach i ze zwieszoną głową, smutnym głosikiem bez cienia nadziei powiedział, że coś złego musiało się stać, bo znow jesteś dawnym tatą. Myślałem, że dzieciak się rozplacze. Niech cię szlag, Tysenie, co się z tobą, do diabła, dzieje? Nawet te pierwsze, krótkie listy, które wysłałeś do mnie i do Rydera były wesołe, pełne humoru, radości życia. Widać w nich było miłość. Potem przywiozłeś do nas swoją rodzinę i zrozumieliśmy, że dojrzałeś wreszcie piękno codziennego życia, miłości do kobiety. Myśleliśmy, że w końcu zrozumiałeś, jak bardzo jesteś dla nich ważny. Dziękowaliśmy Bogu za to i bardzo się cieszyliśmy, że w końcu spotkałeś kogoś, kto cię raduje i komu potrafisz okazać miłość, prawdziwą, głęboką miłość. Ta kobieta nauczyła cię uśmiechu, a nawet śmiechu.

- - A teraz znow to wszystko zniknęło - wtrącił rozczarowany Ryder. - Już kiedy tu wczoraj przyjechaliśmy, powinienem był się domyślić, ale chyba żadne z nas w to nie wierzyło. Sądziliśmy, że jesteś zajęty sprawami Kościoła, a może nawet trochę się martwisz, jak Mary Rosę sobie z tym wszystkim poradzi. A przecież wcale nie o to chodziło. Mów, co się stało?

- Tysen patrzył na nich niewidzącym wzrokiem. Pomyślał, że zachowują się jak chór w greckich tragediach. Mówią na zmianę. Teraz nadeszła kolej Douglasa.

1. A Meggie? Ona ją ubóstwia. Kiedy was widzi we dwoje, twarzyczka jej jaśnieje, a teraz to światło zniknęło z jej twarzy.

2. Dawny Tysen tu nie pasuje - odparł cicho pastor. - Nie jest takim człowiekiem, jakiego chce Bóg. Ten nowy Tysen nie był sługą Bożym. Pochłonęły go pokusy życia codziennego, zaspokajały je i zaniedbywał swoje obowiązki. Myślał tylko o swoich pragnieniach. Zapomniał o Bogu i wiernych.

- Wyminął braci i wyszedł z ogrodu przez bramę. Zamknął ją za sobą ostrożnie. Douglas i Ryder zostali, oszołomieni.

1. Coś bardzo złego się stało, Ryderze - powiedział Douglas. - Nigdy nie widziałem go w tak

straszonym stanie. I stało się to tak szybko. Co tu się, do cholery, dzieje?

2. Wcześniej też się tak zachowywał, chłodno, z dystansem, ale wiedzieliśmy, że wierzy, iż taki jest naprawdę, że taki właśnie powinien być. Wyglądał wtedy nawet na zadowolonego z siebie. Nie był ani wesoły, ani smutny. Może nie miał poczucia humoru i był straszonym ponurakiem, ale przynajmniej dobrze się z tym czuł. Wierzył, że takie życie mu odpowiada. Może nam się to nie podobało, ale jemu owszem tak.

- Douglas zaklął pod nosem i wrócił do domu. Ryder został w ogrodzie, zastanawiając się, co się teraz stanie z jego bratem i rodziną. Żał mu było Mary Rosę i dzieciaków. Żał mu było brata, bo wiedział, że głęboko cierpi.

\*

- Mary Rosę usiadła przed lustrem toaletki, ściskając w dłoni niewielką broszkę, którą dała jej matka przed wyjazdem ze Szkocji. Jej toaletka, szczotka do włosów, ubrania i buty zostały przeniesione tutaj, do tego pokoju. Kiedy ona siedziała w kościele i słuchała ponurych wywodów tego obcego człowieka, na polecenie Tysena jej rzeczy umieszczono w ponurym pokoju Melindy Beatrice. Wydawał jej się tak straszny, że nie chciała w nim nawet umieszczać żadnych ze swoich gości, czy choćby dzieci. Było późne popołudnie. Szukała męża. Znalazła go na cmentarzu. Siedział, z rękoma złożonymi na kolanach, wpatrując się w stary nagrobek. Podeszła bliżej i nic nie mówiąc, patrzyła na Tysena.

1. Czy coś się stało? - zapytał w końcu, w ogóle, na nią nie patrząc.
2. Tak, uważam, że coś się stało. Nigdy jeszcze nie odzywałeś się do mnie tak chłodno. Może powinieneś mi powiedzieć, czym zawiniłam?
3. Niczym. Proszę, wróć do naszych gości i zajmij się nimi. Mam spotkanie. Wstał z kamiennej ławki. Spojrzał na żonę pośpiesznie, odwrócił się i ruszył w nieznanym jej kierunku.

- Stała tam i patrzyła na niego, póki nie zniknął za bramą. Wróciła do domu i poprosiła panią Priddie, by przeniosła jej rzeczy z powrotem do pokoju Tysena.

1. Nie wiem - zastanawiała się pani Priddie - czy pastor pozwoliłby mi na to.
2. Ja jestem panią tego domu, pani Priddie, i ma pani robić, co ja każę. Chciałaby pani jeszcze coś dodać?
3. Mam przenieść tu rzeczy kóregoś z gości państwa? Chłopcy wszyscy śpią ściśnięci w jednym pokoju.

- - Nie, proszę po prostu zamknąć tę sypialnię. A teraz, jeśli to już wszystko, muszę panią przeprosić, idę szukać mego męża.

- Ale go nie znalazła. Doskonale sobie radził z unikaniem jej przez cały wieczór. Wrócił do domu bardzo późno. Kiedy wszedł do sypialni, zapalił jedną świecę. Nie chciał przeszkadzać Meggie, ale córki tu nie było. Była tu za to Mary Rosę. Spała na środku jego łóżka. Nie hałasował, żeby jej nie zbudzić, ale ona nie spała i patrzyła na niego.

1. Witaj, Tysenie.
2. Mary Rosę, co ty tu robisz?



1. Jesteśmy mężem i żoną. To również moja sypialnia. Nie dam się odesłać do sypialni Melindy Beatrice.

- - Mimo to wolałbym, żebyś spała w innym pokoju.
- - Nie, nie dam się wyrzucić. Jeśli nie możesz znieść faktu, że śpisz obok mnie, musisz się przenieść do pokoju swej zmarłej żony.
- Tysen postawił świecę na stole i zaczął się rozbierać. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, co robi, zmarł. Nie patrzył na żonę.
- - Dość już tego, Tysenie - powiedziała Mary Rose. - Cieszę się, że wróciłeś do domu. Nie, nie będę pytała, gdzie się tak długo przede mną ukrywałeś. Miałam nadzieję, że wrócisz. Twoi bracia bardzo się starali, żeby wszystko wyglądało normalnie, ale oczywiście nic teraz nie jest normalne. Nawet dzieci są zbyt ciche. Nie wiedzą, co się dzieje, ale czują, że to coś złego.

1. To nic złego - odparł Tysen. - Przeciwnie. Wszystko wróciło do normy. Teraz jest znów tak, jak być powinno.

2. Rozmawiałam z Samuelem Pritchertem dziś po południu, kiedy przestałam cię już szukać. On się z tobą całkowicie zgadza. Powiedział mi, że wszystko jest znów tak, jak być powinno. Mówił też, że wszyscy czekają, kiedy nie wytrzymam i ucieknę, i cieszą się, że znów jesteś taki, jaki byłeś przed wyjazdem do Szkocji, zanim mnie spotkałeś i poślubiłeś.

- Nic nie odpowiedział. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Nie, teraz już nawet nie wyglądał jak człowiek zmęczony, tylko umierający.

1. Chcesz, żebym wyjechała, Tysenie?

2. Nie możesz wyjechać, jesteś moją żoną.

3. Naprawdę chcesz być takim człowiekiem, jakiego zobaczyłam dziś w kościele? Ten człowiek był oddalony od ludzi, od wszystkiego, był obcy i chłodny, niechętny całemu światu. Mógłby równie dobrze być wykuty w kamieniu.

1. To człowiek, jakim byłem, nim cię poznałem. Taka jest wola Boga.

2. Nie znam takiego Boga. Mój Bóg jest miłosierny i łaskawy. Wybacz nam grzechy i pozwala się śmiać, doceniać piękno świata, który stworzył. - Potrząsnęła głową. To już nie miało znaczenia. - Powinnam ci to wcześniej powiedzieć, Tysenie. Może to nie jest najlepsza chwila, ale czuję, że jestem ci to winna, sobie zresztą też. Powinieneś znać prawdę.

- Nic nie odparł. ~ Kocham cię. Skrzywił się, jakby go uderzyła.

1. Nie, Mary Rose, proszę.

2. Nie możesz nawet znieść tego, że mówię ci o swojej miłości?

- - Nie.
- - Rozumiem - odparła. - To wszystko wyjaśnia.
- Bez słowa wstała i wyszła z sypialni. Meggie spała w małym pokoiku na końcu korytarza. Mary Rose poszła tam i przytuliła się do dziewczynki.

1. To już koniec - powiedział rano Max. Siedział pod ścianą. Na podłodze obok niego leżały dwie książki. Wyglądał na pokonanego.
2. Tata jest taki, jaki był kiedyś — powiedział Leo. Nie skakał, nie fikał koziołków i nie stał na głowie. Leżał na brzuchu, podpierając głowę rękoma i wyglądał jakby miał się zaraz rozplakać.
3. Nie - rzuciła Meggie, siedząca na krawędzi łóżka Maksa. - Teraz tata jest nawet gorszy niż kiedyś. Wcześniej nie był dla nas jak obcy, nie był taki zamyślony. Kochał nas i czasem nam to okazywał. Teraz jest tak daleko stąd, że nawet nas nie widzi.

- - To prawda - przyznał Leo. - Przedtem zdarzało się, że nas przytulił, nawet zmarszczył brwi, kiedy go zdenerwowaliśmy, ale teraz już nic nie robi.
- Jakby się bał cokolwiek powiedzieć, cokolwiek zrobić. Mary Rosę nie mogła już tego znieść. Stała przez chwilę w progu i słuchała, co mówiły dzieci.

1. Gdzie są wasi kuzyni? - zapytała.

1. Na cmentarzu - odparł Max. - Grayson lubi cmentarze. Mimo że dziś jest dość zimno, nikt nie chce przegapić jego strasznych historii.

1. Nikt prócz waszej trójki.

1. Wszystko jest dla nas teraz i tak dość straszne - odparł Max. - Niepotrzebne nam historie Graysona.

- - Dobrze więc, pojedziecie ze mną. Wybieram się na konną przejażdżkę.
- Nie mieli ochoty jechać, ale Meggie przyjrzała się bacznie Mary Rosę, jej zdecydowanej postawie, determinacji i skinęła głową.
- - Masz rację, Mary Rosę. To nam da trochę wytchnienia. Chodźcie chłopcy. Max, Leo. Nie chcę wam zrobić krzywdy, więc chyba nie będziecie się ociągać. Ruszajcie się.
- Wystarczyło im koni, ale Mary Rosę musiała jechać na ogierze wuja Douglasa.
- - Zaśpiewam mu inną piosenkę, bo poprzednia najwyraźniej mu się nie spodobała - powiedziała.
- Garth był bardzo wysokim koniem o groźnych oczach. Mary Rosę musiała mu śpiewać jedną piosenkę po drugiej, nim zdołała go osiodłać. W końcu udało jej się go dosiąść.
- - Jest bardzo duży - powiedziała i spojrzała na dzieci, które już siedziały na swoich koniach.

1. Poradzisz sobie, Mary Rosę? - zapytał Leo.

2. Dobrze jeżdżę, ale nie ścigajmy się.

- Ruszyli polną drogą w stronę wsi. Było pochmurno i zimno, a Mary Rosę czuła, że przemarza do kości.

1. Nie jest wam chłodno? - zapytała.

2. Biednemu Rickettowskiemu jest zimno - powiedział Leo, klepiąc gniadosza po szyi. - Mam nadzieję, że biedak przeżyje zimę. Ma już prawie dwadzieścia lat.

- Mary Rosę też miała nadzieję, że koń przetrwa. Miała nadzieję, że sama ją przetrwa. Przejechali przez Grapple Thorpe, niewielką wioskę w pobliżu kanału.
- - Kto chciałby zjechać na plażę? - zapytała Mary Rosę.
- - Chyba powinniśmy pojechać z powrotem do Grapple Thorpe i napić się gorącej czekolady - zaproponowała Meggie.
- Już chcieli zawracać do Grapple Thorpe, kiedy zobaczyli powóz pędzący na łeb na szyję. Wyjechał nagle zza zakrętu drogi. Mary Rosę zauważyła, że stary Ricketts podnosi głowę z przerażeniem, cofa się i staje dęba. Widziała, jak Leo wlatuje w górę i ląduje w rowie przy drodze.
- - Meggie, Max, zjedźcie z drogi! Ja zajmę się Leo! - krzyknęła.
- Nie mogła nic zrobić, póki nie minął ich pędzący powóz. Jeszcze długo nad drogą wznosiły się gęste kłęby kurzu. Mary Rosę ześlizgnęła się z grzbietu Gartha i podbiegła do Leo. Podnosił się, potrząsając głową. Nie dotykała go. Uklękła przy nim. Meggie i Max po chwili znaleźli się tuż za nią.

### 1. Jak się czujesz?

- Zdaje mi się, że żebra mam połamane na drzazgi, a żołądek podskoczył mi do gardła. - Uśmiechnął się nieprzytomnie. - Nie martw się, Mary Rosę. Nic mi nie jest.
- - Och, Leo - westchnęła i delikatnie przytuliła go do siebie. - Posiedzimy tu chwilkę i nie będziemy się ruszać.
- Jęknął ciężko, kiedy podnosił się z ziemi.
- - Posiedzmy - powiedziała do Maksa i Meggie - póki mu się nie odkręci w głowie.
- Leo zaśmiał się cicho. Przyglądała się jego bladej twarzy.

### 1. Jak się czujesz? Tylko teraz powiedz prawdę.

### 2. Trochę mi się kręci w głowie.

- - Nic dziwnego. Nie ma pośpiechu, możemy tu zostać dopóki będzie trzeba. Max, przywiąż konie, żeby nie pobiegły do domu tak jak stary Ricketts. Leo naprawdę nie czuł się zbyt dobrze, więc nie spierał się z Mary Rosę. Kobieta dotykała jego żeber po kolei. Nic nie było złamane. Usłyszała, jak Max próbuje uspokoić Gartha.
- - Nic mu nie będzie - powiedziała i miała nadzieję, że to prawda. Mógł przecież mieć jakieś obrażenia wewnętrzne.
- - Leo, czy to boli?
- Dotykała go to tu, to tam, aż w końcu ucisnęła brzuch chłopca. Nie bolał.

### 1. Masz ochotę zwymiotować?

### 2. Nie, już nawet tak bardzo nie kręci mi się w głowie.

### 3. To dobrze. Pojedziemy teraz razem do Grapple Thorpe. Wypijemy gorącą czekoladę. Ojej, czy ktoś wziął ze sobą pieniądze?

### 4. Meggie ma zawsze przy sobie jakieś pieniądze - powiedział Leo.

### 5. Wygrywa je od nas - potwierdził Max. - Szkoda, że nie oszukuje, bo przynajmniej moglibyśmy się poskarżyć tacie.

- - Jeszcze wczoraj tata śmiałby się z tego, co powiedziałeś, ale dziś już nie. Już nigdy nie będzie się śmiał - rzuciła Meggie.
- Mary Rosę nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc w milczeniu pomogła chłopcu wstać z ziemi. Poszedł kawałek o własnych siłach i po chwili uśmiechnął się.
- - Nic mi nie jest, Mary Rosę. Biedny, stary Ricketts, przestraszył się pędzącego powozu, pewnie myślał, że sam diabeł już się po niego zgłosił i chce go zabrać do piekła.
- Kwadrans później siedzieli na drewnianej ławie w gospodzie „Pod Żółtą Gęsią”, która stała w samym środku wsi Grapple Thorp. Tuż za nią znajdował się piękny staw ze stadkiem kaczek. Właśnie w tej gospodzie zastał ich pan Dimplegate. Zobaczył piękną kobietę z rozwianymi włosami, opiekująca się trójką dzieci. Pan Dimplegate był pijakiem i awanturnikiem, który terroryzował całą wieś, a najbardziej interesowały go kobiety, gdyż uważał się za dar od Boga dla płci przeciwnej. Kiedy zauważył Mary, wiedział już, że to będzie dla niego wyjątkowo miły dzień. Z wesołą miną i szerokim uśmiechem, odrobiną pijany z piwa na górnej wardze, podszedł do ich stolika. Dłonie oparł na biodrach, pochylił się w stronę dziewczyny i powiedział:
  - - Dyc to guwernantka. Ślicznaś jak obrazek, moja dziewczeczko.
  - Był naprawdę wielkim mężczyzną. Wyglądał na silnego i wystarczająco pijanego, żeby narobić jej i dzieciom kłopotów. Poza tym stał stanowczo za blisko.
  - - Nie, jestem matką tych dzieci, proszę pana - odpowiedziała i odwróciła się do niego plecami. Kiedy zauważyła, że wcale nie odszedł, rzuciła przez ramię: - Zegnam.
  - Teraz sprawa zrobiła się naprawdę poważna. Pan Dimplegate zaczął wrzeszczeć:
    1. Nie jesteś ich matką, to nie może być. Tak se myślę, że jesteś służącą i odprowadzasz ich tylko do domu.
    2. Odejdź, człowieku - rzuciła Mary Rosę.
    3. Żadna kobita nie odwraca się do mnie plecami - wrzasnął i chwycił ją za ramię. - Nie wiesz, jaki ze mnie kochanek. Śnię się babom po nocy.
    4. To chyba koszmarny sen - powiedział Mary Rosę i chlusnęła mu czekoladą w twarz. Żałowała tylko, że napój trochę przestygł.
    5. Zostaw pan moją matkę - wrzasnął Max.
    6. Zamknij się, smarkaczu!
- Leo wskoczył na stół, wykonał salto w powietrzu i wylądował tuż przed twarzą pana Dimplegate. Zdzielił go porządnie, ale ten zdążył już złapać Mary Rosę za drugą rękę. Zachwiał się i upadając, poderwał Mary Rosę z ławki. Oboje znaleźli się na podłodze. Dzieci skoczyły na równe nogi, wrzeszcząc z całych sił. Właściciel gospody załamywał ręce. Zbyt wiele razy Dimplegate urządzał bójki i sprzeczki w jego gospodzie.
  - - Danny, idź do domu - krzyknął. - Hej, zostaw tę damę w spokoju. Nic ci nie zrobiła. Zostaw ją! - Jego głos nikał w hałasie przewracanych ławek i krzyku dzieci.
  - Mary Rosę podniosła się z pana Dimplegate'a i odsunęła się, ale, niestety, nie dość szybko. Złapał ją za rękę i trzymał się jej jak tratwy ratunkowej. Wstał. Meggie złapała gruby kawałek drewna z półki przy kominku, weszła na krzesło i uderzyła pana Dimplegate w wielką głowę. Zachwiał się, zamrugał.
    - - To moja matka, ty idioto! - krzyknęła Meggie i uderzyła go kłodą jeszcze raz, tym razem

mocniej.

- Pan Dimplegate puścił ręce Mary Rosę i upadł w końcu na krzesło, na którym stała Meggie. Krzesło huśtało się przez chwilę i runęło. Mary Rosę rzuciła się, by złagodzić upadek dziewczynki. Obawiała się, że spadnie na kamienny kominek. Mary Rosę wylądowała więc na kamieniach wraz z Meggie. Uderzyła głową o kamienne palenisko. Leo natychmiast znalazł się przy nich. Ukląkł przy Meggie, która z trudem próbowała się podnieść.
  - - Mary Rosę, nic ci nie jest? O Boże, Max, zrób coś!
  - Leo poklepywał ją po twarzy, a Meggie klęczała już przy niej, pocierając jej dłonie.
1. Ojej, ojej - jęczał pan Randalf, właściciel gospody, załamując ręce.
  2. Proszę pana - powiedział Max - potrzebujemy wozu. Musimy zawieźć mamę do domu. Mieszkamy w Glenclose - on - Rowan. Nasz ojciec jest pastorem, to wielebny Sherbrooke. Proszę się pośpieszyć!
  3. Tak, tak - płakała Meggie. - Tata będzie wiedział, co robić.

## ROZDZIAŁ 29

- Jakąs godzinę później stary wóz drabiniasty, należący do farmera Biggsa, szybko opróżniony z siana, jechał drogą w stronę domu pastora. Pod bramą szary gniadosz, starszy nawet chyba od Rickettsa, zatrzymał się nagle. Max i Leo krzyczeli już na całe gardła, nim jeszcze wóz podjechał pod dom. Mary Rosę była przytomna, obudziła się, nim pan Randalf wziął ją na ręce i położył w wozie na stercie śmierdzących koców. Przez całą drogę po wybojach, aż do Glenclose - on - River, dzieci przyglądały jej się uważnie i z niepokojem. Wołała się nie ruszać. Powiedziała, że chce chwilę odpocząć. Uśmiechnęła się do Meggie.

1. Czuję się trochę dziwnie - wyszeptwała. - To nic takiego. Jestem tego pewna.

1. Jesteś strasznie blada, Mary Rosę.

1. Przecież wylądowałam z głową w kominku. Tam nie jest zbyt miękko. Ale nic mi nie będzie. Jestem tylko trochę ociężała i kręci mi się w głowie.

2. Jeśli to prawda, dlaczego wyglądasz, jakbyś miała się za chwilę rozplakać?

- Z domu pastora dobiegały krzyki.
- - Nie będę płakała - powiedziała. - Proszę, kochanie, nie rób z tego tragedii. Nie chcemy przecież martwić twego ojca.
- Meggie tylko potrząsnęła głową. Tysen znalazł się w jednej chwili przywozie. Zobaczył Mary Rosę. Dzieci przykryły ją kocami. Wyglądała tak, jakby umierała. Nigdy wcześniej tak się o nikogo nie bał.
- - Mary Rosę, jak się czujesz? - zapytał.
- Ujrzała nad sobą ukochaną twarz. Martwił się o nią. Miała ochotę płakać.
- - To tylko wypadek, bardzo niefortunny wypadek, Tysenie. Nic mi nie jest. Upadłam na kamienny kominek w gospodzie, to wszystko...
- Nagle chwyciła się za brzuch i krzyknęła głośno. - Nie rozumiem - powiedziała zdezorientowana i znów poczuła przeszywający ból. Tym razem nie ustal. Miała wrażenie, że coś uparcie próbuje rozerwać ją od środka. Płakała, próbując walczyć z bólem.

1. O mój Boże, ona krwawi - jęknął osłupiały Tysen. Chciał ją podnieść z wozu, a kiedy wsunął pod nią dłoń, poczuł wilgoć. Całą rękę miał umazaną we krwi.

2. Poroniła.

- Poroniła? Czyżby Mary Rosę była przy nadziei? Traciła właśnie jego dziecko?

1. Tysenie...

2. Wszystko będzie dobrze, Mary Rosę, przysięgam.

- Uniósł ją, a ona znów poczuła rozdzierający ból.

1. Dziecko? Tysenie, czyja straciłam dziecko?
2. Cicho, Mary Rosę. Proszę, cicho. Nic ci nie będzie - szeptał, niosąc ją do sypialni. Widział, że Sophie i Alex biegną przed nim i wydają polecenia pani Priddie.

- Położył żonę na łóżku, a ona chwyciła jego dłonie tak mocno, że sprawiała mu niemal ból.
- - Już dobrze - powtarzał w kółko.
- Na chwilę straciła przytomność. Krew, tyle krwi, na jego dłoniach, przedramionach, na jej sukni. Purpurowa krew na ręcznikach i łóżku. Płakała, a on ścisnął ją mocno, obejmował i tulił.
- - Douglas - krzyknęła nagle Alex. - Sprowadź doktora! Straciła za dużo krwi!
- - Mary Rosę, posłuchaj mnie. - Tysen patrzył na nią rozszerzonymi z przerażenia oczami. - Zostań ze mną. - Przycisnął ręcznik do jej łona. - Nie mdlej, Mary Rosę, słyszysz? Masz ze mną zostać. Patrz na mnie. Nie waż się mdleć. Otwórz oczy, o tak. Dobrze.
- Nie wiedział wiele o rodzeniu dzieci, a tym bardziej o poronieniach. Często modlił się z kobietami, które straciły w ten sposób dziecko, ale nigdy tego nie widział. Pocieszał mężów, którym w połogu umarły żony. Tyle krwi. Miał całe ręce we krwi.
- - Wszystko będzie dobrze, Mary Rosę - powtarzał bez końca jak litanię.
- Zdawało mu się, że minęła wieczność, nim doktor Clowder wbiegł do jego sypialni. Tysen zauważył, że jego bracia i szwagierki są w pokoju. Przynajmniej dzieci trzymali z daleka. Gdybym tylko, pomyślał, gdybym mógł jakoś odsunąć od niej ten ból.

1. Nie wiedziałam - jęknęła. - Nawet nie wiedziałam, że...
2. Już dobrze, Mary Rosę. Proszę, ukochana, uspokój się, wszystko będzie dobrze.

- Uspokoili się. Dobrze wiedział, że gdyby nie ona, jego życie nie miałoby sensu. Bez niej byłby nikim i nic by nie miał. Jak miałby służyć Bogu bez niej? Zdał sobie sprawę, jak łatwo mógł ją stracić. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Teraz czuł wypełniający go po krańce duszy spokój. Uśmiechnął się, ucałował jej czoło, nos i usta.
- - Jesteśmy razem - powiedział, dotykając jej spierzchniętych warg. - Kocham cię, Mary Rosę. Kocham cię z całego serca, kocham cię bardziej niż własne życie. Razem wniesiemy radość w to przeklęte miasto. Teraz już my i dzieci będziemy żyli w miłości i radości.
- - Tysenie, ja też bardzo cię kocham. Nie odejdę. Na pewno nie.
- Potem po prostu zamknęła oczy. Straciła przytomność albo zasnęła.
- - Krwawienie prawie ustało, wielebny - powiedział lekarz. - Pańskiej żonie nic nie będzie. Dobrze się pan spisał.
- Tysen znów się modlił. Tym razem jego modlitwa była pełna nadziei, wielkiej wdzięczności, obietnicy i głębokiej, prawdziwej radości.

\*

- Tysen wszedł na kazalnicę. Promienie słońca wpadały do środka przez kolorowe szyby witraży. Czuł ich ciepło na skórze. Milczał przez chwilę, przyglądając się twarzom ludzi, których znalazł od ośmiu lat. Wszyscy wpatrywali się w niego, zastanawiając się, dlaczego nic nie mówi. Tysen spojrzał w stronę braci i ich rodzin, na swoich synów, na Meggie i Mary Rosę, która choć jeszcze zupełnie blada, bardzo chuda i słaba, uparła się, by przyjść do kościoła.

Uśmiechała się do niego i był to najpiękniejszy uśmiech, jaki widział w życiu. W końcu się odezwał: - Jestem tu już od ośmiu lat. Przyjechałem do Glenclose - on - Rowan jako bardzo młody człowiek. Tę parafię podarował mi mój brat, hrabia Northcliffe. Wszyscy wiedzieliście, jak dojrzewam i staję się mężczyzną. Byliście bliscy mnie i moim dzieciom. Znam każdego z was i cenię za to, kim jesteście i kim staniecie się z upływem czasu. Wiecie, że jestem również baronem, panem na zamku Kildrummy, w Szkocji. Pojechałem tam tylko z poczucia obowiązku, ale to Bóg musiał kierować moimi krokami, bo właśnie tam znalazłem cudowną kobietę, która pokazała mi cuda tego świata, radość bycia mężczyzną, kochającym nie tylko Boga, ale i żonę, którą Bóg mi przeznaczył. Dzięki niej zrozumiałem, ile w życiu miałem szczęścia, jak wiele od życia otrzymałem i jak ważne są dla mnie moje dzieci. Dowiedziałem się, że życie może być radosne, niezmiernie radosne, wystarczy tylko je przyjąć takim, jakie jest. Uczyniłem to. Wiem jednak, że wielu z was wolałoby, abym wrócił do dawnego sposobu bycia. Chcecie, żebym był oddalony od spraw tego świata i zawsze poważny. Takim mnie uczyniliście przez te wszystkie lata i takim chcielibyście mnie widzieć. Nie jako człowieka współczującego, zadowolonego, roześmianego i zakochanego. Nie znaliście mnie takiego, i dlatego czuliście się obco w towarzystwie pastora, który wrócił ze Szkocji. Nie chcieliście go mieć za duchowego przewodnika. Ten człowiek był wam obcy, sprawiał, że czuliście się niepewnie, bo kiedyś surowym tonem upominał was, że grzeszycie, przypominał o gniewie Bożym, a teraz nagle chciał, byście się cieszyli życiem, czuli promienie słońca na twarzy, uśmiechali się w pogodne dni i ponad wszystko kochali swoją rodzinę. Ten sam, niegdyś ponury, człowiek chce teraz, byście uwierzyli, że Bóg was kocha i chce, byście wielbili go z oddaniem i uczciwością, byście kochali go z radością w sercach, byście byli wdzięczni Bogu i sobie nawzajem za szczęście, które znajdujecie tu, na stworzonej przez niego Ziemi. Bóg dał nam zdolność kochania i szanowania innych, poczucia, że nasze doczesne życie też ma jakieś znaczenie. Pozwala nam cieszyć się szczęściem swoim i naszych bliskich. Stoję tu dziś przed wami jako człowiek, który otrzymał najcenniejszy podarunek od Stwórcy. Zostałem błogosławiony, bo Bóg otworzył mi oczy. Wiecie wszyscy, że wróciłem ze Szkocji z żoną. Znacie ją, nazywa się Mary Rose Sherbrooke. Tworzę z nią i moimi dziećmi rodzinę. Wszyscy kochamy Boga. I cieszymy się, że możemy żyć dla siebie nawzajem. To już ostatnia msza, którą dla was odprawiłem. Pan Samuel Pritchert, człowiek, którego podziwiacie i szanujecie, zostanie tu, by wam doradzać we wszystkich kwestiach duchowych. Nie wiem, kto przyjedzie do Glenclose - on - Rowan na moje miejsce, ale jestem pewien, że hrabia Northcliffe trafnie wybierze mojego następcę. Tak więc, jeszcze raz dziękuję wam za te osiem lat, które z wami spędziłem jako wasz pastor. Do końca moich dni będę was wspominał i myślał o wszystkich. Uśmiechnął się i zszedł z kazalnicy. Zapadła porażająca cisza. Nagle odezwała się Meggie, a jej słowa dotarły do każdego z zebranych w kościele:

1. Och, Mary Rose, wyobraź sobie tylko, znów jesteśmy razem. Ty będziesz miała dzieci, a ja je wszystkiego nauczę, tak jak nauczyłam Maksa i Leo.
  2. Ja je nauczę opowiadać historie o duchach - wtrącił się Grayson Sherbrooke.
- Ryder roześmiał się na cały głos.



## EPILOG

- *Lysa Skala Zamek Kildrummy 15września 1816* Słońce jak czerwona kula wznosiło się ogrzewając ziemię i powoli napelniając niebo i morze świeżą czerwienią.
  - - To najpiękniejszy widok na świecie – powiedziała Mary Rose, przytulając się mocniej do męża. Siedziała otoczona jego ramionami. Tysen okrył ją peleryną. Nie chciał, by zmarła. Było jeszcze bardzo wcześnie.
1. To tylko jeden z pięknych widoków - powiedział i pocałował ją w ucho. Pogładził jej wielki brzuch. - Jak się dziś miewa nasze dziecko? Nie kopie za mocno?
  2. Nie. Może odpoczywa, bo przez całą noc robił takie akrobacje jak Leo.
  3. Musimy wyjechać w przyszłym tygodniu, kochanie. Nie mam na to ochoty, ale nie chcę wracać do Glenclose - on - Rowan na ostatnią chwilę. Poza tym doktor Clowder ostrzegł mnie, że masz wrócić przed narodzinami, bo to on musi odebrać poród.
  4. Dobrze się wczoraj bawiłaś na urodzinach matki?
  5. Och tak, wszyscy byli w doskonałych humorach. Czy to nie wspaniale? Jest taka szczęśliwa z Milesem. Przez te wszystkie lata musiała udawać szaloną, a teraz śpiewa i śmieje się jak my wszyscy. Wiesz, że zaledwie trzy miesiące po ślubie Donnatelli i Ericksona jego matka zmarła nagle we śnie? Tak mi przynajmniej powiedziała mama.
  6. Nie dziwi mnie to wcale. Donnatella chyba urodziła się ze szczególnym talentem do lądowania na czterech łapach.
  7. Nie myślisz chyba, że ona...
  8. Nie warto się nad tym zastanawiać - odparł Tysen i przypomniał sobie nagle: - Och, kochanie, dostałem list od Samuela Pritcherta.
  9. Ojej, nie podoba mi się to wcale.
- Właściwie to mnie prosi, żebym wrócił do domu. Powiedział, że przyszedł do niego pan Gaither, reprezentant kongregacji. Zdaje się, że wszyscy są nieszczęśliwi. Nie było nas trzy miesiące, a całe miasteczko przykryły wielkie chmury melancholii. Brakuje im kogoś, kto powie, że Bóg ich kocha i że zasługują na jego miłość. Przyzwyczaili się, że o wszystkich problemach mogli porozmawiać z pastorem, a ten zawsze znalazł coś pocieszającego, nawet w najbardziej przykrej sytuacji. Napisał, że chcą, bym przyjechał i przywrócił miastu oraz ich życiu dawny optymizm.
1. Czyżby naprawdę pisał aż tak smutne rzeczy? Dobrze więc, może jeszcze trochę pobędziemy z Sinjun i Colinem, a potem wrócimy z pierwszymi mrozami?
  2. Pewnie jeszcze wcześniej. Oliver chyba nie może się doczekać, kiedy wreszcie stąd wyjadę. Biedny chłopak jest w rozterce. Uwielbia dzieciaki, a one wszędzie za nim chodzą, lecz zarazem tak dobrze się czuje jako jedyny zarządca tego domu... Gdyby mu się udało, najchętniej wysłałby

mnie z powrotem do Anglii, a was zostawił tu w zamku.

3. Cieszę się, że Douglas i Alex przyjechali i zobaczyli, jak świetnie Oliver sobie radzi. Nigdy jeszcze nie widziałam tak dumnego człowieka jak twój brat, kiedy szedł za Oliverem i oglądał jego dokonania. - Przytuliła się do Tysena. Czowała, jak ogarnia ją wielka fala uczucia miłości i wdzięczności.
4. Poznaliśmy się zaledwie rok temu, pamiętasz? Utknęłam w jednej z tych szczelin w ziemi, w które zwykle wpadają owce, a ty mnie z niej wyciągnąłeś.
5. To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Milczała przez chwilę. Słońce rozświetlało już całe niebo i ogrzewało jej twarz. Zamknęła na chwilę oczy, oparła głowę na jego ramieniu i powiedziała:

- W moim też.

- 
- \* Przekład Irena Chamska
  - \* Przekład Iwona Chamska